

LaZebnik Claire

Rodzinka do zwrotu

Prolog

Mój ojciec często powtarza: „Tylko cienka linia dzieli szaleństwo od geniuszu”, lecz jak bardzo cienka być może, skoro ten człowiek wznosił swój dom na samym jej wierzchołku, ze wspaniałym widokiem na obłąd z jednej, a normalność z drugiej strony?

Tak czy owak, w całym wnętrzu panuje wielka jasność.

Matka ma inne powiedzonko: „Zdrowy rozsądek jest ważniejszy niż geniusz”. Z pewnością dobrze wie, co mówi, skoro przetrwała trzydzieści trzy lata małżeństwa z kimś, kto nie ma ani krzty tego pierwszego. Ojciec zostawiał talerze z resztkami jedzenia na podłodze, a potem się zastanawiał, jakim cudem w jego gabinecie załęgły się mrówki. Nie był w stanie zapamiętać, do jakich szkół uczęszczamy my, jego dzieci, ani daty naszych urodzin. Kiedy jeden, jedyny raz matka wysłała go po zakupy (mama często opowiada tę historię), nie przyniósł ani jednej rzeczy z wręczonej mu listy sprawunków, tylko pudełko ciasteczek, torbę jabłek i butelkę wina. Powiedział, że zgubił karteczkę i „musiał improwizować”. Ponieważ mama potrzebowała pieluszek i odżywki dla mojej starszej siostry Hopkins, wówczas niemowlęcia, udała się do sklepu z maleństwem przypiętym

pasami w samochodzie. Nie mogła przecież powierzyć opieki nad dzieckiem człowiekowi, któremu nie przyszło do głowy zadzwonić do domu i spytać, co było na liście zakupów.

Mama też jest nie w ciemną bitą; ukończyła Harvard, jest magistrem, a uzyskałaby również doktorat, gdyby profesor poznany na wydziałowej herbatce nie porwał jej na romantyczny weekend do Nowego Jorku, by wkrótce potem zaproponować jej małżeństwo. Przyjęła oświadczenia, oszołomiona jego sławą, zachwycona siwizną nadającą mu dystyngowany wygląd, uprzejmym, staroświeckim sposobem wysławiania się, zwyczajem przepuszczania jej w drzwiach, i - jakżeby inaczej - jego olśniewającym intelektem. Wątpię, by myślała wtedy o zdrowym rozsądku (a już z pewnością się do niego nie odwoływała) albo o tym, że dzieląca małżonków dwudziestoletnia różnica wieku może z czasem dać o sobie znać. Lecz kiedy na świat zaczęły przychodzić dzieci, poziom rozsądku bez wątpienia szybko u niej wzrósł.

Mama jest na swój sposób genialna i jednocześnie, także w swój jedyny i niepowtarzalny sposób, szalona. Oczywiście nie tak jak tata. Co to, to nie - mama ma trzeźwy ogląd rzeczywistości. Pesymizm i cynizm tkwią w niej tak głęboko, że często sięga po literaturę piękną, by na chwilę odpocząć od prawdziwego świata, który wydaje jej się zbyt mroczny. W dzieciństwie wciąż czekałam, aż matka uniesie głowę znad książki. Słowa „Pozwól, że skończę ten rozdział” były jak refren na ścieżce dźwiękowej wczesnych lat mojego życia.

Mimo wszystko mama nie może całkowicie ignorować realnych problemów i kilka razy do roku pogrąża się

w głębokiej depresji, która chwyta ją podczas wykonywania jakiejś czynności i na pewien czas rzuca na niepościelone łóżko w zaciemnionym pokoju stanowiącym jej kryjówkę. Matka nie zwraca wtedy uwagi na nikogo, kto odważy się tam wejść. W dzieciństwie bardzo mnie to przerażało, ale w końcu zrozumiałam, że chociaż dni upływały wtedy w atmosferze smutku - byliśmy zdani na łaskę nieobecnego duchem ojca albo, wcześniej, jeszcze jako maluchy, narażeni na duszące uściski naszej babki (ze strony matki), która nie pamiętała naszych imion, ale chwyciła nas w ramiona z bezlitosnym entuzjazmem - nie działała się nam żadna krzywda. W końcu matka wstawała z łoża i wynurzała się z pokoju. Przez kilka dni była słaba i jakby zagubiona, lecz wkrótce wracała do siebie, prezentując znajomą porywczosć, dyktatorskie zapędy, nieprzewidywalność i - nazywając rzecz po imieniu - niechlujstwo.

Postęp w dziedzinie farmakologii sprawił, że okresy depresji występują teraz u mamy rzadziej i są krótsze niż wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

W każdym razie nie jest przypadkiem, że moja siostra została światowej sławy neurologiem, a brat cierpi na agorafobię - geniusz i szaleństwo są zapisane w kodzie genetycznym naszej rodziny tak jak proste brązowe włosy i orzechowe oczy moich rodziców i rodzeństwa.

A ja? Mam kręcone rude włosy i niebieskie oczy. Spytajcie Gregora Mendla, jak to możliwe.

Miałam czternaście lat, kiedy mama postanowiła, że ma już dość, i oznajmiła ojcu, że ich małżeństwo dobiegło końca. Zdała potem dokładną relację z przebiegu

tej rozmowy mnie i mojemu rodzeństwu, nie zważając na to, że wiadomość wcale nas nie cieszy.

Z niepokojem czekałam, kiedy ojciec się spakuje i wyprowadzi z domu.

Chyba nikt poza mną nie zauważył, że tego nie zrobił.

Owszem, tato starał się nie rzucać w oczy; przemierzał korytarze późną nocą, a rano robił sobie jedną lub dwie filiżanki herbaty, ale poza tym, jeśli akurat nie był w pracy, znikał na górnym piętrze domu. Stworzył tam istny bunkier z książek, komputera i stosów papierzysk, sypiał na starej kanapie, dzięki której w razie potrzeby strych zmieniał się w pokój gościnny; jednym słowem, znalazł sobie sposób na chowanie się przed żoną.

O dziwo, po swym hucznym obwieszczeniu mama przez wiele lat wykonywała codzienne czynności jak gdyby nigdy nic, nie zwracając większej uwagi na ojca. Prowadzili każdy swoje osobne życie pod jednym dachem. Mama zajmowała się Miltonem, moim młodszym bratem, który wciąż mieszka w rodzinnym domu i jest tani w utrzymaniu - wystarczy od czasu do czasu podać mu kanapkę i przypomnieć, by w końcu wziął prysznic - oraz pracami niezbędnymi do ratowania dużego starego domostwa przed popadnięciem w ruinę.

Być może matka potrzebowała tych lat, by przyzwycząić się do myśli o życiu na własną rękę. Oznajmiając ojcu, że ich małżeństwo dobiegło kresu, powiedziała w ten sposób sobie, że nie jest on mężczyzną, z którym pragnie się zestarzeć. Sądzę, że w tamtym czasie to jej wystarczyło i podjęcie konkretnych działań odłożyła na potem.

I teraz właśnie jest to potem.

Rozdział I

- Twój ojciec znalazł mieszkanie - mówi przez telefon Eloise Sedlak, moja mama. - A właściwie to Jacob i ja mu znaleźliśmy.

Jacob Corwin jest asystentem mojego ojca. Kiedy siedem lat temu otrzymał tę posadę, był początkującym studentem o chłopcym wdzięku, a teraz jest zdecydowanie mniej chłopcym wiecznym studentem i ma niewielkie nadzieje na zrobienie doktoratu, jako że bez reszty pochłania go organizowanie życia mojemu ojcu. Podobno tato jest jego mentorem, doradza mu w sprawach pracy doktorskiej, jednak cała ta opieka naukowa może doprowadzić do tego, że Jacob trafi na listę bezrobotnych, jeśli ojciec nie uzyska pieniędzy na wynagrodzenie asystenta lub umrze.

- To jest przy Harvard Square - mówi mama. - Będzie mógł chodzić pieszo do pracy. Wiem, co sobie teraz myślisz, Keats, ale uwierz mi, że to ułatwi mu życie.

- Niczego sobie nie myślałam - mówię. - Po prostu słucham.

- Wprowadził się z kilkoma walizkami i w domu są jeszcze tony jego rzeczy do przejrzenia i spakowania.

Jacob i ja mamy zamiar poświęcić na to najbliższy weekend i potrzebuję twojej pomocy.

- Przecież w domu jest Milton. Może wam pomóc.

- Milton zawsze jest w domu i nigdy nie pomaga. Dobrze o tym wiesz. Najlepiej będzie, jak spotkamy się w sobotę o dziesiątej.

- Mamy już plany na sobotę. Tom i ja zamierzamy...

- Jeśli chcesz, możesz przyprowadzić Toma. Przyda się do noszenia pudeł.

-Ale...

- W takim razie do zobaczenia w sobotę o dziesiątej. - Rozłącza się.

- Stawianie oporu nie ma sensu - mówię głośno.

- Co? - Tom unosi wzrok ze swego miejsca na kanapie, przerywając oglądanie telewizji. - Kto to był?

- Moja matka.

- Czego chciała?

- Ojciec właśnie się wyprowadził i mama potrzebuje kogoś do pomocy przy pakowaniu jego rzeczy.

- Chwileczkę - mówi i wyłącza telewizor. - Twój ojciec się wyprowadził? Wyprowadził się z domu?

- Najwyraźniej. - Podchodzę i siadam obok Toma na segmentowej kanapie w jasnokremowym kolorze, którą kupiliśmy razem trzy lata temu. Podkulam nogi, a on otacza mnie ramieniem i przyciąga do swego torsu.

- Myślałem, że zawsze będą razem - mówi, opierając się policzkiem o moją głowę. - To znaczy... wiedziałem, że mieszkają w różnych częściach domu, ale wciąż wydawali mi się taką samą parą jak moi rodzice czy inne małżeństwa. - Kilka miesięcy temu rodzice

Toma obchodzili trzydziestą piątą rocznicę ślubu. Jego matka włożyła wtedy perły, a ojciec nazwał ją swoim wybawieniem, natchnieniem i swoją wielką miłością. Moja matka i ojciec nie są parą w tym znaczeniu, w jakim tworzą ją rodzice Toma, ale wiem, co ma na myśli: aż do dzisiejszego dnia wydawało się, że nigdy się nie rozstaną.

Przygląda mi się uważnie.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Przechyliłam głowę, żeby popatrzeć na Toma, który jest stateczny, opanowany, godny zaufania i czuły, czyli ma cechy, których tak dotkliwie brak mojemu ojcu. Rozglądam się po salonie naszego mieszkania w Waltham. Jest czysty, schludny, jasny i lśni świeżością, w przeciwieństwie do mojego rodzinnego domu.

Kiedy Tom i ja wybraliśmy to lokum - to on je kupił, ale oboje wiedzieliśmy, że ja też będę stałą lokatorką - mieszkanie z dwiema sypialniami w świeżo oddanym do użytku wieżowcu wydawało się niemal zbyt sterylne. Ale teraz dom, w którym się wychowałam, odległy

O dwadzieścia minut, w Newton, przez porównanie jawi mi się jako stary i obskurny. Ilekroć stamtąd wychodzimy

1 samochodem pokonujemy krótki dystans dzielący oba miejsca, a potem zatrzymujemy się na naszym placu w ogromnym garażu pod czternastopiętrowym budynkiem, czuję, że jestem u siebie.

- Mogą sobie robić, co tylko chcą - mówię. - Nic mnie to nie obchodzi. Jestem już dorosła. Mam własne życie.

- Myślałem, że w sobotę pojedziemy na plażę.

- Możemy pojechać w niedzielę.

- Obiecałem Lou, że obejrzę z nim mecz. - Wszyscy przyjaciele Toma mają imiona Lou, Bill albo Jim. Bardzo mi się to u niego podoba. Ma na nazwisko Wells. Tom Wells. Czy to też nie jest wspaniałe? Oczywiście, kiedy ktoś się nazywa Keats Sedlak, podziwia każde inne imię i nazwisko, których nie trzeba wyjaśniać ani literować. - Ale jeśli chcesz, odwołam.

- Nie. - Czuję, jak jego klatka piersiowa porusza się nieznacznie przy westchnieniu ulgi. - Możemy pojechać na plażę w sobotę, po wizycie w domu.

- Jeśli chodzi o mnie, nic się nie stanie, jeśli nam to nie wyjdzie - mówi.

Wiem, że nie ma to dla niego znaczenia. Ten wyjazd był moim pomysłem. Lubię spacerować po plaży, zanim nadejdzie lato i wciąż jest tam pusto. Tom woli nic nie robić w weekendy. Mówi, że wtedy ma jedyną okazję do odpoczynku. Rozumiem go, wiem, że codziennie pracuje do późna jako wiceprezes firmy pralniczej ojca, świadczącej usługi dla szpitali, ale czasami mam ochotę gdzieś się ruszyć. Nie podróżujemy często. Prawdę mówiąc, nigdzie nie wyjeżdżamy, nie licząc corocznych wakacji na Florydzie z jego rodziną. Zawsze zatrzymujemy się wtedy w tym samym kurorcie, wykonujemy te same czynności (panowie grają w golfa, panie wylegują się przy basenie) i jemy posiłki w tej samej hotelowej restauracji. Za pierwszym razem było cudownie. Za drugim bardzo przyjemnie. Za trzecim miło. Teraz po prostu jest normalnie. To zdumiewające, jak coś niezwykłego potrafi spowszednieć przez swą powtarzalność.

- Tak czy owak, nie ma sprawy - podsumowuję.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a potem Tom sięga po pilota, patrząc na mnie pytającym wzrokiem. Uśmiecham się na znak, że wszystko jest w jak najlepszym porządku - nie poczytam mu tego za nie-uprzejmość - i włącza telewizor. Nieznacznie zmieniamy pozycję: on unosi głowę, ja przesuwam nogi, ale pozostajemy wtuleni w siebie. Zawsze siadam z jego lewej strony.

Za miesiąc będziemy obchodzić naszą dziesiątą rocznicę.

Zamierzamy świętować ją razem z moimi dwudziestymi piątymi urodzinami. Skończyłam piętnaście lat na tydzień przed tym, jak zaczęliśmy się spotykać.

Kiedy wchodzi się do naszego rodzinnego domu, w nozdrza uderza zapach stęchlizny. Nigdy nie udało mi się ustalić jego źródła. Towarzyszący mi Tom wydaje się go nie wyczuwać. Woła wesoło:

- Czy ktoś jest w domu?

To głupie pytanie, jako że Milton zawsze jest w domu. Ale Milton zazwyczaj siedzi w swoim pokoju na piętrze w końcu korytarza, więc nigdy nie słyszy, kiedy ktoś puka czy wchodzi. Muszę go przywoływać przez komórkę, jeśli zapomnę klucza i chcę, żeby brat zszedł i otworzył mi drzwi.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Tom niepewnie rzuca:

- Halo?

Tym razem słyszymy słaby męski głos dochodzący gdzieś z góry, a chwilę później ze schodów zbiega Jacob. Ma na sobie koszulę z przypinanym kołnierzykiem

i lekko pogniecione spodnie khaki, a na prawym policzku ciemną smugę.

Jego twarz się zmieniła, odkąd przed siedmioma laty zobaczyłam go po raz pierwszy. Wtedy była okrągła, okolona burzą jasnobrązowych kręconych włosów. Z upływem lat włosy mu się przerzedziły, twarz wydłużyła i zwęziła, a powieki, jakby znużone, wydają się coraz niżej opadać na jasnoszare oczy. Nie przypomina już cherubinka.

Sądzę, że praca mojego ojca nie należy do łatwych. Tato jest drobiazgowy, humorzasty i wymagający. Jest moim ojcem, więc jestem na niego skazana, ale Jacob nie ma tej wymówki.

Domyślam się, że przywykł do surowego traktowania. Kiedyś mi powiedział, że jako nastolatek miał niełatwe życie. Wrażliwy intelektualista w dużej szkole w Teksasie był skazany na towarzyski ostracyzm i gnębiony przez kolegów. Doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na lepszą przyszłość będzie jak najszybsza ucieczka do dobrego, znajdującego się gdzieś daleko college'u, więc uczył się dniami i nocami. Okazał się zdolnym chłopcem: dostał się na Harvard i poczuł, że świat stanął przed nim otworem. Pasował tu doskonale. Nareszcie przestało mieć znaczenie to, że jest niski, wątły i woli czytać książki, niż grać w piłkę.

Mimo wszystko musiał zarabiać na utrzymanie, więc zaczął się starać o pracę w charakterze asystenta profesora ustrojoznawstwa. A nie był to profesor nauk politycznych, jakich wielu, tylko słynny politolog cieszący się najwyższym uznaniem zarówno na Harvardzie, jak i na świecie, czyli Lawrence Sedlak, mój ojciec.

Jacob zapisał się na najbardziej popularne zajęcia przeglądowe u swojego ojca, tak oblegane, że prowadzone były nie w salce, lecz w auli amfiteatralnej. Musiano zarządzić losowanie, by ograniczyć liczbę uczęszczających studentów do dwustu pięćdziesięciu. Lektury obowiązkowe obejmowały niejedną, nie dwie, ale aż trzy książki napisane przez samego profesora, w tym dzieło polecane na uniwersytetach całego świata i powszechnie uważane przez politologicznych nawiedzalców za Wielką Księgę, wydaną pod mało wdzięcznym, lecz z pewnością doskonale określającym treść tytułem: „Historia i przegląd nowoczesnych systemów politycznych”.

Przed otrzymaniem posady Jacob został poddany surowemu egzaminowi: ojciec zadał mu chyba z milion pytań, a potem kazał szukać rozmaitych materiałów, najpierw pod jego czujnym okiem w Internecie, a potem w przepastnych zasobach jednej z uniwersyteckich bibliotek. „Chcę się przekonać, że umie pan czytać książki i nie będzie wszystkiego szukał w Google'u”, powiedział profesor. Jacob miał limit czasowy na znalezienie potrzebnych informacji i pędem wracał do gabinetu ojca, znajdującego się w budynku odległym o prawie kilometr od biblioteki przy Harvard Yard.

Gdy dwugodzinna rozmowa dobiegła końca, Jacob był mokry od potu i drżały mu ręce. Tato zadzwonił do niego tydzień później, by oznajmić, że daje mu pracę. Jacob mówi, że czuł wtedy większą dumę niż w dniu, w którym dostał się na Harvard. Od tamtej pory pracuje dla ojca jako asystent naukowy i sekretarz, a z czasem stał się także asystentem osobistym.

Spędza mnóstwo czasu z moją rodziną, przychodzi w najważniejsze święta, pomaga nam przy różnych pracach, zawozi tatę na kampus i odwozi do domu, a potem najczęściej zostaje na obiedzie. Oczywiście wszystko tak wyglądało przed przeprowadzką, która, jak podejrzewam, ograniczy kontakty Jacoba... a także ojca z naszą rodziną.

Teraz Jacob wesoło wita się z nami, ściska mnie krótko, a potem podaje rękę Tomowi, który mówi:

- Słyszałem, że staruszek w końcu się wyprowadził.
- On tak. Ale jego rzeczy nie. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile tu szpargałów do przejrzania. Na szczęście to jest fascynujące, przynajmniej dla mnie. Staram się go przekonać, żeby mi pozwolił przekazać część swoich starych notatek i listów bibliotece Houghton.

- Oszalałeś? - pytam. Zdumiony cofa się o krok.
- Co w tym dziwnego? Ciągłe powstają rozprawy na temat jego książek. Te materiały są cenne.
- To jakaś perwersja. Dlaczego obcy ludzie mają czytać nasze prywatne listy?

- Mówimy o twoim ojcu - odpowiada Jacob. - A poza tym nie ma tam nic aż tak bardzo osobistego.

Jest w tym dużo racji - nieliczne listy, które dostawałam od ojca, wyglądały mniej więcej tak: „Mam nadzieję, że się dobrze bawisz. Skończyłem właśnie wykład na uniwersytecie Brandéis. Trwał dwadzieścia minut, a po nim zadawano mi liczne pytania. Myślę, że całkiem nieźle to wypadło”. Nie było w nich niczego, co mogłoby kogokolwiek przyprawić o rumieniec.

Mimo wszystko nie podobał mi się pomysł Jacoba. Jeśli w ten sposób wystawi naszą rodzinę na światło dzienne, kto wie, jak okropne rzeczy mogą wyjść na jaw?

- Wydaje mi się, że decyzja należy do twojego ojca, Keats - mówi Tom.

Wzruszam ramionami, z niewiadomego powodu zła na nich obu.

- Gdzie jest mama?

- Na górze. Kazała mi was przyprowadzić. Wstępujemy za Jacobem na piętro, a potem idziemy

korytarzem ku węższym schodom, prowadzącym na strych.

- Hej, Milton! - wołam w stronę zamkniętych drzwi sypialni brata. Odpowiada mi cisza. - Przywitam się z nim później - mówię w przestrzeń, gdy wspinamy się po zniszczonych, nierównych drewnianych stopniach na drugie piętro, na którym znajduje się gabinet mojego ojca, jego łóżko... historia dziesięciu lat jego życia.

Pomieszczenie na strychu ciągnie się przez całą długość domu, ale nie ma tu wrażenia przestrzeni. Spadzisty dach i wąskie, małe okna sprawiają, że pokój wydaje się ciasny i mroczny. Tom, który ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i jest co najmniej o piętnaście centymetrów wyższy niż pozostałe osoby w pomieszczeniu, instynktownie schyla głowę, mimo że wcale nie musi tego robić. Może stać wyprostowany na środku strychu, a nawet śmiało przejść około półtora metra w dowolną stronę, ale dach wydaje mu się tak blisko, że garbi się na wszelki wypadek.

Matka klęczy nad pudłem stojącym obok kanapy, na nasz widok unosi się zdumiewająco płynnym ruchem.

- Dobrze, że jesteście.

- A mieliśmy jakiś wybór? - pytam wesoło, podchodząc, by pocałować ją w policzek.

Nie zwraca na to uwagi i macha ręką do mojego chłopaka.

- Cześć, Tom - mówi, a ruchy ręki i fakt, że zaraz potem zwraca się do mnie, świadczą o tym, że absolutnie nie życzy sobie wylewniejszego powitania.

Moja matka nie lubi Toma. Bardzo mnie to martwi, ponieważ inne matki na jej miejscu by go uwielbiały. Jest odpowiedzialny, bardzo mi oddany i ma dobre serce. Do tego jest przystojny: wysoki, muskularny, szeroki w barach, z burzą gęstych ciemnych włosów na głowie. W tej chwili ma na sobie dżinsy i starą niebieską podkoszulkę, doskonale komponującą się z kolorem oczu. Przyjechał tu, gotów do pomocy. Mama powinna być mu za to wdzięczna i otoczyć go ramionami, tymczasem tylko zdawkowo mu pomachała.

Rozumiem, że się niepokoїła, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Byłam dużo młodsza od Toma i ogólnie bardzo młoda. Ale od tego czasu minęło już dziesięć lat, z czego ostatnie cztery spędziliśmy, szczęśliwie mieszkając razem, mam teraz dwadzieścia pięć lat i nie jestem już dzieckiem. Różnica wieku - niewiele ponad pięć lat

- przestała mieć znaczenie. Gdybym teraz go spotkała, nikt nie przywiązywałby do niej wagi. Tak więc mamie odpadł argument, że Tom chce mnie wykorzystać.

Być może po prostu nie lubienie Toma weszło jej w nawyk.

- Nie masz pojęcia, ile z tym jest roboty - mówi do mnie.

- Mam wrażenie, że nigdy się nie uporamy. - Zawsze

czuje się przytłoczona czekającymi ją porządkami albo organizowaniem pracy. Jej modus operandi to stwierdzić, co powinno być wykonane, poczuć swą bezradność i porzucić plany. Właśnie z tego powodu każda tutejsza szafa i szuflada pęka w szwach od rzeczy, które powinny być przejrzone i wyrzucone całe wieki temu.

- Czy tato przyjdzie, by nam pomóc? - Omiatam wzrokiem stosy książek, papierów i pudeł na meblach i podłodze.

Mama prycha pogardliwie.

- Wiele lat musiało upłynąć, zanim udało mi się go skłonić do opuszczenia tego domu. Nie zamierzam go tu ponownie zapraszać. Poprosiłam, żeby sprzątnął pokój przed przeprowadzką... cóż, najwyraźniej tak wyobraża sobie porządek. - Unosi podbródek w stronę drobnego mężczyzny, stojącego obok niej. - Ale przynajmniej przysłał mi Jacoba, który w pół godziny pomógł mi bardziej niż twój ojciec przez cały czas trwania małżeństwa, które, nawiasem mówiąc, rozwiążemy oficjalnie. Widziałam się z adwokatem i wniosłam o rozwód.

Wybałuszam oczy.

- Mówisz mi o tym w ten sposób?

- Wiadomość na piśmie jest w twojej poczcie - ucina sucho. Przez chwilę nerwowo stuka palcami w brzeg ogromnego dębowego biurka taty. Mimo że zaplanowała na dziś gruntowne porządki, ma na sobie wielobarwną, obszerną cygańską spódnicę i starą różową bluzkę z dużymi okrągłymi guzikami z przodu.

Mama zawsze nosi spódnicę, wiedząc, że prezentuje się w nich korzystnie. Gdy popatrzeć na nią z boku, jest

płaska jak deska - nie wystają ani piersi, ani pupa. Jednak z przodu dobrze widać jej zaskakująco szerokie biodra. Spódnice ukrywają ten niepożądany symbol kobiecości. W spodniach mama wygląda niezgrabnie, lecz w spódnicy prezentuje się niemal bosko w zestawieniu z długimi ciemnymi włosami - przeplecionymi teraz pasmami siwizny, nie tak jednak licznymi, jak można by się było spodziewać u pięćdziesięcioletniej kobiety - i dużymi orzechowymi oczami, długim, prostym nosem oraz szerokimi ustami. Mam taki nos jak mama, ale na tym wszelkie rodzinne podobieństwa się kończą. Nie mam też nic z taty. „Nie jesteś nawet podobna do listonosza - dokuczała mi w dzieciństwie Hopkins, starsza siostra. - Biedny rudy dziwoląg”.

- Chodźmy na dół - mówi nagle mama. - Chciałabym się napić herbaty.

Następuje więc przerwa w przygotowaniach do wielkiej czystki w domu. Ale wcale mi się nie pali do rozpoczęcia porządków, więc chętnie uciekam od roboty.

Zstępujemy ze schodów, a za nami idzie Tom. Mama się zatrzymuje.

- Pomóż Jacobowi w pakowaniu, dobrze, Tom?

- Oczywiście - odpowiada mój chłopak i wraca na górę.

Patrzę, jak mama miota się w kuchni; wyjmuję herbatę w torebkach z puszki stojącej na blacie, chwyta dwa kubki, napełnia je wodą i wstawia do mikrofalówki, którą zamyka tak gwałtownie, że leżące na niej w stercie papiery spadają i rozsypują się po podłodze.

- Ta kuchnia! - krzyczy mama, schyla się i ze złością zbiera kartki. - Co za bałagan! Nie mogę tego znieść.

Rozglądam się dookoła. Matka ma rację: istotnie panuje tu okropny nieład. Wszystkie powierzchnie pokrywa kurz i stara korespondencja, a samo pomieszczenie nie było odnawiane od wieków; nie zmienił się też wystrój wnętrza. Siedzę na zielono-niebiesko-różowej ławie kuchennej pokrytej winylem, który zapewne był modny i stylowy w roku 1980, ale w tej chwili prezentuje się po prostu szkaradnie. Spłowiałe szafki w kolorze złamanej bieli, zajmujące całą ścianę, są przeładowane ozdobami. Matka nigdy by takich nie kupiła, musiały więc tu trafić, zanim jeszcze rodzice nabyli dom. Podłogę wyściela brązowe linoleum, blaty kuchenne - beżowy laminat.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że sam dom, zbudowany w stylu tudoriańskim w latach dwudziestych minionego wieku, ma ogromną wartość, głównie ze względu na to, że Newton jest cenioną podmiejską dzielnicą, znacznie atrakcyjniejszą niż Waltham, gdzie mieszkam z Tomem. Są tu szkoły na odpowiednim poziomie, a słynna autostrada Massachusetts Turnpike znajduje się na tyle blisko, że jest to wygodne, i na tyle daleko, by nie było jej widać ani słychać.

Kiedy się zastanawiam, jaka może być aktualna cena domu na rynku nieruchomości, matka mówi:

- Wystawiam dom na sprzedaż.
- Ha - odpowiadam, zadowolona, że choć raz przejrzałam jej zamiary. - Czułam, że się na to zanoszą.
- Naprawdę? - Sprawia wrażenie zaskoczonych, lecz po chwili wzrusza ramionami. - To dobrze, cieszę się z tego. Obawiałam się, że będzie ci przykro.

- Ten dom i tak jest za duży dla ciebie i Miliona po tym, jak tato się wyprowadził.

Dzwoni mikrofalówka. Mama robi gwałtowny obrót, otwiera drzwiczki i chwyta kubki, po czym zamaszystym krokiem podchodzi do ławy, rozlewając herbatę po drodze. Zagotowała wodę z włożonymi do niej wcześniej torebkami, więc napar ma ciemnobrązową barwę.

- Mleko? Cukier? - pyta.

- Co masz. - Zazwyczaj nie piję herbaty. Jestem uzależniona od kawy. Łudzę się, że dzięki niej będę skupiona, uważna, bystra, błyskotliwa, w świetnej formie... tymczasem najczęściej jestem rozdrażniona i chce mi się sikać.

Mama w okamgnieniu dopada lodówki. Spódnica wiruje, migocze, i po chwili mleko z bulgotem wpływa do kubków. Kolejny wir i z łyżeczki sypie się cukier. Jeszcze jeden wir, kopnięcie, pchnięcie, uderzenie i mama siedzi naprzeciw mnie, a jej łyżeczka rytmicznie uderza w brzegi kubka. Otwarty karton mleka i rozsypany cukier zostały z tyłu, na blacie.

Nikt nie porusza się szybciej niż moja mama. Z dzieciństwa zapamiętałam głównie bezskuteczne próby dotrzymania jej kroku, rozpaczliwe przebieranie krótkimi nóżkami, gdy pędziłam za nią w supermarkecie albo domu towarowym, rozpaczliwie pragnąc chwycić się rąbka jej spódnicy, niezmiennie falującej gdzieś poza moim zasięgiem.

Można by pomyśleć, że istota obdarzona tak wielką energią powinna być zdolna do skutecznego działania, lecz w ruchliwości mamy kryje się jakieś szaleństwo. Jej aktywność jest pozbawiona celu i kierunku. Nawet

w centrum handlowym musimy kilka razy wracać po towary, o których zapomniała przy pierwszym podejściu.

Wypijam łyk. Herbata jest letnia i ma dziwnie cierpki smak, ledwie nadaje się do picia. Mama nauczyła się, jak przyrządzać ją szybko, ale nie umie jeszcze sprawić, by była smaczna. Odstawiam kubek.

- Wiesz już, dokąd się przeprowadzisz?

- Na pewno do jakiegoś mieszkania. Zapewne do centrum, ale może do Cambridge albo Somerville.

- A co z Miltonem? - Mój brat od dwóch lat, czyli od czasu ukończenia szkoły średniej, nie wychodzi z domu. - Wie, że się wyprowadzacie?

Mama ostrożnie stawia kubek. Z jego boku widnieje ciemnoczerwona tarcza z napisem „Veritas”. Prawda.

- Nie przyszło mi jeszcze do głowy żadne sensowne rozwiązanie.

Ilekcroć myślę o bracie, widzę go skulonego przed komputerem, przy którym spędza prawie cały czas. Jest blady, ma duże oczy o wyrazistym spojrzeniu, gdy patrzy na ekran. Te same oczy stają się wodniste i nieobecne, kiedy napotykają czyjś wzrok, co zdarza się niezmiernie rzadko. Już jako mały chłopiec Milton był domatorem i nigdy nie chodził się pobawić do innych dzieci, często twierdził, że jest chory, by uniknąć konieczności pójścia do szkoły, co uchodziło mu na sucho, jako że miał piątki od góry do dołu niezależnie od mnóstwa opuszczonych lekcji. Kiedy skończył szesnaście lat, poważnym tonem zwierzył się mamie, że myślał o rzuceniu szkoły, skoro może zrobić to teraz zgodnie z prawem, ale doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli dokończy edukację.

Po tej *rozmowie* *mama* powinna była się zaniepokoić, że Milton może nie dostać się do college'u, ale wszystkie ewentualne obawy się rozwiały, gdy został przyjęty przez sześć uczelni Ivy League. Zastanawialiśmy się, którą wybierze.

Okazało się, że nie wybrał żadnej.

- Postanowiłem, że chcę po prostu żyć w domu -oznajmił w kwietniu w roku ukończenia szkoły średniej. - Mogę studiować w college'u online.

- Dlaczego w takim razie w ogóle zadałeś sobie trud złożenia podań na prawdziwe uczelnie? - spytałam go ze złością, poirytowana tym, że dostał się na Harvard i Princeton, które mnie odrzuciły, a nie zamierza podjąć nauki.

- Gdybym tego nie zrobił, szkolni psychologowie wkurzyliby się na mnie i musiałbym się gęsto tłumaczyć. *Łatwiej* było złożyć podania. O, powiedz mamie, że nie wygłoszę mowy pożegnalnej, dobrze? Prosiłi mnie o to w szkole, ale odmówiłem, a gdybym jej powiedział, zrobiłaby mi wykład odpowiednim tonem.

Cały mój braciszek.

Od tamtej pory przesiaduje w swojej sypialni i tylko czasami wyprawia się na dół, do kuchni. Nie wynosi nawet śmieci. Ilekroć pytam mamę, dlaczego nie próbuje go zmobilizować do wyjścia z domu, wyrzuca ręce w górę i mówi, że zrobiła wszystko *co w jej mocy*. Zapewne raz na jakiś czas mówi mu, że naprawdę powinien wyjść z domu, a on ją ignoruje.

Zasugerowałam jej kiedyś, że to może być poważny problem, a Milton powinien zasięgnąć porady specjalisty. Potrząsnęła wtedy głową i powiedziała: „Milton

jest jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znam. Da sobie radę".

Tak jakby w życiu liczyła się jedynie inteligencja.

Wysłałam nawet e-mail do Hopkins, usiłując zdobyć jej poparcie, ale odpisała mi: „Jeśli mama zadecyduje, że należy go wyrzucić, zrobi to, a on sobie poradzi. Jest trochę autystyczny, ale całkowicie zdolny do normalnego życia. Dopóki mama jest zadowolona z tego, że ma go w domu, pozwól im się sobą cieszyć". Pozbawiona pomocy neurologa z naszej rodziny - poddałam się.

Przez kilka miesięcy po ukończeniu szkoły średniej Milton przynajmniej chodził z nami do kina i restauracji, ale wkrótce mu się odechciało. Wycofywał się stopniowo. Z początku udawał, że jest bardzo zajęty czymś ważnym i nie może wyjść z domu, ale teraz, jeśli gdzieś się go zaprasza, kręci tylko przecząco głową, dając do zrozumienia, że temu, kto spodziewa się po nim innej odpowiedzi, najwyraźniej brak piątej klepki.

Z każdą wizytą Milton wydaje mi się coraz większym odludkiem. To mnie przeraża i chciałabym w tej sprawie zrobić coś więcej niż napominanie mamy i narzekanie do Toma, ale nie wiem, co począć. Nie bywam tu zbyt często; w najlepszym wypadku zaledwie kilka razy w miesiącu, i nie jestem matką Milтона, o czym on często mi przypomina.

- Powinnaś zabrać go do swojego nowego mieszkania - mówię, choć trudno mi wyobrazić sobie Milтона poza rodzinnym domem. Może zmiana dobrze mu zrobi.

- Wiem. Zrobię to. - Mama trochę zbyt gwałtownie odstawia kubek i kilka kropel płynu rozpryskuje się na *stole*. - *Ale to* będzie trochę krępujące. Jak będę mogła zaprosić mężczyznę do mieszkania, w którym stale przebywa mój dorosły syn?

- Ejże, stop! Ktoś tu się za bardzo rozpędził. - Ścieram serwetką krople herbaty.

Przygląda mi się przez chwilę.

- Keats, mam pięćdziesiąt pięć lat. Przez ostatnie trzydzieści trzy żyłam w małżeństwie z mężczyzną starszym ode mnie o lat dwadzieścia. Mam nadzieję, że nie jesteś pruderyjna w tych sprawach. Uważam, że mam prawo od czasu do czasu umówić się na randkę. Chyba nic w tym dziwnego, nie sądzisz?

Kręcę głową i mnę serwetkę w dłoni.

- Przepraszam. Po prostu muszę się trochę oswoić z tą myślą. Ale to jest jeszcze jeden argument za tym, żeby Milton zaczął żyć na własny rachunek.

- Niewykluczone. Chociaż do tej pory nie było z nim problemu.

Dopiero po chwili dociera do mnie znaczenie słów matki.

- Chwileczkę - mówię. - Do tej pory? Czy to znaczy, że...

Mama się czerwieni. Obraca w palcach przywieszkę na sznurku torebki z herbatą i się czerwieni.

- Miałam już kilka spotkań.

- Kilka spotkań? - powtarzam. - Kilka randek z tym samym facetem czy z różnymi facetami?

- I jedno, i drugie.

- Spotykasz się z kimś, kto jest dla ciebie ważny?
- W tej chwili interesują mnie trzej mężczyźni. Jeden z nich to stary przyjaciel, drugiego poznałam w Internecie, a trzeci uczęszcza ze mną na warsztaty kreatywnego pisania.
- Jakże znów warsztaty kreatywnego pisania? Chodzisz na jakieś zajęcia? - Pochyliłam się i rzucam oskarżycielskim tonem: - Nic mi o tym nie mówiłaś.
- Mama przechyliła głowę i mi się przygląda.
- Czy to cię martwi? - pyta z zaciekawieniem, najwyraźniej nie zamierzając się usprawiedliwiać.
- Nie. Właściwie to się cieszę, że chodzisz na randki. Tylko że to jest takie dziwne.
- Powiedz mi, co czujesz - zachęca mama.

Rozdział 2

Po naszej rozmowie mama kieruje się do schodów, a ja zamierzam iść za nią, lecz w ostatniej chwili zmieniam zdanie i pukam do drzwi pokoju Milтона.

- Mama?

- Nie, to ja, Keats.

- Zaczekaj. Nie jestem ubrany. - Słyszę jakiś szelest, a potem brat otwiera drzwi. - Cześć - mówi i jak zwykle na powitanie klepie mnie po ramieniu. - Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Obejmuję go. Sztywnieje w moim uścisku; w obronnym geście zaplata ręce na zapadniętej klatce piersiowej i krągłym brzuchu. Nie lubi zbytnej poufałości. Nie chcę wprawiać go w zakłopotanie, ale kiedy był małym dzieckiem, całymi godzinami nosiłam go po domu, więc uważam, że mam prawo do przytulenia go od czasu do czasu.

Jest w luźnych spodniach od dresu i spłowiałej koszulce. Od czasu naszego ostatniego spotkania przybrał na wadze. Tyje w oczach. Był chudym nastolatkiem, a teraz wyhodował sobie pokaźny brzuszek.

Puszczam brata i cofam się o krok. Rozglądam się dookoła. W pokoju panuje nieopisany bałagan. Wszędzie

walają się ubrania, brudne talerze i całe mnóstwo książek. Za łączącą oba pomieszczenia łazienką widać mój dawny pokój, który Milton zaanektował dla siebie, gdy wyjechałam do college'u. Nikt mnie nie pytał o zgodę. Uważam, że to było bardzo nieładne, ale do czasu, gdy przyjechałam do domu na Święto Dziękczynienia, Milton zdążył już wnieść do mojego pokoju szafę na książki oraz stację iPoda. A także mnóstwo pustych opakowań po batonach energetyzujących. Na szczęście wolałam już wtedy zostawać na noc u Toma.

Desktop Mac z ogromnym monitorem zajmuje całe biurko, a w zasięgu ręki są tu także dwa inne komputery: PC na komodzie i otwarty laptop MacBook na łóżku.

- Nad czym pracujesz? - pytam.

- A, robię to i owo. Ostatnio zaangażowałem się w rozwój gier.

- Aha. - Nic mi to nie mówi. - A jak tam szkoła?

- Podobno mój brat podjął naukę w college'u online i zamierza zdobyć dyplom; jestem pewna, że nikt tego nie sprawdził. Z drugiej strony nigdy nie przyłapałam Milтона na kłamstwie.

- W porządku. To wszystko jest banalnie łatwe.

- Może powinieneś studiować na prawdziwym uniwersytecie. To byłoby dla ciebie większym wyzwaniem.

- W odpowiedzi wzrusza ramionami. Szybko pytam: -Chcesz coś zjeść? Zrobić ci kanapkę?

- Nie, dziękuję - mówi uprzejmie. - Ej, wiesz co? Książka taty znajduje się na liście lektur na moich zajęciach z politologii.

- Zamierzasz ją przeczytać?

- Już to zrobiłem. A ty jej nie czytałaś?
- Próbowałam, ale to nie moja bajka.
- Naprawdę? Jest bardzo dobra.
- Tak mówią wszyscy.
- Facet, który nas ocenia, zapytał mnie, czy Lawrence Sedlak to mój ojciec.
- I co mu odpowiedziałeś?
- Nic. - Milton jest tak blady, że jego skóra wydaje się przezroczysta, z wyjątkiem ciemnych podkówek pod oczami. - To był tylko e-mail, więc po prostu nie podjąłem tematu. Przyszłaś z Tomem?
- Jest na górze z Jacobem. Może masz ochotę się przewietrzyć? Nie chciałbyś pójść ze mną na spacer? Jest taki piękny dzień.
- Może później - ucina. - Jacob przyszedł, żeby pomóc pakować rzeczy taty, tak?
- Kiwam głową.
- Owija kosmyk włosów wokół palca. Ma za długie włosy - opadają mu na oczy i szyję jak u dziewczyny.
- Dziwnie się czuję, nie słysząc jego kroków na piętrze - mówi. - Zwłaszcza w środku nocy. Teraz, kiedy jestem tu tylko z mamą, jest tak cicho...
- Dobrze sypiasz?
- Nie wiem - odpowiada. - To zależy, co rozumiesz pod słowem „dobrze”.
- Osiem godzin snu w nocy.
- Zazwyczaj nie śpię tak długo bez przerwy. - Komputer wydaje dźwięk sygnalizujący nadejście nowej wiadomości. - Muszę sprawdzić. - Brat rzuca się w stronę biurka.

Sądząc po tym, w jaki sposób zajmuje miejsce i jak intensywnie wpatruje się w monitor, nie zamierza szybko powrócić do rozmowy, więc wychodzę z sypialni i przez łazienkę (Boże, jak tu jest brudno! - zaskorupiała pasta do zębów w umywalce, fugi pokryte grubą warstwą kurzu, plamy rdzy w kabino-wannie) udaję się do swego dawnego pokoju.

Zostało tu niewiele moich rzeczy. Wiem, że stare ciuchy wciąż wiszą w szafie i leżą w szufladach, bo zostawiłam tutaj wszystko, czego nie zabrałam do college'u i do mieszkania Toma. Lecz ogromna większość widomych znaków tego, że pokój należał kiedyś do mnie, zniknęła. Zawłaszczony terytorium, Milton zdjął wszystkie plakaty i przesunął moje softballowe trofea na tył komody, za płaski monitor komputera. Na łóżku, przed laty nakrytym różowo-fioletową narzutą (szczyt piękności dla mnie jako dziesięcioletniej dziewczynki), leży teraz tylko goły materac, śpiwór i poduszka, jakby ktoś od czasu do czasu tu biwakował.

Jednak stary cyfrowy budzik wciąż stoi na białym stoliku nocnym obok łóżka. Unoszę go i obracam w dłoniach. W wieku jedenastu lat kupiłam go za kieszonkowe, ponieważ miałam już dość spóźniania się do szkoły. Nienawidziłam spojrzeń, którymi mnie obrzucano, gdy wchodziłam do klasy po rozpoczęciu lekcji. Mama prowadziła tryb życia sowy i często zdarzało jej się zaspać. W rezultacie przychodziłam do szkoły ostatnia, mając ochotę zapaść się pod ziemię.

Pewnego dnia zrozumiałam, że popełniłam błąd, pozwalając mamie organizować nasze poranne życie.

Kupiłam więc ten zegar za własne pieniądze. Od tamtej pory budzik dzwonił w moim pokoju, ja budziłam mamę i Miliona (Hopkins wyprowadziła się do college'u w wieku szesnastu lat, więc już nie brała w tym udziału), a potem, posługując się krzykiem, połajankami, błaganiami i pochlebstwami, wyprawiałam naszą trójkę z domu o czasie. Odstawiłam budzik na nocny stolik i wyszłam z pokoju.

Na korytarzu przystanąłam na chwilę pod drzwiami pokoju Hopkins. Oczywiście jej tam nie ma, ale też nigdy nie przebywała tam często, nawet gdy mieszkała w domu. Zawsze gdzieś pędziła. Uczęszczała na mnóstwo zajęć pozaszkolnych i pracowała w licznych laboratoriach. Gdy była w domu, miałam przykazane (przez nią i przez mamę) zostawić ją w spokoju i siedzieć cicho, by mogła się skupić na pracy domowej i naukowej, którą od niepamiętnych czasów się zajmowała.

To zdumiewające, jak ktoś, kogo rzadko widuję i z kim nigdy często się nie kontaktowałam, może mieć tak ogromny wpływ na moje życie. Jakimi słowami mam opisać siostrę, która przez sam fakt istnienia sprawia, że czuję się przegrana? A jednocześnie dumna z tego, że jestem z nią spokrewniona?

Jak już mówiłam, Hopkins i ja nie poświęcałyśmy sobie wiele czasu, nawet kiedy mieszkałyśmy razem. Byłam od niej o pięć lat młodsza i o wiele mniej sprawna intelektualnie. Ta różnica między nami wciąż się utrzymuje. Wprawdzie mijałyśmy się w korytarzu, a mama mówiła o niej przez cały czas; nie mieliśmy jednak wspólnych posiłków - mieszkańcy naszego domu jadali o różnych

porach, najczęściej w samotności, pochyleni nad jakąś książką - a bez tego podstawowego kontaktu nasza znajomość ograniczała się do jej pukania w drzwi łazienki i napominania mnie, żebym się pośpieszyła, albo żądania, bym ściszyła muzykę, bo musi się skoncentrować.

Pamiętam, jak obserwowałam ją pracującą przy kuchennym stole nad jakimś projektem; długie włosy opadały jej na twarz, gdy zastanawiała się nad jakimś fragmentem czytanej książki albo formułowała myśli podczas pisania wypracowania lub referatu. Ledwie zdawała sobie sprawę z mojej obecności. Nie zauważała prawie nikogo. Matka była jej potrzebna do odwożenia jej w różne miejsca i dostarczania pożywienia od czasu do czasu, ale poza tym Hopkins była zbyt zatopiona w swoich myślach i zbyt zajęta rozwijaniem licznych zainteresowań, by tracić czas na rozmowy z członkami rodziny. Podziwiałam ją, szanowałam, do znudzenia słuchałam opowieści mamy na temat jej osiągnięć i przyzwyczaiałam się do tego, że nauczyciele powtarzają mi, iż nigdy jeszcze nie mieli takiej uczennicy jak ona. Ale jej samej nie znałam.

W wieku ośmiu lat Hopkins przeskoczyła o jedną klasę wyżej. Sytuacja powtórzyła się, gdy siostra skończyła dwanaście lat. Bez wysiłku zdobywała najwyższe oceny i zapewne ominęłaby jeszcze kilka klas, gdyby nie to, że była o wiele młodsza i niższa od innych dzieci w grupie i kierownictwo szkoły uznało, że mogłoby to zakłócić jej rozwój społeczny. Rodzice upierali się, że córka nie otrzymuje wyzwania godnych jej intelektu i ambicji. Szkoła zgodziła się na kompromis, pozwalając

Hopkins uczęszczać na lekcje z wyższymi klasami w ciągu pierwszych dwóch lat szkoły średniej; przez ostatnie dwa miała chodzić na zajęcia do Boston College.

W wieku zaledwie szesnastu lat przeprowadziła się do college'u. Oczywiście do Harvardu. Wprawdzie tato nie był przesadnie troskliwym rodzicem, ale to jeszcze nie oznaczało, że nie posiadał odpowiednich wpływów.

Ponieważ moja siostra miała zaliczony pierwszy rok college'u i uczęszczała na pięć kursów w semestrze, ukończyła naukę w ciągu trzech lat, uzyskując licencjat w dziewiętnastym roku życia. Nie zrobiła sobie z tego tytułu żadnej przerwy. Cztery lata później, w wieku dwudziestu trzech lat, miała już w kieszeni doktorat i specjalizację z neurologii.

Uwaga: to wszystko nie jest normalne. Ludzie nie studiują w ten sposób. Powyższe dotyczy tylko mojej siostry.

Przez kilka następnych lat mieszkała w Bostonie. Szpitalne i uniwersyteckie znajomości zaowocowały mnóstwem propozycji zatrudnienia. Gdy zmagiała się z różnymi wyzwaniami, otrzymała ofertę objęcia kliniki urazów mózgu w Nowym Jorku, gdzie leczy pacjentów i dokonuje przełomowych badań naukowych. Często jest proszona o wystąpienia na konferencjach na całym świecie i lata do różnych egzotycznych krajów, by konsultować przypadki, z którymi nie radzą sobie lokalni lekarze, dwukrotnie od niej starsi. W swoim mieszkaniu nie ma telefonu stacjonarnego; korzysta jedynie z komórki, ponieważ danego dnia może przebywać równie dobrze w Nowym Jorku, jak w Tokio czy Sztokholmie.

Nie dzwonię do niej; kiedy chcemy nawiązać kontakt, co zdarza się niezmiernie rzadko, porozumiewamy się wyłącznie za pomocą e-maili.

Mniej więcej rok temu poszłam na jej wykład na temat najnowszych osiągnięć neuroplastyki i regeneracji komórek nerwowych po urazach, z którego zrozumiałam około czterdziestu procent. Po wykładzie siostra przedstawiła mnie kobiecie czekającej, by z nią porozmawiać. Później ta dama chwyciła mnie za ramię i powiedziała: „Dziękuję Bogu za pani siostrę. Lekarze mówili, że mój ojciec będzie żył w stanie śpiączki, ale ona nie ustawała w wysiłkach i dokonała cudu. Czy zdaje pani sobie sprawę, jak wspaniałym pani siostra jest człowiekiem?”.

Hopkins i ja miałyśmy pójść potem na kolację do restauracji, ale pojawił się jakiś mężczyzna z dużego ośrodka badawczego, rozpaczliwie pragnący coś z nią omówić, musiała więc odwołać nasze spotkanie. To był jej jedyny wieczór w Bostonie.

Tom był zadowolony, bo wróciłam do domu wcześniej i mogliśmy pójść do kina na wieczorny seans.

Mówiąc krótko, nie jestem Hopkins.

Chodziłam do szkoły jak wszyscy, otrzymywałam promocję z jednej klasy do drugiej w ustalonym porządku, nauczyciele czasami poklepywali mnie lekko po głowie za systematyczną naukę i prace na dobrym poziomie, ukończyłam szkołę średnią w wieku osiemnastu lat, podobnie jak reszta moich przyjaciół, i zaczęłam uczęszczać do Smith College. Studiowałam literaturę angielską i przez cztery lata pisałam prace na temat Jane Austen.

W każdy weekend jeździłam autobusem do Bostonu, by spotkać się z Tomem. Mieszkałam z nim w okresie letnich wakacji, zatrudniona sezonowo w firmie jego ojca.

Nie chciało mi się dalej studiować, a ponieważ moje dotychczasowe wykształcenie nie dawało mi szans na zrobienie kariery, postanowiłam szukać w miarę przyzwoitej posady niedaleko mieszkania, dzielonego już wówczas z Tomem. Tom proponował mi pracę w firmie ojca, ale choć marzyłam o stabilizacji, nie chciałam podejmować aż tak wielkich zobowiązań, przynajmniej jeszcze nie wtedy.

Znalazłam sobie całkiem przytulne miejsce na wydziale anglistyki w Waltham Community College, gdzie dbam o to, by dla każdego zawsze była świeża kawa i kanapki i by wszystko przebiegało sprawnie.

Podobno robię wyjątkowo dobrą kawę, a kiedy wprowadziłam do pamięci komputera wszystkie nasze tradycyjne materiały, szefowa powiedziała, że uratowałam jej życie. Oczywiście uciekła się do przenośni, a gdy ludzie używają tego sformułowania w stosunku do Hopkins, mówią dosłownie.

Kiedy wracam do gabinetu ojca, zastaję jedynie Toma pakującego książki do pudeł po papierze do drukarek. Unosi wzrok i mówi:

- O, jesteś! Myślałem, że mnie porzuciłaś, tak jak wszyscy.

Podchodzę i mierzwię mu włosy. Są tak gęste, że mogą nawet stać prosto.

Opiera głowę o moje biodro.

- Dziwnie się tutaj czuję. Tak bardzo się bałem twojego ojca, że przez te wszystkie lata byłem tu chyba tylko raz. Chciał, żebym mu pomógł zainstalować bezprzewodowy Internet, pamiętasz? Byłem przerażony.

- A teraz?

- Jestem tak samo przerażony - przyznaje z uśmiechem.

- Moje biedactwo. - Pochyliam się, by lekko pocałować go w usta.

Pogłębia pocałunek. Cofam się, świadoma, gdzie się znajdujemy. Tom wodzi twarzą po moim brzuchu.

- Mmm - mruczy i się przytula. Przesuwam palce wzdłuż jego szyi, a po chwili pochylam się nad nim, nie wiedząc, czy mam ochotę na rozwój sytuacji. Chwyta mnie w pasie. - Możemy to zrobić - mówi szeptem. - Tutaj, w biurze twojego ojca. To będzie jakby nasz pierwszy raz.

- Przecież tu nie ma drzwi. Ktoś w każdej chwili może wejść.

- To bardzo podniecające.

- Nie wiedziałam, że jesteś ekshibicjonistą.

- Ja też nie. - Wsuwa palce pod pas moich dżinsów. Już dawno nie był taki chętny i nie mówił tak błagalnym tonem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam tak wielkie podniecenie.

Dziesięć lat bycia razem robi swoje i nasz obecny seks nazwałabym raczej przyjemnym niż ekscytującym. To same znane łóżko, te same znane ciała, ta sama pora dnia. Coraz częściej przyłapuję się na tym, że snuję fantazje na tematy erotyczne: wyobrażam sobie, że ktoś, kto włamał się

do naszego mieszkania, chwyta mnie z tyłu, nie widzę go, nie wiem, kim jest, ale czuję, że szaleje z pożądania, i to mnie podnieca do szaleństwa, mimo że jestem przerażona.

Martwiłabym się tym, gdybym nie przeczytała w jakimś czasopiśmie, że jest całkowicie normalne i nawet korzystne dla zdrowia, jeśli ludzie pozostający w długoletnich związkach pozwalają sobie na takie fantazje.

W każdym razie myśl o tym, że mogłabym kochać się w dawnym pokoju mojego ojca, jest perwersyjnie kusząca i mam ochotę ulec namowom Toma, a jednocześnie się boję, że zostaniemy przyłapani, więc pochylając się nad nim, zastanawiam się, czego tak naprawdę chcę, gdy tymczasem ciało daje mi jednoznaczne sygnały.

Zwycięstwo przechyla się na stronę ciała i wtedy słyszymy kroki na schodach. Odskakujemy od siebie tak gwałtownie, że Jacob, który wchodzi do gabinetu, nie ma wątpliwości, iż nam w coś przeszkodził.

- Przepraszam - mówi i oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Cofa się o stopień.

- Nie przejmuj się - mówi przyjaźnie Tom. Najwyraźniej doszedł do siebie wcześniej niż ja. Wskazuje stojące przed nim pudło z książkami. - Już kończę to pakować. Mam znieść je potem na dół?

- Byłoby wspaniale. - Jacob wchodzi do pokoju, lecz starannie unika naszego wzroku. - Chwileczkę. - Zagląda do pudła. - Czy to są książki do oddania, czy te, które zamierzamy zatrzymać?

- Pakowałem te, które leżały na podłodze.

- Ale one były posegregowane. Leżały w dwóch stertach.

- Och, przepraszam - mówi Tom. - Nie wiedziałem, że nie można ich łączyć. Myślałem, że mamy je spakować i jak najszybciej stąd wynieść.

Jest mi przykro. Nie stało się nic wielkiego - Jacob może ponownie posegregować książki, a Tom miał jak najlepsze intencje, mimo to czuję się źle, tak jakbym to ja ponosiła winę za całe zamieszanie.

- Mogę jakoś pomóc? - pytam Jacoba, który klęczy koło pudła i wyciąga z niego książki.

- Weź inne pudło. Będę ci podawał książki, których chcemy się pozbyć, a ty będziesz je pakowała. Ja zajmę się tymi, które chcemy zatrzymać.

Rozglądam się dookoła, widzę istną wieżę z pudeł - mama z pewnością przywiozła je z supermarketu, bo wszystkie mają na sobie nazwy artykułów spożywczych, takie jak VLASIC PICKLES albo VELVEETA - i idę po jedno z nich. Mijam po drodze Toma, który trzyma ręce w kieszeniach, opiera się o pochyłą ścianę i patrzy, jak Jacob naprawia jego błąd.

- Co mam robić? - pyta.

Patrzę na zegarek. Minęła jedenasta.

- Może przyniósłbyś nam coś na lunch?

- Co mam przynieść?

Kucam, sięgam po książki, które podaje mi Jacob, i pakuję je do pudła, starając się układać tak, by zmieściło się ich jak najwięcej.

-Co chcesz.

- A ty, Jacob, co byś zjadł?

- Nie martw się o mnie. Przegryzę coś później.

- Nie wiadomo, co mama ma w kuchni ani jak długo

nas tu zamierza trzymać - mówię. - Najlepiej będzie, jak Tom przyniesie lunch dla wszystkich.

- Dobrze, dziękuję. - Jacob powraca do segregowania książek.

- Wciąż mi nie powiedziałaś, co mam przynieść -zwraca się do mnie Tom.

- Coś, co zje Milton. Może bajgle?

- Ile mam kupić? - pyta Tom.

- Ile ci będzie pasować.

- Tuzin?

- Doskonale.

- A ile sera topionego? Duże opakowanie?

- Tak.

Po chwili pyta jeszcze niepewnie:

- Mam już iść?

Kiwam głową i Tom zaczyna zstępować ze schodów.

Przez chwilę w gabinecie ojca panuje milczenie. Jest gorąco. Wprawdzie w jedno z okien jest wbudowany klimatyzator, ale nikt go dzisiaj nie włączył, a jak y na kwiecień zrobiło się bardzo ciepło. Wymarzony dzień na wycieczkę na plażę, myślę.

- Spójrz na to - mówi Jacob i wychyla się w moją stronę, by pokazać mi książkę. Książka ma zwyczajną okładkę, ale tytuł w nieznanym mi języku.

- Co to?

- Tłumaczenie „Systemów politycznych”. - Wskazuje nazwisko taty na dole, jedyne angielskie słowa.

- To rosyjski?

- Raczej bułgarski. - Jacob ostrożnie wsuwa książkę pomiędzy dwie inne w stojącym przed nim pudle.

- To chyba jedyny egzemplarz tej książki w zbiorach twojego ojca, nigdy jej wcześniej nie widziałem.

- Zastanawiam się, jak to dzieło się sprzedaje w Bułgarii.

- Myślę, że tak jak każda inna amerykańska książka na temat filozofii ustroju dostępna w Bułgarii. - Przejrzał już stertę na podłodze; wstaje i podchodzi do półek, odsuwa niektóre książki na bok, wyciąga inne. - Co u ciebie? - pyta w pewnej chwili.

- Po staremu, po staremu.

Śmieje się i zezuje, starając się odczytać coś na grzbiecie książki.

- Czasami mówisz jak sędziwa dama, Keats. A przecież w przyszłym tygodniu kończysz dwadzieścia pięć lat.

- Niesamowite. Skąd to wiesz?

- Twój ojciec zlecił mi śledzenie takich rzeczy. Dwudziesty drugi kwietnia?

- Jesteś lepszy niż internetowe alarmy urodzinowe.

- To największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem.

Przez chwilę pracujemy w milczeniu.

- Jak tato znosi przeprowadzkę? - pytam nagle.

- Jakoś daje sobie radę. - Jacob robi pauzę. - Ale tylko „jakoś”. Nie miał ochoty na zmiany. Ma siedemdziesiąt pięć lat i to musi być dla niego trudne. Czasami nie wie, gdzie się znajduje.

Ostatnie zdanie jest jak cios wymierzony w splot słoneczny. Oczami wyobraźni widzę ojca wałęsającego się po Harvard Square, samotnego i zagubionego.

- Myślisz, że to może być alzheimer?

- Prawdę mówiąc, tego się obawiałem, ale zapytałem Hopkins, a ona powiedziała mi, że to mieszanka wieku i depresji.

- Hopkins z pewnością wie, co mówi.

- Dobrze jest mieć neurologa w rodzinie.

- Mama powinna pozwolić ojcu tu zostać - podsumowuję. - To przecież jest także i jego dom. Kiedy myślę o tym, jak bardzo jest samotny, robi mi się ciężko na duszy. Założę się, że właśnie samotność jest przyczyną jego depresji i złego samopoczucia.

-Nie wygląda na to, że twoja mama wyrzuciła go z domu, by mieć więcej miejsca dla siebie. Chce sprzedać dom i się przeprowadzić. To zrozumiałe... jest za duży. - Przesuwa dłonią po grzbietach książek, czasem przebiera po nich palcami. - Myślę, że w gruncie rzeczy troszczy się o twojego ojca. Chce, żeby bezpiecznie przetrwał gdzieś okres pokazywania domu potencjalnym nabywcom, pakowania i tak dalej. Biedak źle by to znosił.

Zastanawiam się nad słowami Jacoba. Może on ma rację. Czyżby mama pozwoliła tacie tu mieszkać, dopóki mógł czuć się bezpiecznie, a potem zadbała o przyzwoite nowe mieszkanie dla niego, wiedząc, że za chwilę w starym domu rozpęta się piekło?

- Matka umawia się na randki - mówię i czekam na reakcję Jacoba. Chcę się przekonać, jakie wrażenie wywiera ta wiadomość na postronnych.

- Wiem - odpowiada spokojnie.

- Wiesz? Skąd? Ja dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj.

- Twoja mama wspomniała mi o tym parę dni temu.
- Powiedziała tobie wcześniej niż mnie? Może zwierzyła ci się też z czegoś, o czym jeszcze nie wiem? - Żartuję, ale wcale nie jest mi do śmiechu.

Jacob zwraca się w moją stronę.

- Nie, Keats. Nie rób z tego problemu. Pomagałem wynosić stąd rzeczy twojego ojca i słyszałem, jak jakiś facet zostawia wiadomość w poczcie głosowej twojej mamy. Powiedziała mi wtedy, że się z kimś spotyka.

- Powinieneś był natychmiast do mnie zadzwonić. - Nie mam zwyczaju wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Aha. To nie twoja sprawa, kiedy chodzi o powiadomienie mnie o tym, co się dzieje. Ale czujesz się upoważniony do zadawania pytań w chwili, kiedy słyszysz obcy męski głos w nagrywarce.

-Keats...

- Czy jest coś, o czym mi dotąd nie powiedziałeś?

- Och, na miłość boską! - Wraca do przeglądania książek.

Zrywam się na nogi.

- To znaczy, że coś jest. Powiedz mi to.

- Nie, to tylko znaczy, że zaczynasz mi działać na nerwy. Podchodzę do pudła i sięgam po bułgarski przekład dzieła ojca. Trzymam książkę za grzbiet, pozwalając, by kartki zwisały luźno.

- Powiedz, bo tę książkę czeka marny los.

- Daj spokój! - Usiłuje przechwycić książkę, ale w porę się uchylam. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Odłóż to, Keats.

- Mówię poważnie. - Podchodzę do okna i wysuwam książkę przez wąski otwór. - Powiedz mi albo to wspaniałe dzieło zaraz stąd wyleci.

- To wcale nie jest zabawne. Przechylałam głowę.

- Jesteś przerażony dlatego, że mogę uszkodzić książkę. To akurat jest bardzo zabawne.

- Oddaj mi ją.

- Oj, jest bardzo śliska! - krzyczę. - Och, omal jej nie upuściłam!

Podbiega do mnie, lecz zaraz nieruchomieje, zbyt opanowany, by szarpać się ze mną z powodu książki. Myślę, że dziewczyny go onieśmielają. Nigdy nie przyprowadził żadnej do naszego domu, a zasiadał z nami do wielu świątecznych posiłków. Widocznie nie nawiązał żadnej poważnej znajomości od czasu podjęcia pracy dla ojca albo też doskonale strzeże swoich tajemnic. Zważywszy na to, że jest bardzo dyspozycyjny, stawiam raczej na pierwszą z tych możliwości.

Wyciągam rękę, ale ją odtrącam.

- Niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły - ostrzegam.

- Dobrze. - Unosi ręce w górę na znak, że się poddaje. - Odłóż tę książkę, a obiecuję, że powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, wariatko.

- Powiedz mi, a ja obiecuję, że ją odłożę - drocę się.

- Błagam, przynajmniej trzymaj ją tutaj.

Cofam rękę; książka jest już po bezpiecznej stronie okna.

- Więc... co powiedzieli ci moi rodzice? Jakie rodzinne sekrety starają się przede mną ukryć?

Kręci głową *znużony*.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Gwałtownie unoszę książkę, lecz on przewiduje mój ruch i wyrywa mi ją z ręki. Nie zamierzam z nim walczyć. Gra skończona.

- Czy ojciec też z kimś się spotyka?

Uważnie ogląda książkę, w końcu podnosi wzrok.

- Naprawdę jestem ci potrzebny do odpowiedzi na to pytanie?

- Czy mama poważnie traktuje któregoś z tych facetów?

- Nic mi nie mówiła na ten temat.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- Bo znasz mnie od dawna i nigdy cię nie okłamałem.

- Nie przyłapałam cię na kłamstwie. Ale można też kłamać, zatajając fakty.

- Tym też się nie splamiłem. - Wkłada książkę z powrotem do pudła. - Co cię tak niepokoi, Keats? Ze twoja matka pewnego dnia wyjdzie za mąż za kogoś innego i twój ojciec będzie skazany na samotność? On już jest samotny.

- Może teraz, po tym jak się wyprowadził, mama za nim zateśni.

Przygląda mi się swoimi szarymi oczami.

- Wiem, że to twoi rodzice, Keats - mówi łagodnym tonem - ale ich małżeństwo skończyło się dawno temu.

Rozdział 3

Wszyscy siadamy w kuchni i jemy bajgle. Mama zamierza zanieść jeden na górę dla Milтона, ale mówię jej, że tylko pogarsza sprawę, tak mu usługując, i że powinna go zmusić do zejścia na posiłek. Woła go więc, a on pojawia się w kuchni, lecz spędza w niej tylko tyle czasu, ile potrzeba na posmarowanie bajgla serem topionym i zjedzenie go w trzech kęsach.

Kiedy kończymy napełniać zmywarkę, mama pyta Toma, czy mógłby zmienić filtr w zlewozmywaku. Tom doskonale sobie radzi z takimi sprawami i chętnie się zgadza. Gdy okazuje się, że w domu nie ma nowego filtra, natychmiast proponuje, że pobiegnie do sklepu z towarami żelaznymi.

Po jego wyjściu udaję się z mamą na piętro, by przejrzeć nasze stare książki z obrazkami i zdecydować, czy chcę którąś sobie wybrać. Pozostałe mama zamierza oddać miejscowemu szpitalowi. Półka na książki stoi w skąpo oświetlonym korytarzu, więc wyciągamy je po kolei i kierujemy w stronę lampy, by przeczytać tytuły.

Odkładam na bok te, które, jak mi się wydaje, będę chciała kiedyś przeczytać swoim dzieciom (kilka pozycji

Dr. Seussa i wszystkie dzieła Maurice'a Sendaka - zawsze czułam się z nim w pewien sposób spowinowacona ze względu na podobieństwo nazwisk - i kilka innych, które z różnych powodów podobały mi się w dzieciństwie; są tak zaczytane, że kartki oddzieliły się od grzbietu i mogą wypaść). W pewnej chwili mama mówi:

- Jesteś dzisiaj dziwnie cicha.

- Naprawdę?

- Wiem, że obciążyłam cię wieloma problemami: przeprowadzką, sprzedażą domu, rozwodem... Twoja pomoc jest dla mnie wprost nieoceniona i zapominam, że wciąż jesteś bardzo młoda.

- Nie jestem już taka młoda, mam. W przyszłym tygodniu skończę dwadzieścia pięć lat.

- To bardzo niewiele.

- Nie tak znów mało. A poza tym jestem zadowolona, że sprzedajesz dom. Od dawna już w nim nie mieszkam. Mam własny.

Mama pochmurnieje i ze smutkiem kręci głową.
-Wolałabym...

- Co byś wolała?

- Wiesz, jakie jest moje zdanie na ten temat. Jesteś w takim wieku, że powinnaś mieszkać sama albo z koleżanką. A nawet ze mną, ale nie z Tomem. Wiem, że już się powtarzam, Keats, ale powinnaś najpierw dorosnąć, a dopiero potem podjąć ważne życiowe decyzje.

- Masz rację - mówię. Mama sprawia wrażenie zaskoczonej. Po chwili dodaję chłodnym tonem: - Co do tego, że się powtarzasz. Ale poza tym się mylisz. Cieszę się,

że mieszkam z Tomem. Uważam, że poszczyło mi się w życiu. Powinnaś być z tego zadowolona.

- Byłabym znacznie spokojniejsza, gdybyś na chwilę uwolniła się od Toma i zobaczyła, jak wygląda życie na własną rękę. Chciałabym, żebyś poczuła się niezależna. Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy zaczęłaś się z nim spotykać, i nigdy...

Przerywam jej.

- Wiem, ile miałam lat, kiedy poznałam Toma. Zapewniam cię, że nie zamierzam odrzucić kogoś, kto idealnie do mnie pasuje, tylko dlatego, że spotkałam go tak wcześnie.

- Kiedy poznałam twojego ojca, myślałam, że jestem już dorosła, ale tak mi się tylko wydawało. Byłam zbyt młoda na życiową stabilizację i to samo dotyczy teraz ciebie.

Poirytowana wzruszam ramionami.

- Tom nie jest podobny do taty.

- To prawda.

Nie podoba mi się jej ton.

- Boże! Ależ z ciebie intelektualna snobka! Matka zamyśla się na chwilę.

- Keats, to zastanawiające, że wyciągnęłaś jedynie taki wniosek z tego, co próbowałam ci przekazać. Obawiam się, że to mówi więcej o twoim, a nie o moim stosunku do Toma.

Chwytam się za włosy i szarpię do bólu.

- Czy mogłabyś zostawić w spokoju mnie i Toma? Jestem jedyną normalną osobą w tej rodzinie. Tylko ja żyję w długoletnim związku opartym na miłości. Jesteś w trakcie rozwodu i spotykasz się ze wszystkimi facetami

powyżej pięćdziesiątki w Bostonie i okolicy, a w dodatku opowiadasz o tym wszystkim prócz mnie.

- A komu niby o tym powiedziałam? - Wydaje się zdezorientowana.

- Jacob dowiedział się przede mną. Jacob! Nie jest nawet członkiem naszej rodziny, a właśnie jemu zwierzyłaś się pierwszemu. - Wiem, że mówię jak dziecko, ale nie mogę nic na to poradzić.

Twarz mamy się wypogadza.

-A, prawda, zapomniałam. Jacob i ja spędzamy w swoim towarzystwie tak dużo czasu, że jakoś samo to wyszło. A poza tym wiedziałam, że w gruncie rzeczy nic a nic go to nie będzie obchodziło. Myślę, że odkładałam rozmowę z tobą dlatego, że bałam się, jak to przyjmiesz.

- Ale przecież ja nie mam nic przeciwko temu! Nie mam nic przeciwko rozwodowi, przeciwko sprzedaży domu, a nawet przeciwko twoim randkom! Naprawdę! - Dociera do mnie, że kilkakrotnie powtórzyłam słowo „przeciwko”, wypowiadając je coraz bardziej histerycznym tonem.

Mama przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

- Twój głos mówi co innego.

- Powiedziałam prawdę! - Niemal krzyczę, co wcale nie uwiarygodnia moich słów. Biorę głęboki oddech i mówię już spokojniej: - Jestem ciekawa, czy powiedziałaś innym swoim dzieciom o tym, że umawiasz się na randki.

- Myślę, że Miliona i Hopkins niewiele to obchodzi. Ale powiadomiłam Hopkins, że się rozwodzę i sprzedaję dom. Mam nadzieję, że tu przyjedzie w ciągu najbliższych miesięcy, przejrzy swoje rzeczy i pomoże nam się pakować.

- Byłoby dobrze - mówię, chociaż mam poważne wątpliwości, czy Hopkins znajdzie na to czas. Zawsze jest bardzo zajęta. Wprawdzie przyjeżdża do domu na Boże Narodzenie, ale poświęca nam najwyżej jeden dzień. Nasze drogi rzadko się wtedy spotykają, jako że spędzam większość tego dnia z rodziną Toma. Tomowi bardzo zależy, by wtedy być ze swoją rodziną, a z kolei mnie zależy na byciu z Tomem. Poza tym jego rodzice są o wiele bardziej religijni od moich, więc święta Bożego Narodzenia mają dla nich większe znaczenie.

Kilka lat temu spytałam Toma, czy dla odmiany moglibyśmy spędzić Boże Narodzenie z moją rodziną. Zgodził się, a ja byłam przerażona i zakłopotana tym, że Sedłakowie kompletnie nie dbają o to, by nadać świętom uroczystą oprawę. Spędzając przez tyle lat święta u Wellsów, zapomniałam, jak żałośnie wygląda świętowanie czegokolwiek w naszej rodzinie. Gdy przyjechaliśmy o dziewiątej rano, wszyscy jeszcze spali. Kiedy się obudzili, każdy w swoim czasie, leniwie zeszli na dół, gdzie nastąpiła senna wymiana prezentów, pozbawiona choćby odrobiny radości. Potem zjedliśmy francuskie tosty, które mama przypaliła z jednej, a nie dosmażyła z drugiej strony. Około jedenastej, kiedy wszyscy wrócili do swoich komputerów, Tom powiedział, że możemy pójść na obiad do jego rodziców, i wyszliśmy.

Czy można nas za to winić? Oto jak przygotowuje się do Bożego Narodzenia matka Toma: Kilka tygodni wcześniej dekoruje cały dom w Brookline wiankami i szyszkami sosnowymi z aromatem cynamonowym,

świeczkami i czerwonymi kokardkami. W Wigilię kładzie opakowane w biało-srebrny papier prezenty pod ubraną na biało i srebrno choinkę. Najbliższa rodzina (do której od lat jestem zaliczana) gromadzi się w dniu Bożego Narodzenia o dziewiątej, by wymienić prezenty przy świeżej gorącej kawie i dużych kawałkach słodkiego ciasta migdałowego, które co roku piecze pani Wells. Członkowie dalszej rodziny schodzą się partiami. Jeśli dopisuje pogoda, wszyscy idziemy na spacer, w innym wypadku gramy w coś przy kominku, dopóki mama Toma nie przywoła nas na kieliszek ajerkoniaku i przyprawiony cynamonem i goździkami cydr. Wtedy wręczamy sobie kolejne prezenty. Potem zasiadamy do sutego obiadu, na który składają się szynka, szparagi i świeżo upieczone bułeczki, a zanim przejdziemy do deseru (pięć różnych rodzajów ciast), śpiewamy kolędy przy choince. Nie wspomniałam tu koszyków ze świeżymi mandarynkami ani orzechów, które rozłupujemy sami, ani czekoladowych trufli, ani...

Teraz już wiecie, o co chodzi. Jego rodzina wygrywa bez walki. I nie ma żadnego znaczenia, że w pewnym momencie, jak wszyscy mają już w sobie kilka kieliszków wina, matkę Toma ogarnia pijackie wzruszenie, jego siostra traci humor, ojciec jest tym zde gustowany, a kuzyni i kuzynki zaczynają obgadywać wszystkich dokoła... Te święta wciąż są dla mnie najbliższe filmowemu ideałowi. Nic więc dziwnego, że spędzamy je tutaj, a nie u moich rodziców.

To oznacza, że prawie nie widuję Hopkins w tym jedynym dniu w roku, kiedy do nas przyjeżdża. Ściskamy się

wtedy i mówimy sobie, że musimy się spotkać na dłużej. Ale to się nigdy nie zdarza.

Jacob mówi, że zamierza przewieźć partię książek do mieszkania mojego ojca. Proponuję, że z nim pojedę. Dawno już nie widziałam taty, a poza tym chciałabym obejrzeć jego nowe lokum.

Tom wróci! i klęcząc, zakłada filtr do wody. Mówię, że wychodzę z Jacobem. Wynurza się spod zlewozmywaka.

- Wychodzisz?

- Tylko na jakąś godzinkę. Jacob mnie tu odwiezie. Albo podwiezie mnie pod dom, jeśli wcześniej skończysz pracę. - Nie pytałam wprawdzie Jacoba, czy będzie mógł mnie odwieźć (ma zdecydowanie nie po drodze), ale z pewnością to zrobi, jeśli go poproszę. - Chyba że chcesz pojechać z nami do ojca.

Tom wstaje, sięga po ścierkę do naczyń i wyciera usmarowane dłonie.

- Nie gniewaj się, ale nie chciałbym spędzać weekendu w towarzystwie twojego ojca. Trudno się z nim rozmawia.

- W porządku. W takim razie do zobaczenia w domu.

- Wieczorem spotykamy się z Lou i Izzy - przypomina mi.

- Wiem, wrócę dużo wcześniej. Całuje mnie w policzek.

- Pozdrów ojca ode mnie.

Kiedy siedzimy w wysłużonej hondzie civic, Jacob mówi, że mogę nastawić radio na ulubioną stację. W grę wchodzi AM/FM - nie ma satelity.

Bawię się przyciskami i nastawiam odbiornik na Top 40. Jacob unosi brwi.

- Lubisz Lady Gagę?

- Tak. - Staram się, by moje oświadczenie zabrzmiało buntowniczo, lecz wypowiadam je obronnym tonem.

Zdumiony kręci głową.

- Czasami się zastanawiam, skąd ty się urwałeś, Keats.

- Większość ludzi w tym kraju lubi Lady Gagę - mówię.

- Wiem. Ale nie spodziewałem się, że może ją lubić ktoś z rodziny Sedlaków.

Wzruszam ramionami. Niech sobie myśli, że wciąż jestem rudowłosym dziwadłem. Co mnie to obchodzi?

Jacob jest okropnym kierowcą, na prostej drodze prowadzi zbyt wolno, za to zbyt gwałtownie zmienia pasy. W czasie naszej dwudziestominutowej jazdy inni kierowcy nieustannie na niego trąbią, ale wydaje się tego nie zauważać.

Ma własne miejsce parkingowe w garażu pod domem mojego ojca, oddalonym zaledwie o kwartał od Memoriał Drive. Jestem zachwycona: tato mieszka w samym centrum Harvard Square, niedaleko rzeki Charles.

- Jak on znalazł to miejsce? - pytam, gdy wjeżdżamy na czwarte piętro windą, z pudłami pełnymi książek stojącymi w rogu.

- Twoja mama je znalazła. Znała kogoś, kto znał kogoś, kto sprzedawał mieszkanie, i poprosiła mnie, żebym je obejrzał. - Drzwi windy otwierają się i zaczynamy wyładowywać pudła na wąski, dobrze oświetlony korytarz. - Z początku twój ojciec nie był szczęśliwy z tego powodu...

- To rozumiałe. Chciał z nią zostać w domu.

- Idąc za radą twojej mamy, nie mówiłem mu, dlaczego tu przyjechaliśmy, powiedziałem tylko, że ma tam spotkanie. - Skończyliśmy wynosić pudła; drzwi windy zamknęły się za nami. - To była zasadzka. Kiedy twój ojciec wszedł do środka, czekał już tam na niego pośrednik handlu nieruchomościami. Mieliśmy więc przewagę liczebną. Mimo to pewnie by się nie zgodził, gdyby nie zjawiała się twoja mama i nie dała mu jasno do zrozumienia, że jego dni w jej domu są policzone. - Wyjmuje klucz z kieszeni.

Patrzę, jak otwiera drzwi.

- Chyba cię nie doceniałam, Jacob. Zawsze myślałam, że ojciec tobą rządzi, a tymczasem jest odwrotnie.

Obraca się przez ramię i mi się przygląda.

- Naprawdę myślisz, że twój ojciec organizuje mi życie?

- Przecież zjawiasz się na każde jego zawołanie.

- To nie tak... Nie jestem chłopcem na posyłki. Lubię pracować z nim i dla niego. Rzuciłbym tę posadę, gdyby było inaczej.

Czując się upomniana, milknę. Jacob otwiera drzwi i woła:

- Dzień dobry!

Z korytarza rozlega się niepewne: -Eee... Jacob?

Wsuwamy pudła do mieszkania. Jacob zamyka drzwi, a ja rozglądam się dokoła. Nie dostrzegam żadnych charakterystycznych szczegółów. Zatrzymujemy się w średniej wielkości salonie z korytarzem z jednej strony, a małą kuchenką z drugiej. Są tu jednak duże okna, z których

roztacza się widok na wzniesione z czerwonej cegły zabudowania Harvardu i niewielki fragment rzeki.

- O! - Podchodzę bliżej. - Co za widok!

- Ładny, prawda? - mówi Jacob, stając obok mnie.

- Założę się, że tato nawet tego nie zauważył.

- Urządziliśmy mu gabinet w drugiej sypialni. - Prowadzi mnie na korytarz. Jedne drzwi są otwarte i widzę wąskie, skołtunione łóżko ze zsuniętą narzutą. Ogarnia mnie smutek. Mam wrażenie, że życie ojca zostało ograniczone do tego żałośnie klaustrofobicznego pokoiku i niepościelonego łóżka.

Jacob nie przeżywa żadnych wzruszeń - puka właśnie do innych drzwi i otwiera je z godną pozazdroszczenia pewnością siebie.

- Larry? - mówi. - Proszę popatrzeć, kogo przyprowadziłem.

Ojciec siedzi przy biurku, zgarbiony nad komputerem. Kuli ramiona i szyję identycznie jak Milton. Tato jest cięższy od Milтона i prawie zupełnie siwy, ale za pięćdziesiąt lat mój brat będzie jego kopią. Ojciec ma okulary na nosie. Odwraca głowę do nas i widzę jego zmęczone oczy pod sterczącymi brwiami.

Ostatnio spotkaliśmy się kilka miesięcy temu. Wydaje mi się, że od tego czasu bardzo się postarzał.

Kieruje obrotowe krzesło w moją stronę. Podchodzę i lekko całuję go w czoło.

- Keats - mówi tata, a ja się zastanawiam, które z nas poczuło większą ulgę, że użył właściwego imienia. Kiedy mieszkaliśmy razem, wymiennie stosował imiona trzech kobiet w domu. - Co za miła niespodzianka. - Gdy

wypowiada podobne słowa, zazwyczaj zabarwia je sarkazmem, myślę jednak, że taki ma sposób mówienia. Wydaje się (w miarę) zadowolony z naszego spotkania. - Czemu zawdzięczam tę radosną niespodziankę?

- Chciałam zobaczyć twoje nowe mieszkanie. Zatacza ręką łuk.

- Prawdziwy pałac, prawda?

- Podoba mi się widok z okien.

Wzrusza ramionami i już wiem, że miałam rację. Nic a nic go to nie obchodzi.

- Przywieźliśmy z domu pudła z książkami i papierami - mówi Jacob.

- Doskonale - odpowiada tato. - Będzie więcej kompletnie bezużytecznych pozostałości po moim zmarnowanym życiu.

Jacob nie komentuje tej wypowiedzi ojca. Zaczyna zbierać brudne talerze i opróżnione do połowy kubki herbaty, stojące niemal wszędzie. Tato mieszka tu dopiero od kilku tygodni, ale jego Sedlakowskie niechlujstwo dało już o sobie znać.

W pobliżu biurka stoi sofa. Leżą na niej książki i sterty papierzyk - nie brakuje także talerzy i kubków - więc przysiadam na oparciu.

- Jak sobie radzisz, tato?

- Jak widać.

- Masz jakieś zajęcia na uczelni w tym semestrze?

- Tylko seminarium magisterskie.

- Jak przebiega?

- Tak jak zawsze. Moi studenci rozpoczynają zajęcia podekscytowani i pełni zapału do pracy z legendarnym

profesorem Sedlakiem, po czym przezywają rozczarowanie. Nie jestem taki, jak sobie wyobrażali. Nie jestem Arystotelesem. Nie interesuje mnie ich rozwój duchowy. Uczę teorii ustroju i spodziewam się, że przeczytają zalecane lektury w terminie. - Wzrusza ramionami. -To rozczarowanie jest zresztą obopólne. Oni też są inni, niż sobie wyobrażałem.

- Czy ktoś ma ochotę na kawę? - pyta wesoło Jacob.

- Ja! - mówię, nieco zbyt pośpiesznie zrywając się na nogi. Udaję się za Jacobem, zręcznie balansującym z ogromną stertą brudnych talerzy w dłoniach.

Stoję w drzwiach kuchni i patrzę, jak Jacob robi kawę. Doskonale wie, gdzie co się znajduje. Dopiero teraz uzmysławiam sobie, że najprawdopodobniej to on sam wszystko rozpakowywał i urządzał mieszkanie.

- Mam wrażenie, że tata jest przygnębiony - mówię.

- Tak. - Nalewa wodę do jednego z pojemników ekspresu i patrzy na mnie. - Dobrze, że go odwiedziłaś. Tęskni do was, ale nie ma w zwyczaju głośno o tym mówić.

-Nie żartuj.

- Twój ojciec jest taki, a nie inny, Keats. Nie jest ciepłym, uległym facetem i nigdy nim nie będzie. Ale cię kocha i wie o swoich dzieciach więcej, niż myślisz.

- A ty skąd to wiesz?

Odmierza porcję kawy, którą zamierza wsypać do pojemnika z filtrem.

- Ciągle mnie o ciebie pyta. Martwi się jak każdy inny ojciec.

- A co takiego martwi go u mnie?
- Nic szczególnego. Martwi się tak ogólnie, sama wiesz.
- Nie wiem. Powiedz mi. - Gdy milczy, dodaję: - Nie każ mi torturować innej książki, Jacob.
- Chodzi o normalne ojcowskie troski typu: „Czy jest zadowolona ze swojej pracy? Czy ten chłopak naprawdę jest dla niej odpowiedni?”.
- Normalne ojcowskie troski - powtarzam jak echo. -A pyta cię także, czy Hopkins jest zadowolona ze swojej pracy? I z chłopaka? O, chwileczkę, przecież ona nie ma żadnego faceta. Czy tato rozmawia z tobą na ten temat? Czy martwi się, że Hopkins nie miała żadnego chłopaka od czasu ukończenia college'u, a Milton nigdy nie miał dziewczyny i ani razu nie umówił się na randkę? Czy jestem jedyną osobą, która przysparza mu zmartwień? I to tylko dlatego, że nie jestem tak zdolna jak oni?
- Jacob kręci głową zakłopotany.
- Tu nie chodzi o jakąś rywalizację, Keats. A ja nie cytowałem wypowiedzi twojego ojca słowo w słowo. Chciałem ci tylko uświadomić...
- Mniejsza o to. - Otwieram szafki. Są prawie puste, tylko kubki z Muzeum Sztuk Pięknych i nowy komplet zwykłych białych naczyń (po cztery talerze, miseczki, filiżanki i spodki) oraz kilka pudełek herbaty Swee-Touch-Nee, którą tato pije przez cały dzień, mocno zaparzoną, z dużą ilością mleka i cukru. Nauczył mamę pić tak właśnie przyrządzoną herbatę. Przy trzeciej szafce poddaję się i patrzę na Jacoba. - Czy jest tu coś dobrego? Mam ochotę na coś słodkiego.

- Błyskawiczne płatki owsiane?
- Opanuj się, Jacob.
- Chodzi ci o jakieś herbatniki czy coś w tym rodzaju? Nie zrobiłem jeszcze większych zakupów. Przykro mi. Ale mogę wyjść i przynieść to, co lubisz.

Waham się.

- Nie, dziękuję.
- Naprawdę, to żaden kłopot. Kawa się parzy, a ja zaraz wrócę z pączkiem albo jakąś babeczką czy innym ciastkiem. Powiedz tylko, co mam kupić.

- Dziękuję, nie zwracaj sobie tym głowy.
- A może chcesz czekoladę z Dunkin' Donuts? Lubisz ją, prawda?

- Tak, ale nie musisz mi jej przynosić. Jakoś przeżyję.

- Daj mi pięć minut.

To powiedziawszy, wybiega z mieszkania. Czuję się winna. Jacob tak łatwo daje się wykorzystać.

Ekspres cicho syczy, ale kawa jeszcze się nie zaparzyła, więc wracam do gabinetu ojca.

Tato pisze coś na komputerze.

- Hej. - Wracam na swoje miejsce na oparciu kanapy. - Przeszkadzam ci?

- Nigdy - odpowiada. - I zawsze. - Uśmiecha się i przez chwilę przypomina przystojnego, znacznie młodszego mężczyznę, w którym, jak twierdzi mama, kochały się niegdyś wszystkie studentki. Obraca fotel w moją stronę i niezgrabnie poklepuje mnie po kolanie. - Powiedz mi, co u ciebie słychać. - Nie pozwalając mi dojść do głosu, dodaje: - Czy twoja matka powiedziała ci, że sprzedaje dom, w którym się urodziłaś i wszyscy troje się w nim wychowaliście?

- Wydaje mi się, że to rozsądna decyzja, a ty co o tym sądzisz?
- To dziwne - mówi. - Ktoś mnie pyta, co ja o tym sądzę. -
Opada na oparcie fotela. Szew na ramieniu jego niebieskiej
koszuli pęki i zrobiła się mała dziurka. - Muszę przyznać, że
jestem tym wszystkim niemile zaskoczony. Planowałem
opuścić nasz dom w trumnie. Najlepiej jako nieboszczyk.

- To zrozumiałe. - Pozwalamy sobie na odrobinę czarnego
humoru; to nam najlepiej wychodzi.

- Ale decyzja została podjęta i oto znalazłem się tutaj. -
Rozgląda się dookoła. - Gdzie Jacob? Nie słyszę tupotu jego
stóp.

- Wysłałam go po deser.

- Wysłałaś go? - powtarza, unosząc brew. - To on teraz dla
ciebie pracuje?

- Nie ujęłabym tego w ten sposób - mówię - ale jesteś moim
ojcem, a on pracuje dla ciebie, więc w pewien sposób także i
dla mnie.

- To błąd w rozumowaniu.

- To ty tak uważasz.

Sprawia wrażenie lekko zaskoczonego.

- Przepraszam?

- Nic, nic, tylko sobie żartowałam. Podobno Hopkins ma
przyjechać do domu i spakować swoje rzeczy. Jeśli przyjedzie,
będziemy chciały zorganizować rodzinny obiad.

- Jaki trudny termin: „rodzina” - mówi z ponurym uśmiechem
tata, a ja nagle zdaję sobie sprawę (naprawdę dopiero teraz to
do mnie dociera), że ojciec ma złamane

serce. Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć. Przez chwilę milczymy. Ojciec odzywa się pierwszy: - Wiesz, kiedy ostatnio miałem mieszkanie? Ponad trzydzieści pięć lat temu. Słyszę, jak obok mnie kręcą się ludzie. Mam ich na górze, na dole, ze wszystkich stron. Jestem otoczony obcymi.

- Przyzwyczaisz się do tego.

- Nie chcę się przyzwyczajać - mówi z nadąsaną miną.

- Próbowaleś słuchać białego szumu?

- Nie. Może powinienem spróbować.

- Kupię ci takie urządzenie, jeśli chcesz. Często kupuję coś do pracy.

- O, widzę, że ta praca wciąż stanowi dla ciebie wielkie wyzwanie. A ja tak się cieszyłem, że ukończyłaś studia magna cum laude w jednym z college'ów Seven Sisters. - Jego zamglone orzechowe oczy patrzą na mnie uważnie spod sterczących brwi, jakby starały się dostrzec coś, co skrywam przed światem. - Jesteś zbyt zdolna na to, żeby prowadzić takie życie, Keats. Jeśli chcesz wejść do środowiska akademickiego... choć sam nie wiem, dlaczego ono tak nas pociąga, to wracaj na uczelnię, na prawdziwą uczelnię, i zrób doktorat.

- To ostatnia rzecz, na którą mam ochotę. - Telefon komórkowy buczy mi w kieszeni. Wyjmuję go i czytam SMS-a od Toma.

„Już wracasz? Obiad jest o 18.30”. Odpisuję: „Jeszcze chwilka”. Przechyliłam się do tyłu, by włożyć telefon do kieszeni dzinsów.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, kiedy otrzymujesz ważne komunikaty - mówi lodowatym tonem ojciec.

Nienawidzi SMS-ów, denerwuje się, kiedy przyłapuje studentów na wpatrywaniu się w telefony komórkowe w czasie zajęć.

- Już skończyłam.

- Z czym?

Na szczęście w tym momencie otwierają się drzwi. Wołam Jacoba, który zjawia się chwilę później z torebką w ręku.

- Kto ma ochotę na pączka? - pyta pogodnym tonem.

- Chętnie zjem do kawy. - Wstaję. - Tato?

- Idź, idź. Zaraz do was dojdę.

Nie wychodzi jednak z pokoju. Jacob i ja jemy pączki w kuchni sami, a potem idę do gabinetu, by pożegnać się z ojcem. W końcu Jacob podwozi mnie pod dom, tak jak przewidywałam.

Kiedy wchodzę, Tom ogląda mecz Red Soxów z Royalsami na płaskim monitorze w salonie.

- To będzie trudny sezon - mówi z westchnieniem. - Już teraz marnie nam idzie. Dobrze, że jesteś. Mamy się spotkać z Lou i Iz u nich, dopiero tam zadecydujemy, gdzie pójdziemy na obiad.

- Muszę wziąć prysznic. Pachnę tak jak mój dom.

- Dobrze, ale się pośpiesz. Jak twój ojciec?

- Jest stary. - To nie był żart, ale Tom się śmieje.

- To się zdarza, kiedy płodzi się dzieci po pięćdziesiątce. - Ojciec Toma jest o dwadzieścia lat młodszy od mojego i jest starszą, nieco potężniejszą wersją syna: wciąż ma ciemne, gęste włosy i urodziwą, wyrazistą twarz. Jeśli Tom zestarzeje się tak jak jego ojciec, będzie

najprzystojniejszym facetem w okolicy przez najbliższe czterdzieści lat.

Tom i jego ojciec są dobrymi przyjaciółmi. Mają bilety na cały sezon na Fenway Park, a chociaż codziennie widują się w pracy, mają ochotę na wspólne wyprawy na mecze albo grę w golfa. Uważam, że to urocze.

Dick, ojciec Toma, założył firmę pralniczą trzydzieści lat temu. Umiejętnie zarządzana, z małego rodzinnego biznesu przekształciła się w ogromną kompanię świadczącą usługi dla większości szpitali i hoteli w Bostonie i okolicy. Jako uczeń szkoły średniej Tom zatrudniał się w niej co lato, a kiedy ukończył Uniwersytet Bostoński, podjął pracę w pełnym wymiarze godzin. Jest teraz wiceprezesem, ale wszyscy dobrze wiedzą, że ojciec przygotowuje go do objęcia firmy. Siostra Toma Anna nie chce mieć z nią nic wspólnego, chociaż żyje w Nowym Jorku z jej dochodów. Mimo wszystko Tom twierdzi, że chętnie znajdzie dla Anny miejsce w firmie, jeśli tylko siostra zmieni zdanie.

Ma też nadzieję, że nasze dzieci będą chciały pracować razem z nim. Ilekroć o tym mówi, milknę. Zawsze marzyłam o tym, żeby moje dziecko zostało sławnym powieściopisarzem, scenarzystą albo kimś w tym rodzaju. Skoro jednak mężczyzna, z którym zamierzam mieć dzieci, ma zarządzać kompanią pralniczą, powinno to być również odpowiednie zajęcie dla nich, prawda?

Spotykamy się z Izzy i Lou prawie w każdy weekend, zapewne dlatego, że lubimy ich oboje, co jest dość niezwykle. Muszę się przyznać, że toleruję przyjaciół Toma,

ale nie mogę powiedzieć, żebym ich jakoś szczególnie lubiła - wielu z nich okazywało mi swą wyższość, kiedy zaczęłam chodzić z Tomem. Miałam wtedy piętnaście lat i może nie powinnam ich teraz za to winić, ale z pewnością nie pomogło im to zdobyć mojej przychylności. Nie mam wielu własnych przyjaciół, bo przez ostatnie dziesięć lat Tom wypełniał mi każdą wolną chwilę. Inne dziewczęta ze Smith w weekendy podwoziły się na zmianę na imprezy w sąsiednich koedukacyjnych kampusach, a ja jeździłam autobusem do Bostonu, by spotkać się z Tomem, i nie nawiązałam zbyt wielu przyjaźni. Bliskie mi dziewczyny, z którymi dzieliłam pokój, mieszkają teraz w innych częściach Stanów. Ale Tom i ja spędzamy ze sobą prawie wszystkie wieczory, więc nie brakuje mi towarzystwa.

A poza tym, jak już powiedziałam, często się spotykamy z Lou i Izzy.

Lou jest przyjacielem Toma ze szkoły średniej. To dobry chłopak. Jest odpowiedzialny, szczerzy i ogólnie sympatyczny, ale bardziej lubię Izzy, trochę starszą ode mnie, a młodszą od naszych drugich połówek. Jest uroczą, miłą blondynką i umie sprawić, by wszyscy dobrze się czuli w jej towarzystwie. Po ukończeniu szkoły średniej, nadal mieszkając w rodzinnym domu, podjęła naukę w miejscowym dwuletnim college'u. Pomagała rodzicom w wychowaniu brata, który urodził się z poważnym uszkodzeniem mózgu i nie umie mówić, samodzielnie jeść ani iść do łazienki. Izzy mieszkała z rodziną do czasu małżeństwa z Lou, a nawet teraz, pięć lat później, wciąż jeździ tam na jeden dzień co weekend (droga do Salem

zajmuje jej godzinę), by wyręczyć zaharowaną matkę w opiece nad Stannym.

Jej chęć zadowolenia wszystkich naraża tę dziewczynę czasem na śmieszność. Izzy za punkt honoru poczytuje sobie zgadzanie się z każdym na każdy temat. Kiedyś rozmawialiśmy o jakimś filmie i Lou powiedział, że okropnie się nudził, na co Izzy wykrzyknęła: „O tak! Mało nie zasnęłam!"; ja się zdziwiłam: „Naprawdę? Moim zdaniem film trzymał w napięciu", a Izzy powiedziała: „Tak! Miałam gęsią skórę!", i nikt oprócz mnie nie zauważył, że nie chcąc się nikomu sprzeciwić, zaprzeczyła sobie w ciągu dziesięciu sekund.

Łatwo jednak można to Izzy wybaczyć, bo ma jak najlepsze intencje; pragnie, by wszyscy czuli się zrozumiani. Jest całkiem niepodobna do ludzi, wśród których się wychowywałam, a zwłaszcza do mojej egoistycznej, skupionej na sobie, kłótliwej rodziny. Izzy stanowi dowód na to, że nie dla każdego udowodnienie swej racji jest ważniejsze niż bycie miłym.

Jazda z Waltham do ich małego domku w Needham zajmuje nam około piętnastu minut, a kiedy się zatrzymujemy, widzę, że Izzy rozwiesiła małe białe lampki wzdłuż ażurowego dachu frontowego ganku. Migoczą teraz wesoło w zapadającym zmierzchu. Pokazuję je Tomowi, który mówi:

- Trzeba się domyślać, że to nie są świąteczne ozdoby.
- Nie szkodzi. Są piękne.
- No, może - mruczy.

Pukamy i po niecałej minucie Tom siedzi z Lou na kanapie i razem oglądają mecz.

Izzy robi pocieszną minkę.

- Umieram z głodu - mówi - ale w grze jest remis.

- Nigdy ich stąd nie wyciągniemy - wzdygam.

- W lodówce jest wino... możemy zrobić sobie nasze małe przyjęcie, dopóki nie zgłodnieją na tyle, by ruszyć tyłki. - Izzy ma ledwie dosłyszalny południowy akcent. Pochodzi z Georgii, ale jej rodzice przeprowadzili się do Salem, kiedy była w szkole średniej. Wciąż ubiera się jak mieszkanka Południa, zawsze jest wystrojona bardziej, niż wymagają tego okoliczności. Tego wieczoru, mimo że spotyka się tylko z nami i nie wybieramy się do jakiegoś szczególnie eleganckiego lokalu, ma na sobie obcisłe nowe dzinsy, czarne paskowe sandały na bardzo cienkim, wysokim obcasie, jedwabny top i krótki dopasowany żakiet. Ja włożyłam wygodne dzinsy i obszerny sweter zapinany z przodu. Przy Izzy czuję się tak, jakbym miała na sobie łachmany.

Mimo wszystko uważam, że takie strojenie się jest nie fair. Wychowałam się w domu, w którym zarówno matka, jak i starsza siostra nigdy nie używały suszarki do włosów ani nie oglądały żurnali. Nader skąpą wiedzę na temat modnych ciuchów zawdzięczam wyłącznie sobie.

Izzy nalewa wina i pyta, jak minął mi dzień, więc przekazuję jej wiadomości na temat mojej rodziny.

- Twoja mama w ten sposób powiedziała ci o tym, że rozwodzi się z twoim tatą? W środku rozmowy na inny temat?

- Z niedowierzaniem potrząsa grzywą długich jasnych włosów.

Siedzimy przy kwadratowym stoliku, nad kieliszkami z winem i otwartą torebką chipsów.

Kiwam głową.

- Przeżyłam zaskoczenie, a mama zachowywała się tak, jakbym histeryzowała.

- Boże, gdyby moi rodzice się rozwodzili, płakałabym na cały głos!

- Prawdę mówiąc, nie jestem tym aż tak zmartwiona. To małżeństwo skończyło się dawno temu. - Cytuję Jacoba, ale mogę sobie na to pozwolić, bo Izzy go nie zna.

- Mimo wszystko to twoi rodzice... - W niebieskich oczach Izzy, wachlowanych rzęsami z grubą warstwą tuszu, kryje się współczucie. - Moi rodzice ciągle się kłócą... wciąż dochodzi do naprawdę ostrej wymiany zdań... ale nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek mieli się rozstać. Nie mogą ze względu na Stanny'ego.

- To śmieszne, ale nie przypominam sobie, żeby moi rodzice kiedykolwiek się kłócili. Zawsze byli dla siebie bardzo uprzejmi.

- I może na tym polegał problem. Może powinni byli jednak czasem coś wykrzyknąć.

- Może... - Nie potrafię sobie jednak tego wyobrazić. W naszym domu nigdy nie podnoszono głosu. Co najwyżej były w nim chłodne, pogardliwe, sarkastyczne, ostrzejsze tony.

Mówię Izzy, że podobają mi się światełka na dachu. Podobno Lou się z niej śmiał, bo jego zdaniem wyglądają jak ozdoby bożonarodzeniowe.

- Tom powiedział to samo - wymyka mi się.

- Oni dwaj - wzdycha z rozczuleniem Izzy - są podobni do siebie jak dwie krople wody, jak mówi moja mama.

- Ale ja uważam, że te światełka są urocze.

Proponuje, że pokaże mi inne upiększenia. Zwiedzamy więc wnętrze, a Izzy z dumą pokazuje szafkę z blatem z imitacji marmuru, lustro z ramą zdobioną techniką *découpage* w damskiej toalecie i wezglowie łóżka, które obłożyła płatem przędzy bawełnianej i obciągnęła tkaniną. Nikt w moim domu nigdy by się nie zajął podobnie pretensjonalnym zdobnictwem; nie przypominam sobie, by moja mama kiedykolwiek najęła kogoś do umycia okien czy pomalowania ścian, a już z pewnością nie wyobrażam jej sobie, jak trzymając w ręku gąbkę nasączoną farbą, tworzy na rozmaitych powierzchniach imitacje marmuru.

Wypowiadam słowa pochwały, siląc się na entuzjazm. Tymczasem myślę, że to wszystko jest ładne, ale trochę...

Napominam się w duchu; nie chcę krytycznie oceniać prac Izzy. Może wychodzi ze mnie snobka. Może czuję potrzebę krytykowania czegoś ładnego, bo takie rzeczy oglądam u innych, a nie u mojej przeintelektualizowanej, kopniętej rodziny.

Mówię Izzy, że jestem zachwycona, a dom jest piękny. Uśmiecha się i kraśnieje z zadowolenia.

Kończymy obchód domu w salonie. Panowie zauważają nasze wejście chyba tylko dlatego, że w meczu jest przerwa i nadawane są reklamy.

- Gdzie się podziewałaś? - pyta oskarżycielskim tonem Lou. - Jesteśmy śmiertelnie głodni.

Izzy ze śmiechem chwyta go za ramię i patrzy na mnie.

- Wierzysz im?

- Nie. - Wyciągam rękę i zmuszam Toma do wstania. - Ani trochę.

Idziemy do restauracji, w której można obejrzeć mecz baseballowy w telewizorze zawieszonym nad barem. Panowie siadają przy stoliku tak, by widzieć ekran. Izzy i ja zajmujemy miejsce po drugiej stronie i zamawiamy ogromną sałatkę.

Rozdział 4

W poniedziałek w pracy dostaję e-mail od Milтона. Brat mnie prosi, żebym zadzwoniła do mamy. To jedna z tych chorych, pokrętnych wiadomości, jakie przekazuje się w naszej rodzinie. Telefonuję do domu. Mama natychmiast odbiera i mówi:

- Mam świetny pomysł.
- Cudownie.
- Wymyśliłam, co możemy zrobić, żeby się pozbyć niepotrzebnych rzeczy przed przeprowadzką. Wy, moje dzieci, wybierzecie sobie, co tylko chcecie... stoły, meble, książki, dzieła sztuki, cokolwiek... żebym wiedziała, co kto ma dostać. Potem z czystym sumieniem będę mogła pozbyć się tego, co mi się nie przyda. Chciałabym to zrobić jak najszybciej i w przyszłym tygodniu zacząć wynosić rzeczy do Goodwill*.
- Hopkins przyjedzie?
- Nie zanosz się na to. W każdym razie nie w najbliższym czasie. Ma za dużo pracy. Ale zapytam ją, czy czegoś by nie chciała, i odłożę to dla niej. Więc pomyślałam

* Organizacja charytatywna (wszystkie przypisy tłumaczki).

sobie, że może wieczorem wpadniesz na kolację i trochę się tu rozejrzysz. Masz jakieś plany na dzisiaj?

- Raczej nie, ale spytam Toma.

- Oczywiście - mówi podejrzenie uprzejmym tonem.

- Przecież widzieliśmy się z nimi dwa dni temu - jęczy w telefon Tom.

- I to mówi facet, który codziennie spotyka się ze swoim ojcem?

- Ojciec mi za to płaci.

- Tom, najchętniej bym tam nie szła, ale obawiam się, że jeśli szybko nie powiem mamie, co chcę zabrać, odda wszystko Hopkins i Miltonowi.

- Czy twoi rodzice w ogóle mają coś, co przedstawia jakąkolwiek wartość?

- Nie są biedakami.

- Wiem, ale... - Nie kończy tej myśli. Dom jego rodziców jest pełen nowiutkich błyszczących mebli, nowych jasnych obrazów i nowych lśniących bibelotów. Państwo Wells pochodzą z biednych, prostych rodzin, więc kiedy firma zaczęła przynosić znaczne dochody, mama Toma postanowiła zadbać, by jej dom wyglądał tak jak te, które do tej pory mogła jedynie podziwiać w telewizji. Zostawiła przeszłość za sobą i nawet Martha Stewart* nie mogłaby jej niczego zarzucić, podczas gdy moi rodzice ostatni nowy mebel kupili przed kilkudziesięcioma laty, i, szczerze mówiąc, przez ten czas ani razu nie wysprzątały porządnie domu.

* Ur. 1941, kreatorka stylu życia i prowadzenia domu.

- Naprawdę nie chcę tam iść, Keats - mówi Tom. - Dopiero co widzieliśmy się z twoją rodziną. Co za dużo, to niezdrowo.

- A mogę pójść sama? To też mu nie w smak.

- Myślałem, że dziś wieczorem zjemy sobie obiadek we dwoje. - Wiem, że tak myślał. Nie pamiętam już, kiedy nie jedliśmy sobie obiadku we dwoje w poniedziałek. A potem we wtorek, środę, czwartek...

- Jakoś to przeżyjesz - mówię.

- Przepraszam, że lubię jeść obiady z moją dziewczyną. Muszę być straszną świnią, że chcę z tobą trochę pobyc.

- O tak, i to świnią uzależnioną.

Problem polega na tym, że tak naprawdę nigdy nie wiem, czy wolę odwiedzać swoją rodzinę z Tomem, czy bez niego. Mając go u boku, czuję się w pewien sposób chroniona przed ich szaleństwem, otoczona bezpiecznym kokonem mojego szczęśliwego, normalnego życia; z drugiej jednak strony jego obecność powoduje dodatkowe napięcie, bo nie jest tam lubiany.

I tak źle, i tak niedobrze.

Dochodzimy do porozumienia: pójdę na obiad sama i wyjdę najszybciej, jak się da.

Kiedy zatrzymuję się przed domem, widzę dwa inne zaparkowane samochody. Jednego nie rozpoznaję; drugi należy do Jacoba.

Wchodzę do środka i kieruję się do kuchni, z której dobiegają odgłosy rozmowy.

Jacob siedzi na ławie przy stole i rozmawia z mężczyzną o szerokich plecach. Kiedy mnie wita, właściciel szerokich pleców wstaje i odwraca się w moją stronę.

Ma ponad metr osiemdziesiąt, potężne bary, nogi jak balerony, opięte dżinsami z paskiem pod wydatnym brzuchem. Daję mu mniej więcej sześćdziesiąt lat; łysieje na skroniach i ma siwe włosy, ale jest ich jeszcze sporo. Opalony, wygląda zdrowo, jak ktoś, kto w każdy weekend gra w golfa albo żegluje.

Wita mnie serdecznie, może nieco zbyt wylewnie, zważywszy, że nie mam pojęcia, kim jest.

- Ty chyba musisz być Keats! „Poro mgieł bujna i nabrzmiała plonem...”* i tak dalej. Chyba masz już powyżej uszu tych strof.

- Ależ nie. - Ściskam podaną mi dłoń. Jest olbrzymia, mięsista i dwa razy większa od mojej. - Nie wszyscy na dzień dobry cytują Keatsa.

U Jacoba, który również wstał, wywołuje to uśmiech na twarzy.

- To mój ulubiony twórca - wtrąca mama. - Oczywiście zaraz po Hopkinsie. Nie zapominajmy też o Miltonie. Mam na myśli poetę.

Taak, nie zapominajmy o poecie. Ale o dziecku Miltonie można zapomnieć.

W każdym razie cieszę się, że nie ma tu teraz Toma. Bardzo mu się nie podoba, że rodzice nadali nam takie imiona; uważa to za karygodne pseudointelektualne wymysły, niemal równoznaczne z wykorzystywaniem

* John Keats, „Oda do jesieni”, przełożyła Zofia Kierszys.

nieletnich. Przez kilka lat próbował mnie nazywać Kiki, ale chociaż ja także uważam, że mam idiotyczne imię, to jednak jestem do niego przyzwyczajona i postrzegam je jako nieodłączną część mojego jestestwa. A poza tym... Kiki? Nie mógł wymyślić czegoś lepszego?

- Twoje dzieci mają szczęście, że nie jesteś wielbicielek E.E. Cummingsa - mówi mężczyzna, uwalniając moją dłoń, by zwrócić się do mamy.

- Kocham go. Ale nawet ja nie mogłabym być taka okrutna wobec swojego dziecka.

Wymieniają uśmiechy.

- A pan jest... ? - pytam, bo chyba zapomnieli, że nikt mi go nie przedstawił.

- Paul Silvestri. - Ponownie wyciąga ku mnie wielkie łapsko z wyraźnym zamiarem uściśnięcia mojej ręki. Wydaje to mi się grubą przesadą, ale podaję mu dłoń, posyłając przy tym mamie nieme: „kim, do diabła, jest ten facet?”.

- Obiad zaraz będzie gotowy - mówi rażno mama. -A tymczasem mamy wino i ser. Keats, kieliszek wina?

- Chętnie, poproszę białe. Jacob, chciałabym cię o coś zapytać. Chodźmy. - Chwytam go za rękę, ciągnę do holu i niemal przypieram do ściany. Jacob ma na sobie nieśmiertelne spodnie khaki i koszulę z zapinanym kołnierzykiem.

Dobrze jest być Jacobem i tak się ubierać co rano.

- Co to za jeden? - syczę do niego, mimo że się tego domyślałam i stąd bierze się moja nerwowość.

Potwierdza moje przypuszczenia.

- To facet twojej mamy.

- Co on tu robi?

- Myślę, że twoja mama chciała, żebyś go poznała. Wydaje się sympatyczny.

- Łatwo ci to mówić. To nie jest twoja mama.

- Wiem - mówi, a ja przypominam sobie, że jego matka nie żyje. Podobnie jak jego ojciec. Jacob przeżył trudne chwile.

- Przepraszam. Chodziło mi tylko o to, że tobie to wszystko nie musi się wydawać takie dziwaczne. Dlaczego mnie nie uprzedziła?

- Nie wiem.

- Myślałam, że wszystko ci opowiada. Wzdycha i patrzy na mnie zakłopotany. Ostatnio

często wystawiam jego cierpliwość na ciężką próbę.

- Uspokój się. Daj mu szansę.

- Spróbuję. Ale nie powiesz mi, że to wszystko nie jest dziwne.

Ruszamy z powrotem do kuchni.

- Wiem, że ostatnio musiałaś się przyzwyczaić do nowej sytuacji, Keats... - mówi Jacob.

- Tak - ucinam. - I uważam, że wszyscy powinni mi współczuć.

- Fatalnie się składa, bo nikt ci nie współczuje. - Jacob odchodzi, a ja niemal wyrywam przeznaczony dla mnie kieliszek wina z ręki mamy.

Przy stole nakryto dla Milтона, ale kiedy siadamy, nigdzie go nie widać.

- Gdzie się podziewa nasz mały geniusz? - pytam.

- Zaraz zejdzie - odpowiada mama. - Musi tylko coś tam dokończyć.

- Zawsze tak mówi. A potem czeka, aż wszyscy zjedzą, żeby nie być zmuszonym do rozmowy.

- Nieprawda - mówi mama, niepewnie zerkając na Paula. - Często jem z nim obiady.

- Hmm, aleja nie. Przepraszam na chwilkę. - Wstaję i wychodzę z jadalni.

Na piętrze mocno pukam do drzwi pokoju Milтона i zdecydowanie wkraczam do środka.

Zaskoczony spogląda na mnie znad komputera.

- O co chodzi?

- O obiad. Masz go z nami zjeść.

- Mówiłem mamie, że zaraz schodzę.

- Obiad jest teraz. Zapisz wszystko albo ci to zaraz wyłączę, obiecuję.

Wydaje ciężkie westchnienie i dalej stuka w klawiaturę.

- Ja nie żartuję, Milton.

- Wiem. Przecież zapisuję. O Boże, Keats! - Jeszcze chwilka stukania. W końcu brat wstaje i idzie za mną na dół. Ma na sobie czarne spodnie od dresu, za małe - brzuch zwisa mu znad gumki w pasie - oraz czarną koszulkę z napisem: PRZEJDŹ NA CIEMNĄ STRONĘ MOCY, MAMY CIASTECZKA. Myślę, że mama mu ją kupiła, żeby go rozśmieszyć. Oczami wyobraźni widzę, jak wręcza prezent, a Milton wrzuca go do szuflady z obojętnym wzruszeniem ramion.

Ale kto wie, jak naprawdę było? Z Miltonem nigdy nic nie wiadomo; równie dobrze mógł szczerze się ubawić.

Przedstawiam Milтона Paulowi, który wita go ze znaną mi już wylewnością. Milton ściska mu dłoń, rzucając

mi zakłopotane spojrzenie. Nie wie, kim jest Paul ani co tu robi. Wzruszam tylko ramionami. Sama nie wiem, jak mam to wytłumaczyć. Obydwoje patrzymy na mamę. Uśmiecha się blado i mówi:

- Usiądźcie, żebyśmy wreszcie mogli zacząć jeść.

Milton zajmuje miejsce obok mnie. Obgryza paznokcie, czekając na jedzenie; nie wie, co zrobić z dłońmi, kiedy nie ma pod nimi klawiatury komputera. Błądzi wzrokiem dookoła, ale gdy ktoś się do niego odzywa, tylko coś odburkuje i wgapia się w stojący przed nim talerz.

Paul stara się wciągnąć go do rozmowy, ale to istna orka na ugorze.

- Co lubisz robić w wolnym czasie?

- Różne rzeczy.

- Na przykład?

- Gram w gry komputerowe.

- Masz jakąś ulubioną?

- Raczej nie.

Po kilku bezowocnych próbach Paul się poddaje i z wyraźną ulgą przenosi zainteresowanie na mnie.

- Keats, twoja mama powiedziała mi, że pracujesz na wydziale anglistyki w Waltham Community College.

Kiwam głową. Cóż tu jest do dodania?

- Lubisz swoją pracę?

- Jest okej - odpowiadam, bo tak właśnie uważam. Praca jest łatwa, rozpoczyna się i kończy o rozsądnej porze, ludzie są mili, ale wynagrodzenie jest do bani i trochę się nudzę. „Okej” doskonale to wszystko obejmuje.

- Myślisz o ponownym podjęciu nauki?

- Dlaczego wszyscy mnie o to pytają?

- Bo jesteś młoda i bystra - mówi mama - a pracujesz jako zwykła sekretarka.

Patrzę na nią spode łba.

- Wiem, że cię rozczarowuję, ale nie każdy może być światowej sławy neurologiem.

- Nikt ci nie każe być neurologiem. - Mama patrzy na Paula, jakby chcąc się przekonać, czy rodzinna sprzeczka odstrasza go, czy nie. On uśmiecha się do niej uspokajająco, więc mama dodaje: - Ambicja to nic złego, Keats.

- Masz rację, mamó. Może powinnaś znaleźć sobie pole do realizowania własnych ambicji.

Dumnie unosi podbródek.

- Pamiętaj, że sama wychowałam troje dzieci.

- Ooo, to bardzo ambitne. I bardzo oryginalne... żadna inna kobieta w twoim wieku nie wychowała dzieci. Jesteś prawdziwym pionierem w tej dziedzinie.

- Keats - napomina mnie po ojcowsku Jacob. Czasami podoba mi się u niego ten ton, a czasem doprowadza mnie do szału.

- Ależ ona ma rację. - Mama upija łyk wina. - Powinnam wykazać się większą ambicją, Keats. Żałuję, że nie zrobiłam doktoratu, ale wtedy myślałam, że nie mam wyboru.

- Wciąż jesteś młoda - zwraca się do mojej matki Paul. - Masz mnóstwo czasu, żeby zrobić to teraz. Patrzę na mamę powątpiewająco, unosząc brwi.

- Dziękuję ci za te słowa otuchy - mówi mama do Paula, dobitnie akcentując słowa. - Rzadko słyszę je w tym domu.

- Ja również uważam, że powinnaś wrócić na uczelnię
- mówię. - Tyle że uwierzę, kiedy zobaczę.
- Chodzę już na zajęcia.
- Tak, wiem. Z kreatywnego pisania. Zamierzasz napisać powieść, mamó? Tak jak prawie wszyscy na tym świecie?
- Ejże, uważaj na słowa! - woła wesoło Paul. - Ja też uczęszczam na te warsztaty! Nie oceniaj tak surowo ludzi, którzy mają literackie ambicje. Może tylko na tyle ich stać.
- Nie, nie, uważam, że to wspaniale - mówię uprzejmie, bo wpojono mi, że trzeba być miłym dla nieznajomych.
- Tam się państwo spotkaliście?
- Tak.
- Analizują państwo nawzajem swoje prace?
- Czasami.
- Ma pan dzieci? - pytam, skoro tak chętnie udziela odpowiedzi na moje pytania.
- Czwórkę - oznajmia z dumą. - Dwóch synów i dwie córki.
- Z tą samą kobietą? Porusza się niespokojnie.
- Hmm, nie. Najstarszy syn ma inną matkę niż pozostałe dzieciaki.
- Więc ile razy był pan żonaty?
- Tylko dwa! - odpowiada, siląc się na wesoły ton.
- Może ktoś ma jeszcze ochotę na wino? - pyta mama. Paul natychmiast jednym haustem opróżnia kieliszek i wyciąga rękę. Mama przechyla butelkę, by nalać mu wina, ale wylatuje zaledwie kilka kropel. - W kuchni jest jeszcze druga. Jacob, mógłbyś...?

Jacob już zdążył wstać.

- Zaraz przyniosę.

- Jak tam będziesz, możesz zaparzyć kawę bezkofeinową?! - wołam za nim.

- Mogę odejść od stołu? - pyta Milton. Zjadł parę kawałków kurczaka i całą stertę makaronu. Mama przyniosła gotowe dania z włoskiej restauracji, a potem podała je na półmiskach, tak jakby ugotowała je sama. Ale przed obiadem siedzieliśmy w kuchni i wszyscy, nie wyłączając Paula, widzieli, jak przekładała jedzenie. Zastanawiałam się nawet, dlaczego nie podała go w pojemnikach. Nikt nie dał się zwieść pozorom, a tylko było więcej brudnych talerzy do umycia.

- Wolałabym, żebyś został na dole - mówi mama do Milтона - i wybrał dla siebie jakieś meble. A potem zjemy deser.

- Co jest na deser? - pyta Milton.

- Ciasto i truskawki.

- Mamy jakieś lody?

- Nie wiem - odpowiada z pewnym znużeniem mama. - Muszę sprawdzić.

- Mam ochotę na lody.

Mama wstaje i przechodzi do kuchni. Niespodziewanie robi mi się jej żal. Zaprosiła mężczyznę, który jej się podoba, chcąc, by poznał jej dzieci, a tymczasem... no cóż, poznał jej dzieci.

Powodowana współczuciem, zadaje Paulowi pytania na temat warsztatów pisarskich. Udziela odpowiedzi z widocznym zadowoleniem. Wkrótce do rozmowy włącza się Jacob.

Milton nie odzywa się ani słowem. Wpatruje się w stół i czeka, aż mama wróci do jadalni i powie mu, czy w domu są lody.

- Nie ma lodów, jest tylko bita śmietana - oznajmia po chwili mama. - Ale nie będzie żadnego deseru, dopóki nie wybieriecie sobie mebli. - Odnoszę wrażenie, że próbuje przekupić Milтона, by nie uciekał do swego pokoju. Czasami rodzice obiecują małemu dziecku, że dostanie ciastka, jeśli będzie grzecznie zachowywać się w czasie posiłku. Mama w pewien sposób teraz robi to samo.

- Dlaczego mam sobie coś wybrać? - pyta Milton, gdy wstawszy od stołu, przechodzimy do korytarza. - Przecież nie mam swojego mieszkania.

- Chcę tylko dokonać sprawiedliwego podziału - mówi mama. - Potem się zastanowimy, co zrobić z wybranymi przez siebie meblami... może oddamy je na przechowanie do magazynu albo wstawimy do mieszkania twojego ojca, a może wezmę je do mojego mieszkania, kiedy już będę je miała. Musimy tylko wiedzieć, co mamy dla ciebie zatrzymać.

- Chcę mieć tylko to, co jest w moim pokoju.

- To wszystko jest twoje. - Kiedy mama mówi do Milтона, jej głos łagodnieje. Chyba zapomina, że jej syn ma już dwadzieścia lat. Dla niej jest wciąż małym chłopcem, który potrzebuje matczynej opieki. - Ale pewnego dnia będziesz miał własne mieszkanie i może ci się przydać nasz stary stolik albo może lampa...

- Chcę mieć tylko to, co jest w moim pokoju. Czy mogę już iść do siebie?

Mama unosi ręce w geście bezradności.

- Dobrze - mówi. - Sama wybiorę dla ciebie jakieś meble. - Milton znika, jeszcze zanim mama kończy zdanie, więc biedaczka odwraca się teraz do mnie i powtarza: - Wybiorę meble dla niego.

- Naprawdę myślisz, że Milton będzie miał kiedyś swoje mieszkanie albo dom?

- Lepiej mieć nadzieję, że tak się stanie - odpowiada cierpkim tonem - bo ojciec i ja nie będziemy żyli wiecznie.

- Jesteś urocza. Ale gdybyś zmusiła go do wyjścia z domu od czasu do czasu...

- Proszę, nie zaczynaj swojej starej śpiewki, Keats. Popatrz. - Wskazuje bloczki samoprzylepnych karteczek w różnych kolorach leżące na wąskim marmurowym stoliku. - Weź sobie zielone i poprzyklejaj je na wszystkim, co byś chciała mieć.

Bez entuzjazmu sięgam po zielony bloczek.

- To mi się nie podoba. Nie powinnam niczego oznaczać jako mojej własności, skoro nie ma tu mojego rodzeństwa. To nieuczciwe.

- Oznaczyłam już żółtymi karteczkami kilka rzeczy dla Hopkins. - Wskazuje żółty świstek papieru na marmurowym stoliku. - Widzisz? Pomyślałam, że ten stolik będzie się świetnie prezentował w jej mieszkaniu.

Nigdy, ani przez chwilę nie myślałam o tym, że chciałabym mieć ten stolik, ale teraz, kiedy się dowiedziałam, że jest przeznaczony dla Hopkins, wydaje mi się interesujący. Może nawet ma sporą wartość ze swym blatem z matowego, szaro-rdzawego marmuru i lekką żelazną konstrukcją.

Mama nawet nie zapytała mnie, czy chciałabym go mieć, tylko od razu przeznaczyła go dla Hopkins.

Jednak po chwili dochodzę do wniosku, że Hopkins absolutnie powinna dostać ten stolik. Przecież ona ratuje ludzkie życie. I jej mama pragnie go ofiarować.

Mama odwraca się do Jacoba i unosi rękę, w której trzyma karteczki.

- Chcesz bloczek niebieski czy różowy?

- To on też dostaje karteczki? - dziwię się. - To znaczy, nie mam nic przeciwko temu, ale... - Stop! Nie wiem, jak mam powiedzieć, że to trochę dziwne, by nie zostać przy tym posądzona o skąpstwo.

- Reprezentuję twojego ojca - śpieszy z wyjaśnieniem Jacob i, jak można było to przewidzieć, wybiera niebieski bloczek.

-Twoja mama poprosiła mnie, żebym zobaczył, czy są tu jakieś meble, które by się mu przydały w nowym mieszkaniu.

- O. Racja.

- Myślę jednak, że Jacob powinien wybrać też coś dla siebie - dodaje mama. - Od lat bardzo nam pomaga.

- To bardzo miło z pani strony, ale naprawdę niczego nie potrzebuję.

-Te meble mają wartość jedynie sentymentalną

- mówi mama - więc nie musisz być taki szlachetny.

- Nawet nasz sentyment nie ma wielkiej wartości

- dodaje. - Nie ma co owijać w bawełnę.

Paul, stojący kilka metrów dalej i przyglądający się wszystkiemu z żartobliwym pobłażaniem, wybucha głośnym śmiechem. Zastanawiam się, co sobie o nas myśli.

Mama ma dzisiaj lekki makijaż i wygląda naprawdę bosko. Przyglądam się jej i Paulowi i dochodzę do wniosku,

że jest za młoda oraz zbyt piękna dla takiego mężczyzny. Jest także znacznie od niego mądrzejsza i bardziej interesująca. Podczas obiadu miałam wrażenie, że jest trochę znudzona Paulem, zniecierpliwiona rozmową. Teraz, kiedy Paul rży ze śmiechu, na jej twarzy odmalowuje się pewna odraza, a może zażenowanie.

Z ulgą stwierdzam, że się w nim nie zadurzyła. Nie chciałabym widzieć, jak matka robi maślane oczy do jakiegoś nieznajomego typka.

- Zaczynajmy! - woła. - Rozproście się i przyklepiajcie karteczki, moje dzieci!

- Co za świrnięta rodzina - mruczę pod nosem. Wchodzę do salonu sama. Mama miała rację, mówiąc

Jacobowi, że nie posiadamy nic wartościowego. W tym pomieszczeniu stoją najładniejsze i najlepiej zachowane meble w całym domu, a mimo to chyba nikt nie znalazłby tu niczego dla siebie. Patrząc na dwie bliźniacze kanapy, kupione w tym samym domu towarowym w latach osiemdziesiątych (nie tak jeszcze stare, by mogły być uznane za stylowe, vintage, ani nie tak nowe, by można je było określić mianem modnych), dwa fotele obite tkaniną w szkocką kratę, które nigdy mi się nie podobały, prosty drewniany stolik, za duży do mojego mieszkania, pianino...

Chwileczkę... pianino budzi moje zainteresowanie.

Mam tak mało twórczą pracę, że miło byłoby po powrocie do domu zająć się jakąś działalnością artystyczną, na przykład grą na pianinie. Oczywiście musiałabym wziąć lekcje, ale zapewne uczyłabym się teraz szybciej niż w dzieciństwie, kiedy nie miałam przekonania do gry na instrumencie.

Podchodzę, by przyjrzeć się dokładniej. To pianino marki Kawai, w przyzwoitym stanie, chociaż gdy sięgam do schowka w stojącej obok ławie, by zobaczyć, czy są tam jakieś nuty, czuję, że zawiasy są mocno poluzowane.

Wyciągam telefon komórkowy i dzwonię do Toma, by go zapytać, czy chcemy mieć pianino.

- A po co nam pianino? Przecież żadne z nas nie gra.

- Możemy je dostać za darmo, a ja przez wiele lat brałam lekcje fortepianu.

- Nigdy nie widziałem, żebyś grała.

- Przerwałam naukę w wieku dwunastu lat. - Tak naprawdę zrezygnowałam, kiedy stało się oczywiste, że nigdy nie będę grać tak dobrze jak Hopkins. Mój nauczyciel, pan Chelsey, sądził, że zmotywuje mnie do nauki, nieustannie opowiadając, że moja siostra jest jedną z najlepszych uczennic, z jakimi miał do czynienia, ale jego starania odniosły wręcz odwrotny skutek.

Przesuwam dłonią po lśniącym czarnym instrumencie, zmatowiałym teraz od kurzu.

- Jest bardzo ładne, a pianina mają swoją wartość, prawda? - mówię.

- Chciałabyś, żebyśmy je sprzedali? - pyta Tom.

- Nie, tylko tak sobie powiedziałam. Może znów brałabym lekcje.

- Przecież nie mamy miejsca na pianino i nie widzę sensu targania go tutaj, no ale decyzja należy do ciebie. Jeśli naprawdę chcesz je mieć, coś wymyślimy. Wrócisz niedługo do domu?

-Jeszcze nie teraz. Wiesz, mama... - Chcę mu

powiedzieć o Paulu Silvestrim, ale do pokoju wchodzi Jacob i urywam w pół zdania.

Jacob domyśla się, że przeszkodził w rozmowie.

- Przepraszam - bąka i cofa się do drzwi.

- Nie ma sprawy - rzucam w jego stronę, po czym mówię do telefonu: - Muszę kończyć. Cześć. - Przerywam połączenie i macham komórką do Jacoba. - Właśnie podejmuję decyzję, czy chcę mieć pianino.

- Grasz?

- Nie. Ale myślę, że mogłabym znów brać lekcje.

- Ja umiem tylko zagrać piosenkę „Heart and soul”.

- To jest mniej więcej także i mój poziom. - Siadam na ławie i klepię miejsce obok mnie. - Sprawdźmy, czy pamiętamy, jak to się gra.

- To będzie straszne. - Siada przy mnie. - Co mam grać?

- Ja gram tę łatwiejszą część. - Zaczynam, powtarzając „du, du, du, du”, by utrzymać rytm. Jacob śmieje się ze mnie. Wykrzywiam twarz w pociesznym grymasie. Z początku gramy okropnie, mylimy się, wypadamy z rytmu i przerywamy, ale z czasem zaczyna nam iść lepiej i przynajmniej można rozpoznać melodię.

Kołyszemy się na boki w rytm muzyki, a Jacob śpiewa:

- Całym sercem i duszą zakochałem się w tobie... Dołączam do niego:

- Serce i dusza jak różowy szampon...

Na poczekaniu, naprędce wymyślamy pozbawione sensu strofy i gramy, aż w końcu krzyczę: -Jak to skończyć?!

- A tak - mówi Jacob i po prostu przestaje grać. Idę

za jego przykładem i tylko raz jeszcze pozwałam sobie głośno zawyć: - Du, du!

Oboje podskakujemy nerwowo, słysząc oklaski. Odwracamy się. W drzwiach stoją mama i Paul; śmieją się i klaszczą w dłonie. Wstajemy i kłaniamy się afektownie.

- To było wspaniałe - mówi mama. - Ale mam wrażenie, że pianino jest rozstrojone.

- Raczej my jesteśmy rozstrojeni - żartuje Jacob.

- Ja zawsze taka byłam - mówię. Pan Chelsey nie posiadał się ze szczęścia, gdy Milton bezbłędnie rozpoznawał nuty bez patrzenia, a Hopkins błyskawicznie nauczyła się je czytać. Tymczasem przy mnie powtarzał: „Czy ty nawet nie słyszysz, że to nie ta nuta? Naprawdę tego nie słyszysz?”. Nie słyszałam.

- Od dawna nie zapraszam tu stroiciela - mówi mama. - Milton nie chciał grać, mimo że go o to prosiłam. Ma doskonały słuch... Ostatni raz stroiciel był tu chyba ponad trzy lata temu. Powiedział wtedy, że pianino jest w zupełnie dobrym stanie. - Podchodzi bliżej. - O - mówi. Unosi nuty leżące na pianinie od czasu, gdy któreś z nas grało po raz ostatni. - Dvorak - mówi cicho.

Nic nie wiem o Dvoraku. Nie, to nieprawda. Wiem jedno: jest ulubionym kompozytorem mojej mamy. I wiem, że niezależnie od tego, jaki to utwór, nie potrafiłabym go zagrać.

- Hopkins zawsze tak pięknie to grała... - mówi z rozmarzeniem mama, patrząc na nuty. - Brakuje mi jej gry.

- A grywa teraz? - pyta Paul.

- Nie wiem. Podejrzewam, że nie ma pianina w swoim

mieszkaniu... - Mama wyprostowuje się w nagłym przypiływie energii. - Powinna wziąć to pianino! Ze też do tej pory nie przyszło mi to do głowy! Niełatwo będzie je wnieść po schodach, ale są przecież w Nowym Jorku firmy, które wnoszą nie takie rzeczy i jakoś dadzą sobie radę. Jeśli Hopkins będzie miała pianino, może znowu zacznie grać.

- Eloise... - wtrąca niepewnie Jacob. - Keats mówiła, że chciałyby je wziąć.

- Naprawdę? - Mama patrzy na mnie zaskoczona.

- Niekoniecznie. - Czuję, że się czerwienię. Mam ochotę zabić Jacoba. - Tak mi tylko przemknęło przez myśl, ale uważam, że Hopkins powinna je dostać. Właściwie to ono należy do niej.

- Jesteś pewna? - pyta mama. - Chcę potraktować was sprawiedliwie.

- W naszym mieszkaniu nie ma miejsca na taki instrument.

- A więc dobrze - mówi mama i szybko przykleja żółtą karteczkę do pianina. - Ale chcę, żebyś wybrała sobie coś równie wartościowego, Keats. Najlepiej tak okazałego jak pianino. - Rozpaczliwie rozgląda się po salonie. - O! Zawsze podobał mi się ten obraz. - Wskazuje największe rozmiarem dzieło sztuki w pokoju, abstrakcyjny bohomas z liniami przecinającymi grube, ciemne warstwy farby.

- Naprawdę? - pytam zdziwiona, marszcząc nos. - Dlaczego? Sprawia wrażenie urażonej.

- Mniejsza o to. Po prostu... się rozejrzyj. I wychodzi z pokoju.

Udaję się do niewielkiej ciemnej biblioteki na parterze. Liczne, niedbale ułożone książki wypadają z półek. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdują się dwa zniszczone skórzane fotele, przy których stoją pochyłe lampy, jednak jedynym przedmiotem, który można by przenieść do naszego nowoczesnego, kompletnie umeblowanego mieszkania, jest niewielki okrągły stolik. Leżą na nim książki z wystającymi zakładkami albo otwarte i obrócone kartkami w dół, tak jakby ktoś miał za chwilę wrócić do lektury. Jednak pokrywająca je warstwa kurzu świadczy o tym, że nie były ruszane od dłuższego czasu.

Mama jest czytelniczką zachłanną, ale chimeryczną. Trzyma swe lektury w rozmaitych pomieszczeniach w domu i zawsze którejś szuka. Jeśli książka wciągnie ją naprawdę, mama nie odłoży jej, dopóki nie skończy. Uważa, że dzieci i obowiązki mogą wtedy poczekać.

Stolik mi się podoba. Odrywam z bloku karteczkę i przyklejam do blatu.

- Dobry wybór. - Słyszę za sobą głos Jacoba. Ma okropny zwyczaj zachodzenia ludzi z tyłu.

Nie odpowiadam; wciąż jestem na niego zła za tę historię z pianinem. Kto dał mu prawo do odzywiania się w moim imieniu? Do wprawiania mnie w zakłopotanie?

- Twój tato potrzebuje lamp - mówi, nie zwracając uwagi na moje dąsy. Przechyla głowę, by przyjrzeć się dwóm stalowo-miedzianym stojącym lampom. - Myślisz, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli przeznaczę te lampy dla niego?

- Nie. Śmiało. - Podchodzę do półek. Są wypełnione gromadzonymi od wielu lat książkami upchanymi

na tysiąc możliwych sposobów. Zastanawiam się, jak mama zamierza je rozdysponować; chętnie wybrałabym kilka dla siebie.

- Świetnie grasz „Heart and soul”, Keats.

- Wiem. Powinnam wystartować w konkursie.

- Naprawdę mi się podobało. Nie odpowiadam.

Nalepia karteczki na lampy. Ociąga się z wyjściem, jakby czekał, aż coś powiem, ale tylko się przechadzam wzdłuż półek, oglądając książki, wazon, obrazki. W końcu zaczyna:

-Hej, czy...

I właśnie wtedy dzwoni mój telefon. Unoszę dłoń, dając Jacobowi znak, by poczekał, i odbieram połączenie. To Tom.

- Już skończyłaś?

Obiecuję mu, że niedługo stąd wyjdę, a kiedy kończę rozmowę, Jacoba nie ma już w bibliotece, a mama woła nas wszystkich do jadalni.

Deser stanowi kupione wcześniej i przełożone na ozdobny talerz ciasto beżowe z odrobiną bitej śmietany (wyciśniętej z pojemnika) i kilkoma truskawkami na wierzchu. Mama nie zadała sobie nawet trudu, by usunąć szypułki. Ciasto jest smaczne, przyjemnie słodkie, tak więc Milton (który wrócił, mimo że nie ma lodów), Paul i ja szybko je pochłaniamy i chętnie zgadzamy się na drugą porcję zaproponowaną przez mamę. Jacob zjada większą część swojego deseru, ale odmawia dokładki, a mama nie dokrawa sobie porcji, tylko odłamuje od ciasta małe kawałki i je palcami.

Dostaję SMS-a. Tom pyta, czy wracam do domu, więc po zjedzeniu drugiego kawałka ciasta odsuwam krzesło od stołu i mówię, że muszę już się pożegnać.

- Wyjdę z tobą. - Jacob zrywa się na nogi.

Paul towarzyszy mamie idącej za nami do przedpokoju. Opuszczam dom, zaniepokojona tym, że Paul machał nam na pożegnanie, jakby był tu gospodarzem.

- Kocham mojego nowego tatusia - mówię, ledwie zamykają się za nami drzwi. - Jest taki duży i silny... na pewno zbiłby mojego starego tatusia na kwaśne jabłko.

- Wydaje mi się sympatyczny - mówi Jacob. - A poza tym chyba nie musisz się obawiać, że twoja mama za niego wyjdzie.

- Tylko tak sobie żartowałam.

- Domyśliłem się.

Na trawniku od dawna królują okazałe chwasty, a drzewa tworzące szpaler przy podjeździe nie były przycinane od lat, więc w drodze musimy odgarniać gałęzie.

- Myślę, że niedługo się zobaczymy - mówię, kiedy dochodzimy do miejsca, gdzie powinniśmy się rozstać.

- To bardzo prawdopodobne. - Jacob szybko całuje mnie w policzek, a potem, cofając się, rzuca bezceremonialnie: - A może chciałabyś wstąpić gdzieś na drinka? Albo pójść do kina? Nie jest jeszcze późno.

Kręcę głową.

- Nie mogę. Tom na mnie czeka.

- Och, przepraszam. Myślałem, że pewnie gdzieś wyjechał albo jest bardzo zajęty, skoro nie przyszedł z tobą.

- Nie, on po prostu nie cierpi mojej rodziny.
 - Naprawdę?
 - Przesadziłam z tym „nie cierpi”. Po prostu niełatwo jest się czuć swobodnie w ich towarzystwie.
 - Nie przesadzaj. To dobrzy ludzie.
 - Teraz to ty przesadzasz - mówię i rozchodzimy się każde w swoją stronę.
 - Cieszę się, że mnie tam nie było - mówi Tom, kiedy mu składam relację. - Co postanowiłaś w sprawie pianina?
 - Nie biorę go. - Siedzimy na łóżku, z którego oglądał jakiś kryminał z lat osiemdziesiątych, kiedy przyszedłam do domu. Natychmiast zdjęłam buty i położyłam się obok niego. Teraz przytulam się mocniej i opieram głowę o poduszkę tuż obok jego głowy. - Pomyślałam, że to nie byłoby rozsądne, skoro oboje nie koncertujemy.
 - To dobrze - mówi Tom. - Nie chciałem tu mieć pianina.
 - Mogłeś mi powiedzieć, kiedy o to pytałam. Wzrusza ramionami. Czuję, jak jego ręka ociera się przy tym o moją.
 - Nie chciałem się sprzeciwiać, skoro to miało dla ciebie znaczenie.
 - Bardzo miło z twojej strony.
- Tom przechyla głowę i trzepoce rzęsami.
- Bo ja w ogóle jestem bardzo miły. - Przez chwilę w milczeniu oglądamy film, a kiedy ukazuje się reklama, mówi: - Więc twoja mama się zakochała, he?
 - Nie określiłabym tego w ten sposób... Żałuję, że go

zaprosiła... jakoś dziwnie się czułam. Zastanawiam się, czy Milton też się tym niepokoi.

- Milton nie zauważa niczego poza tym, czy jego Internet bezprzewodowy działa.

- To prawda.

Tom ociera się policzkiem o czubek mojej głowy.

- Naprawdę nie rozumiem, jak to możliwe, że ktoś taki jak ty urodził się w rodzinie takiej jak twoja. To jest dla mnie wielką zagadką.

- Widocznie jestem mutantem.

Rozdział 5

Hopkins planuje krótką wizytę w Bostonie, ale na dzień przed jej spodziewanym przybyciem syn jakiegoś kongresmena z Ohio upija się, spada ze wzgórza, uderza głową o skałę i doznaje urazu mózgu. Hopkins zostaje wezwana na konsultację, więc swoje plany przyjazdu do domu odkłada na czas nieokreślony.

Dowiaduję się o tym dopiero kilka dni później, kiedy mama skarży mi się przez telefon, że Hopkins zażądała, by nie wyrzucała nic ważnego, ale nie powiedziała jasno, co się zalicza do tej kategorii.

- Panicznie się boję pozbyć czegokolwiek, co należy do niej - mówi. - Ale agenci od nieruchomości, z którymi rozmawiałam, zgodnie twierdzą, że muszę zlikwidować ten bałagan, zanim będą mogli pokazać dom klientom. - W tle rozlega się grzechot i choć nie mam pojęcia, co go wydaje, wyobrażam sobie mamę, jak krąży po kuchni w trakcie rozmowy, popycha różne przedmioty, bynajmniej ich nie porządkując, przekłada papiery z miejsca na miejsce, otwiera i zamyka drzwiczki szafek. Jest w bezustannym ruchu, z którego nic nie wynika.

Ja natomiast siedzę wygodnie zwinięta w fotelu przy swoim biurku w pracy, popijam letnią kawę z kubka i zastanawiam się, czy powinnam sobie pozwolić na jeszcze jedną muffinkę. Choć jest wczesne przedpołudnie, uporałam się już z większością zadań, jakie miałam do wykonania tego dnia. Podoba mi się w mojej pracy między innymi to, że jest taka łatwa. Prawdę mówiąc, głównie za to lubię moją pracę.

- Nie możesz po prostu spakować jej rzeczy do pudeł i na razie upchnąć w garażu? - pytam.

- Garaż jest już pełny. I nie chcę mnożyć pudeł, które trzeba będzie później przeglądać. Wystarczy już tych, które mamy. Agent, z którym się widziałam w zeszłym tygodniu, a chyba właśnie jego wybiorę, powiedział, że dom wygląda, jakbyśmy się nie skończyli wyprowadzać. Och, to mi o czymś przypomina! Dlatego do ciebie dzwonię. Syn tego agenta chodził z tobą do jednej klasy. Cameron Evans. Pamiętasz go?

- Słabo. - Był chudym blondynem z trądzikiem i lubił dużo mówić podczas lekcji. - Bywaliśmy na tych samych zajęciach, ale się nie kolegowaliśmy.

- Prowadzi teraz interes ze swoim ojcem. - Jej głos zaczyna brzmieć trochę zbyt obojętnie. - Dostałam jego adres e-mailowy... może byście się umówili na kawę i odświeżyli znajomość?

Odpowiadam lodowatym tonem:

- Pomyślałabym, że próbujesz mnie swatać, mamó, ale to by oczywiście nie miało sensu, skoro wiesz, że mieszkam ze swoim długoletnim chłopakiem i jesteśmy razem bardzo szczęśliwi.

- Nie próbuję cię swatać. Myślę po prostu, że miło się ponownie spotkać ze starymi znajomymi. Poza tym powinnaś więcej wychodzić z domu, widywać różnych ludzi, nie tylko Toma. Nawet zakładając, że jest dla ciebie odpowiednim partnerem na stałe - w jej ustach brzmi to niewiele bardziej prawdopodobnie niż przypuszczenie, że piekło kiedyś zamarznie - skąd będziesz to wiedzieć na pewno, jeśli nie masz z kim porównać?

- To nadal wygląda na próbę swatania - mówię. -Ja już wiem, że Tom jest dla mnie stworzony. Nie muszę pić kawy z tabunami przypadkowych facetów, żeby się o tym upewnić.

Pociąga nosem.

- Wiem, zdaje ci się, że już wszystko rozumiesz. W twoim wieku myślałam tak samo. Ale teraz, odkąd się znowu umawiam na randki, odkrywam u mężczyzn cechy, o jakich mi się nawet nie śniło...

- Tak? Opowiedz mi o niespodziewanie odkrytych cechach Paula Silvestriego.

- Paul jest bardzo miły.

- Nigdy ci się nawet nie śniło, że mężczyzna może być miły?

- W pewnym sensie tak. „Miły” to nie jest pierwszy przymiotnik, jaki przychodzi do głowy, kiedy się opisuje twojego ojca.

- Chcesz powiedzieć, że tato jest niemiły?

- Nie, oczywiście nie. Po prostu... nie ma w sobie zbyt wiele ciepła.

- Racja. - Oglądam swoje paznokcie i zastanawiam się, czy powinnam je wieczorem pomalować. Nie zawsze

maluję paznokcie, ale czasami nachodzi mnie taki nastrój, że lubię użyć lakieru w jakimś zwariowanym kolorze. - Natomiast Paul bucha ciepłem. Jeśli właśnie tego szukasz, to znalazłaś. Wielki, parujący zbiornik ciepła.

- Niczego nie szukam - odburkuje. - Chcę jedynie zaznać trochę radości.

- Ja też. A radość sprawia mi wracanie do domu do Toma, a nie wysiadywanie na jakichś żalonych randkach w ciemno, bo moja matka nie wierzy w trafność mojego wyboru.

- Bardzo przepraszam za sugestię, że mogłabyś zechcieć odnowić znajomość z dawnym kolegą ze szkoły - mówi. - Cóż ze mnie za okropna matka wtrącająca się w życie swej córki.

- Och, daj spokój - proszę. - Nie jesteś aż taka zła. Następuje pauza, a potem śmiech.

- Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego chciałam mieć dzieci.

- Jestem pewna, że miałaś swoje powody.

- Jakoś mi wyleciały z głowy... Och, Keats, wyświadczysz mi przysługę? Zadzwoń do Miliona i z nim porozmawiaj. On nie chce przyjąć do wiadomości, że próbuję sprzedać dom. Ilekroć o tym wspominam, zachowuje się, jakby mnie nie słyszał, albo zmienia temat.

- Jestem pewna, że nie może znieść myśli o przeprowadzce.

- Też tak sędzę. Najgorsze, że nie chce wpuścić agenta nieruchomości do swojego pokoju, ale kiedy dom znajdzie

się już na rynku, a mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce, nie będzie miał wyboru. Pomyślałam, że może gdybyś ty z nim porozmawiała...

- On z dnia na dzień coraz bardziej dziwaczeje. Mamo, musisz zacząć go zmuszać, żeby wychodził z domu.

- Łatwo powiedzieć.

- Wiem, ale...

Nie daje mi dokończyć.

- Mam teraz dużo na głowie, Keats: dom, wyprowadzka, rozwód... Pozwól mi się zająć wszystkim po kolei. -Martwi mnie jej głos, jest dziś chropawy i jakby zduszony. Znam to brzmienie i wcale mi się nie podoba. Niemal zawsze poprzedza załamaniem. - Spróbuj pomóc, zamiast krytykować, dobrze?

- Spróbuję, ale jestem jedną z Sedlaków. - Może się mylę co do jej głosu. Mam nadzieję, że się mylę.

- Mam ci dać Miliona do telefonu?

- Nie, rozmawiam z nim na czacie. On tak woli. Rozłączamy się i wykonuję odrobinę pracy - wysyłam

kilka notatek służbowych, dzwonię w sprawie zamówienia na przyjęcie pożegnalne, które ma się odbyć pod koniec tygodnia, tego rodzaju rzeczy - a potem uznaję, że mogę sobie zrobić kolejną przerwę, i zaczynam czatować z Miltonem. „Jak leci?”.

Odpowiedź przychodzi po paru sekundach. Co do mojego brata jedno jest pewne: zawsze można go zastać przed komputerem.

„Spoko”.

„Mama cię doprowadza do szału?”.

„Tylko kiedy nie śpi”.

„Trochę się o nią teraz martwię. Daj mi znać, gdyby nastąpiło załamanie”. „Okej”.

„Wygląda na to, że poważnie myśli o sprzedaży domu”. „Czemu miałyby na ten temat żartować?”. „Wiesz, o co mi chodzi. Będzie ci brakowało twojego, pokoju?”.

„Nie, bo nie mam zamiaru go opuszczać”.

„No to pozostaje ci mieć nadzieję, że ten, kto kupi dom, zawsze chciał mieć syna”.

„Mama go nie sprzeda. Tato jej nie pozwoli”.

„On już nawet tam nie mieszka”.

„Ale to nadal jego dom. Tato może zechcieć wrócić”.

Kręcę głową, choć Milton mnie nie widzi. Zaczynam odpisywać coś na ten temat, ale szybko rezygnuję i zamiast tego piszę:

„Przeprowadzka może być super. Mógłbyś trafić w lepsze miejsce, gdzieś, gdzie można chodzić do restauracji i w ogóle”.

Nie ma natychmiastowej odpowiedzi, a kiedy w oczekiwaniu oglądam swoje paznokcie - fioletowy byłby niezły, myślę, ale nie jaskrawy, tylko o szarym odcieniu - dzwoni mój telefon.

Tom.

- Cześć, dziecinko.

- Ktoś tu ma dobry humor.

- To dlatego, że właśnie zrobiłem rezerwację na jutrzejszy wieczór.

- Gdzie?

- Niespodzianka. Ale to będą najlepsze urodziny w twoim życiu.

- Jesteś pewien, że nie przesadzasz?

- Jestem pewien. Aha, jeszcze jedno, wrócę dziś późno... tata chce, żebym zjadł kolację z nim i jakimś potencjalnym klientem.

- W porządku.

- Będę za tobą tęsknił. Żałuję, że muszę iść na tę kolację. Zadzwoń później.

Kiedy znów patrzę w ekran komputera, nadal nie ma odpowiedzi od Milтона. Próbuję go złapać. „Jesteś tam?”.

Nic. Może poszedł do łazienki. Albo zszedł na dół, żeby coś zjeść. A może po prostu daje mi do zrozumienia, że ma dosyć rozmowy.

- Masz czas, żeby gdzieś wyskoczyć? - Cathy wsuwa głowę do mojego boksu.

Cathy robi doktorat z pedagogiki na Uniwersytecie Massachusetts i prowadzi trochę zajęć z naszymi studentami. Przez ostatni rok zbliżyłyśmy się do siebie - w biurze, a właściwie w college'u, nie ma wielu osób przed trzydziestką, więc ilekroć jest gdzieś w pobliżu, wpada na kilkuminutową pogawędkę.

Dzisiaj trafiła w doskonały moment: ponieważ Tom idzie na kolację ze swoim tatą, pytam ją, czy nie wyszłaby ze mną zjeść coś na mieście.

- Pod warunkiem że nie będzie drogo. Żywię się zupkami błyskawicznymi, a mimo to do następnej wypłaty zostało mi jakieś pięć dolarów. - Cathy jest wysoka

i piegowata, ma szerokie ramiona i duże dłonie. Też jest ruda, ale jej włosy mają jaśniejszy odcień od moich i są bardziej proste. Wygląda jak dziewczyna z farmy, jakkolwiek wolny czas poświęca na czytanie i pisanie wierszy.

Proponuję bar w sąsiedztwie, w którym często jadamy z Tomem.

- Jest naprawdę tanio i do siódmej mają zniżki. Drink kosztuje dwa dolary, a półmisek kanapek z grillowanym serem trzy.

Brzmi to dla niej zachęcająco, więc spotykamy się na miejscu o szóstej i pijemy tanie wino przy wysokim stoliku nieopodal baru, wymieniając uwagi na temat naszych rodzin.

Cathy pochodzi z małego miasteczka w Missouri. Przyjechała na Wschodnie Wybrzeże do college'u, a potem została na studia uzupełniające. Twierdzi, że nigdy nie wróci na Środkowy Zachód, chyba że w odwiedziny. Całe jej rodzeństwo nadal mieszka tam, gdzie się urodziło; młodsza siostra jest już mężatką, ma jedno dziecko i spodziewa się drugiego. Według Cathy wszyscy z jej rodziny mówią jak wieśniacy, lecz ona ciężko pracowała, żeby się wyzbyć akcentu, i twierdzi, że słychać go tylko, kiedy się upije.

Stara się okazać współczucie, kiedy narzekam na swoich najbliższych, ale nie do końca rozumie, dlaczego tak trudno mi z nimi wytrzymać.

- Nie chodzi o to, że są szaleni - tłumaczę. - Z tym da się żyć. Problem polega na tym, że wszyscy są ode mnie bardziej inteligentni i nie potrafię im dotrzymać kroku. Nigdy nie umiałam.

- Domyślałam się, że to może być trudne - mówi niepewnym tonem. - Ale przynajmniej możesz z nimi prowadzić ciekawe rozmowy o literaturze czy sztuce. Moja siostra chce rozmawiać wyłącznie o pieluchach i tych porąbanych, wrednych psach, które z mężem hodują. Zresztą założę się, że wcale im nie ustępujesz inteligencją. Brak ci jedynie pewności siebie.

- Właśnie że ustępuję. A co do braku pewności siebie, to masz rację... - Opróżniam kieliszek do dna. - Napiję się jeszcze. Ty też masz ochotę?

- Ochotę mam, w przeciwieństwie do funduszy.

- Ja stawiam.

- Krępuje mnie, że będziesz za mnie płacić.

- Niepotrzebnie. Chcę ci postawić. Dobrze się bawię; Rzadko gdzie wychodzę bez Toma.

- Jak długo jesteście razem?

- Lada moment minie dziesięć lat.

- Nie mów... naprawdę?!

- Dziesięć lat - powtarzam. - Serio. Sprawia wrażenie zakłopotanej.

- Chwileczkę... to w jakim wieku się poznaliście?

- Poczekaj, zamówmy najpierw wino, a potem opowiem ci całą epicką historię naszej miłości.

Nie jest to wcale wielka historia. Nie poznaliśmy się w jakichś wyjątkowo romantycznych okolicznościach ani nie musieliśmy przezwycięzać żadnych trudności, więc nie dałoby się z niej zrobić nawet względnie przyzwoitego filmu.

To był tydzień, w którym przypadają moje piętnaste urodziny. W owym czasie miałam w życiu tylko jeden cel

- nie wyróżniać się z otoczenia, ale mieszkałam w dziwnym wielkim domu i miałam rodziców, którzy mało ze sobą rozmawiali, ojca, który niewiele mówił do swoich dzieci, młodszego brata, który w ogóle rzadko się odzywał, i starszą siostrę, której prawie nie znałam, ponieważ wcześniej wyjechała na studia, co nie przeszkadzało, by swą niesłychaną inteligencją wciąż obnażała moje niedoskonałości, nawet nie będąc przy tym fizycznie obecna.

Uciekałam od swojej rodziny tak często, jak się dało, spotykając się ze znajomymi w weekendy i po szkole, zwykle odwożona przez ich rodziców, bardziej uczynnych (i mniej zwariowanych) od moich.

Któregoś dnia matka mojej koleżanki Molly podrzuciła nas pod kino w Chestnut Hill w drodze na lekcję drukowania na jedwabiu. Molly zaprosiła jeszcze jedną koleżankę, Annę, którą znała z klubu dla snobów. Razem obejrzałyśmy film, a po seansie wstąpiłyśmy do barku ze świeżymi wypiekami, żeby coś przegryźć.

Anna zaproponowała, że odwiezie nas do domu.

- Mój starszy brat po mnie przyjedzie - oznajmiła. - Chętnie się zgadza wozić ludzi, bo poza tym ma niewiele do roboty. Uczy się w college'u, ale na weekendy zawsze przyjeżdża do domu.

- Dlaczego? - zdziwiła się Molly.

- Kurczę, nie wiem - odpowiedziała Anna. - Pewnie jest nieudacznikiem. Jak ja pójdę do college'u, to już nigdy do domu nie wrócę.

Wszystkie zgodnie stwierdziłyśmy, że jak tylko będziemy mogły uciec z naszych domów, nie wrócimy do nich już nigdy, chyba że po prezenty gwiazdkowe.

Brat Anny spóźnił się kilka minut i kiedy wreszcie podjechał, zaczęła wrzeszczeć, wyzywając go od durniów. Zdumiał mnie spokój, z jakim przyjął jej wybuch: przeprosił za spóźnienie, dodając, że próbował się do niej dodzwonić, ale nie odbierała komórki.

- Wyłączyłam na czas filmu - odburknęła.

- Cóż, próbowałam - powiedział łagodnym tonem.

Anna kupiła czasopismo z quizem, który chciała rozwiązać z Molly, więc kazała mi usiąść z przodu. Podczas gdy one sadowiły się na tylnym siedzeniu ze swoim czasopismem, ja zapięłam pas i ukradkiem przyjrzałam się starszemu bratu Anny, który był bardzo, ale to bardzo przystojny. Szerokie ramiona, krótko obcięte gęste włosy, miłe dla oka rysy twarzy. Miał muskularne uda, co było widać przez dżinsy, jeśli się popatrzyło.

A ja patrzyłam.

Był stanowczo za dorosły i zbyt atrakcyjny, żebym miała odwagę do niego zagadać, więc po wstępnym „cześć” w ogóle się nie odzywałam.

Jednak po kilku minutach ciszy on spojrzał na mnie i powiedział:

- Jestem Tom, tak na marginesie.

- Ja jestem Keats.

- Keith? - spytał, unosząc brwi w wyrazie zakłopotania. Wyjaśniłam pochodzenie mojego imienia, na co ze śmiechem oznajmił: - Naprawdę mi się zdawało, że powiedziałaś Keith.

Wtedy ja też zachichotałam i przez chwilę śmialiśmy się oboje, a potem czułam, że możemy już rozmawiać, dlatego zapytałam go o college i powiedział mi, że jest

w porządku, ale ma stukniętego współlokatora, więc przyjeżdża do domu, kiedy tylko może, na co ja powiedziałam, że bardzo mu współczuję, bo sama mam stukniętą rodzinę, tylko że nie mogę od niej uciec - na razie - i opowiedziałam mu trochę o moim tacie, na przykład o jego straszliwym roztargnieniu, przez które raz chciał wyjść z domu w samych bokserkach. Jakiś rok wcześniej odkryłam, że najbardziej żenujące historie dotyczące moich rodziców można zmienić w zabawne anegdoty, jeśli się je przedstawi odpowiednim tonem, i oczywiście starszy brat Anny był zachwycony.

Zakładał, że jestem w wieku jego siostry, ale tak naprawdę Anna była ode mnie o rok starsza. Nawet gdybym miała szesnaście lat jak ona, różnica wieku pomiędzy mną i Tomem nadal byłaby ogromna.

Wysiadłam z samochodu podekscytowana i z rumieńcami na policzkach, bo nawiązałam znajomość z tak dojrzałym mężczyzną. Podczas gdy moje (niemądre, dziecinne) koleżanki chichrały się z tyłu nad swoim quizem „Jesteś typem księżniczki, artystki grunge'owej, hippiski czy modelki?”, Tom i ja rozmawialiśmy z sobą jak równy z równym.

- Do zobaczenia - powiedział, kiedy zamykałam drzwi samochodu, i wymieniliśmy spojrzenia mówiące: „Coś zaszło”.

Moje przyjemne oszołomienie szybko wyparł uzasadniony pesymizm - mogłam zakładać, że już nigdy więcej nie zobaczę brata Anny. Żaden student college'u nie zapraszał na randki piętnastolatki (ani szesnastolatki,

bo Tom sądził, że tyle mam lat). Poza tym nawet nie przyjaźniłam się z jego siostrą, więc trudno było liczyć, że przypadkiem na niego wpadnę.

Jednak kiedy w szkole przyglądałam się moim rówieśnikom, wydawali mi się głupi, pryszczaci i niezgrabni, tak nieciekawi w porównaniu z Tomem Wellsem, że musiałam spróbować. Po prostu musiałam.

Potrzebowałam trochę czasu na zebranie odwagi, by zadzwonić do Molly i zaproponować jej, żebyśmy zaprosiły Annę do kina w następny weekend.

- Jest bardzo miła - dorzuciłam zachęcająco.

- Tak, jest w porządku - przyznała Molly bez entuzjazmu. - Nie rozłączaj się, zaraz z nią pogadam. - Zadzwoiła do Anny; niski męski głos powiedział, że ją poprosi do telefonu. Słyszając Toma, poczułam dreszcze na całym ciele; zacisnęłam mocno uda, skulona na skraju mojego łóżka - zabrałam telefon do sypialni, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

Kiedy omawiały szczegóły wyprawy, wtrąciłam najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć:

- Hej, Anno, może zaprosisz też swojego brata, żeby obejrzał film razem z nami? Dzięki temu mógłby nas zawieźć i przywieźć.

- Dobrze - zgodziła się Anna. - Jest takim nieudacznikiem, że pewnie się zgodzi.

Kilka miesięcy później Tom mi się przyznał, że zapytał wówczas siostrę, z którymi koleżankami się umawia, a kiedy wspomniała o rudej dziewczynie z dziwnym imieniem, zgodził się natychmiast. I od razu postanowił usiąść w kinie obok mnie.

- Już wtedy wiedziałem, że istnieje między nami jakaś więź - powiedział. - Nie liczyło się, że jesteś ode mnie tak dużo młodsza. Po prostu czułem, że tak ma być.

Ma się rozumieć, nie wiedział jeszcze, jak dużo młodsza. To się wydało później. I na jakiś czas go odstraszyło, ale wrócił, bo oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Nasz związek dojrzewał razem z nami. Z początku wszystko przebiegało bardzo powoli. Tom nie ponaglał mnie do niczego, na co nie byłam jeszcze gotowa. Był cierpliwy, delikatny i troskliwy. Przez ponad rok poprzestawaliśmy na graniu w minigolfa, w kręgle i na chodzeniu do kina, zawsze odwoził mnie do domu na czas i nie pozwalaliśmy sobie na nic więcej poza całowaniem.

Byłam z tego zadowolona, ale też się bałam, że go stracę z tego powodu.

W istocie w ciągu następnych paru lat miał kilka jednorazowych przygód, do których mi się później przyznawał z płaczem, nękany poczuciem winy i lękiem, że go zostawię. Nie podobało mi się to, ale mu wybaczałam. Może nawet z pewną ulgą - sama nie byłam jeszcze gotowa na seks, a on znalazł sposób na rozładowanie napięcia i zawsze do mnie wracał.

Kochał mnie. Właśnie to pozwoliło nam przetrwać początkowe kłopoty i różnicę wieku. Tom Wells zakochał się we mnie w momencie, gdy wskoczyłam na przednie siedzenie jego auta, i od razu wiedział, że jestem tą jedyną, z którą pozostanie już na zawsze. A jeśli to znaczyło, że musi trochę poczekać, zanim będziemy

mogli ze sobą sypiać, był gotów czekać. Zaangażował się w związek na dłuższą metę. ;

Ja zresztą także, wbrew często wyrażanym przewidywaniom matki, że stracę zainteresowanie Tomem, gdy z wiekiem stanę się bardziej wybredna. Wreszcie miałam w życiu kogoś, kto zawsze mnie wspierał, kto mógł mnie zabrać z tego wariatkowa, które nazywałam swoim domem, kto mi powtarzał, że jestem mądra i piękna, kto naprawdę wierzył w to, że jestem mądra i piękna i nie stanowiąc nieudanej, rozczarowującej kopii Hopkins. Tom był dobry, czuły, przystojny, lojalny, stały w uczuciach, był mi bezpieczną przystanią zawsze, gdy tego potrzebowałam, przytulnym domem, w którym mogłam się schronić.

Mało która dziewczyna w wieku piętnastu lat znajduje swojego księcia z bajki. Podejrzewam, że to szczęście wynagradza mi niedostatki intelektu.

Rozdział 6

- Niewiarygodne - mówi Cathy, kiedy kończę swą opowieść. Wmiotła całe dwa talerze grillowanego sera, w sumie sześć małych kanapek. Domyślam się, że to miła odmiana po chińskich zupkach. - Twoim rodzicom nie przeszkadzała różnica wieku?

- Nie byli zachwyceni, ale to nie w ich stylu zakazywać mi się z nim spotykać. Pamiętam, że ojciec przed laty wplótł do rozmowy z Tomem słowa „uwiedzenie nieletniej” jako żart, co daje pewne pojęcie o jego poczuciu humoru. Ale pozwalali mi robić, co chciałam.

- Nie wiem, czemu mnie to tak dziwi. Moi rodzice mieli po jakieś osiemnaście lat, kiedy się pobrali. Ale tutaj na Wschodnim Wybrzeżu jest inaczej, ludzie zakładają rodziny w znacznie starszym wieku. Mieszkacie razem, prawda?

- Owszem, od kiedy skończyłam studia. Ale wcześniej spędzałam z nim wszystkie weekendy. Jego pierwsze mieszkanie było okropne, po moim dyplomie znaleźliśmy ładniejsze. Formalnie to jego mieszkanie, lecz wybraliśmy je razem.

Cathy potrząsa głową. Rude kosmyki fruują jej nad czołem. Niedawno je ostrzygła, trochę za krótko jak

na osobę tego wzrostu; jej głowa wydaje się za mała w stosunku do reszty ciała. Ale za to ma piękne oczy, duże, zielone i myślące.

- Ja najdłużej byłam ze swoim chłopakiem z college'u, a i tak nasz związek nie przetrwał nawet dwóch lat. -Chrupie spieczoną skorupkę sera. - Od wieków nie miałam randki. Po prostu nie poznaję nikogo nowego.

- A ja w ogóle miałam w życiu jednego chłopaka. Nigdy się z nikim innym nie umawiałam.

- A miałaś ochotę?

- Właściwie nie. Chodzenie na randki wydaje mi się jakieś dziwne... trzeba rozmawiać z obcym facetem, doszukiwać się jakichś wspólnych zainteresowań... - Urywam i pochylam się ku niej gwałtownie. - Wiesz, co jest najdziwniejsze?

-Co?

- Moja matka teraz chodzi na randki.

- Twoja matka? O czym ty mówisz? Myślałam, że jest żoną twojego ojca.

- Formalnie tak. Ale są w trakcie rozwodu, więc się wyprowadził. - Wzmianka o mieszkaniu taty przywodzi mi na myśl Jacoba... i nagle wpadam na doskonały pomysł.

Milknę w połowie zdania i przez moment się zastanawiam.

- Tak, jest doskonały.

- Dobrze się czujesz? - pyta Cathy.

- Świetnie. Myślę tylko... Co byś powiedziała, gdyby ktoś cię umówił na randkę w ciemno?

- Zależy od umawiającego. Gdyby to była moja babcia, wiałabym w przeciwnym kierunku. Ale jeśli chodzi o ciebie... Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Owszem, świetnego chłopaka, który pracuje dla mojego taty... - Barman przerywa mi, podchodząc z kolejnymi dwoma kieliszkami wina. - Nie zamawiałyśmy tego - protestuję.

Ruchem głowy wskazuje na drugi koniec baru.

- To od tamtych dwóch facetów. Kazali powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widzieli dwóch pięknych rudych kobiet naraz i chcą wam przynajmniej postawić coś do picia.

Cathy szeroko otwiera usta z zaskoczenia i rozbawienia.

- Gdzie? Tamci dwaj? Na końcu? - Zerka dyskretnie. Mężczyźni nas obserwują. Szybko opuszcza głowę, lekko się rumieniąc. - Proszę im powiedzieć, że dziękujemy.

Barman potakuje i odchodzi. Jest prawdziwym bo-stończykiem, dużym i szorstkim w obejściu, i ma chrapliwy głos z akcentem przywodzącym na myśl drapanie paznokciami po tablicy. Patrzymy ukradkiem, jak przekazuje wiadomość; zaraz potem mężczyźni uśmiechają się do nas i ruszają w naszą stronę.

- O Boże! - wzdycha Cathy. - Oni chcą się przysiąść! Spodziewałaś się tego?

Zaprzeczam ruchem głowy. Nie mam żadnego doświadczenia w barowych flirtach, bo nigdy nie byłam singielką. Najwyraźniej Cathy też ma o nich niewielkie pojęcie.

- Może przekazanie im wiadomości przez barmana było czymś w rodzaju zaproszenia? - mówię.

- Chyba możemy z nimi chwilę porozmawiać? - pyta Cathy szeptem, kiedy są już prawie przy nas. - Inaczej byłoby nieuprzejmie?

Zaraz potem oblewa się pąsem i milknie, gdy zaczynają zagadywać, więc jestem zmuszona wziąć na siebie całą rozmowę - tak, to zabawne, że obie mamy rude włosy, ale nie jesteśmy spokrewnione, przyjaźnimy się po prostu, poza tym odcienie naprawdę się różnią, nie, nie to nas do siebie zbliżyło, tak naprawdę pracujemy w tym samym college'u, a co oni robią?

Pracują w dużej firmie ubezpieczeniowej, prowadzą analizy finansowe, to jest nudne, jak sami radośnie przyznają, ale co tam, w dzisiejszych trudnych czasach to pewna robota, więc nie narzekają, ani trochę.

Jest trochę mowy o tym, skąd kto pochodzi; wyższy z nich okazuje spore zainteresowanie faktem, że Cathy jest ze Środkowego Zachodu, i przesuwają się bliżej niej, żeby o tym porozmawiać, bo mimo iż sam dorastał w Stoughton, zaledwie pół godziny stąd, jako młody chłopak często odwiedzał krewnych w Michigan, co daje mu prawa honorowego obywatela Środkowego Zachodu, czyż nie?

Niższy wciska się pomiędzy mnie a Cathy, zręcznie zmieniając ogólną rozmowę w dwie oddzielne, prowadzone w parach. Jest dość miły i kiedy gawędzimy o dobrych barach w pobliżu, zastanawiam się, jak by to było spotykać się z kimś, kto nie jest ode mnie wyższy prawie o głowę. Zawsze mi się podobały gabaryty Toma. Kiedy się obejmujemy, dotykam czołem jego piersi, czuję się z tym bezpiecznie i przytulnie, ale to oznacza, że muszę odchylić głowę do tyłu, żeby mu spojrzeć w oczy, a podczas uprawiania seksu nasze twarze nie znajdują się na jednej wysokości. Głupio narzekać na coś takiego

i ja wcale nie narzekam. Ale tak to jest, kiedy się miało tylko jednego partnera w życiu - człowiek się zastanawia, jak by to było, gdyby było inaczej, nie dlatego że chce, by było inaczej, tylko jest trochę ciekawy.

Rozmawiam grzecznie z Tym Niższym, podczas gdy Cathy rumieni się i duka do Tego Wyższego (ta dziewczyna musi częściej wychodzić z domu), ale po kilku minutach mam dosyć. To znaczy, chcę pomóc Cathy, może ona i Ten Wyższy mają przed sobą przyszłość, ale takie podchody są nudne, jeśli w gruncie rzeczy nie szuka się znajomości. Wychyłam się w bok, żeby móc dać Cathy sygnał zza torsu Tego Niższego.

- Naprawdę muszę niedługo wracać do domu - mówię do niej.
- Przykro mi. Ale ty powinnaś zostać.

- Zaczekaj - prosi Ten Niższy. - Chcesz już iść? Dlaczego? Musisz umyć te swoje rude włosy czy co? - Mruga porozumiewawczo.

- Tak - potwierdzam, zsuwając się ze stołka. - Właśnie to muszę zrobić.

- Ja też już lepiej pójdę - mówi Cathy i również podnosi się z miejsca.

- Och, daj spokój - zwraca się do niej Ten Wyższy. - Nie daj jej się stąd wyciągnąć. Pozwól, że ci postawię następnego drinka.

Cathy sprawia wrażenie lekko przerażonej. Jest mądrą dziewczyną i szanowanym pedagogiem, a w przyszłości prawdopodobnie zostanie dyrektorką liceum, ale w tej chwili wygląda jak pięciolatka, która się zgubiła swojej mamie.

- Chyba powinnam iść - mówi nerwowo.

- Dajcie nam przynajmniej numery telefonów - prosi Ten Wyższy.

- To wy nam dajcie swoje - odpowiadam. Myślę, że w tym momencie już wiedzą, że zmarnowali dziesięć dolarów na nasze drinki. Cierpkimi głosami dyktują kolejne cyfry, a ja tylko udaję, że wprowadzam je do swojej komórki.

Już na zewnątrz Cathy mówi:

- To było nawet dość zabawne, nie uważasz? Nikt wcześniej nie posłał mi drinka. Ale ja rzadko bywam w barach.

- I to z pewnością jest wytłumaczenie. Wiesz co, mogłabyś wysłać SMS-a temu facetowi i zobaczyć, co odpisze. Gdybyś uznała, że jest miły, mogłabyś...

Ale ona już kręci głową przecząco.

- Za bardzo pokręcone.

Zegnamy się i dopiero w samochodzie uświadamiam sobie, że nie dokończyłyśmy rozmowy na temat umówienia jej z Jacobem. Nadal mi się wydaje, że to dobry pomysł. Oboje są na studiach doktoranckich. Oboje inteligentni i nastawieni na karierę akademicką. Żadne z nich nie pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża. Oboje są względnie atrakcyjnymi nerdami. Ani jedno, ani drugie zbyt często się nie umawia na randki.

Istnieje, trzeba to przyznać, raczej niekorzystna różnica wzrostu - Cathy prawdopodobnie patrzyłaby na Jacoba z góry - ale znam podobne pary i nie stanowi to wielkiego problemu. Jest nawet w pewnym sensie ujmujące. Wolałabym wprowadzić, żeby Cathy miała trochę więcej... odwagi, to chyba jest najważniejsze słowo - bywa czasami przesadnie skromna - lecz Jacob też nie słynie

z przebojowości. Jest zabawniejszy od niej i może trochę bardziej błyskotliwy i ciekawszy w rozmowie... ale ogólnie dobrze do siebie pasują.

Tylko trochę mi głupio powiedzieć Jacobowi, że chcę go z kimś umówić. Nigdy nie wspominał o swoim życiu uczuciowym ani mnie, ani nikomu innemu, o kim bym słyszała, więc byłoby dziwnie tak znenacka powiedzieć: „To jest numer dziewczyny, która powinna ci się spodobać”. A jeszcze dziwniej byłoby kazać Cathy do niego zadzwonić i powiedzieć: „Cześć! Jestem przyjaciółką Keats!”.

Parkuję w należącym do naszego budynku wielkim, dobrze oświetlonym garażu, kiedy nagle wpada mi do głowy rozwiązanie: ściągnę ich oboje do siebie na kolację i dla niepoznaki zaproszę jeszcze parę innych osób.

Podoba mi się ten pomysł. Nie tylko umożliwi zapoznanie ze sobą tych dwojga, ale przygotowanie kolacji może być całkiem przyjemne. Niezbyt często zabawiamy z Tomem gości - zawsze łatwiej wyjść gdzieś ze znajomymi, niż podejmować ich u siebie. I żadne z nas nie umie zbyt dobrze gotować. Zawsze jednak chciałam być typem pani domu, która od czasu do czasu wydaje prośzone kolacje, a to była świetna okazja.

Idę do windy, zastanawiając się, co podam gościom, kiedy słyszę, jak ktoś mnie woła. Odwracam się. Tom macha do mnie ręką, parkując swoje auto koło mojego. Podchodzi w momencie, kiedy pojawia się winda.

- Gdzie byłaś? - pyta, gdy wchodzimy do środka. - Byłem pewien, że od wielu godzin jesteś w domu.

- Wyskoczyłam coś zjeść z koleżanką z pracy, Cathy Miller.

Nachyla się, żeby powąchać moje usta.

- Czuć od ciebie alkohol.

- Wypiłyśmy po dwa kieliszki wina. Marszczy czoło.

- Jesteś za mała, żeby tyle wypić i potem prowadzić.

- Nic mi nie jest. Picie było rozciągnięte w czasie. Ale za to wymyśliłam coś naprawdę fajnego.

- Co mianowicie?

- Zamierzam umówić Cathy z Jacobem.

- Jacobem twojego ojca?

- Owszem.

- Dlaczego? Cathy jest niska?

Śmieję się, kiedy drzwi windy się otwierają i idziemy korytarzem do naszego mieszkania.

- Wcale nie. Prawdę mówiąc, jest wielka. To znaczy wysoka... ale szczupła. No, raczej szczupła. - Potrząsam głową, żeby odzyskać wątek. - Chodzi o to, że oni są do siebie bardzo podobni... w zainteresowaniach i w ogóle. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zaprosić ich oboje do nas na kolację. I parę innych osób, żeby było zabawniej. Może Lou i Izzy? - Staję u progu pierwsza, ale czekam, aż on wyciągnie klucz.

Tom otwiera drzwi i gestem przepuszcza mnie przed sobą. Jest dżentelmenem.

- Wydaje mi się, że dużo przy tym roboty. Nie lepiej im powiedzieć, żeby się zdzwonili?

- Oboje są nieśmiali. Raczej się na to nie zdobędą. Pozwala, żeby drzwi zatrzasnęły się za nami.

- Będziemy im też musieli pomagać w rozpoczęciu pożycia, jeśli przypadną sobie do gustu? Nie jestem pewien,

czy stać mnie na aż tak wiele. Chociaż to mogłoby być ciekawe...

- Hej, hej! - Przerywam mu, bo wpada mi do głowy następna myśl. - Możemy ich zaprosić w ten weekend i powiedzieć, że to z okazji moich urodzin!

- Ale my dwoje będziemy świętować jutro, tak? Zrobiłem rezerwację.

- Oczywiście. Jutro będzie moje prawdziwe święto. A kolacja jest tylko pretekstem, żeby ich zaprosić. Będą musieli się zgodzić, bo nie wypada odmawiać, kiedy chodzi o czyjś urodziny!

- To znaczy, że jutro będę musiał robić wszystko, co mi każesz?

- Tak. - Przysuwam się do niego blisko. - Będiesz moim niewolnikiem.

- Interesujące. - Uśmiecha się do mnie, ale kiedy chcę go objąć, odsuwa się. - Au, uważaj na moje ramię.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nic... po prostu naciągnąłem sobie mięsień w pracy.

- Biedactwo. Chcesz, żebym ci rozmasowała? - Wyciągam rękę, lecz on powstrzymuje mnie gestem.

- Nie, to byłoby bolesne. Spróbuję przyłożyć sobie potem okład z lodu.

- W porządku. - Podchodzę do mojego komputera. - Mam zamiar wysłać e-mail o proszonej kolacji, zanim zapomnę.

Oto co piszę w e-mailu skierowanym do Jacoba, Cathy i Izzy:

Całkiem zapomniałam o moich urodzinach; przypomniałam sobie dopiero teraz, więc wiem, że to trochę późno, ale czy możecie przyjść w niedzielę na kolację i tort?

Wysłałam tekst każdemu z osobna, bez adresów pozostałych odbiorców. Nie chcę, żeby Cathy czy Jacob zastanawiali się, dlaczego są na tak krótkiej liście, skoro nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko, żeby się wzajemnie zapraszać na urodzinowe przyjęcia.

Izzy odpisuje natychmiast, że idą na mecz Soxów, więc ich nie będzie. Jestem załamana. Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kogo mogłabym zaprosić, Lou i Izzy są naszą dyżurną ostatnią deską ratunku, kiedy trzeba coś zorganizować w ostatniej chwili.

- Będzie w tym coś dziwnego, jeśli spotkamy się tylko we czwórkę? - pytam Toma jakiś czas później. Ogląda telewizję w sypialni. - Ty i ja, i Jacob, i Cathy?

- Oni wyszli - mówi, gapiąc się w ekran. -Kto?

- Ludzie, których obchodzi ta rozmowa.

- Bardzo śmieszne.

- Łapię cię na to za każdym razem - cieszy się Tom. Pokazuje mi język, ale tego nie zauważa. Postanawiam zaczekać z decyzją, dopóki Jacob i Cathy

nie odpowiedzą. Jeszcze tego samego wieczoru otrzymuję „Świetnie” od Jacoba i „Dzięki, że o mnie pomyślałaś! Bardzo chętnie. Co mogę przynieść?” od Cathy.

Postanawiam nie zapraszać nikogo więcej. W najgorszym razie wyczuwają, że są swatani. Nie będzie im

to przeszkadzać, jeśli się polubią, w przeciwnym razie mogą być źli.

Myślę jednak, że się polubią.

Następnego ranka Tom wstaje wcześniej i biegnie do Dunkin' Donuts, żeby mi przynieść śniadanie do łóżka. Nie stanowi to wielkiej niespodzianki, ponieważ zawsze tak robi w moje urodziny, ale uwielbiam tę tradycję.

Przytula się do mnie w łóżku - ostrożnie, bo twierdzi, że ramię wciąż go boli - i pyta, czy jestem szczęśliwa, a jestem cudownie szczęśliwa, kiedy tak leżę i leniwie wkładam do ust kawałki chrupiącego, puszystego pączka, popijając je gorącą kawą z mlekiem.

Mama dzwoni do mnie do pracy, mówi, że pamięta ze szczegółami tamten dzień przed dwudziestu pięciu laty, i zapewnia, że choć wyskoczyłam z niej zbyt szybko, żeby jej zdążyli podać epidural, przez co był to jej najbardziej bolesny poród, wybaczyła mi natychmiast, gdy tylko spojrzała w moje wielkie niebieskie oczy. „I zobaczyłam ten zwariowany rudy puch na czubku twojej głowy - dodaje. - To był szok. Ale pozytywny”. Mówi mi to samo co roku.

Okolo południa wielki wazon z kwiatami zostaje przyniesiony na moje biurko. Mają być niby od taty, ale podejrzewam, że tak naprawdę zamówił je Jacob, zwłaszcza że na bileciku jest napisane: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Kesha. Kocham cię. Tata”. Mój ojciec nigdy w życiu nie powiedział mi, że mnie kocha. Wyobrażam sobie Jacoba, jak dyktuje kwiaciarczyce przez telefon treść bilecika, i chce mi się śmiać - prawdopodobnie zadbał o to, żeby tata go nie słyszał. Pewnie

też przeliterował moje imię litera po literze w próżnej nadziei, że kwiaciarka napisze je poprawnie.

Nikt nie pisze poprawnie mojego imienia.

Hopkins składa mi życzenia urodzinowe e-mailem, a Milton przez komunikator.

„Mam nadzieję, że wkrótce tam będę - pisze Hopkins. - Będziemy świętować twoje urodziny i przy okazji pożegnamy się z domem”. Biorąc pod uwagę, ile czasu potrzebuje, żeby dotrzeć do Bostonu, prawdopodobnie uda nam się wcisnąć do zestawu również obchody Czwartego Lipca. A może nawet wrześnieowe Święto Pracy.

Wiadomość Milтона zaczyna się od:

„Cześć, wszystkiego naj z okazji urodzin i tak dalej”.

„Dzięki”, odpisuję.

„Jak zamierzasz świętować?”.

„Tom zabiera mnie dziś wieczorem do restauracji”.

„Super. Baw się dobrze. Cześć”. ;

Przynajmniej pamiętał.

O czwartej po południu słyszę pierwsze niepewne tony „Happy Birthday”. Moja szefowa Rochelle, kierowniczka wydziału anglistyki, wnosi tort z siedmioma zapalonymi świeczkami, a za nią wszyscy, którzy akurat są tego popołudnia w biurze. Pytam Rochelle, co oznacza liczba siedem, na co odpowiada:

- Właśnie tyle świeczek zostało w pudełku. Musisz dokupić, skarbie.

Jestem wzruszona, że pamiętała o moich urodzinach; to ja jestem odpowiedzialna za wszelkie tego rodzaju obchody, więc musiała naprawdę zadać sobie trud, żeby to wszystko zorganizować.

Dowiedziawszy się, że Tom tego wieczoru zabiera mnie do restauracji, Rochelle upiera się, żebym wcześniej skończyła pracę i poszła do domu zrobić się dla niego na bóstwo.

Dzięki temu do powrotu Toma o szóstej trzydzięci myję i upinam włosy oraz wkładam sukienkę, której nigdy wcześniej nie miałam na sobie - w stylu lat pięćdziesiątych, z obcisłą górą i rozkloszowaną spódnicą. Na jego wejście przybieram na sofie pozę odaliski: leżę na boku z ramieniem wyciągniętym sennie wzdłuż ciała i plecami wygiętymi w łuk.

- Pozwól, że tylko wskoczę pod prysznic - mówi i mija mnie, nie zwracając uwagi. - To potrwa moment.

Jestem trochę zła, ale wybaczam mu wszystko, kiedy wychodzi po piętnastu minutach, świeży i oszałamiająco przystojny w marynarce i krawacie. Porywa mnie w ramiona, mówi, że pięknie wyglądam, po czym całuje mnie długo i namiętnie.

- Cały dzień o tobie myślałem - wyznaje. - O tej chwili. Kiedy będę cię miał tylko dla siebie na całą resztę wieczoru. - Odwzajemniam pocałunek, zastanawiając się, czy natchnie go, by mnie zanieść do sypialni, ale Tom puszcza mnie z objęć. Spogląda na zegarek, przypomina, że mamy rezerwację na ósmą i powinniśmy już wychodzić, bo inaczej nam przepadnie.

Nie chce mi powiedzieć, dokąd idziemy, ale rozpoznaję restaurację i piszcę, kiedy podjeżdżamy pod wejście. Zawsze chciałam do niej pójść, zbierałam wycinki i artykuły na jej temat. Nawet nie sądziłam, że Tom to zauważył.

W środku zostajemy doprowadzeni do stolika w przytulnym kącie pod oknem, a Tom oznajmia mi z dumą, że dokonując rezerwacji, uprzedził obsługę, że są moje urodziny, a do tego nasza rocznica i ten wieczór musi być absolutnie wyjątkowy.

- Celebруем tę chwilę - mówi. - Żadnego pośpiechu przy jedzeniu, żadnych rozmów o pracy czy narzekania na rodziny. Po prostu cieszymy się, że jesteśmy tu razem.

Siedzimy, uśmiechając się do siebie radośnie, jakkolwiek przychodzi mi do głowy pytanie, o czym będziemy rozmawiać, skoro nie należy poruszać tematu pracy i naszych rodzin.

O jedzeniu, jak się okazuje. Kelner przynosi karty dań, Tom zamawia butelkę wina, a potem przez jakiś czas omawiamy różne możliwości i ustalamy, że ja powinnam zamówić homara, a on stek. Jedno i drugie kosztuje majątek, ale Tom mówi, że to nasz wieczór specjalny i możemy zaszaleć.

Jest w zabawnym nastroju, niesłychanie przejęty. To jednocześnie miłe i trochę dziwne. Wzdryga się, kiedy kelner staje przy jego łokciu, żeby mu nalać wina, następnie próbuje trunku i - ku mojemu zakłopotaniu - ocenia go jako „pyszny”. W eleganckich restauracjach zawsze staje się nerwowy, próbuje zrobić wrażenie na kelnerach i przez to wypada pretensjonalnie.

W pewnym momencie wstaje, „żeby skorzystać z toalety”, ale ja wiem, że szykuje jakąś urodzinowo-rocznicową niespodziankę, i rzeczywiście, po skończeniu przez nas głównych dań, a przed zamówieniem deserów kelner przynosi porcję tortu czekoladowego z życzeniami

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i rocznicy”
wypisanymi sosem malinowym wokół brzegu talerza.

- Lubisz tort czekoladowy, prawda? - upewnia się Tom. -
Zamówiłem dla ciebie, bo zwykle bierzesz coś z czekoladą.
Ale jeśli wolałabyś coś innego...

- Jest super. Podzielę się z tobą.

- Dobrze. Ale najpierw chcę ci dać prezent.

- Ojej! - Odkładam widelczyk i odsuwam od siebie talerz.

Tom wsuwa rękę pod marynarkę i wyciąga z wewnętrznej
kieszeni na piersi małe pudełeczko. Wręcza mi i patrzy, jak je
otwieram.

W środku jest naszyjnik. Kładę go na dłoni, żeby się lepiej
przyjrzeć. Wyjątkowo duży fioletowy kamień zwisa z grubego
złotego łańcuszka.

- Jaki śliczny... - dukam.

- Podoba ci się? Mama pomagała mi wybrać.

Nie jestem zaskoczona. Wygląda na coś, co mogła wybrać
jego mama. Nie żeby miała zły gust - jest atrakcyjną kobietą i
dobrze się ubiera - ale ma ponad pięćdziesiąt lat i lubi rzeczy,
które mogą się podobać kobietom w jej wieku. Niekoniecznie
to samo musi się podobać kobiecie dwudziestopięcioletniej.

- Jeśli nie jesteś zachwycona, możemy wymienić na inny
kolor albo na coś zupełnie innego - mówi Tom.

Raz zwróciłam prezent otrzymany od niego. Zapewniał, że
mogę, ale kiedy się dowiedział, było mu tak przykro, że
postanowiłam nigdy więcej tego nie robić. Chyba że
chodziłoby o coś naprawdę okropnego lub tak drogiego, że
byłoby szaleństwem nie skorzystać z tej

możliwości. Naszyjnik nie mieści się w żadnej z tych dwóch kategorii, więc oświadczam stanowczo:

- Jest wspaniały. Bardzo mi się podoba. Powiedz mamie, że dziękuję.

Twarz mu się rozjaśnia, a ja jestem zadowolona, że postanowiłam udawać. To całkiem ładny naszyjnik i na pewno znajdę okazję, żeby go założyć... choćby na wizytę u jego rodziców. Tak czy inaczej liczy się, że Tom znalazł czas, by pójść ze swoją mamą na zakupy i wybrać dla mnie prezent. Jestem szczęściarą, bo mam chłopaka, któremu zależy na mnie na tyle, by się na to zdobyć, który nie kupuje byle czego w perfumerii ani nie wręcza mi dwudziestu dolarów, kładąc sobie kupić coś ładnego. Dbą o mnie.

Wkładam naszyjnik z powrotem do pudełka i sięgam po widelec.

- Zaczekaj - prosi Tom. - To był prezent urodzinowy. Muszę ci jeszcze dać rocznicowy. - Zaczyna wysuwać ramiona z rękawów.

- HiBDi... Tom? - odzywam się, kiedy zdjął marynarkę. - Jeśli ten prezent wymaga, żebyś się rozebrał do rosołu, to może powinien poczekać, aż wrócimy do domu. Nie żeby mi się pomysł nie podobał...

- Nie, tamten prezent będzie trzeci - odpowiada Tom ze śmiechem. Już bez marynarki, rozpina mankiet lewego rękawa koszuli i zaczyna go rolować w górę.

- To po co się rozbierasz?

- Poczekaj. Sama zobaczysz. - Nie przestaje podwijać rękawa.

- Dałeś się zaszczepić przeciw grypie? Dla mnie? Och, skarbie!

Potrząsa głową, skupiony na tym, co robi. Zwijał materiał zbyt ciasno i teraz, klnąc pod nosem, bezskutecznie próbuje podciągnąć go wyżej, ale musi z powrotem opuścić rękaw i zacząć od nowa. Tym razem bardziej się stara i udaje mu się odsłonić rękę niemal do pachy. Wyciąga ją do mnie, przekręcając lekko w barku, żebym dobrze widziała miejsce nad łokciem.

Skóra jest trochę zaróżowiona i trochę podrażniona, ale mimo to jestem w stanie odczytać litery mojego imienia wypisane czarnym atramentem.

Nie, nie wypisane.

Wytatuowane.

Tom kazał sobie wytatuować moje imię na ramieniu. KEATS

Tak po prostu.

A ja myślałam, że trudno udawać radość z naszyjnika.

Tom czeka na moją reakcję, błyszczącymi z podniecenia oczami spogląda to na mnie, to na swoje ramię, jak dziecko, które wymalowało obrazek na ścianie i nie jest pewne, czy mama go pochwali, czy ukarze.

- Wow! - mówię po kilkakrotnym otwarciu i zamknięciu ust bez wydawania przy tym głosu. - To jest... niewiarygodne. .. nie mogę... uwierzyć... - Mój głos brzmi, jakbym mówiła alfabetem Morse'a. Po odchrząknięciu udaje mi się wydobyć z gardła w całości: - Kiedy to zrobiłeś?

- Wczoraj. - Promienieje. - Pamiętasz, jak mówiłem, że boli mnie ramię? Dlatego nie chciałem, żebyś go

dotykała, i dlatego przyszedłem do łóżka po tobie i przez całą noc miałem na sobie koszulę z długimi rękawami. Pod spodem był bandaż. Bolało jak diabli. Musiałem wziąć proszek przeciwbólowy, żeby zasnąć.

Nawet nie zauważyłam. Chyba zasnęłam, nim przyszedł do łóżka.

- Tak naprawdę wcale nie byłem na obiedzie z moim tatą - dodaje. - Wszystko zostało zaaranżowane, żebym mógł się wyrwać z domu i to zrobić. Ale tata wiedział, że ma mnie kryć.

- Twoi rodzice wiedzieli, że robisz sobie tatuaż? - Jestem zaskoczona. Wellsonowie są raczej konserwatywni. Pod względem politycznym i każdym innym. Między innymi dlatego unikałam zapoznania ich z moimi rodzicami, którzy są liberalni do granic możliwości. Inny powód był taki, że moi rodzice wcale nie byli zainteresowani tym, żeby ich poznać.

Tom uśmiecha się z zakłopotaniem.

- Niezupełnie. Powiedziałem im tylko, że robię ci prezent niespodziankę i nie chcę, byś o tym wiedziała.

- Więc nie wiedzą, że masz tatuaż?

- Jeszcze nie. - Porusza ramieniem. - Ale nie będą mieć nic przeciwko temu. Tata też sobie zrobił, jak był w wojsku, więc nie może to stanowić dla niego problemu. Zresztą nie myśl o nich, ważne, co ty uważasz.

Na jego twarzy maluje się tyle nadziei, ekscytacji, potrzeby upewnienia się, że dokonał czegoś wspaniałego. Robi mi się niedobrze.

Nie chcę mojego imienia wytatuowanego na ramieniu Toma. Powinien był mnie najpierw zapytać o zgodę.

To w końcu moje imię. Gdyby mnie spytał, poprosiłabym, żeby tego nie robił. Ale się pośpieszył, zrobił to bez pytania i nie da się tego cofnąć.

- Jestem zaskoczona - mówię. Kelner podchodzi, żeby nalać nam wody; widzę, jak spogląda na ramię Toma i brwi podjeżdżają mu w górę. Uśmiecha się do mnie i odchodząc, na moment przykłada dłoń do serca. Domyślam się, że uważa gest Toma za wzruszający. Co prawdopodobnie znaczy, że i ja powinnam go za taki uważać. Sięgam ponad stolikiem i ściskam wyciągniętą rękę Toma. - Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to dla mnie.

- Dziesięć lat, Keats - mówi Tom, wreszcie opuszczając podwinięty rękaw. Materiał zsuwa się tak, że zakrywa tatuaż, ale nadal pozostaje zrolowany wokół łokcia. - Chciałem zrobić coś naprawdę wyjątkowego. Bo wiesz, jak się wytrzyma ze sobą dziesięć lat, to znaczy, że tak już będzie zawsze. Musiałem zrobić coś, żeby to uczcić.

Większość znanych mi dziewczyn ma tatuaże. Izzy kiedyś mi mówiła, że też ma - „ale w intymnym miejscu, tylko dla Lou”, dodała z fałszywą skromnością, nie wyjawiając szczegółów. Sama się zastanawiałam, czy sobie nie zafundować małej różyczki albo węża na łopatce.

Natomiast nigdy, ani przez sekundę nie brałam pod uwagę wytatuowania sobie na ciele imienia Toma. Teraz, kiedy on patrzy na mnie z nadzieją, uświadamiam sobie, że oczekuje ode mnie takiego samego gestu. Chce, żebym na stałe wyryła sobie jego imię na skórze. W moim ciele.

Jest zbyt miły, żeby wywierać na mnie nacisk... poza tym prawdopodobnie więcej by dla niego znaczyło, gdybym sama wykazała inicjatywę. Ale chce, żebym to zrobiła. Widzę to w jego oczach.

Myślę o celebrytach, którzy się zakochiwali, robili sobie tatuaże, a potem próbowali się ich pozbyć. TYLKO WINONA i tym podobne. Zawsze uważałam ich za idiotów.

Nadal uważam.

Ale z nami jest inaczej, prawda? Tom i ja... my naprawdę jesteśmy razem na zawsze. On ma rację: ludzie wytrzymują ze sobą dziesięć lat i nie trzeba mocniejszego dowodu, że są parą, która się nigdy nie rozstanie.

Byłby taki szczęśliwy, gdybym okazała mu ten rodzaj wiary, jaki on mi okazał. Nie obawiam się bólu. Nie martwię się tym, jak to będzie wyglądać.

Po prostu nie chcę imienia Toma wypisanego na stałe na moim ciele.

I nie chcę mojego imienia na jego ciele.

Pociągam naprawdę potężny łyk wina.

- Bardzo bolało?

- O tak. Ale wytrzymałem.

Widać, że jest z siebie dumny. Przetrwał bolesną próbę. Dla mnie.

- Skorzystałeś z usług kogoś godnego zaufania? I upewniłeś się, że wszystko jest czyste i wysterylizowane?

- Nie, poszedłem do najgorszego niechłuja, jakiego udało mi się znaleźć, i kazałem mu spluwać na otwartą ranę. Daj spokój, Keats, okaż mi trochę zaufania.

- Przepraszam.

Znów podciąga rękaw i z dumą patrzy na ramię.

- Wydaje mi się, że wybrałem najlepsze miejsce, nie sądzisz? W weekendy, kiedy chodzę w koszulce, każdy od razu go zobaczy. Ale w stroju do pracy będzie zakryty. Sprytnie, co?

- Bardzo sprytnie. - Czuję, że powinnam go mocniej pochwalić. - Podoba mi się czcionka, którą wybrałeś.

- To dobrze. Mnie też się podoba. - Puszczą rękaw i bierze do ręki widelec. Wbijając go w tort, rzuca jakby od niechcienia: - Jak sądzisz, co by powiedziała twoja rodzina, gdybyś sobie wytatuowała moje imię?

Parskam śmiechem.

- Przecież ich poznałeś.

- To znaczy?

- Mój ojciec ma całą teorię na temat tatuażu. Nigdy jej nie słyszałeś? Porównuje je do cechowania bydła i kopiowania psom uszu. Mama uważa, że są proletariackie. A Hopkins... - Urywam, żeby się zastanowić. - Właściwie nie wiem, co Hopkins o nich myśli.

- Moja siostra już jeden ma.

- Tak? - Zapomniałam o tym. Niezbyt często widzimy się z Anną, bo traktuje Toma trochę szorstko, tak jak wtedy, gdy poznałam ich oboje. Wobec mnie jest w porządku, ale z jakiegoś powodu Tom doprowadza ją do szału i ona wiecznie mu coś zarzuca. Natomiast rzeczywiście ma niewielki tatuaż nad przegubem: napis POKÓJ, który brzmi jak ironia, zważywszy na jej charakter.

- Tak czy inaczej... - Tom udaje, że jest skupiony na torcie, ale ukradkiem zerka na mnie. - ...nie żebym

oczekiwał, że zrobisz to samo albo coś w tym rodzaju. Po prostu czułem, że powinienem to zrobić.

- To naprawdę, naprawdę słodkie - mówię.

- Podoba ci się?

- Bardzo mi się podoba - kłamię.

Rozdział 7

W niedzielę, po trzech oddzielnych wyprawach do marketu po rzeczy, o których nie wiedziałam, że ich nie mamy, dopóki bezskutecznie nie próbowałam ich znaleźć, piętnaście minut przed planowanym przybyciem gości uświadamiam sobie, że nie mam francuskiego pieczywa do dipu z karczocha, więc proszę Toma, żeby pobiegł jeszcze raz.

Zastanawia się na głos - niebezzasadnie - dlaczego po prostu nie zamówimy gotowego jedzenia.

- To tylko Jacob i ta dziewczyna, tak? Prawdopodobnie ucieszyliby się z czegokolwiek, co byśmy im podali. Dla studentów darmowy posiłek to darmowy posiłek.

Ponieważ ostatnie trzy godziny spędziłam na kuchennych zmaganiach, bolą mnie stopy, jestem spocona, muszę jeszcze wziąć prysznic, wysuszyć włosy i ubrać się, zanim przyjdą, nie jestem w nastroju do rozważania, jaki plan byłby lepszy od tego, na który się zdecydowaliśmy.

- To moja kolacja urodzinowa i chciałam przygotować cholerny domowy posiłek. Masz z tym jakiś problem?!

Unosi ręce w geście poddania, obiecuje przynieść bagietkę i znika.

Przekładam łyżką gęsty karczochowy sos do małego garnka i wstawiam do piekarnika, żeby się zagrzał i spenił (zgodnie ze wskazówkami z mojego laptopa - wszystkie przepisy, z których korzystam, pochodzą z Internetu, więc muszę ciągle klikać, żeby coś sprawdzić), a potem *gnam* do łazienki i wchodzę pod prysznic tylko na moment, żeby zmoczyć głowę i wetrzeć odżywkę (przy moich kręconych włosach szamponu wystarczy używać raz w tygodniu) i przelecieć golarką po nogach. Owinięta w ręcznik rozczesuję włosy, kiedy w telefonie rozlega się specjalny dzwonek intercomu oznaczający, że ktoś jest na dole i należy go wpuścić.

Pędzę do aparatu, naciskam brzęczyk, mówię do słuchawki, że mieszkamy na siódmym piętrze i należy skręcić w prawo przy wyjściu z windy, następnie biegnę przez całe mieszkanie do naszej sypialni, gdzie pośpiesznie wciągam na siebie bieliznę, dzinsy (bo zapowiedziałam, że strój ma być niezobowiązujący) i błyszczącą bluzkę bez rękawów (bo chcę ładnie wyglądać). Próbuję zdecydować, które buty włożyć, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Biegnę bosą przez salon, przybieram uśmiech na twarz, otwieram drzwi... i głośno wciągam powietrze.

Na progu stoi Jacob.

A obok niego mój tato.

Gapię się na nich, kiedy obaj życzą mi wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Wiem, że jesteśmy trochę za wcześnie - mówi Jacob, najwyraźniej błędnie rozumiejąc moje milczenie. - Sądziłem, że dotarcie tu zajmie nam więcej czasu. Nie było korków.

Trzyma mojego ojca za łokieć i kiedy wchodzi do mieszkania, rozumiem dlaczego. Ojciec idzie chwiejnym krokiem. Ostrożnie podnosi nogę i stawia ją z wahaniem, jakby nie był pewny, czy trafi na stały grunt.

Zachodzę go od drugiej strony. Tak naprawdę nie chwytam go za łokieć, bo czuję, że to by nas oboje krępowало, ale trzymam rękę w pogotowiu parę centymetrów poniżej. Nie stanowi to specjalnej pomocy, ale zabezpiecza na wypadek potknięcia, które wydaje się aż nadto prawdopodobne.

Poczucie winy ściska mi serce, kiedy widzę go takiego spowolnionego. Powinnam była zadzwonić do niego w tym tygodniu. A przede wszystkim powinnam była go zaprosić na ten wieczór. Powinnam zwracać większą uwagę na to, jak się starzeje.

- Gdzie Tom? - pyta Jacob, kiedy sadzamy ojca w fotelu.

- Umm... - Jestem tak zbita z tropu przez pojawienie się ojca i przez jego ogólny wygląd, że potrzebuję chwili, by sobie przypomnieć. - Tom? Pobiegnął po coś do sklepu.

- Powinnaś była do nas zadzwonić - mówi Jacob. - Mogliśmy się zatrzymać po drodze.

- Zaraz wróci. Będziecie mieć coś przeciwko temu, że pójde wysuszyć włosy, naprawdę szybko?

Ojciec odprawia mnie wyniosłym machnięciem ręki.

- Zastanawiałem się, czy to może fryzura w nowym stylu - zwraca się jowialnie do Jacoba, kiedy wychodzę.

W łazience nastawiani suszarkę na maksymalną temperaturę i moc, zginam się wpół i kieruję gorące powietrze na tył głowy. Włosy się poskręcają, ale skoro goście są już na miejscu, nie mam czasu na użycie dyfuzora.

Stając znów w pozycji wyprostowanej, odrzucam włosy na ramiona i próbuję sobie przypomnieć, co takiego napisałam w e-mailu do Jacoba. Czemu Jacob mógł pomyśleć, że zaproszenie obejmuje mojego ojca? Prawie nic nie napisałam w e-mailu. I może na tym polegał mój błąd.

Tom znajduje mnie w łazience, kiedy wklepuję nieco koloru w policzki i usta.

- Nie mówiłaś mi, że zapraszasz swojego ojca - wita mnie od progu, nadal trzymając torbę, z której wystaje bagietka.

- Nie zapraszałam go! Zaprosiłam Jacoba, a on pewnie uznał, że powinien przyprorowadzić tatę.

Tom szczyrzy zęby w uśmiechu.

- Może Cathy zakocha się w twoim tacie. Bo tato jest obecnie do wzięcia, zgadza się? Dajemy jej dwóch kawalerów w cenie jednego. Powinna być zachwycona.

-Bardzo śmieszne. Będzie dziwacznie. My czworo i... tato.

- No! - rzuca Tom wesoło. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, maleńka.

Po stronie plusów: Cathy naprawdę jest zachwycona, że może poznać mojego ojca.

- Czytałam pańską książkę w college'u - zwraca się do niego. - Była niesamowita.

Obserwuję tatę z odrobiną niepokoju. Może bardzo różnie zareagować na taką uwagę: unieść drwiąco brwi i powiedzieć coś ucinającego dalszą rozmowę albo gładko przełknąć komplement. Ku mojej uldze postanawia być łaskawy i dziękuje jej miłym, choć nieco protekcyjnym tonem, po czym zwraca się do mnie z pytaniem, kiedy przyjdzie moja matka.

- Nie przyjdzie. - Udaję, że nie zauważam jego rozczarowania. - To już całe towarzystwo! Kto chce wina?

Podczas gdy Tom przyjmuje zamówienia na drinki, ja staram się wciągnąć Jacoba w rozmowę z Cathy na temat ich studiów doktoranckich, jednak ojciec przerywa mi niemal natychmiast pytaniem, dlaczego nie ma mojej matki.

- Miała jakieś inne plany?

- Nie. To znaczy, nie wiem. Nie zaprosiłam jej, tato.

- Keats pana właściwie też nie zapraszała - mówi Tom, wchodząc do pokoju z butelką wina i kieliszkami. - Chcę powiedzieć, że jak zawsze miło nam pana widzieć, Larry, ale pańskie przybycie zupełnie nas zaskoczyło. - Szybkim wysunięciem podbródka wskazuje Jacoba. - Nie wiedzieliśmy, że Jacob przyjdzie z osobą towarzyszącą. - Parska śmiechem.

Wyobrażam sobie, jak rozbijam butelkę z winem o kant stolika i ostrą krawędź wkręcam Tomowi w oko. Muszę sobie przypomnieć, że jest mężczyzną moich marzeń i bardzo go kocham, ponieważ w tym momencie... mam... ochotę... go zabić.

Jacob gapi się na Toma, trzymając nadgryziony kawałek bagietki w połowie drogi do ust.

- Sądziłem... - Powoli odwraca głowę, żeby spojrzeć na mnie.
- Zakładałem, że masz na myśli nas obu. Bo to twoje urodziny.
-1 słusznie! To znaczy, może z początku nie miałam, ale świetnie się stało. - Niezręcznym ruchem klepię ojca w kolano.
- Bardzo się cieszę, że tu jesteś, tato. Czuję się zaszczycona. - Z wymuszonym uśmiechem rozglądam się po twarzach naszych nielicznych gości. - Doskonale. Tak w piątkę. Bardzo się cieszę. - Czy dałoby się powiedzieć coś bardziej idiotycznego?

Tom nalewa wino, nieporuszony, całkowicie nieświadomy, że wprowadził w zażenowanie wszystkich obecnych... oprócz siebie, jak widać. Podaje każdemu z nas kieliszek, a swój unosi w geście toastu.

- Za Keats. Zdrowie miłości mojego życia.

Tak mówi o mnie, podczas gdy ja nadal wyobrażam sobie, jak go morduję - czy może być coś bardziej wkurzającego?

- Dzięki - cedzę przez zaciśnięte zęby.

Wszyscy salutują mi kieliszkami i pijemy, niektórzy z rozpaczliwą determinacją.

Znów podejmuję starania, żeby Cathy i Jacob zaczęli ze sobą rozmawiać.

- Waszym zdaniem trudniej uczyć na pierwszym roku niż na wyższych czy odwrotnie? - rzucam na zachętę jako troskliwa gospodyni.

Odpowiadają oboje, ale rozmowa jest sztywna, wyraźnie się nie klei, aż w końcu włącza się mój tato. Nie umie słuchać. Jeśli musi spędzić czas z dala od swojego komputera i do tego w towarzystwie, chce być

tym, którego wszyscy inni słuchają. Dlatego zaczyna mówić.

A jak już zacznie, to nie przestanie, dopóki ktoś lub coś go nie powstrzyma; po półgodzinnym wykładzie, który ma nam uświadomić, że problemy Bliskiego Wschodu biorą się raczej z anachronicznych i sprzecznych ze sobą pomysłów na sprawowanie władzy, niż z bardziej widocznych podziałów religijnych i etnicznych, Tom zaczyna się wiercić i popatrywać na telewizor, który na moje życzenie miał być wyłączony podczas całego przyjęcia. Tęskni za meczem baseballu, na którym są Lou z Izzy. Wiem, że zdecydowanie by wolał pójść z nimi, ale nie narzekał, bo to moje przyjęcie urodzinowe.

Uświadamiam sobie, że im szybciej podam na stół kolację, tym szybciej skończy się ten niefortunny wieczór, dlatego przeprosiwszy gości, udaję się do kuchni.

Ledwie tam wchodzę, okazuje się, że Jacob przyszedł za mną.

- Mogę pomóc?

- Umiesz mieszać sałatę?

- Jezu. Nie jestem pewien. A nie mogłabyś mi narysować instrukcji?

Nie jestem w nastroju do żartów.

- Dressing jest w tamtej misce. Tylko zamieszaj jeszcze trochę, zanim polejesz sałatę, dobrze? - Pochyliłam się, żeby wyjąć lasagne z piekarnika, gdzie się podgrzewała od półgodziny. Stawiam naczynie na kuchence i ściągam z niego folię aluminiową. Ser na wierzchu bulgocze i wygląda całkiem nieźle. Przynajmniej nie zepsułam jedzenia, myślę.

- Przykro mi, że źle zrozumiałem twoje zaproszenie, Keats. Chyba z góry założyłem, że skoro to twoje urodziny, pewnie chcesz, żeby był na nich twój tato.

- Nie ma sprawy. - Idę do lodówki po miskę z parmezanem, który zawczasu ręcznie utarłam, kierując się radą jakiejś wzorowej gospodyni, że nie należy kupować tartego. Dziewięć na dziesięć moich posiłków stanowi chińskie jedzenie na wynos albo pizza, więc doprawdy nie wiem, dlaczego się uparłam, żeby tego wieczoru wszystko było domowej roboty i w najwyższym gatunku. Wcześniej wydawało mi się to sensowne. Ale nie teraz, kiedy wolałabym, żeby ci wszyscy ludzie zniknęli z mojego domu. Tom także. Zwłaszcza Tom.

Dlaczego musiał wytknąć Jacobowi pomyłkę? Miał pełnić honory gospodarza, na litość boską, pilnować, żeby goście dobrze się u nas czuli, a nie wprowadzić ich w zakłopotanie z powodu drobnego nieporozumienia. Zwłaszcza w sytuacji, gdy musiało to dodatkowo zepsuć i tak już nieudany wieczór.

- Tak naprawdę bardzo się cieszę, że tato przyszedł -mówię. - Nie zapraszałam go głównie dlatego, iż wiem, że nie bardzo lubi takie wyjścia.

- Naprawdę chciał tu dziś przyjść - zapewnia mnie Jacob. Polał sałatę dressingiem i teraz miesza ją ostrożnie, w skupieniu. Kiedy Tom wykonuje tę czynność, liście fruwają po całej kuchni, a on na moje napomnienia odpowiada z uśmiechem: „Nie jestem w stanie zapanować nas własną siłą”. Natomiast Jacob delikatnie przewraca zawartość miski specjalnymi sztuczkami.

- On trochę... - Szuka właściwego słowa. - Chyba trochę tęskni. Myślę, że brakuje mu obecności rodziny.

- Nie spędzał ze mną ani trochę więcej czasu, kiedy mieszkał w domu.

- Wiem. To nielogiczne. Ale wypowiedzka jakoś nim wstrząsnęła.

- Więc tym bardziej się cieszę, że go przywiozłeś. - Podnoszę wzrok w odpowiednim momencie, żeby dostrzec wyraz ulgi na twarzy Jacoba, więc może udało mi się naprawić szkodę dokonaną przez Toma.

- Skąd znasz Cathy? - pyta Jacob. - Nigdy nie słyszałem, żebyś o niej wspominała.

- Z pracy. Jest bardzo miła, więc uznałam, że warto się lepiej poznać. - Kurczę, dobrze mi idzie, pomyślałam. Jestem urodzoną swatką.

- Super. Sałata wymieszana. W czym jeszcze mogę ci pomóc?

- Zanieś ją do jadalni, czyli na stół w salonie.

- Załatwione. - Sięga po miskę. Mijając mnie, pochyła głowę i mówi szeptem: - Gdybyś mnie uprzedziła, że zorganizowałaś to wszystko, żeby nas swatać, Keats, to bym wiedział, że nie należy przyprowadzać twojego ojca.

- A sam byś przyszedł? - odpowiadam pytaniem, również szepcząc.

- Tak - przyznaje trochę smutno. - Każda pomoc mi się przyda. - Wychodzi z kuchni.

- No i...? - odzywa się Tom po wyjściu wszystkich gości. - Myślisz, że zaiskrzyło?

Rozglądałam się po kuchni. Jak pięć osób mogło ubrudzić tyle naczyń? Żałuję, że użyłam oddzielnych talerzy na sałatę.

- Nie wiem, czy zamienili ze sobą choć dwa słowa.

- Bo twój ojciec nie przestawał gadać.

Racja. Tato perorował podczas kolacji. Nie da się tego inaczej nazwać. Jeśli słuchacze byli znudzeni, nie zauważał tego, jakkolwiek zarówno Cathy, jak i Jacob sprawiali wrażenie szczerze zainteresowanych tym, co mówił. W przeciwieństwie do Toma. On nigdy nie uważał mojego ojca za szczególnie fascynującego. ..iw pewnym sensie kocham go za to, ponieważ na ogół się z nim zgadzam w tej kwestii.

Zmartwiłam się, kiedy ojciec powiedział, że jest zmęczony i musi wracać do domu, choć było jeszcze dość wcześnie. Właśnie skończyliśmy jeść lasagne, więc szybko podałam tort czekoladowy bez mąki - poświęciłam tego popołudnia dwadzieścia minut na ubijanie i dodawanie do masy białek - po czym wszyscy, trochę fałszując, odśpiewali szybko „Happy Birthday”.

Tato wręczył mi kopertę z kartą upominkową do kupowania muzyki przez Internet. Podziękowałam mu, ale prezent musiał wymyślić Jacob. Tato nawet nie wiedział o istnieniu iTunes.

Cathy dała mi zrobioną na drutach obcisłą czapkę w kolorze ciemnozielonym. Nie było przy niej metki, więc spytałam, czy sama ją wydziergała, na co wykrzyknęła z przerażeniem:

- O Boże, nie! Dlaczego pytasz? Czyżby wyglądała na amatorski wyrób?

Zapewniłam Cathy, że czapka jest świetna, i przymierzyłam ją. Wełna gryzła, ale bałam się, że zranię uczucia Cathy, jeśli czapkę zdejmę za szybko, więc zostałam w niej, raz po raz drapiąc się ukradkiem.

Jacob z tatą wyszli tuż po zjedzeniu tortu, Cathy została dłużej. Prawdę mówiąc, za długo. Nie było jeszcze późno, ale po prostu oboje z Tomem chcieliśmy, żeby ten wieczór już się skończył. Tymczasem ona się rozgadała (teraz, kiedy nie było już faceta, na którym miała zrobić wrażenie) i zadowolona opowiadała o klasie, w której odbywała kiedyś praktyki nauczycielskie, o tym, że co najmniej pięcioro uczniów w ogóle nie znało angielskiego, i o tym, jak wymyśliła specjalny język migowy, żeby się z nimi porozumiewać. Tak naprawdę niczego nie wymyśliła, tylko po prostu użyła uniwersalnych gestów oznaczających pisanie, chodzenie i słuchanie, których użyłby każdy w takiej sytuacji.

Tom i ja bardzo się staraliśmy uśmiechać i sprawiać wrażenie zainteresowanych, a kiedy wreszcie z westchnieniem stwierdziła, że „było cudownie, ale chyba powinnam już iść, bo mam do poprawienia prace pisemne”, bardzo się staraliśmy nie okazać zbyt wielkiej ulgi.

Ściągnęłam czapkę i rzuciłam ją na stół w tym samym momencie, gdy Tom zamknął drzwi za Cathy.

- Jak sądzisz, co powinnam teraz zrobić? - pytam Toma, kiedy stoimy w kuchni, oceniając rozmiar zniszczeń. Czuję się zniechęcona.

- Załadujmy zmywarę do pełna, a resztę zostawmy na jutro.

- Nie, mam na myśli Jacoba i Cathy. Mam czekać i zobaczyć, czy któreś z nich poprosi mnie o numer telefonu tego drugiego? Czy powinnam spróbować z nimi porozmawiać, trochę ich popchnąć ku sobie?

- Keats - odpowiada Tom ze znużeniem - posadziłaś ich w tym samym pokoju na cały wieczór. Jeśli będą chcieli znów się spotkać, to ich sprawa. Ty zrobiłaś swoje.

- Wiem, ale oboje tacy nieporadni.

- Są dorośli. Dadzą sobie radę. A swoją drogą, czemu ci aż tak bardzo zależy?

- Wcale nie. Tylko że oboje wydają się samotni.

- Jacob woli spędzać cały swój wolny czas ze staruszką. Jeśli się tak postępuje, trudno liczyć na udane życie towarzyskie.

- Ale on spędza czas z moim ojcem. Gdyby tego nie robił, to może ja bym musiała. To oznacza, że jestem mu winna pomoc.

- I udzieliłaś mu jej dziś wieczorem. Zadanie wykonane. - Objął mnie. - Jeśli naprawdę chcesz się nad kimś litować, to mogę skorzystać z tego masażu, który mi niedawno proponowałaś.

- Ale to moje urodziny. Ja powinnam być masowana.

- To nie są twoje urodziny. Twoje urodziny były cztery dni temu.

- To wieczór mojego urodzinowego przyjęcia - mówię, ale Tom nie wygląda na przekonanego. - No dobrze. Pójdziemy na kompromis. Ty zrobisz mi masaż.

- Gdzie tu widzisz kompromis?

- No... w tej sprawie... znajdę odpowiedź, kiedy będziesz mi masował plecy.

- Zawsze wygrywasz - mówi Tom z rezygnacją.
- Moja wygrana jest twoją wygraną - odpowiadam, wabiąc go w stronę sypialni. Porzucone naczynia muszą czekać do rana.
- Jak to rozumiesz?
- Ciii... - Rzucam się twarzą w dół na łóżko. - Nie gadaj. Masuj.

Rozdział 8

Następnego ranka w poczcie znajduję e-mail od Milтона. Wysłał go też do Hopkins. Jest krótki.

„Mama cały dzień leżała w łóżku. Nadal leży”.

To wszystko, ale nie musi dodawać nic więcej.

Odpisuję im obojgu: „Powinniśmy coś zrobić?”.

Po minucie przychodzi odpowiedź od Hopkins: „Ja się tym zajmę. Zadzwońię do jej lekarza i dowiem się, czy według niego należy zmienić leki. Myślę, że tym razem szybko to zakończymy”.

Czuję ulgę, mogąc zostawić tę sprawę w rękach Hopkins, ale nie mogę się otrząsnąć z poczucia ssącego niepokoju - zbyt wiele zapamiętałam z dzieciństwa nerwowych dni, kiedy czekaliśmy, aż mama do nas wyjdzie i znów będzie sobą.

Tom wchodzi do salonu, gdzie wciąż z nieszczęśliwą miną gapię się w komputer.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak, świetnie - zbywam go i wstaję, żeby pójść do łazienki przygotować się do pracy. Po co o tym mówić? Jego matka raz w roku jeździ do ośrodka wypoczynkowego w Arizonie, kiedy czuje, że potrzebuje oddechu.

Nie chodzi o to, że mnie by nie zrozumiał czy nie okazał współczucia, tylko mam serdecznie dość bycia tą, która ma nienormalną rodzinę. Zresztą może Hopkins ma rację i ten stan mamy nie potrwa długo. Kto jak kto, ale moja siostra powinna wiedzieć, nie?

Zgodnie z oczekiwaniami Milton e-mailuje do nas późnym popołudniem we wtorek. „Wstała. Nic nie mówi. Ale wstała”.

I kiedy mama dzwoni do mnie do pracy dwa dni później, znów jest sobą. Mówi w normalnym rytmie - no, może odrobinę wolniej niż zwykle - kiedy informuje mnie, że znalazła pudełko wypełnione jakimiś moimi starymi listami.

- Mogę je wyrzucić?

- Nie wiem. Nie jestem pewna, co to za listy.

- Chcesz, żebym je przejrzała, póki jesteś przy telefonie?

- Nie, nie chcę. - W ciągu tych lat, kiedy spotykałam się z Tomem, parę razy byłam wychowawczynią na obozach, gdzie nie miałam dostępu do e-maila czy telefonu, więc pisał do mnie długie listy. Nie wiem, czy to one są w pudełku, i nawet nie pamiętam, czy jest w nich coś pikantnego - wydaje mi się, że pisał głównie o swojej pracy, a pracował wówczas u swojego taty, i o filmach, jakie obejrzał - ale są osobiste i nie chcę, żeby moja matka je czytała. - Przejrzę je, jak będę w domu następnym razem.

- Nie mogę zostawić wam wszystkiego porozkładanego wokół do przejrzenia w jakiejś bliżej nieokreślonej

przyszłości - mówi z irytacją. - Próbuję doprowadzić ten dom do stanu, w którym będzie go można pokazać, więc nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ty i Hopkins znajdziecie czas w swoim zapracowanym życiu, żeby mi choć trochę pomóc.

Normalnie coś bym odpyskowała, ale pamiętając o jej obecnej kruchości, gryzę się w język.

- Przykro mi, że czujesz się przytłoczona, mamó, wiem, że Hopkins jeszcze nie przyjechała, ale ja naprawdę staram się pomóc. - To frustrujące, bo przecież ją znam. Naprawdę nie pracuje aż tak ciężko. Widzi przed sobą duże zadanie i raczej wpada z jego powodu w panikę, niż bierze się do roboty. To dlatego nasz dom jest i zawsze był jednym wielkim bałaganem: zamiast atakować problem powoli i metodycznie, ona wścieka się, że jest tyle do zrobienia, macha rękami i narzeka do każdego, kto chce słuchać, że zadanie jest nie do wykonania. Ta panika mogła nawet wywołać ostatni epizod depresji. - Przyjdę zabrać to pudełko, jeśli właśnie tego chcesz.

- Tak byłoby... Och, zaczekaj, właśnie sobie przypomniałam. Jutro wieczorem idę na kolację niedaleko miejsca, gdzie mieszkasz. Mogę ci je podrzucić. I przy okazji również parę innych rzeczy.

- Skąd moje poczucie, że trafi do mnie coś, czego nikt inny nie chce? Jak stół z jadalni? Albo stara komoda babci? Albo Milton?

- Skoro już o tym wspominasz... - Na dźwięk jej śmiechu wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam przez całą tę rozmowę; jeśli może się śmiać, to wszystko

z nią w porządku. - ...jest bardzo łatwy w obsłudze, wystarczy raz w tygodniu go nakarmić i napoić.

- Powiedzmy.

- To jak, dobrze się bawiłaś w niedzielę? Jestem skołowana nagłą zmianą tematu.

- W niedzielę?

- Twoja urodzinowa kolacja. Cholera. Kto jej powiedział?

- To nie była urodzinowa kolacja. Po prostu kolacja.

- Twój ojciec mówił, że obchodziłaś urodziny. Wspaniale, że go zaprosiłaś. Powinien więcej wychodzić między ludzi. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak było.

.. .1 dać mi do zrozumienia, że wiesz, że zostałam wykluczona - zaprosiłam tatę, a ciebie nie.

- Zorganizowałam ją w ostatniej chwili - mówię pośpiesznie. - A świętowałam z Tomem, dokładnie w dniu moich urodzin.

- Dał ci coś ciekawego?

Wyrył sobie na ciele moje imię. Czy to się liczy?

- Naszyjnik - odpowiadam.

Kiedy podrzuca pudełko do naszego mieszkania, nie jest sama. Otwieram drzwi, a ona stoi obok jakiegoś mężczyzny, którego nigdy wcześniej nie widziałam, mężczyzny o gęstych siwych włosach i urodziwych wyrazistych rysach. Oboje trzymają w rękach pudła.

- Cześć - odzywa się radośnie mama. - Keats, poznaj Michaela Goodmana. Michaelu, poznaj Keats.

Michael lekko unosi swoje pudło.

- Chętnie bym uścisnął dłoń, ale...

- Wejdźcie - zapraszam. - Może je pan postawić. Stawia - oboje stawiają - i wymieniamy uścisk dłoni, Tom wychodzi z sypialni, gdzie oglądał telewizję.

- O, kogo my tu mamy - mówi, spoglądając na mnie pytająco. Zapomniałam go uprzedzić, że mama do nas wpadnie, i ma na sobie obwisłe spodnie od dresu i poplamioną, znoszoną koszulkę.

Michael się przedstawia i teraz oni ściskają sobie dłonie.

- Zatem dokąd wy dwoje się wybieracie? - pytam.

- Na przegląd starych filmów Kurosawy w Coolidge Corner - odpowiada Michael.

- Trochę kina akcji w postaci „Tronu we krwi”?

- „Rashomon”, ale jestem pod wrażeniem. Większość dzieciaków w twoim wieku nie zna Kurosawy.

- Nauczyłam się o takich rzeczach akurat tyle, żeby uchodzić za bardziej wyrobioną, niż jestem w istocie.

- Widziałaś jakiś film Kurosawy?

- Kilka, ale tylko dlatego, że ona mnie zmusiła. - Ruchem głowy wskazuję mamę.

- A ty? - Michael zwraca się do Toma, który zaprzecza, kręcąc głową. - Jakie filmy lubisz?

- Jestem maniakiem filmów akcji - przyznaje Tom. - James Bond, Jason Bourne, takie rzeczy.

- Kurosawa to wielki reżyser kina akcji - stwierdza poważnie Michael. - „Siedmiu samurajów” było inspiracją dla wielu późniejszych westernów.

- Tak? - dziwi się Tom. - Super. Nie wiedziałem. Nie mogę znieść wyrazu twarzy mojej matki - tej uprzejmej bezbarwnej maski sugerującej, że nie może

pokazać po sobie, co naprawdę czuje, kiedy Tom się odzywa - więc mówię szybko:

- Chyba powinniście już iść, jeśli macie zjeść kolację przed kinem.

- Racja - przyznaje Michael, spoglądając na zegarek. Grożę mu palcem.

- Tylko proszę dopilnować, żeby wróciła do domu przed dziesiątą.

Unosi brwi.

- To może być trudne. Film zaczyna się o dziewiątej.

- Nie wiem, po co zadaję sobie trud wyznaczania godziny policyjnej - mówię z westchnieniem.

Michael się uśmiecha.

- Mamy zawsze się buntują, kiedy próbuje się ustalać zasady, prawda?

No dobra, chyba zaczynam lubić tego człowieka. Jest o wiele bardziej ujmujący od Paula. I przystojniejszy. Staram się przetelegrafować moje uznanie mamie, ale ona już ciągnie go do drzwi.

- Chodźmy - ponagla. - Aha, Tom, w samochodzie jest jeszcze jedno pudło...

- Żaden problem.

Tom schodzi z nimi na dół, a kiedy wraca z pudłem, pytam:

- Co pomyślałeś?

- O czym?

- O randce mamy.

- To była randka?

- Oczywiście. A co innego?

- Nie wiem. - Kieruje się do sypialni. - Właściwie

niewiele o tym myślałem. Chyba po prostu założyłem, że jest jej znajomym, i tyle. - Znika w sypialni. Czasami wolałabym mieszkać z dziewczyną.

Parę godzin później czytam w łóżku „New Yorkera”, próbując się odciąć od głośnego programu sportowego oglądanego przez Toma, kiedy dzwoni telefon. Tom podnosi bezprzewodową słuchawkę, zerka na wyświetlacz i rzuca mi ją ze słowami:

- Twój tata.

Ale to wcale nie jest tato.

- Keats? Mówi Jacob. Chciałem, żebyś wiedziała, że karetka już jedzie, na wypadek gdybyś chciała spotkać się z nami w szpitalu. Nie mogłem się dodzwonić do twojej matki, więc...

- Zaczekaj - przerywam mu. - Co się dzieje? Z tatą wszystko dobrze?

Tom patrzy na mnie zatroskany.

- Co jest? - pyta szeptem. - Co się dzieje? Uciszam go gestem uniesionej ręki, żeby dobrze słyszeć Jacoba.

- Myślę, że to serce - mówi Jacob. - Muszę iść. Możesz przyjechać do szpitala Świętego Krzysztofa?

Jestem już na nogach.

Tom upiera się, żeby mi towarzyszyć. Wysadza mnie przed szpitalem i jedzie zaparkować. Pędzę do izby przyjęć i mówię pielęgniarce, kogo szukam. Wpuszcza mnie do środka, w sieć korytarzy i pokoi badań, gdzie natychmiast dostrzegam Jacoba drepczącego przed zamkniętymi

drzwiami jednego z pomieszczeń. Podbiegam do niego i wymieniamy szybki uścisk.

- Właśnie go badają - mówi. - Jeszcze nic nie wiem poza tym, że chodzi o serce. Ratownicy z karetki podali mu tlen i chyba coś na rozrzedzenie krwi.

- Co się stało? Zemdlał? Bardzo go bolało?

- Nie wiem zbyt wiele. Nie było mnie w pobliżu. Uczyłem całe popołudnie i zadzwoniłem ot tak, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale miał okropny głos; gdy spytałem, czy coś jadł, zaprzeczył, więc kupiłem trochę jedzenia. Jak przyjechałem, leżał na podłodze, ale był przytomny. Nie mógł wstać, mówił, że czuje się, jakby coś wielkiego zgniatało mu pierś, i że nie miał siły dojść do telefonu.

- Gdybyś nie przyjechał...

- Żałuję, że się zatrzymałem po jedzenie...

- Tak. Jeśli umrze, to będzie twoja wina. Zdobywa się na błądy uśmiech.

- Dzięki, Keats. Ty to naprawdę umiesz człowieka pocieszyć. Dotykam jego ramienia.

- Tylko ty sprawdzałeś, co się z nim dzieje. Czuję się okropnie. Jestem ci wdzięczna, ale czuję się okropnie. Mówili, czy to coś poważnego?

- Ratownicy z karetki zachowywali się spokojnie, jeśli to o czymś świadczy.

- Przyjechałeś razem z nim karetką?

- Nie chciałem, żeby był sam. Zostawiłem twojej mamie nagranie w poczcie głosowej.

-Jest w kinie... prawdopodobnie ma wyłączony

telefon. - Będę musiała jakoś ją złapać. Potrzebuję, żeby była tu ze mną. - Mogę wejść i go zobaczyć?

- Nie wiem. Mnie wyprosili. Ale ja nie jestem krewnym.

- Pójdę zapytać pielęgniarkę. Jeśli wcześniej zobaczysz Toma, powiedz mu, żeby tu z tobą zaczekał.

Potakuje i opiera się o ścianę z rękami w kieszeniach, zwieszoną głową.

Pielęgniarka na nic się nie przydaje, mówi, że powinnam grzecznie siedzieć i czekać na lekarza.

Czuję się dość głupio, że poszłam z nią rozmawiać, bo kiedy wracam, zastaję lekarza pogrążonego w rozmowie z Jacobem i Tomem. Podbiegam do nich w momencie, gdy pada słowo „stabilny”.

- Wyzdrowieje? - pytam.

- To jego córka - wyjaśnia lekarzowi Tom. Lekarz ściska mi dłoń.

- Aman Malik.

Mamroczę coś o tym, jak miło mi go poznać, choć w zaistniałych okolicznościach to absurd.

- Jak on się czuje?

- Trzeba jak najszybciej wstawić stent. Lekarstwa, które podaliśmy, nie działają.

Wszyscy patrzą na mnie. Zdaję sobie sprawę, że powinnam coś powiedzieć.

- Tak? - brzmi moja błyskotliwa odpowiedź. Boże, że też nie ma przy mnie matki!

Doktor Malik próbuje wyjaśnić:

- Serce, jak pani wie, jest mięśniem - słyszę, a potem

zaczyna mówić jak dorosłe postacie z kreskówki o Char-liem Brownie. Jego głos brzmi jak dźwięki trąbki z tłumikiem, słowa nie łączą się w żadną sensowną treść. Jacob i Tom potakują, jakby rozumieli, co on mówi, więc problem najwyraźniej tkwi w mojej głowie, nie w lekarzu.

Czuję coraz głębszą rozpacz. Kiedy przerywa wywód i patrzy na mnie, przychodzi mi do głowy tylko jedno: „Chcę, żeby tu była moja mama”, jednak staram się, by to brzmiało bardziej dojrzałe.

- Chciałabym, żeby moja matka była obecna przy podejmowaniu decyzji.

- Będzie tu wkrótce?

- Sądzę, że tak.

- Zaczniemy wypełniać dokumentację. To zawsze trwa dłużej, niż można by sądzić. Proszę powiedzieć pielęgniarce, żeby mnie wezwała przez pager, jak przyjdzie pani matka. - Zaczyna się oddalać.

- Chwileczkę! - wołam za nim. - Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. - Sprawia wrażenie lekko zdziwionego, że pytam. - Jest tutaj. - Wskazuje głową na drzwi.

Robię parę kroków w tamtą stronę, przystaję, spoglądam na Jacoba.

- Chodź ze mną. - Nie potrafię wejść do środka sama. Boję się tego, jak tato może wyglądać. Jacob kiwa głową i razem kierujemy się do drzwi. - Tom, mógłbyś spróbować skontaktować się z moją matką? Zadzwoń do kina, jeśli będzie trzeba.

- Do którego?

- Coolidge Corner. - Był obecny, kiedy Michael

informował nas, że właśnie tam się wybierają. - Nie pamiętasz? Film Kurosawy.

- No tak. Jasne. - Wyciąga swoją komórkę, a my z Jacobem wchodzimy do pokoju badań.

Tato z zamkniętymi oczami leży przykryty cienkim kocem, włosy ma zmierzwione, twarz bladą i zapadniętą. Do nosa ma podłączoną rurkę z tlenem, do ramienia kroplówkę.

- Cześć - mówię.

Na dźwięk mojego głosu otwiera oczy. Udaje mu się uśmiechnąć.

- Jak to może nie być niestrawność? - odzywa się głosem tak słabym, że przypomina szept. Po każdym paru słowach musi brać oddech. - To zawsze jest niestrawność. Myślisz, że masz zawał, jedziesz na ostry dyżur, a oni ci mówią, że to tylko niestrawność, masz wrócić do domu i odpocząć. Czekam, żeby mi to powiedzieli.

- Wygląda na to, że będziesz czekał trochę dłużej.

- Wydaje mi się zbyt kruchy, żeby go pocałować, więc tylko gładzę jego dłoń. Kiwa nieznacznie głową, ale oczy znów mu się zamykają, jakby nie miał siły utrzymać ich otwartych.

- Dobrze, że Jacob przyszedł do mojego mieszkania

- mruczy.

- Szkoda, że nie zrobili szybciej tej kanapki - mówi Jacob. - Człowiek za ladą okropnie się guzdrał. Gdybym wiedział...

- To byś zrezygnował z majonezu? - pytam.

- Tak. Głupi majonez.

- Mówiłem ci, że nie jestem głodny - szepcze tato.

- Dlaczego nikt mnie nigdy nie słucha?

- Mogłeś wspomnieć, że masz zawał - mówię. - Tego by na pewno posłuchał.

- Musiało mi wylecieć z głowy - odpowiada ojciec głosem słabym jak szmer.

Tom pojawia się w progu kilka minut później i przyzywa mnie machnięciem. Kiedy dołączam do niego w holu, oświadcza mi z dumą, że choć nie było łatwo, w końcu przekazał wiadomość mojej matce i teraz mają na linii. Podaje mi swój telefon komórkowy, żebym mogła z nią porozmawiać.

- Już jadę - mówi mama. - Przepraszam, że mieliście kłopot z dodzwonieniem się do mnie. Jak on się miewa?

- Poza tym, że miał prawie śmiertelny atak serca? Ignoruje moją złośliwość.

- Dzwoniłaś już do Hopkins? -Nie.

- Do niej powinnaś zadzwonić najpierw. Tylko ona jedna spośród nas we wszystkim się orientuje.

- Nie jest kardiologiem.

-Prawdopodobnie pamięta ze swoich praktyk na kardiologii więcej, niż większość kardiologów w ogóle wie. Chciałabym, żeby porozmawiała bezpośrednio z tutejszymi lekarzami. A tak naprawdę to chciałabym, żeby natychmiast przyjechała, ale nie wiem, na ile to możliwe.

Co za ironia. Przez cały ten czas bardzo pragnęłam obecności mojej mamy, tymczasem ona pragnie obecności mojej starszej siostry.

Mama się rozkręca:

- Zamierzam też zadzwonić do naszego internisty i sprawdzić, czy może się ze mną spotkać w szpitalu. - Chyba zauważa, że się nie odzywam. - Nie martw się, Keats. Ludzie dochodzą do siebie po zawałach. Z twoim ojcem wszystko będzie dobrze. Może nawet zaczniesz bardziej o siebie dbać... czasami taki przestraszony jest najlepszym dzwonkiem alarmowym.

Irytuje mnie jej spokojny ton.

- Mamy szczęście, że Jacob przyszedł do taty na czas - mówię.
- Gdyby nie on, nawet byśmy nie wiedzieli, że tato tam leży nieprzytomny.

- Tak, wiele zawdzięczamy Jacobowi - odpowiada beznamiętnie. - Zapewniam cię, że nadal będę sypiać po nocach, choćbyś nie wiem jak się starała wzbudzić we mnie poczucie winy.

- O, naprawdę?

Wzdycha.

- Proszę cię, zadzwoń do Hopkins, dobrze? Wyłączam się, oddaję Tomowi komórkę, wyciągam własną i zaczynam wybierać numer.

- Do kogo teraz dzwonisz? - pyta Tom.

- Do mojej siostry. Mama chce, żeby porozmawiała z lekarzem, ponieważ najwidoczniej jest jedyną osobą w naszej rodzinie, która wie cokolwiek o czymkolwiek.

Od razu włącza się poczta głosowa Hopkins.

Zostawiam krótką wiadomość: wyjaśniam sytuację i proszę, żeby oddzwoniła do mnie albo do mamy. Nie muszę się martwić, że ją przestraszę. Hopkins nie boi się takich rzeczy.

Matka przyjeżdża po dwudziestu minutach. Na jej

widok czuję ulgę, ale też lekkie zdziwienie, bo towarzyszy jej Michael Goodman.

- Ciekawa randka - mówię do niej, kiedy Michael wychodzi do toalety.

- Nie zaczynaj - ostrzega. - Musiał mnie tu przywieźć i był na tyle miły, by zadeklarować, że wejdzie ze mną i sprawdzi, czy mógłby być w czymś pomocny.

- Nie czuje się w tym wszystkim trochę niezręcznie? Ty też się nie czujesz?

- Jesteśmy dorośli, Keats. Michael rozumie sytuację.

- Czyli co właściwie?

- Że musiałam natychmiast jechać do szpitala, bo mój były mąż miał zawał. O, dzięki Bogu, że tu jesteś. - Ostatnie słowa nie są skierowane do mnie, tylko do mężczyzny w średnim wieku, który mimo iż jest ubrany w normalne spodnie i wzorzysty sweter, wciąż wygląda na lekarza ze swą dystygowaną siwą czupryną i małą czarną torbą. Witają się serdecznie, a potem mama przedstawia mi go jako internistę taty, doktora Hansona.

Doktor Hanson informuje nas, że rozmawiał już z doktorem Malikiem i ufa, że ten podejmuje wszystkie niezbędne decyzje. Idą z mamą razem zobaczyć tatę, a Tom pyta mnie, czy możemy już wyjść, skoro na miejscu jest moja matka.

- Będę się czuła lepiej, jak zostanę. Ale ty jedź do domu.

Przytula mnie mocno, całuje i mówi:

- Wyzdrowieje. Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odpowiadam, po czym Tom kieruje się do wyjścia.

Nabieram sobie cło małego papierowego kubeczka wody z butli na korytarzu, kiedy wraca Michael.

- Weszła do środka zobaczyć się z moim tatą - mówię mu. - Jestem pewna, że zaraz wyjdzie.

- Dobrze - odpowiada Michael. - Nie ma pośpiechu. Zastanawiam się, jak długo planuje zostać.

- Udało wam się obejrzeć choć trochę filmu? - pytam, kiedy siedzimy na ławce w korytarzu przed pokojem taty. Czuję się, jakbym była na koktajlowym przyjęciu i musiała uprzejmie porozmawiać z nieznanym. Na fatalnym, stresującym przyjęciu.

- Wystarczająco dużo. Zwłaszcza że widziałem go już wcześniej kilka razy. - Nagle spuszcza z tonu. - Naprawdę mi przykro z powodu twojego ojca, Keats.

- Dzięki. Wszyscy są raczej dobrej myśli.

- Jestem pewien, że dojdzie do siebie. Ale pobyt w szpitalu nigdy nie jest przyjemny, ani dla pacjenta, ani dla odwiedzających.

Nim się zdobywam na odpowiedź, Jacob wychodzi z pokoju taty i dołącza do nas.

- Zamierzasz tam wejść, Keats? Rozmawiają o operacji.

- Po co? Nie jestem Hopkins.

- Nie sprawdzają dyplomów przy wejściu. Wzruszam ramionami i nie idę.

Chwilę później wychodzi mama z komórką przy uchu. Nie słyszę, co mówi, ale słucha uważnie, więc domyślam się, że Hopkins jest po drugiej stronie linii. Wreszcie kończy rozmowę i podchodzi do nas.

- Dzięki Bogu, teraz porozmawia z Malikiem. Michael, nie musisz tu z nami czekać.

- Jesteś pewna? - Michael wstaje. - Gdybym mógł jakoś pomóc...

- Już bardzo pomogłeś - mówi mama. - Chodź, odprowadzę cię do wyjścia.

Michael potrząsa moją ręką i mówi do widzenia Jacobowi, a potem on i mama oddalają się korytarzem; idą tak blisko siebie, że ocierają się ramionami. Żadne z nich nie próbuje zwiększyć dystansu.

- Kurczę - odzywam się, patrząc, jak znikają za załomem ściany. - Nic nie pozwala się znów poczuć tak młodo i zalotnie jak zawał męża.

Jacob tylko wzdycha, co mnie irytuje.

- Nie mogę uwierzyć, że to robi - mówię. - To chore.

- Była na randce, Keats. I rozwodzi się z twoim tatą. Niektóre kobiety w ogóle by się nie pokazały w takich okolicznościach.

- Może to byłoby lepsze niż przychodzenie i lepienie się do tego faceta.

- Wcale się do niego nie lepiła - mówi Jacob. - Daj spokój, odpuść jej trochę. - Następnie dodaje łagodniejszym tonem: - Wiem, że to wszystko jest dla ciebie trudne...

- Och, już lepiej bądź cicho! - rzucam ostro, więc przestaje się odzywać i siedzimy w milczeniu.

Po powrocie mamy doktor Hanson zapraszają i mnie do pokoju, gdzie informuje nas, że rozmawiał już z Hopkins, która popiera implantację stenta, więc rzecz jasna mama natychmiast podpisuje niezbędne dokumenty.

Tato ogólnie sprawia wrażenie, jakby przysłuchiwał się rozmowie, ale czasami zamyka oczy, może zapada

w drzemkę, a może nie, trudno powiedzieć. Kiedy ma otwarte oczy, ich spojrzenie cały czas spoczywa na mamie. Jest dla niego miła, gładzi go po ręce, zadaje lekarzowi mnóstwo pełnych troski pytań o samą operację i rokowania, ale jest przy tym bardzo spokojna i sprawia wrażenie raczej oddanej siostry niż żony po trzydziestu wspólnie przeżytych latach.

Tato wpatruje się w nią spod swoich szalonych brwi, pożera ją wzrokiem, ilekroć udaje mu się na chwilę utrzymać w górze powieki. Kiedy mama dotyka jego ramienia, sięga do jej dłoni, ale jest za słaby, żeby ją chwycić na dłużej niż moment, a gdy zwalnia uścisk, ona cofa rękę.

Po konsultacji robi się ruch - wchodzi pielęgniarki, żeby przygotować tatę do operacji. Doktor Hanson życzy nam wszystkiego najlepszego, obiecuje pozostawać w kontakcie z lekarzem prowadzącym, klepie tatę w łopatkę, ani razu nie patrząc mu w oczy, i wychodzi.

Mama i ja idziemy znów usiąść koło, Jacoba. Czekam, żeby to ona mu powiedziała, że powinien iść do domu, ale na próżno. Jacob proponuje, że znajdzie dla nas kawę. Mama mówi, że byłoby świetnie, i każe mi iść z nim.

- Spacer dobrze ci robi - mówi. - Nic tak nie męczy jak beczynne siedzenie i czekanie na wiadomości. A przyjdzie nam teraz długo czekać.

Jacob dostrzega pielęgniarkę i pytają, gdzie możemy dostać kawę.

- W głównym holu szpitala jest automat, ale kawa z niego jest raczej obrzydliwa - mówi pielęgniarka. - Stołówkę zamykają na noc. Jeśli chce wam się wyjść

z budynku, dwie przecznice dalej jest McDonald; otwarty do północy.

- Chodźmy - zwraca się do mnie Jacob. - Chętnie zjem ich deser lodowy. Albo trzy desery. Nie jadłem kolacji.

- Naprawdę? Dlaczegoż to? Coś ci niespodziewanie wypadło?
- Wychodzimy ze szpitala. - Sądzisz, że mama ma rację, on wyzdrowieje?

- Tak - odpowiada Jacob z przekonaniem. - Myślę, że przed nami kilka ciężkich tygodni, a potem znów wróci do normy.

- Do normy, czyli będzie stary i słaby. - Przypominam sobie, jak ojciec potrzebował wsparcia Jacoba, żeby niedawno wejść do mojego mieszkania. Serce prawdopodobnie już wtedy mu szwankowało, tylko my o tym nie wiedzieliśmy.

- Nie mogą go odmłodzić - mówi Jacob. - Ale może sprawią, że będzie zdrowszy.

- Albo zmienią go w cyborga.

- Dobrze by było. Zwłaszcza gdyby mu dali zdolność prześwietlania wzrokiem.

- Zmarnowałyaby się u taty. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby zaglądać dziewczynom pod ubranie.

- Do czego, ma się rozumieć, wyłącznie przydaje się rentgen w oczach.

Wchodzimy do restauracji i zamawiamy dwa desery i trzy kawy.

- Usiądźmy na parę minut - proponuję. - Lody się roztopią, jeśli ich od razu nie zjemy. Mama może poczekać na kawę.

-Nie wydaje mi się, żeby to się mogło roztopić - mówi Jacob, spoglądając nieufnie na plastikowy pojemnik. Mimo to siadamy przy stoliku.

Wieczór nie sprzyja lekkim pogawędkom, więc z początku jemy w milczeniu; dopiero po chwili ja zaczynam:

- Nigdy mi nie mówiłeś, co się stało z twoimi rodzicami, Jacob... jak umarli. Jestem nietaktowna, że pytam? Może nie lubisz o tym mówić?

- Nie, w porządku. - Raz po raz wbija łyżeczkę w lodową masę, patrząc na powstałe w niej dziury. - Ogólnie biorąc, mieli... mieliśmy naprawdę dużego pecha. Mama jako dziecko chorowała... nawet nie wiem dokładnie na co, i zawsze twierdziła, że mogła nie zostać prawidłowo zdiagnozowana. W każdym razie polepszyło jej się i nie sama choroba stanowiła problem, tylko w czasie leczenia została potężnie napromieniowana, bo domyślałam się, że to był jakiś mały szpitalik na zadupiu i nie bardzo tam się umieli obchodzić z rentgenem. Dlatego zmarła na białaczkę, kiedy miałem mniej więcej pięć lat. A potem, jak miałem dwanaście, tatę bolał brzuch, ale zbyt długo to zaniedbywał - po prostu łykał tabletki przeciwbólowe, taki już był, zawsze zachowywał stoicki spokój - i pękł mu wyrostek, co było niebezpieczne, ale nie musiało się zakończyć tragicznie, tylko że na sali operacyjnej złapał gronkowca, który go zabił. - Uśmiecha się blado. - Jak już mówiłem, mieliśmy naprawdę fatalnego pecha.

- Boże, Jacob, to straszne. Kto się tobą zaopiekował po śmierci ojca?

- Zamieszkałam u rodziny brata mojej matki. To nie

był szczęśliwy okres w moim życiu. Byłem - pokazuje na siebie - taki. Cherlawy mały nerd... mały intelektualista z New Jersey nagle trafił do domu wielkich, zwariowanych na punkcie sportu Teksaszczyków. Futbol był dla nich jak religia. Nie żeby byli źli - mieli jak najlepsze chęci, a ciotka wręcz stawiała na głowie, żebym się u nich dobrze czuł - ale się od nich różniłem i wszyscy to wiedzieliśmy. A w szkole to już było naprawdę ciężko.

- Przykro mi. - Odsuwam od siebie deser. Czuję się przytłoczona smutkiem świata, starym człowiekiem z rurką w nosie, nastolatkiem, bystrym i wrażliwym, ale przeraźliwie samotnym. - Nie mogę uwierzyć, że z takimi doświadczeniami masz siłę w ogóle wejść do szpitala.

- Nie lubię szpitali. Od lat do żadnego nie wchodziłem.

- Masz jak w banku, że moja rodzina wciągnie cię w coś nieprzyjemnego.

Jacob podnosi na mnie wzrok. "W kąciku ust ma plamkę polewy z lodów.

- Twoja rodzina? Twoja rodzina mnie uratowała. Twoja rodzina jest...

- Szalona?

- Tak. W najlepszym znaczeniu tego słowa. Mówię poważnie, Keats, pieprzyć szpital, poszedłbym do piekła i z powrotem dla twoich rodziców. - Ociera usta serwetką; na szczęście, bo byłam gotowa dopaść do niego i osobiście zetrzeć tę polewę. Zwija serwetkę w kulkę i wrzucają do deseru. - Chodź, zaniemiemy kawę twojej matce. Keats...

Wstaję i zarzucam sobie torbę na ramię.

- Co? - pytam, zastygając w bezruchu.

- Opuść jej trochę, dobrze? Znalazła się w trudnej sytuacji.

Zirytował mnie i już mam odburknąć, że nie ma prawa mi radzić, jak mam postępować z własną matką, ale ponieważ dopiero co wyobrażałam go sobie jako samotnego nastolatka, gryzę się w język.

- Wiem - odpowiadam, ucinając temat.

Całą wieczność później wychodzi do nas lekarz z informacją, że operacja przebiegła bez komplikacji.

Nie otwieramy wprawdzie na miejscu szampana, żeby to uczcić, ale obejmujemy się z mamą, a po Jacobie widać ulgę. Od razu dzwonię do Toma, żeby mu powiedzieć. Mój telefon go budzi, ale jest szczęśliwy, słysząc dobrą wiadomość, i deklaruje, że przyjedzie po nas, kiedy tylko zechcemy wracać do domu.

Niewielką chwilę później pozwalają nam zobaczyć tatę, który zostaje teraz przeniesiony na prawdziwą szpitalną salę, ale jest nieprzytomny i go nie budzimy.

Kiedy Tom przyjeżdża, żeby zabrać mnie i mamę, Jacob oświadcza, że zostanie w szpitalu.

- Nikt na mnie w domu nie czeka, więc równie dobrze mogę zrobić coś pożytecznego - tłumaczy. - Jestem dobry w spaniu na krześle, ciągle mi się to zdarza w bibliotece.

Po raz kolejny okazuje się lepszym dzieckiem dla mojego ojca niż ja. Żałuję, że nie potrafię być po prostu wdzięczna, bez poczucia, że mnie kompromituje.

Rozdział 9

Tato zostaje w szpitalu jeszcze przez kilka dni. Z każdą godziną nabiera sił i wkrótce domaga się swojego laptopa, który Jacob sprowadza z jego mieszkania wraz z kilkoma gazetami, pocztą i swoim samochodem zostawionym tam, kiedy wsiadał do karetki. Jacob właściwie koczuje w szpitalnej sali; gdy tato śpi, pracuje na jego laptopie, a wychodzi tylko wtedy, gdy mama albo ja poprosimy go o załatwienie jakiejś sprawy, albo ktoś chce zostać z pacjentem sam na sam.

Prawie cały weekend spędzam w szpitalu, a kiedy w poniedziałek wracam do pracy, Rochelle pozwala mi się urwać wcześniej. Jej rodzice też ostatnio mieli wiele problemów zdrowotnych, więc mi współczuje.

Tom idzie ze mną tamtego wieczoru odwiedzić tatę. Stara się być radosny i serdeczny:

- Wygląda, że znów wszystko będzie świetnie, Larry! Jednak mój ojciec odpowiada jak zwykle cierpko:

- Świetnie, cóż za znaczące słowo, zwłaszcza w tym kontekście.

Sądzę, że obaj czują ulgę, kiedy wizyta dobiega końca. Hopkins regularnie dzwoni, żeby być ze wszystkim na bieżąco, i mówi, że za kilka dni przyleci.

- Nie muszę go oglądać, kiedy wciąż jest w szpitalu - oświadcza mi podczas krótkiej rozmowy telefonicznej . - Mają tam wystarczająco dużo lekarzy. Zakładam, że po wyjściu wprowadzi się z powrotem do mamy?

Ja też tak zakładam.

- Pojedzie do domu po opuszczeniu szpitala, prawda? - zwracam się do matki, kiedy we wtorek, podczas mojej przerwy na lunch spotykamy się z kardiologiem.

- Tak, oczywiście - odpowiada żywo mama. - Do swojego mieszkania.

- Miałam na myśli dom, nasz dom. Ale ona odwraca się już do lekarza.

- Zatem jak pan sądzi, kiedy zostanie wypisany?

- Myślę, że jutro będzie gotowy do wypisu, o ile nie nastąpi jakiś nieprzewidziany kryzys.

Następnie rzuca nam wesołe „Do widzenia”, wyraźnie zadowolony z sytuacji, jakby myślał sobie: Patrz, mamusiu, uratowałem kolejne ludzkie życie!

- Tato potrzebuje... - zaczynam, kiedy go już nie ma, ale mama nie daje mi dokończyć zdania.

- Zapomnij o tym, Keats. Nie wprowadzi się z powrotem do domu. Po pierwsze, to już nie jest jego dom, a po drugie, jestem w trakcie szukania kupca. Ostatnie, czego potrzebuję, to snujący się po pokojach staruszek w piżamie, podobny do śmierci. Ludzie by uciekali z krzykiem.

- Jezu, niektórzy mogliby to uznać za bezduszność.

- Dzięki za zrozumienie. - Wolno kręci głową. - Nie staram się zdobyć nagrody dla byłej żony roku, Keats, ale też nie uważam się za okrutną. Jestem gotowa pomóc

w opiece nad twoim ojcem, ale nie chcę go mieć z powrotem w swoim domu. Wyprowadzenie go stamtąd po raz pierwszy zabrało mi dziesięć lat. Jeśli pozwolę mu się wśliznąć z powrotem, już nigdy się go nie pozbędę. Zwłaszcza teraz, kiedy jest chory. Oczywiście jeśli chcesz go wziąć do siebie, proszę bardzo. Czy aby nie macie z Tomem jednego wolnego pokoju?

- Masz na myśli gabinet Toma?

- Twój ojciec potrzebuje opieki, a wy marnujecie przestrzeń na jakieś szafki z papierami? Niektórzy mogliby to uznać za bezduszość.

Nienawidzę tego jej odwracania kota ogonem.

- Daj spokój, mamo, ten człowiek był twoim mężem przez trzydzieści lat. A ty nie chcesz mu udostępnić miejsca, gdzie mógłby dojsć do siebie?

- On jest twoim krewnym, nie moim. - Krąży niespokojnie po niewielkim pokoju konferencyjnym. Mam poczucie, że wielu ludzi usłyszało w nim złe wieści. Wszędzie gdzie spojrzeć, znajdują się pudełka chusteczek higienicznych. Mama poprawia jedno z nich, żeby leżało równo z krawędzią dużego kwadratowego stołu, a potem odwraca się tak gwałtownie, że spódnica wiruje jej wokół ud. - Jak już powiedziałam, mogę robić wszystko inne. Będę sprawdzać, jak się miewa, robić mu zakupy spożywcze, przynosić lekarstwa z apteki, dotrzymywać towarzystwa, ale nie będę znowu z nim mieszkać. Kiedy już wróci do swojego mieszkania, możemy się nim opiekować na zmianę...

- A w nocy? Lekarz twierdzi, że tato nie powinien zostawać sam na noc. Przynajmniej na początku.

- Hopkins przylatuje za parę dni. Może zamieszkać U niego na czas pobytu w Bostonie.

- A do tego czasu?

Mama splata ramiona i patrzy na mnie wyczekująco.

- Nie chcę tam spać - mówię. Na samą myśl o tym zbiera mi się na płacz. Uwielbiam swoje mieszkanie. Uwielbiam sypiać z Tomem. Nie chcę być zmuszona mieszkać u taty.

- Ale będziesz - mówi mama.

Następnego dnia zabieram do pracy torbę z rzeczami na noc. Rochelle przychodzi do mojego boksu, żeby porozmawiać, i od razu ją zauważa. Taka już jest, ma sokoli wzrok. Nic nie ujdzie jej uwagi.

Przedstawiam jej swoje plany na ten wieczór, a ona wypytuje mnie o tatę. Oczywiście wie, kim on jest. Odbywając ze mną rozmowę kwalifikacyjną przed dwoma laty, na samym wstępie oznajmiła: „Zakładam, że jesteś spokrewniona z profesorem Sedlakiem z Harvardu”. Kiedy przyznałam, że jestem jego córką, spojrzała na mnie swymi niepokojąco wielkimi błyszczącymi brązowymi oczami i powiedziała: „Prawdopodobnie mógł ci załatwić posadę trochę dalej w górę rzeki. Na Harvard Square z pewnością jest ciekawiej niż tutaj. Nie wolałabyś tam pracować?”. „Zależy mi, żeby pracować tutaj - powiedziałam. - Jeśli pani mnie zechce przyjąć”.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie z zadumą, a potem przybrała bardzo rzeczowy ton i zaczęła mnie wypytywać o to, ile słów piszę na minutę i podobne sprawy.

Zatrudniła mnie jako swoją asystentkę, a po niecałym roku awansowała na kierowniczkę biura.

Opowiadam jej, jak się miewa mój tato, po czym ona gwałtownie zmienia temat.

- Miałaś okazję czytać szkic biuletynu napisany przez Marka?

- Próbowałam. Lecz niełatwo się przez to przedrzeć.

- Wiem. Uwielbiam faceta, ale można pomyśleć, że nigdy w życiu nie miał lekcji angielskiego. - Mark Connely, obsługujący naszą stronę internetową, jest technicznym orłem, ale za każdym razem, gdy musi napisać jakiś tekst, powstaje niegramatyczny i niespójny bełkot. - Słuchaj, Keats, wiem, że to nie figuruje w twoim zakresie obowiązków...

Nie musi kończyć. Odbywałyśmy identyczną rozmowę tak wiele razy, że wystarczy samo zasygnalizowanie problemu.

- W porządku - mówię. - Nie ma sprawy. Wstaje, roztaczając wokół siebie cudowny zapach

piżma i paczuli. Bardzo mi się podoba, jak Rochelle pachnie. Bardzo mi się też podoba, jak wygląda, w wielkich srebrnych kolczykach, jedwabnych bluzkach bez rękawów i klasycznie skrojonych spodniach - oficjalnie i zachwycająco zarazem. Niewiele kobiet to potrafi. Rochelle nie jest młoda - słyszałam od jednych osób, że ma pięćdziesiąt trzy, od innych, że czterdzieści siedem - ale domyślam się, że styl nie ma wieku. Dziękuje mi, a potem kręci głową.

- Jesteś za dobra do tej pracy, Keats. Gdybym była lepszym człowiekiem, kazałabym ci stąd iść i poświęcać

życie większej sprawie. Ale nie chcę cię stracić. Pamiętasz Lois? Tę kobietę, która cię szkolila? Zawsze biegała w kółko jak kurczak z obciętą głową, zagoniona, jakby nie mogła nadażyć. I nie mogła. Nigdy nic nie było zrobione na czas. A ty zawsze jesteś spokojna, rozmawiasz z ludźmi, ale wszystko jest zrobione, i to zrobione dobrze. Jesteś siłą natury, Keats.

- A nie mogłaby pani powiedzieć mojej szefowej, jaka jestem wspaniała? - proponuję radośnie. - Może by mi dała podwyżkę.

- W kryzysie? - Wydaje z siebie cichy świst. - Skarbie, ciesz się, że w ogóle masz pracę. Ja się cieszę. Płaca jest gówniana, godziny długie, ale powiadam ci, setka ludzi byłaby gotowa zabić, żeby się znaleźć na twoim miejscu. Ładne, prawda? - pyta, widząc, że patrzę na jej szare zamszowe czółenka. Spogląda na nie z westchnieniem zadowolenia, po czym kieruje się do wyjścia. - Możesz napisać ten biuletyn od nowa na popołudnie?

- Jasne - obiecuję, bo przeredagowanie brudnopisu Marka zajmie mi mniej niż pół godziny. Smutne, że prawdopodobnie zmarnował cały dzień na zmaganie ze słowami, żeby aż tak go spieprzyć. Domyślę się jednak, co chciał przekazać, i ubiorę to w inne zdania, Rochelle powie mu, że dokonałam „nieznacznych poprawek redakcyjnych”, a on w to uwierzy, bo w nowym tekście będzie wszystko, co zamierzał wyrazić - co według niego udało mu się wyrazić, choć tak naprawdę wcale mu się nie udało. Tylko Rochelle i ja będziemy wiedziały, że zmieniłam każde słowo.

Ledwie zaczynam robotę, przychodzi następny gość. Cathy zagląda przez otwór wejściowy pełniący funkcję drzwi.

- Masz chwilkę?

- Pewnie.

Wchodzi i opiera się biodrem o krawędź mojego biurka.

- To prawda, że twój tata jest chory? Właśnie ktoś mi powiedział, że leży w szpitalu.

Ludzie w biurze są bardzo zainteresowani zawałem mojego ojca. Jako jedyna z pracujących tu osób nie przekroczyłam czterdziestki, a wszyscy pozostali mają już chorego któregoś z rodziców albo oboje. Czuję się, jakbym właśnie została członkiem klubu, o którym dotąd nawet nie wiedziałam, że istnieje.

- Był. Teraz powinien już być w domu. - Spoglądam na zegarek. - Od mniej więcej godziny, jeśli wszystko poszło dobrze. - Mama z Jacobem mieli go zawieźć do mieszkania i tam zainstalować.

- To dobrze. Byłam naprawdę wstrząśnięta wiadomością o jego chorobie. Na twoim przyjęciu urodzinowym wydawał się taki żwawy i zdrowy.

Mówiła serio? Mnie tamtego wieczoru wydawał się fizycznym wrakiem.

- Cóż, dobra wiadomość jest taka, że ma się już znacznie lepiej. - Zmieniam bieg. - Hej, Cathy, a skoro już mowa o tamtej kolacji... Kiedy wszyscy wyszli, pomyślałam, że ty i Jacob jesteście mniej więcej w tym samym wieku, obracacie się w tym samym środowisku i przyszło mi do głowy, że może, no wiesz... - Znacząco zawiesiłam głos.

Cathy przygląda mi się z ukosa.

- To on jest tym facetem, z którym chciałaś mnie swatać? Sama się nad tym zastanawiałam.

Przytakuję.

- To naprawdę dobry chłopak. Serio, jest dla mnie jak brat. Tyle że jest lepszy od mojego prawdziwego brata. Mniej zwariowany. To znaczy, kocham swojego brata, chociaż jest stuknięty.

- Od jak dawna go znasz?

- Jacoba? - Odchylam się na krześle i opieram stopy na biurku. - Mam wrażenie, że od zawsze. Może jakieś sześć lat?

- No, no. Z jakimi dziewczynami zwykle się umawia?

- Nie mam pojęcia. Żadnej nam nigdy nie przedstawił. Cathy krzywi usta.

- Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego moją osobą.

- Tylko dlatego, że mój ojciec skupił całą uwagę na sobie. W takiej sytuacji trudno się włączyć komukolwiek innemu. A Jacob jest trochę nieśmiały.

- Tak jak ja.

- Widzisz? Doskonale do siebie pasujecie.

- No może... Daj mi się najpierw zastanowić. - Wyciąga z plecaka książkę. - Chciałam ci to pokazać. Znalazłam moją starą książkę autorstwa twojego taty i czytam ponownie. Jest niesamowita. Ta część poświęcona Rosji na przestrzeni wieków... jak film katastroficzny, człowiek ma ochotę krzyczeć do postaci, żeby się opamiętały, ale nie może. Nie sądzisz?

- Prawdę mówiąc, nigdy jej nie czytałam.

Gapi się na mnie z otwartymi ustami.

- Żartujesz!

- Raz próbowałam, ale nie dałam rady. Nie bardzo mnie interesuje ta tematyka.

- Boże, gdyby on był moim ojcem...

Byłabyś o wiele bardziej zwariowana, niż jesteś, myślę. Ale tylko się uśmiecham i wzruszam ramionami, w nadziei że nie zechce mi obszerniej wyjaśniać, dlaczego uważa rosyjską część książki mojego taty za tak niesamowitą.

Jednak zechciała.

Mama jest gotowa do wyjścia, kiedy zjawiam się w mieszkaniu taty, ale ją zatrzymuję, bo potrzebuję informacji o jego lekach, telefonów kontaktowych na wypadek pogorszenia i tak dalej. Zapodziała gdzieś dokumentację szpitalną, ale w końcu ją znajduję na blacie w kuchni, pod na wpół opróżnionym kubkiem herbaty.

- Nie zostawiaj go dziś samego na noc - mówi, kiedy naradzamy się w kuchni ściszymi głosami, żeby nas nie podsłuchał. - Jak już miną dwadzieścia cztery godziny od powrotu do domu i nic się nie wydarzy, będziemy mogły przestać tak czuwać, ale na razie go nie zostawiaj.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zostać? - pytam z nadzieją w głosie. Próbowałam namówić Toma, żeby tu do mnie przyszedł, ale wolał spędzić wieczór z Lou i Izzy. - Mogłybyśmy zamówić chińskie jedzenie, napić się wina i w ogóle zrobić sobie piżamowe party.

- Czyż to nie brzmi zachęcająco? - odpowiada z ironią, nalewając sobie szklankę wody. Zakręca kran i patrzy na mnie ze śmiechem. - Prawdę mówiąc, to brzmi całkiem

zachęcająco. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam. Piżamowe party z chińskim jedzeniem byłoby zabawne, ale mam już inne plany na dzisiejszy wieczór.

- Michael? Czy Paul?

- Uwierzyłabyś w zawodnika numer trzy? - Mówi to lekko, ale policzki jej różowieją.

- Boże, mam, flirtujesz na prawo i lewo!

- Bez przesady. - Opiera się o kuchenną szafkę i delikatnie kołysze szklanką na boki, wpatrując się w wodę, jakby przeprowadzała doświadczenie na spoistość cząsteczkową.

- Sądziłam, że kobietom w twoim wieku trudno znaleźć kandydatów do randkowania.

-Może w miastach uniwersyteckich jest inaczej. Ja tu widzę mnóstwo starych pierników, których nikt nie chce.

- Michael był całkiem niczego sobie. Rumieniec na jej policzkach ciemnieje.

- Wiem. I do tego czarujący.

- Więc lubisz go bardziej niż Paula? Czy wolisz tego trzeciego, którego jeszcze nie poznałam?

- Właściwie to go znasz. To Irv Hacker.

- Poczekaj... pan Hacker? Mąż pani Hacker? - Hackerowie byli starymi znajomymi rodziców, zwykle obecnymi na tych niewielu przyjęciach, jakie odbyły się w naszym domu.

- Ellie zmarła trzy lata temu.

- Aha. - Mam poczucie, że wiadomość powinna wzbudzić we mnie jakieś emocje, ale tak naprawdę nie bardzo mogę sobie przypomnieć Ellie Hacker. Wydaje mi się, że była drobniutka i jasnowłosa. Imię kojarzę znacznie

bardziej niż osobę. - Nie czujesz się dziwnie, chodząc z nim na randki?

- Trochę. To jakoś samo wyszło. Zaczęliśmy do siebie e-mailować, tak po przyjacielsku. Potem spotkaliśmy się na kawie. Tylko parę razy umówiliśmy się na to, co nazywałabyś prawdziwą randką.

- Zdefiniuj „prawdziwą”.

Odstawia szklankę i wygładza na sobie spódnicę. Ta kobieta nie może ustać spokojnie nawet przez pięć minut.

- On płaci za kolację, a ja na koniec wieczoru całuję go w policzek.

- Jesteś niesamowita.

Uśmiecha się, nie patrząc mi w oczy. Odnoszę wrażenie, że bawi się jakimś sobie tylko znanym żartem. Takim, którego wolałabym nie poznawać.

- Jeśli dalej będziesz tak postępować, mamo, złamiesz komuś serce.

- Mam nadzieję - mówi, a kiedy podnosi wzrok, w jej wielkich orzechowych oczach tli się blask, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Wygląda dzięki niemu o parędziesiąt lat młodziej. - Chętnie bym złamała parę serc. Nigdy wcześniej mi się nie udało.

- Jesteś pewna? - Gwałtownym uniesieniem podbródka wskazuję sypialnię ojca.

Światło w jej oczach gaśnie.

- Nie to miałam na myśli.

- Wszystko jest zabawne do czasu.

Odstawia szklankę i chłodno życzy mi dobrej nocy. Po jej wyjściu biorę używany przez nią kubek i szklankę i wkładam do zmywarki razem z innymi brudnymi

naczyniami, które znajduję w kuchni. Wolno przechodzę do salonu, starając się zebrać w sobie energię na spotkanie z tatą.

Salon jest pełen kwiatów przysłanych przez różnych ludzi; przez chwilę wędruję od bukietu do bukietu i czytam teksty na bilecikach wetkniętych między łądygi albo zwisających z wazonów. Niektóre są od ludzi związanych z jego uczelnią (dziekana wydziału, paru kolegów, słuchaczy seminarium doktoranckiego), kilka od przyjaciół.

Największą, najbardziej krzykliwą wiązanek przysłali rodzice Toma. Trochę za bardzo się wysadzili: kwiaty są zbyt kolorowe, jest ich zbyt dużo, a napis na bileciku - „Jesteś obecny w naszych modlitwach” - niechybnie wprawiłby tatę we wściekłość, więc odczepiam karteczkę i wyrzucam do kosza. Chcieli jak najlepiej.

Na stoliku do kawy stoi kwiatek doniczkowy z niespodziewanego źródła. „Mam nadzieję, że pan szybko wyzdrowieje - głosi kardecik. - Wszystkiego najlepszego, Michael Goodman”.

Sympatia mamy przysłała tacie kwiaty z życzeniami wyzdrowienia? Ludzie tak robią w takich okolicznościach? Może takie okoliczności nie występują powszechnie, ale mimo wszystko...

- Dziwne - mówię na głos do pustego pokoju.

Nie ma odpowiedzi. Biorę to za potwierdzenie i ruszam do taty.

Niełatwo znaleźć temat do rozmowy. Ostatnio często się widywaliśmy, więc wszelkie nowiny zostały wyczerpane, a tato nie należy do osób, z którymi można pogawędzić

o programach telewizyjnych, knajpach i o tym, co słycać u moich znajomych z liceum.

Zamiast tego pyta, czy jestem juź gotowa powaźnie spojrzeć na swojĄ przyszłość, a tego rodzaju zagajenie nie wróży dla mnie nic przyjemnego.

Nie tylko temat sprawia, że cię¿ko się z nim rozmawia. Specjalnie używa wymyślonych słów, a potem mnie pyta, czy rozumiem ich znaczenie. Kiedy zaprzeczam, mówi, że powinnam czytać lepsze książki i się kształcić, a gdy mówię, że rozumiem, domaga się podania definicji i nawet jeśli mam blade pojęcie, co znaczy dane słowo, nigdy nie udaje mi się wyrazić tego, co trzeba, i dukam coś, czując się głupio.

Przez całe życie tak mnie traktował.

Wreszcie schodzi z tematu Zmarnowanego Życia Keats, lecz tylko po to, żeby udzielić mi wykładu o sercu jako mięśni oraz podstawie metafor literackich. Najwyraźniej gruntownie przemyślał oba zagadnienia, ale żadna z jego obserwacji nie wydaje mi się specjalnie oryginalna, więc po jakimś czasie nie udaje mi się stłumić ziewnięcia, co skłania go do długiej, gniewnej tyrady na temat coraz słabszej zdolności do koncentracji wśród Amerykanów, czym tak mnie nudzi, że mam ochotę krzyczeć, zapewne potwierdzając tym słuszność jego opinii.

- Najpierw były książki, potem artykuły, jeszcze później wpisy na blogu, a teraz ten cały Twitter - mówi. - Ludzie nie potrafią juź przetwarzać informacji, których dostarczenie wymaga użycia więcej niż jednego lub dwóch zdań. W następnym pokoleniu będziemy się porozumiewać

wyłącznie emotikonami, elegancja języka będzie równie martwa jak starożytni Majowie.

Przyjemnie się spędza czas z moim tatą, nie ma co, zwłaszcza biorąc poprawkę na pesymizm, który nie opuszcza go od czasu zawału.

- Przypuszczam, że i tak mam więcej szczęścia niż inni - mówi jakiś czas później. - Zostawię po sobie troje dzieci i kilka książek, które będą żyć, kiedy ja umrę. Niemniej jednak kto będzie pamiętał moje nazwisko za sto czy dwieście lat? Nikt. Oczywiście wtedy nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia. Martwy to martwy. Tylko tu i teraz ta myśl jest dotkliwa.

Chce, bym go zapewniła, że jego książki zawsze będą czytane, a zstępni zawsze będą czcić jego pamięć, więc go zapewniam. Jednak czuję się jak dziecko zmuszane do nakrycia stołu: zżymam się w duchu przed narzuconym obowiązkiem i wykonuję go niedbale, od niechcienia.

- Powinniśmy zjeść kolację - odzywam się, gdy nawet ta żalosna rozmowa wygasa. - Na co miałbyś ochotę?

- Nie jestem głodny - odpowiada. - Od jakiegoś czasu w ogóle nie odczuwam głodu.

Przez ostatni tydzień zauważalnie schudł. Policzki mu się zapadły, piżama na nim wisi. Wygląda o dziesięć lat starzej niż na moim przyjęciu urodzinowym, a nie prezentował się wówczas kwitnąco.

- Musisz coś zjeść, tato.

- Dlaczego ludzie zawsze to mówią? Przecież zdrowe istoty ludzkie nie głodzą się na śmierć. Tylko osobnicy starzy i umierający rezygnują z przyjmowania pożywienia

i dla wszystkich zainteresowanych byłoby najlepiej, gdyby im pozwolono wejść łagodnie do tej dobrej nocy*.

Chyba za bardzo uważa się nas sobą. Nie mam zamiaru mu pobrażać.

- Tato, obiecuję ci, że jak tylko znajdę jakąś krę w okolicach Bostonu, to cię na nią wsadzę.

- Cała moja córka - mówi z dumą. Dziwne, za co można zyskać jego uznanie. - Ten brak sentymentalizmu masz po matce. Obie jesteście pragmatyczne.

Myślę o mojej matce, uśmiechającej się tajemniczo na wzmiankę o łamaniu serc, i zastanawiam się, czy rzeczywiście jest aż tak pragmatyczna, jak sądzi tato. To fakt, ostatnio podchodzi wyjątkowo praktycznie i bez sentymentów do wszystkiego, co dotyczy taty, ale może dlatego, że wszelkie sentymenty tylko by dodatkowo komplikowały sytuację.

- Teraz mam zamiar zamówić coś na kolację, a ty to zjesz i będzie ci smakowało - mówię z udawanym niemieckim akcentem.

- Jak miło słyszeć faszystowskie nuty z ust mojej córki - mówi ojciec. - Przywodzą na myśl tak wiele przyjemnych wspomnień z drugiej wojny światowej.

- Jak naprawdę się żyło w Trzeciej Rzeszy? - rzucam, wychodząc z sypialni.

Przechodzę przez salon i nagle wydaję z siebie okrzyk przestrawu, słysząc, że ktoś jest w kuchni. To tylko Jacob.

* **Z** wiersza Dylana Thomasa w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Opieram się o drzwi, czekając, aż moje serce wróci do normalnego rytmu.

- Myślałam, że to włamywacz - mówię. - Niewiele brakowało, żebyś musiał drugi raz w tym tygodniu dzwonić na pogotowie. Nie zapomniałeś nam aby czegoś powiedzieć o tym zawale? Może przestraszyłeś tatę tak samo jak teraz mnie?

Uśmiecha się dobrodusznie.

- Wiesz, wtedy mi się wydawało, że będzie zabawnie, jak się schowam w szafie i wyskoczę na niego w masce goryla. Ale patrząc z perspektywy czasu... - Wygląda dziś trochę inaczej, próbuję odkryć dlaczego. Zauważam, że ma na sobie dzinsy zamiast nieśmiertelnych spodni khaki i bawełnianą koszulkę zamiast koszuli z guzikami przy kołnierzyku. Domyślam się, że to surowa wersja, która tak naprawdę wcale nie jest surowa. Koszulka ma miękki odcień błękitu, a ramiona Jacoba są raczej chude niż muskularne. Mimo to wygląda nieskończenie mniej nerdowsko niż zwykle. - Przepraszam, powinienem był wcześniej zadzwonić - dodaje. - Bateria w moim telefonie zmarła nagłą i niewytłumaczalną śmiercią.

Pokonuję resztę drogi do kuchni.

- Jestem pewna, że miała dobre życie.

- Tak sądzisz? Wrzucana do kieszeni, zostawiana w kawiarniach, niejeden raz przez przypadek upuszczana do toalety...

- Cofam to, co powiedziałam. Prawdopodobnie popełniła samobójstwo. A tak na marginesie... niejeden raz?

- Wolałabyś nie wiedzieć. Wpadłem, tylko żeby zostawić trochę jedzenia i sprawdzić, jak się miewa twój tato. Aha, no i jeszcze... - Podnosi coś z kuchennego blatu i mi pokazuje. To duża kwadratowa koperta podpisana na wierzchu „Profesor Sedlak” wielkimi krągłymi literami. - Kartka z życzeniami powrotu do zdrowia od jego studentów.

- Mam nadzieję, że to rysunek faceta na szpitalnym łóżku - mówię. - Z dowcipem językowym. Och, proszę, niech to będzie jakiś kalambur. „Najlepsze życzenia prosto z serca”. Albo coś w tym rodzaju.

- Zawsze można mieć nadzieję. - Opuszcza kuchnię, co odbieram jako udzielenie zgody na przegląd zawartości torby, którą zostawił na blacie: dwie kanapki z indykiem, jabłko, pomarańcza i mała torebka precli.

Kiedy wraca po paru minutach, wskazując zakupiony przez niego prowiant, mówię:

- Dbamy o zdrowe odżywianie, co?

- Staram się. Lekarz powiedział, że twój tato powinien uważać, co je.

- To tłumaczy jedną kanapkę z indykiem. Dla kogo ta druga?

- Dla ciebie.

Rzucam mu wymowne spojrzenie.

- Kłamca. Nawet nie wiedziałeś, że tu będę. Oddałbyś tak po prostu swoją kolację, prawda?

Wzrusza ramionami.

- Tam, skąd ją przyniosłem, mają więcej. Jak długo masz zamiar zostać?

- Całą noc. Mama uważa, że przez pierwsze dni ktoś powinien być cały czas w pobliżu.

- Mogę zostać na tę noc, jeśli chcesz iść do domu.
- Nie trzeba. Powykreślałam inne zobowiązania z kalendarza.
- Zastanawiam się, czy widać po mnie, jak bardzo mam ochotę powiedzieć „tak”. Chyba nie widać. Bardzo się staram to ukryć. Nie mówię: „Tak! Zostań! Ja idę! Do widzenia!”, bo wstrzymuje mnie poczucie, że to przecież mój ojciec, nie jego, więc to ja powinnam tej nocy koczować na sofie.
- Aha. Dobrze. - Pauza. - Chcesz, żebym cię zostawił samą?
- Boże, nie! Rozpaczliwie potrzebuję towarzystwa. Chcę też zamówić pizzę, ale tato prawdopodobnie nie powinien jej tykać, a nie chcę zjeść całej sama. - Chwila zastanowienia. - Nie, tak naprawdę chcę zjeść całą i dlatego musisz zostać, żeby mnie ratować.
- Jesteś pewna, że nie chcesz pobyć z nim trochę sam na sam?
- Żartujesz sobie ze mnie? Jestem tu od niecałej godziny, a on już mnie doprowadza do szału.
- Nie znosi bezradności. To ona go tak irytuje.
- Jasne, a on irytuje mnie. Jeśli zostaniesz, oszczędzisz nam obojgu mnóstwa irytacji.
- W takim razie zgoda - mówi ze swobodnym uśmiechem.
- Z czym lubisz pizzę?

Rozdział 10

Tato daje radę zjeść tylko dwa kęsy kanapki z indykiem, zaraz ją odsuwa i mówi, że chce mu się spać. Parę minut wcześniej wziął środki przeciwbólowe, więc nic dziwnego, że jest senny.

Jeszcze przed przyniesieniem pizzy śpi jak suseł.

Jacob i ja zanosimy ją sobie do małego, okrągłego stolika w salonie, tego pod oknem, co znaczy, że możemy podziwiać fantastyczny widok, choć w nocy jest trochę mniej efektowny. Rzeka nie skrzy się tak jak w dzień. Jest czarna, kręta, a jej brzegi zlewają się z równie ciemnym lądem.

Ponieważ drzwi od sypialni taty zostawiliśmy otwarte, na wypadek gdyby musiał nas wołać, światło jest ściemnione, a my mówimy przyciszonymi głosami, jak nastolatki, które późno wróciły z imprezy i nie chcą budzić rodziców.

W takim klimacie mam ochotę na jakiś alkohol. Przeszukuję tacie szafki i w końcu coś jest: liczyłam co prawda na piwo, a tymczasem znalazłam parę butelek czerwonego wina marnujących się w głębi kuchennego kredensu, ale dobre i to.

Pokazuję je Jacobowi, który mówi:

- Wiesz co, może być naprawdę niezłe. Ludzie ciągle z takiej czy innej okazji dają mu flaszkę w prezencie.

- Więc jedna butelka może kosztować trzydzieści dolarów?

- No pewnie. Albo i sto trzydzieści. Mocniej ściskam butelki.

- Mam je odstawić? Jak myślisz?

- Zrób, jak uważasz. - Zaraz potem harcerz Jacob mnie zaskakuje. - Ale twój ojciec w życiu nie pozna, że ich nie ma. W ogóle nie wie, że tam stoją, to ja je tam schowałem. Otwieramy.

Nie trzeba mi tego powtarzać dwa razy. Znajduję korkociąg w wielkiej, pustej szufladzie i odkorkowujemy butelkę.

- Dobrze - mówię po tym, jak stuknęliśmy się kieliszkami i upiliśmy po łyku, ale to bardziej pytanie niż stwierdzenie, bo tak naprawdę za bardzo się na winie nie znam.

- Tak - potwierdza Jacob. Podejrzewam, że jeśli chodzi o znajomość win, nie jest o wiele mądrzejszy ode mnie.

Zabieramy się do jedzenia pizzy i już po chwili Jacob musi ponownie napełnić kieliszki. Dość szybko szumi mi w głowie i jest to przyjemne. Tydzień był ciężki, a poza tym chyba nie zasnąłabym w tym mieszkaniu, gdybym się wcześniej przynajmniej trochę nie upiła.

Rozmawiamy o szpitalu - o tym, które pielęgniarki polubiliśmy, a które nie, o tym, że drugi pacjent w pokoju na stałe się odgrodził zaciągniętą kotarą i wciąż

ma włączony telewizor, o wiecznej zagadce, dlaczego rutynowo budzą pacjentów do wszystkiego, skoro sen ma ponoć tak zbawienne działanie - i wracamy aż do nocy, gdy Jacob znalazł tatę w mieszkaniu na podłodze.

- Jak go zobaczyłem, szczerze mówiąc, pomyślałem, że nie żyje - mówi Jacob. -1 przemknęło mi przez myśl, że będę musiał powiadomić rodzinę.

- Jakoś byśmy godnie to znieśli - mówię z alkoholową pogodą ducha.

- Pomyślałem, że uznacie, że to moja wina. Gdybym przyszedł wcześniej...

- „Wina” to za mocne słowo. Powiedzmy, że uznalibyśmy cię za odpowiedzialnego... prawnie i moralnie.

- Dzięki. - Dziobie resztki brzegu pizzy na swoim talerzu. Jak na tak niedużego faceta potrafi wchłonąć niezłą ilość jedzenia.

- Nie chciałbym jeszcze raz przeżyć czegoś podobnego.

- To następnym razem, jak zobaczysz kogoś nieprzytomnego na podłodze, bierz nogi za pas. - Dzwoni domowy telefon. Zrywam się i przez moment chwieję na nogach, czekając, aż ustąpi nagły zawrót głowy. - Odbiorę.

On też wstaje.

- Sprawdzę, co u twojego taty.

Ruszamy w przeciwne strony. Idę do kuchni i odbieram telefon.

- Cześć, Keats. Jak tato?

To Hopkins. Nieczęsto rozmawiamy przez telefon, lecz natychmiast rozpoznaję jej beznamiętny głos.

- Chyba nieźle. Nie znam się na tym, ale wygląda, że trochę mu lepiej. Tylko bardzo stracił na wadze.

- He? - Jej głos zanika, a potem wraca. ^ ...w taksówce. Nie wiem, czemu to wpływa na połączenie, ale tak jest.

Ciekawe, czy w ogóle usłyszała coś z tego, co mówiłam.

- Zaraz i tak muszę kończyć - mówi. - Jeszcze tylko sekundka. Jest tam mama?

- Była, ale pojechała. Został tylko Jacob Corwin i ja. No i oczywiście tato.

- Powiedz Jacobowi, że mu dziękuję. To on znalazł tatę, sama rozumiesz.

To jej „rozumiesz” trochę mnie denerwuje. To ja jestem w Bostonie, przy tacie i mamie. To jej nigdy tu nie ma. No i to chyba jasne, że rozumiem.

- Tak. Wiem. To dobry człowiek.

- Najlepszy asystent, jakiego kiedykolwiek miał tato. A dasz tatę?

- Chyba śpi. Jacob poszedł zajrzeć do niego. Bardzo się teraz o tatę troszczy, aż do przesady.

- Przekaż mu, że nie musi się tak nad nim trząść. Zanim tatę wypisali, przejrzałam wszystkie jego wyniki. Wszystko w porządku. Na razie. Ale się starzeje, to tylko kwestia czasu, kiedy dopadnie go coś poważniejszego. - Mówi to takim tonem, jakim powiedziałoby się: „Teraz jest ładnie, lecz jutro może padać”. - A gdzie się podziewa Tom?

- Poszedł na miasto z kolegami.

- Nie miałam pojęcia, że wy w ogóle coś robicie oddzielnie. Mama mówi, że jesteście jak bliźnięta syjamskie.

- Opowiada głupoty, to wcale tak nie wygląda. - Uświadamiam sobie, że wykonuję dziwne balanse, przestaję

się przed tym bronić i pozwalałam ciału kiwać się z boku na bok, co jest całkiem przyjemne, czuję się trochę tak, jakby mnie lulano do snu. Uświadamiam sobie, że trochę wypłam, a nie chcę, żeby Hopkins to odkryła, więc staram się wypowiadać słowa wyjątkowo starannie. - A co tam u ciebie w pracy?

- Jestem okropnie zajęta. Przez to nie mogłam jeszcze przyjechać do taty. Wiem, że powinnam. Mama mówiła, że nie zazna spokoju, póki nie obejrzę taty. - Parska śmiechem. - To gruba przesada; ma dookoła najlepszych lekarzy na świecie, ale żadnemu nie dowierza i wywiera na mnie presję.

- Mama powiedziała mi, że jutro przyjeżdżasz.

- Dlatego właśnie dzwonię. Wygląda na to, że będę musiała odłożyć wyjazd o parę dni.

Staram się, by nie brzmiało to żałośnie, kiedy mówię:

- Ale wiesz... mama nie chce, żeby tato tu sam nocował. Jak nie przyjdiesz i z nim nie zostaniesz, to będę musiała codziennie tu siedzieć.

- Pogadaj z Jacobem - proponuje. - Ten facet zrobi wszystko, o co się go poprosi.

- To nie do końca prawda.

- Tak? A ja zawsze miałam takie wrażenie.

- Nie możesz przyjechać jutro i tyle? Sama mówiłaś, że mama potrzebuje...

- Wiesz, kto mnie naprawdę potrzebuje? - przerywa niecierpliwie. - Dwudziestoletnia matka trójki dzieci, którą tu wczoraj wieczorem przywieźli po paru wylewach. Dzieci mogą stracić matkę! Nie dziw się, że w tej sytuacji nie robi na mnie wrażenia to, że ty i twój chłopak przez

wieczór czy dwa nie będziecie się mogli poprzytulać w swoich identycznych piżamkach.

Natychmiast wstydzę się swego egoizmu.

- Jezus! Matka trójki dzieci?!

- Tak. Na razie nie może mówić i nie porusza nogami. Ojciec przyprowadził dzieci w odwiedziny i to było... Oj, cholera, przegapiłam wezwanie, muszę kończyć.

I się rozłącza, tak po prostu. Ale znajomy dyskomfort, z którym mnie zostawiła - niepewność przemieszana z zazdrością - zostaje na długo po odłożeniu słuchawki.

- Jak tata? - pytam Jacoba, który wraca do salonu chwilę po mnie.

- Mocno śpi. Przyznam się, że trochę go poszturcha-łem, by sprawdzić, czy nie zapadł w śpiączkę. Trochę się poruszył, i dobrze, ale jak się teraz zbudzi, to przeze mnie.

- Nie zbudzi się. Mówił, że te środki przeciwbólowe zwalają go z nóg. - Telefon od Hopkins kompletnie mnie otrzeźwił, idę więc do narożnego stolika, sięgam po kieliszek i dolewam sobie. To już druga butelka.

Przy okazji dolewam wina Jacobowi i przynoszę mu kieliszek.

- Ja dziękuję - mówi. - Muszę jechać do domu.

- Jak uznasz, że wypiełeś za dużo i nie możesz prowadzić, prześpisz się tutaj. - Wciskam mu kieliszek. - Jest do dyspozycji ta kanapa i rozkładane łóżko w gabinecie. Możemy zagrać w marynarza, kto gdzie będzie spał.

- No może - mówi, ale odstawia kieliszek, nie wypiwszy ani łyka.

Jestem wkurzona. Chcę, żeby został. Nie mam ochoty siedzieć tu sama i co godzinę sprawdzać, czy tato oddycha.

Oboje rozglądamy się po pokoju, próbując wymyślić, co dalej.

- Chcesz coś pooglądać? - pyta Jacob.

- Pewnie. - Opadam całym ciężarem na kanapę, a on szuka pilota.

Znajduje go na górze telewizora - tato ciągle ma ten sam odbiornik w kształcie wielkiego pudła, na którym można coś położyć - i podchodzi do kanapy. Siedzę dokładnie pośrodku, więc waha się, mimo że to jedyny mebel ustawiony frontem do ekranu. Przesuwam się o pół metra i poklepuję poduszkę obok.

- Usadź ją - zachęcam wesołym tonem.

- „Ją”? Mój tylek to „ona”? Wolę się nie domyślać, jaka nazwa przyszła ci do głowy. - Ale siada.

- Seksista z siebie. - Cały czas ściskam kieliszek z winem. Skoro już go mam, upijam łyk. Głowa, jakby w odpowiedzi, wykonuje mi gwałtowny, mimowolny przechył. Dociera do mnie, że chyba jestem nieźle pijana. Żeby obalić tę teorię, trzymam się super prosto i mówię niezwykle wyraźnie: - To co będziemy oglądać?

- Obojętnie co, żeby tylko nie działo się w szpitalu. - Włącza telewizor, pstryka pilotem, przelatują jakieś gadające głowy, reklamy... W końcu lądujemy w programie reality show. Banda mocno opalonych i dobrze umięśnionych gości o gołych torsach siedzi w jacuzzi, drze się do siebie i popija piwo.

- To - mówię i kładę rękę na jego dłoni, żeby przestał wciskać guziki. - Zostaw.

Czuję, jak drgają mu palce.

- Naprawdę chcesz to oglądać?

- A dlaczego mam nie oglądać?

- Naprawdę podoba ci się *ten* szajs? Trzepocę powiekami.

- Nie mogę powiedzieć, że mi się nie podoba.

- Cały wieczór będziesz tak gadać? Bo odkąd skończyła się pizza, nic mnie już tu nie trzyma.

- Nie zmusisz mnie do tego, żebym tak nie gadała.

- Mam iść?

Obiecuję, że przestanę.

Przez chwilę w milczeniu oglądamy telewizję. Uświadamiam sobie, że moja dłoń wciąż leży na jego palcach, na pilocie, więc ją cofam.

- Wolno mi zmienić kanał? - pyta z nadzieją Jacob.

- Nie. - Nie wiem, czemu zmuszam go do oglądania jakiegoś okropnego reality show o ludziach, których w rzeczywistości unikałabym jak ognia. To znaczy, gdybym weszła do baru i ci goście ryczeliby tam, rechotali i pohukiwali tak jak w tym programie, natychmiast bym wyszła.

Chyba jednak bawi mnie to, że Jacob patrzy na tych idiotów - oto wybitny naukowiec staje twarzą w twarz z prymitywną, tandetną ohydą.

Dalej popijam wino. Który to już kieliszek - czwarty? Przechylam się i odstawiam go na boczny stolik. Głowa zaczyna mi się trochę kiwać i chyba trzeba by ją było czymś podeprzeć. Przewracam się więc na bok i kładę ją na poduszce kanapy pomiędzy mną i Jacobem. Kiedy odwraca się, by spojrzeć, co robię, ma twarz o kilkanaście centymetrów od mojej.

- Dobrze się czujesz? - pyta z lekkim niepokojem.
- Dobrze. Po prostu jestem zmęczona. To był ciężki tydzień.
- Biedna Keats. - Jego twarz jest trochę za blisko, jasnoszare oczy trochę zbyt rozpalone. Zaciskam powieki. To łatwiejsze, niż się poruszyć.

Czuję jego dłoń na swojej nodze i natychmiast otwieram oczy, chcąc sprawdzić, co robi. Poklepuje mnie po kolanie. Po bratersku, dla dodania otuchy. Głos ma niski, uspokajający.

- Wiem, że to jest dla ciebie trudne. Choroba ojca, a do tego jeszcze problemy z mamą... tyle zmian. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, z przyjemnością to zrobię. Jeżeli to ma ci ułatwić życie, będę zostawał tutaj, dopóki twojemu tacie się nie poprawi.

Całe szczęście, że Jacob jest dla mnie jak brat, inaczej cała sytuacja byłaby mocno niezręczna, z winem, półmrokiem, bliskością- a w telewizorze opalony na niepokojąco pomarańczowy kolor gość właśnie całuje się namiętnie z dziewczyną o podobnym odcieniu skóry, ubraną tylko w górę od bikini i najbardziej skąpe dzinsowe szorty, jakie w życiu widziałam. Są w barze, ale to ich w niczym nie powstrzymuje. Jego ręce wędrują wszędzie, pod stanik, pchają się w szorty...

Zastanawiam się, jak to jest pokazać się publicznie w takich skąpych szortach i staniku. Nie potrafię nawet sobie wyobrazić siebie w podobnej sytuacji. Jestem jak ortodoksyjnie wychowane dziewczynki, które przebierają Barbie w skromne stroje z długimi rękawami i niemodnymi spódnicami. W sytuacji takiej jak ta w programie widzę siebie kompletnie ubraną.

- Nie trzeba - mruczę sennie. - I tak dużo robisz dla taty. Więcej niż my wszyscy.

- Nie ma sprawy.

Pauza. Siedzimy bardzo blisko, trzymam głowę praktycznie na jego ramieniu, on wciąż delikatnie dotyka mojego kolana. Myślę, że gdyby teraz wszedł tu Tom, wcale by mu się to nie spodobało. Ale to przecież Jacob - mogę się do niego przytulać i to w ogóle nic nie znaczy. Jest jak zdrowy na umyśle brat, którego nigdy nie miałam.

- Trochę to dziwne - mówię po chwili.

- No właśnie. O ile dobrze się orientuję, to podobno jest dziewczyna jego najlepszego kumpla.

Dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie, że mówi o programie w telewizji.

- Nie, nie. - Język zeszywnia! mi w ustach i moje słowa są dziwnie zniekształcone. Oblizuję wargi i ciężko pracuję nad wydawaniem poprawnych dźwięków. - Chodzi mi o to, że chce ci się spędzać tyle czasu z moim ojcem. To jest dziwne. Coś mi się wydaje, że to nie służy twojej karierze naukowej.

- To nigdy nie była kwestia mojej kariery. I dobrze o tym wiesz. Mówiłem ci, jak wiele mi daje możliwość pracy z twoim ojcem, a nawet samo spędzanie z nim czasu. Jeśli pomagając mu w ten sposób, będę mógł się choć trochę odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobił...

Bołą mnie oczy. Nie, to głowa mnie boli. Ta część, która jest za oczami. Ziewam. Nieznośne pulsowanie się nasila.

- Ale wiesz, że to tak naprawdę nie jest twój ojciec, prawda? - rzucam z irytacją.

Chwila ciszy.

- Tak, Keats, wiem - odpowiada Jacob spokojnie.

- Przykro mi, że nie masz swojego ojca, ale to nie znaczy, że możesz mieć mojego.

Czuję nagły ruch. Odsunął się tak raptownie, że spadła poduszka, o którą się opierał, a razem z nią osunęła się moja głowa. Przewracam się na bok i z trudem wracam do pozycji siedzącej.

Jacob zrywa się na nogi.

- Co się stało? - pytam.

- Nic. - Cofa się o krok. - Późno już. Będę leciał. - Za jego plecami zmienia się sceneria w telewizorze. Główny bohater ćwiczy teraz na siłowni, napina się, żeby podnieść większy ciężar, niż to na oko możliwe; klnie, unosząc sztangę, a piknięcia zagłuszające wulgaryzmy są tak celowo niedopasowane do rytmu słów, że zamiast wytłumiać każdą „kurwę”, tylko ją podkreślają.

Przeskakuję wzrokiem od ekranu do twarzy Jacoba, wyglądającej dziwnie groźnie w migotliwym świetle telewizora.

- Cześć - mówi i się odwraca.

- Czekał, czemu idziesz? - Zrywam się i potykam o własne nogi. Łapię oparcie kanapy, chcąc odzyskać równowagę. - Ten program dopiero się rozkręca.

- Chyba jakoś obejdę się bez niego. Nie zapomnij od czasu do czasu zajrzeć do taty.

- Czekał. Sekundę temu siadaliśmy, żeby pooglądać telewizję. Co się stało?

Odwraca twarz.

-Nic.

- Nie jesteś szczery. Następuje pauza.
- No wiesz. Specjalnie mówisz takie... - Nie kończy. - Zresztą nieważne.

- Przepraszam, że powiedziałam, że tato nie jest twoim ojcem. Żartowałam tylko. - Absurdalne są te przeprosiny. Przecież mój tato nie jest jego ojcem.

To go tylko jeszcze bardziej rozsierdzą.

- Naprawdę, Keats? To był żart? A który kawałek miał być śmieszny? Ten, że mój ojciec nie żyje, czy ten, że jestem tak żaloszny i zaborczy, że próbuję ukraść ci tatę?

- Przepraszam - mówię. Chcę, żeby z powrotem odwrócił się twarzą do mnie, żeby uśmiechnął się starym, dobrym Jacobowym uśmiechem, tak jak zawsze, i żeby przestał być zły. Nie lubię, jak się na mnie złości. Źle się z tym czuję. Mnie wolno się na niego złościć, podszczypywać go prowokacjami, dręczyć i ignorować, ale on ma być zawsze miły. Tak to już między nami jest. -Za dużo wypiałam, nawet nie wiem, co plotę.

- Nie chodzi tylko o dzisiaj. Ciągłe tak się zachowujesz. Z jakiegoś powodu wydaje ci się, że można mi bez zastanowienia sprawiać przykrość. Wiem, że przy rodzinie jesteś spięta, przeważnie tym to sobie tłumaczę, ale teraz... - Smutnym gestem obejmuje pusty salon. - Teraz twojej rodziny tu nie ma.

- Wiem. - Przysuwam się do niego i kładę mu dłoń na ramieniu. - Masz rację, rzeczywiście czasem sprawiam ci przykrość. Nie mam pojęcia dlaczego.

Mimo że ma odwróconą twarz, widzę kącik jego ust. Unosi się w nieudanej próbie uśmiechu.

- Chyba po prostu cię irytuję.

Te słowa wprawiają mnie w przerażenie. Jacob mnie nie irytuje. On w ogóle nie denerwuje nikogo. Przesuwam dłonią po jego ramieniu, dla dodania otuchy.

- Nie, nie. Przysięgam. Nie irytujesz mnie. Ja cię bardzo lubię. Zawsze cię lubiłam. -1 na dowód tych słów wspinam się na palce i całuję go po przyjacielsku w policzek.

Nie reaguje; niepokoję się, że nic nie poczuł, więc powtarzam pocałunek, tylko odrobinę bliżej widocznego kącika ust.

- Po prostu tak się z tobą droczę - mówię. To chyba wiarygodne wyjaśnienie. Rodzeństwo ciągle się ze sobą drażni, prawda? A Jacob i ja jesteśmy dla siebie trochę jak brat i siostra. Unosi nieznacznie głowę, co pozwala mi przycisnąć wargi do samego kącika jego ust, tam gdzie skrywa się w policzku.

- Keats... - mówi chrapliwie, ale wychodzi mu to trochę pytająco, bardziej jak „Keats?”.

Mruczę uspokajająco i przesuwam dłonią po jego ramieniu. Jest o wiele drobniejszy od Toma. Tom dużo ćwiczy i bary ma tak szerokie, że kiedy próbuję je objąć, wydają się ciągnąć bez końca. Jacob natomiast jest chudy i łatwo mi opleść go rękami.

- Nie chcę, żeby ci było przykro - mówię. - Ani żebyś był na mnie zły.

Zawsze umiem sprawić, żeby zrobił, o co go poproszę. Czasem mnie upomina, kiedy indziej jest zakłopotany, ale w sumie zawsze robi mniej więcej wszystko, co chcę. A teraz chcę, żeby mu nie było przykro i żeby znowu mnie lubił.

Przytulam się do jego ramienia i staję na palcach, żeby jeszcze raz go po siostrzanemu pocałować. Lecz on chwilę przedtem odwraca się do mnie, żeby coś powiedzieć, przez co pocałunek ląduje na jego ustach.

- Co ty robisz? - pyta Jacob niskim, gardłowym szeptem. Nie potrafię niczego wyczytać z jego twarzy. W pokoju jest za ciemno, nie potrafię przebić się przez mrok.

- Chcę tylko, żebyś się lepiej poczuł - tłumaczę. -Przynajmniej tyle powinno się zrobić dla człowieka, którego się uraziło. Któremu sprawiło się przykrość. Tak by powiedziała moja matka. Ona ciągle wszystkim wytyka błędy gramatyczne. Chociaż tobie nie zwraca uwagi, ty w ogóle nie robisz błędów gramatycznych. Naprawdę mi to u ciebie imponuje. -1 żeby pokazać, jak bardzo mi to imponuje, znów delikatnie całuję go w usta. - Na... praw... dę. - Każdą sylabę akcentuję lekkim całusem.

Trochę to odurzające, tak go całować, a on wcale się nie cofa, nie odpycha mnie, nic podobnego. Pozwala mi na to i już.

Nieufnie, w milczeniu kręci głową, ale nadal się nie cofa.

- A teraz chodź tutaj - mówię i delikatnie ciągnę go za pasek ku kanapie. - Za dużo wypiełeś i nie powinieneś jeszcze prowadzić.

- Ja za dużo wypiełem? - dziwi się, ale pozwala się zaciągnąć z powrotem. Docieram na sofę i pociągam go w dół, tak że padamy na nią razem, splątani. Wiercimy się, aż znajdziemy się obok siebie, a wtedy ja znów

się do niego przytulam, tylko tym razem jeszcze bliżej, obejmuję go, przysuwam twarz do jego twarzy.

- Zobacz - mówię, wskazując brodą telewizor. - Są na plaży. Kto chodzi w nocy na plażę? - Posłusznie patrzy w ekran, ja zaś korzystam z okazji, by delikatnie ugryźć go w ucho. No wiecie, tak dla żartu. Bo jesteśmy kumplami.

Tylko że jego oddech jest jakiś taki... rozdygotany. Kobieta i mężczyźni w reality show znów zaczynają się obmacywać.

- Wyglądają, jakby się świetnie bawili - pokazuję i delikatnie przesuвам mu językiem po uchu. - Myślę, że ten facio podoba jej się bardziej niż ten drugi. Tak wygląda.

- A ja myślę - mówi Jacob, bardzo cicho - że on powinien trzymać się od niej jak najdalej. Ona to problemy.

- Z ciebie to prawdziwy wróg miłości. - Czuję bijące od jego szyi ciepło, więc wtulam się w nią. Tak po przyjacielsku.

W Jacobie coś pęka. Podnosi się z miejsca, odwraca do mnie i nagle, zniemacka, spycha mnie na kanapę, przygniata mnie całym swym ciężarem, jego usta szukają moich, jego ręce chwytają mnie za ramiona i przytrzymują je nad głową i już nie wiem, czy jest na mnie zły, czy nie. Wiem tylko, że jestem podniecona, on też, i już nie mam go za brata, o nie, nie, w żadnym razie.

Rozdział 11

Mam dwadzieścia pięć lat. Spałam dotąd tylko z jednym mężczyzną, co może nie jest aż takie nadzwyczajne. Bardzo dużo dwudziestopięcioletnich dziewczyn prawdopodobnie spało tylko z jednym facetem.

No, w każdym razie niektóre.

Ale ja także tylko jednego faceta całowałam w usta.

Tylko jedna męska dłoń wsuwała mi się pod bluzkę, w dzinsy, chwyciła mnie gdziekolwiek, wpełzała mi we włosy, przytrzymała za brodę i przysuwała do ust, gładziła mnie, dotykała, wchodziła we mnie, ugniatała i poznawała.

Do dzisiaj.

Przez chwilę myślę o tym, że jedynym innym mężczyzną, który mnie kiedykolwiek dotykał, jest Tom, człowiek, z którym zamierzam spędzić resztę życia, ale ów przelotny moment pod hasłem „mam się nad tym jeszcze zastanowić” szybko znika w powodzi innych wrażeń. Jacob nade mną jest taki nowy, taki inny i nieznany, a to podnieca. I o tym chciałabym myśleć. Jestem aż nieprzytomna z ciekawości, każdy nowy rodzaj kontaktu intryguje, każe przewidywać, co też będzie następne.

Tom ma grube wargi. Gdy mnie całuje, czuję, że moje usta przegrywają swego rodzaju wojnę z jego ustami. On je wsysa, wchłania, okrąża. Jacob całuje zupełnie inaczej. Choć nagły atak na mnie był dziki, późniejsze pocałunki są delikatne i nieśmiałe. Mam wrażenie, że powinnam go jakoś zachęcić, więc językiem rozsuwam mu wargi -to dodaje mu pewności siebie, już może użyć swojego języka, to mi się podoba, więc reaguję z jeszcze większym zapałem... i tak powoli wszystko narasta i narasta.

Ciepło mi, gdy tak na mnie leży, ale jego ciężar -znacznie mniejszy niż Toma - to nic wobec alkoholowego letargu, od którego zamykają mi się powieki, a kończyny zapadają się w poduchy kanapy. Ręce, nogi, szyja, stopy, unieruchomione dłonie - wszystkie są teraz spokojne, za to usta mam mocno pobudzone, a piersi i biodra gorliwie unoszą się ku niemu. Mam wrażenie, że nie panuję nad tymi częściami ciała. Robią, co chcą.

Nie jestem pewna, czy w tej chwili nad czymkolwiek panuję. Może i ja zaczęłam, ale teraz on rządzi, a jak na takiego szczupłego faceta jest zadziwiająco silny. Wciąż przytrzymuje moje ręce, a nogi ułożył wzdłuż moich, więc i nimi nie mogę poruszyć.

Fajnie tak czasem nie panować nad sytuacją. Podoba mi się to. Unosi się o centymetr i opada na mnie biodrami; wypycham swoje, aby wyjść mu naprzeciw, on przeciągle stęka, choć oboje nadal mamy na sobie dzinsy. Ten zwierzęcy skowyt, niewyartykułowany świadomie, wydany mimowolnie, wyzwala mnie i sama wydaję taki bezwiedny odgłos z głębi gardła.

Mam wrażenie, że prowadzimy dialog na jakimś pierwotnym, animalnym poziomie, to przecież śmieszne -naprawdę śmieszne - ale nie mam ochoty się śmiać, nie w chwili, gdy on jest tak śmiertelnie poważny, a ja tak rozpaczliwie podniecona.

Wreszcie puszcza moje ręce i przewraca się na bok... ale tylko po to, żeby rozpiąć mi bluzkę. Trzymam ręce tak jak przedtem - jakby przytrzymywał mnie niewidzialny rabuś. Jacob rozsuwa materiał rozpiętej bluzki i wciska się twarzą w moją pierś, sunąc policzkami i ustami to w górę, to w dół.

Miękkie miseczki mojej balkonетки to żadna obrona, łatwo ustępują przed jego wścibskim nosem, poszukującym językiem, głodnymi wargami. Dygocę, wyginam grzbiet, zaciskam powieki, poddaję się przyjemności, którą sprawiają mi jego usta.

Wtem przestaje. Otwieram oczy. Unosi się nade mną na łokciu, patrzy na mnie zamglonym wzrokiem.

- Keats - mówi dziwnym, nieznanym głosem. -Czego ty chcesz?

Nie do końca rozumiem pytanie. Chyba jest dość oczywiste, czego chcę w tej konkretnej chwili, ale skoro jest zdezorientowany, mówię uspokajająco:

- Spokojnie. Mam spiralkę.

Męskie libido to dla mnie tajemnicza sprawa, nie wydaje mi się, żebym powiedziała coś szczególnie uwodzicielskiego, on natomiast bezradnie pojękuje i napiera na mnie, zatykając mi usta swoimi.

W końcu opuszczam ramiona, ale tylko po to, aby mocniej go nimi opleść. Nogi też owijam wokół niego

i kołyszymy się tam i z powrotem przez jakiś czas, przy-
ciśnięci do siebie tak ciasno, że czuję ostre kości jego bioder i
twardość między nimi.

Potem cofa usta, podnosi się, na oślep szarpie za pasek, guzik,
suwak. Wiję się pod nim, robiąc to samo (minus pasek, paska
nie mam), próbuję wysunąć się ze spodni, ale on mi
przeszkadza - oboje sobie przeszkadzamy, kanapa jest za mała,
żebyśmy mogli się na niej rozebrać - więc schodzi ze mnie i na
chwilę wstaje. Wyskakuje ze spodni, a ja na leżąco uwalniam
się ze swoich.

W półmroku zerkam na niego pośpiesznie i widzę, że jest
nabrzmiały i gotowy, tracę dech, a on znów się na mnie
kładzie. Zastanawiam się, czy też na mnie zerknął i co sobie
pomyślał - przez chwilę czuję ukłucie strachu, że mam zbyt
okrągły brzuch, zbyt blade nogi, za szerokie biodra - chyba nie
jest źle, bo wyraźnie nie traci podniecenia, sądząc po sposobie,
w jaki łapie mnie za ramiona, jak rozsuwa mi kolana, jak
przyciska się do mnie gorącymi ustami i jak z przeciągłym,
drżącym westchnieniem wsuwa się we mnie głęboko.

Jestem tak podniecona, że dochodzę prawie od razu. A potem
jeszcze raz. Gwałtowność jego pchnięć, uczucie, że mam go w
sobie, sposób, w jaki współpracują nasze ciała - to wszystko,
takie nowe, pobudza mnie jak nic w ciągu ostatnich paru lat, od
czasu pierwszych miesięcy po utracie dziewictwa, kiedy za
każdym razem, gdy się z Tomem kochaliśmy, moja
przyjemność rosła i rosła, zabarwiona zachwytem nad tą
cudowną nowością.

A teraz znów wszystko jest nowe i cudowne.

Mam nadzieję, że tato śpi, bo nie jestem w stanie powstrzymać się od krzyków. Jacob jest cichszy ode mnie, twarz ma spiętą, skupioną. Na koniec jednak wydaje okrzyk, stłumiony i ostrożny, lecz i tak budzi nim we mnie skurcz całego ciała. Wyginam się w łuk przy ostatnim pchnięciu, po czym oboje padamy, on na mnie.

Tak ułożeni, łapiemy oddech. Po pewnym czasie Jacob zsuwa się na bok. Kładzie głowę obok mojej, ale nic nie mówi. Trzyma rękę na mojej nagiej piersi, dotyka mnie nogami.

Ja też nic nie mówię, zadowolona, że po prostu tak leżę i się nie ruszam. Gdy zamykam oczy, mam wrażenie, że kanapa pode mną kołysze się i kręci.

Jacob szepcze coś, czego nie rozumiem. Mruczę „hę?”, ale nie powtarza swych słów, więc tylko miło się uśmiecham z zamkniętymi oczami. W głowie mi wiruje. Przez chwilę skupiam się na tym wrażeniu. Jestem wyczerpana, czuję się zużyta w pozytywnym sensie tego słowa, moje ciało jest wciąż rozpalone. Wiem, że pewnie powinnam lecieć do łazienki i się umyć, ale Jacob leży mi na nogach, przez co ciężko nimi poruszyć, poddaję się więc sennej bezwładności.

Może drzemię. A może tylko odpływam gdzieś myślami. Trudno powiedzieć. Na pewno jakiś czas mija. Chyba żadne z nas naprawdę nie śpi, leżymy jednak w milczeniu, oddychając regularnie. Tylko myśli chodzą sobie swoimi ścieżkami.

Zaczynam czuć dyskomfort.

Z początku myślę, że to coś fizycznego, więc się wiercę, próbuję *znaleźć* sobie wygodniejszą pozycję.

- Przepraszam - mówi Jacob. Przesuwa się na brzeg sofy, staje na nogi i sięga po spodnie. Odwracam oczy, biorę na kolana poduszkę i zasłaniam piersi połami mojej bluzki.

- Zaraz wracam - zapewnia i wychodzi do przedpokoju. Zapewne do łazienki. A może by zajrzeć do taty. To byłoby do niego podobne.

Mam całą kanapę dla siebie. Przesuwam się, próbuję ułożyć wygodniej. Żadna pozycja nie jest dobra. Dyskomfort jest coraz silniejszy. Jest jak ból. Tylko że tak naprawdę nic mnie nie boli.

Próbuję zmusić się do powrotu w senną, leniwą mgiełkę, ale coś nie pozwala mi się rozluźnić.

To coś nabiera kształtu. Trzech wymiarów. Trzech liter.

Tom.

To przykre uczucie ma kształt imienia „Tom”.

Gdy tylko sobie to uświadamiam, rozkwita w coś większego, coś, co sprawia, że zwijam się w pozycję embrionalną, a serce zaczyna wściekle dudnić mi w piersi.

Co ja narobiłam?

Przekręcam się do pozycji siedzącej, łapię spodnie, wyławiam z nich bieliznę i wkładam trzęsącymi się rękami, potem poprawiam stanik i zapinam koszulę. Znów zwijam się w narożniku kanapy, chcę być jak najmniejsza, kulę ramiona. Dręczące, bolesne uczucie rozlewa mi się po całym ciele. Już wiem, że w żaden sposób się go nie pozbędę. Będzie tylko gorzej.

Zrobiłam coś strasznego. Coś, czego nie da się cofnąć.

Już niejedną raz budziłam się z takim uczuciem z wielu koszmarów - przerażona, obolała - po czym docierało do mnie, że to sen i wszystko już jest w porządku. Przez krótką chwilę pozwalałam sobie na nadzieję, że sprawy mają się właśnie tak, że tylko usnęłam na kanapie i miałam dziwaczny erotyczny sen. Potem jednak do salonu wraca Jacob i widzę jego minę. Jest niespokojny i radosny.

Bardziej radosny niż niespokojny.

- Hej - mówi cicho. Nie reaguję. Podchodzi, siada tuż obok mnie, bez wahania, bez pytania, czy może, jakby już miał do tego prawo. - Fajne to było. - Łypie na mnie, oczekując potwierdzenia.

Odwracam twarz, nic nie mówię.

- Dobrze się czujesz? Kręcę głową i wciskam się mocniej w oparcie kanapy.

- Co się stało? - pyta.

- Jeszcze pytasz?

Zapada cisza. Kulę się jeszcze bardziej. Chciałabym zmienić się w twarde, mały supełek, a potem całkiem zniknąć.

Co ja narobiłam?!

Jacob odzywa się powoli:

- Pytałem, czy wiesz, co robisz. Chciałem mieć pewność, że ty... na litość boską, Keats, przecież cię pytałem, a ty tylko... - urywa.

- Wiem - mówię ponuro. - Wiem. Nie winię ciebie. To wszystko moja wina. Wyłącznie moja. Wiedz, że nie jest mi z tym lekko. - Słowa mi się zlewają. Jestem pijana. Byłam pijana przez ostatnią godzinę. Dlatego do tego dopuściłam.

Ale potem myślę: To żadne wytłumaczenie. To było wino, a nie pigułka gwałtu.

Nie mam pojęcia, patrzy na mnie czy nie, a nie mogę się przemóc, żeby spojrzeć w jego stronę. Nigdy już nie będę w stanie na niego spojrzeć. Ani popatrzeć w lustro. Ani w kochające, oddane oczy Toma.

- Aż tak źle? - odzywa się po dłuższej chwili Jacob.

- Nie jesteś przecież mężatką.

- Ma tatuaż. - Gardło mi puchnie, do oczu napływają łzy. Nie wierzę, że to zrobiłam. Nie mogę uwierzyć, że tego nie da się odkręcić. Ocieram się policzkiem o poduchę kanapy.

- Ma moje imię wytatuowane na ramieniu. Na zawsze.

- O cholera - mówi Jacob i zalega cisza.

Łzy płyną mi po policzkach. Pozwalam im skapywać na oparcie sofy. Wsiąkają, zostawiając na aksamicie małe ciemne plamki.

Po chwili Jacob pyta:

- Chciałaś, żeby to zrobił?

- Co za różnica?

- Kolosalna. Może to między nami stało się dlatego, że nie jesteś gotowa, by ten związek z nim był na zawsze.

- „To” się stało dlatego, że się upiłam. Bo jestem okropna, urznęłam się i zrobiłam coś, czego Tom nigdy, przenigdy by mi nie zrobił.

Tym razem pauza jest znacznie dłuższa. Tak długa, że w końcu zerkam na niego przez ramię. Oparł głowę o poduszkę kanapy, szyję ma odsłoniętą, oczy zamknięte. Oddycha miarowo, ale mięśnie twarzy ma napięte i na pewno nie śpi. Wygląda na zmęczonego, udręczonego. Gdy otwiera oczy, odwracam twarz.

- Powinienem iść. - Tylko tyle mówi.

Myślę o tym, że już wcześniej chciał iść, ale go zatrzymałam. Dlaczego to zrobiłam? Co mi strzeliło do głowy? Gdybym po prostu dała mu wyjść, do niczego by nie doszło.

Przyciągam kolana do brzucha, zwijając się jeszcze ciaśniej.

Czuję coś na kostce. Patrzę w dół. To jego dłoń. Gwałtownie cofam stopę, on rękę też cofa. Wstaje.

- Przykro mi, że taka jesteś nieszczęśliwa. - Jego głos płynie do mnie z wysoka. - Chcesz, żebym poszedł?

- Tak. Proszę.

- No dobrze. - Przez parę sekund jest tak cicho, że słyszę, jak przełyka ślinę. - Zajrzę tylko do twojego taty.

Nie reaguję. Po chwili słyszę, jak idzie w stronę tylnego korytarza.

Pozostaję w pozycji embrionalnej. Świat przestał wirować. Wraca brutalna rzeczywistość. Zdradziłam mężczyznę, który jest przy mnie od dziesięciu lat, który cierpliwie czekał, póki byłam dla niego za młoda, i który oddał mi się całkowicie, gdy już byłam na to gotowa.

Nie zaznam ukojenia. Zdradziłam Toma, a w dodatku zniszczyłam przyjaźń z Jacobem. Czy w ogóle będę potrafiła przebywać z nim w jednym pokoju? Jeśli Tom się dowie, to na pewno nie. Nie pozwoli mi zbliżyć się do niego na kilometr. Może nawet zabroni mi odwiedzać ojca, skoro Jacob tak często tu bywa?

Katastrofa. Jedna wielka katastrofa, którą sama na siebie ściągnęłam. Boże, jaka ze mnie idiotka. Idiotka i zła kobieta. Nie da się tego inaczej nazwać.

Gdy Jacob wraca do salonu, nadal nie potrafię spojrzeć mu w oczy; siadam jednak i udaje mi się zerknąć w stronę jego koszulki.

- Z tatą wszystko w porządku?

- W porządku. Przespał... wszystko. -To dobrze.

Chwila milczenia, potem oboje odzywamy się jednocześnie.

- Przepraszam - mówi Jacob. - Ty pierwsza. Mówię słabym głosem:

- Pamiętaj, nie możemy o tym nikomu powiedzieć. Zresztą myślę, że i tak byś nie powiedział. Po prostu... ja na pewno nikomu nie powiem. - Nie potrafię się zdobyć na wypowiedzenie przy nim imienia Toma. - Nikomu na świecie.

- Dobrze.

Drażni mnie jego obojętny ton.

- Nie cierpię kłamać. To tak, żebyś wiedział. - Szarpię się za pasmo włosów. - Powiedziałabym mu, ale wiem, że to tylko go zrani. A to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła.

- Przeżyje.

- Pewnie, że przeżyje - prychem zadowolona, że wreszcie powiedział coś, do czego mogę się przyczepić. Bo chcę go zaatakować. Chcę bardzo. To wszystko jego wina. To znaczy, to wszystko moja wina. Ale to jego wina, że się tu dziś wieczorem znalazł. Nikt go nie prosił, żeby

przychodził. Te durne kanapki z indykiem zniszczyły mi życie. - Ale nigdy mi nie wybaczy.

- Wybaczy ci po jakichś trzech minutach - mówi Jacob. - Nie spodoba mu się to, ale ci wybaczy. Facet dobrze wie, jakim jest szczęściarzem, że w ogóle cię ma. Jesteś tysiąc razy mądrzejsza, dowcipniejsza i bardziej interesująca od niego, a w jego oczach widać paniczny lęk za każdym razem, gdy rozmawiasz z kimś na swoim poziomie. Bo nie nadaża. Oczywiście, że ci wybaczy. Ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego ci na tym zależy.

Po raz pierwszy odkąd ze mnie zszedł, naprawdę na niego patrzę. Spokojnie odwzajemnia spojrzenie, twarz ma bladą i napiętą.

Mówię w desperacji:

- Kocham Toma. Będę z nim do końca życia. A ty się mylisz. Jest o wiele lepszym człowiekiem niż ja. On w życiu by mi czegoś takiego nie zrobił.

- Bo nie może sobie pozwolić, żeby cię stracić.

- To ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby jego stracić! Jezu!
- Łapię się za włosy obiema rękami i szarpię mocno. Ból skóry na głowie to ulga w porównaniu z tym, co kłębi się pod czaszką. - Wiesz, jak długo i jak blisko jesteśmy razem, jaki jest dla mnie dobry. Mówisz te przykre rzeczy tylko dlatego, że to się stało.

- Nie. Gdybym naprawdę sądził, że jesteście sobie pisani, nigdy bym... - urywa, potem kończy niezręcznie: - ...do tego nie dopuścił.

- To przez to - wskazuję dwie puste butelki po winie na stole. - Bądźmy uczciwi. Napiliśmy się, a ja spieprzyłam sprawę. I tyle.

Stoi tak, garbiąc ramiona, jakby chciał nimi osłonić swoją chudą pierś.

- I tyle - powtarza jak echo.

- Przepraszam - rzucam i zaraz siebie za to nienawidzę. - Wiem, że strasznie cię teraz traktuję. Nie słuchaj tego. Jestem zła na siebie, nie na ciebie.

- Co za ulga - ironizuje. - Od razu mi lepiej.

- Proszę, nie złość się - odzywam się błagalnym tonem. - Już i tak jest wystarczająco kiepsko.

- „Wystarczająco kiepsko”. - Parska krótkim śmiechem. - To pewnie najlepsza recenzja, jaką może mi wystawić dziewczyna.

- Wiesz, co mam na myśli. - Czuję, że powinnam go teraz pocieszyć, w końcu seks był znakomity, ale gdybym powiedziała mu coś takiego, jeszcze bardziej zdradziłabym Toma. Sama nie mogę znieść myśli o tym, jak mi się podobało, jaka byłam podniecona. To jest najbardziej niestosowne z tego wszystkiego. Nie chcę już do tego wracać. - Mam nadzieję, że to nie zmieni układów z moją rodziną. Twoich układów. To kolejny powód, żeby nic nie mówić Tomowi. Dopóki nie wie...

- No tak. Przecież wcale nie będziemy czuć się niezręcznie, wpadając na siebie kolejny raz.

Unoszę bezradnie ręce i mam wrażenie, że opadają same.

- To co mam zrobić?

-Nic - mówi, na szczęście bez sarkazmu. Głos ma smutny i zmęczony. - Nie chcę od ciebie niczego, czego nie chcesz mi dać.

Wstaję. Wyciągam rękę.

- To jak? Zostajemy przyjaciółmi? Wzdycha, ale na moment dotyka mojej dłoni.

- Jasne, Keats. Dalej jesteśmy przyjaciółmi. - Odwraca się do wyjścia.

Mówię w stronę jego pleców:

- Może to niewiele warte, ale bardzo, bardzo mi przykro.

- Może to też niewiele warte, ale mnie zupełnie nie. Drzwi otwierają się, a potem zamykają.

Rozdział 12

Lady Makbet to przy mnie pikuś. Wchodzę pod prysznic i zaczynam szorować się w kółko od stóp do głów, puściwszy najgorętszą wodę, pod jaką jestem w stanie wytrzymać. Dotknął mnie inny mężczyzna, miałam go w środku. Już nigdy nie będę czysta. „Bogdaj to trwałe, zbyt wytrwałe ciało*”...

Nie, zaraz, to jest Hamlet, nie Lady M. Moi rodzice byliby teraz zawiedzeni z powodu mojej niewiedzy. Zresztą nie tylko z tego powodu.

Ranek nie nadchodzi, cierpię długie godziny na jawie, na kanapie w gabinecie ojca. Jestem przykryta tylko ręcznikiem, bo nie zasługuję na rozłożenie kanapy i pościel - tak byłoby zbyt przytulnie, zbyt wygodnie dla osoby, która właśnie zdradziła kogoś, kto ją kocha najbardziej na świecie.

Zresztą i tak przecież nie usnę. Nie ma mowy.

Czy w ogóle kiedykolwiek zasnę?

Podczas tej długiej, samotnej nocy w pewnym momencie przeistaczam się z Lady Makbet w cudzołożnicę

* William Szekspir, „Hamlet”, przełożył Józef Paszkowski.

Hester Prynne. Jestem naznaczona na całe życie. Szkarłatną literę mam wyrytą w sercu, w głowie, w pamięci.

Tom ma swój tatuaż, teraz i ja mam swój.

Straciłam coś, czego nie doceniałam na bieżąco, coś ulotnego, pięknego i niepowtarzalnego. Nie znajduję na to nawet słowa, wiem tylko, że jest to coś większego niż wierność, oddanie i uczciwość, a zarazem obejmuje wszystkie te pojęcia. Parę godzin temu Tom był jedynym mężczyzną na świecie, który miał dostęp do mojego ciała. Nigdy w życiu już nie będę mogła tego uczciwie powiedzieć. Straciłam to na zawsze.

A świadomość, że Tom będzie nadal myślał, że jest jak dawniej, że od tej pory będę z nim żyła w kłamstwie... Robi mi się niedobrze.

O trzeciej nad ranem zaglądam do ojca. Śpi. O piątej wchodzę do niego jeszcze raz. Obudził się.

- Już rano? Chyba jeszcze ciemno? - pyta. Mówię mu, która godzina. - Powinnaś jeszcze trochę pospać.

Wracam na kanapę w gabinecie, wiercę się, kręcę i nienawidzę sama siebie. Nabieram w tym wprawy.

O siódmej wstaję i robię kawę.

Przynoszę tacie grzankę i kubek z kawą. Tato siedzi w łóżku, czyta książkę. Zerka na mnie znad okularów do czytania i mówi:

- Sprawiasz wrażenie zmęczonej. Nie mogłaś spać?

- Nie za bardzo.

- Przepraszam. Przeze mnie nie spałaś w swoim domu, we własnym łóżku.

- To nie twoja wina, że nie mogłam zasnąć.

-Nie?

- Nie - odpowiadam. - Moja.

- A czemu?

- Sumienie gryzło - mówię z wymuszonym uśmiechem. Niezły żarcik, no nie?

Mama pokazuje się około wpół do dziewiątej. Mówię jej, że już jestem spóźniona, i pędzę do drzwi, żeby jej bystre oko nie zdążyło nic zauważyć.

Tom dzwoni do mnie parę minut później, łapie mnie w samochodzie. Mówi, że mam dziwny głos. Odpowiadam, że jestem wyczerpana, że nie mogłam zasnąć u taty. Dodaje jeszcze, że Hopkins nie przyjedzie, więc pewnie będę musiała jeszcze raz czy drugi tam zostać na noc. On na to:

- Skoro po jednej nocy jesteś taka wyczerpana...

- Przeżyję. - Pytam, co wczoraj robił, mówi, że było fajnie, że poszli z Lou na kręgle i mieli prawdziwy męski wieczór.

- A Izzy nie było?

- Lou powiedział, że coś ją wkurzyło i nie miała ochoty mu towarzyszyć.

- Poważnie? Izzy? - Ostatnia osoba, którą bym podejrzewała o humory. - W życiu nie widziałam jej w złym nastroju.

- Ja też, ale Lou mówi, że jak są sam na sam, to ona naprawdę sobie pozwala i że tak się zachowuje tylko wobec niego. Kiedyś mnie zapytał, czy ty też taka jesteś, i aż mi było głupio, bo musiałem powiedzieć, że nie. Chyba trafiła mi się jedyna idealna dziewczyna na świecie.

Kiedy kończymy rozmowę, cisną mi się do oczu łzy wyrzutów sumienia i odrazy do samej siebie.

Mniej więcej w porze obiadowej mama dzwoni do mnie z mieszkania taty, by powiedzieć, że spędziła tam cały ranek i wszystko z nim w porządku, ale zaraz przyjdzie Jacob i ją zastąpi.

- Chyba całkiem nieźle wychodzą nam te dyżury - mówi zadowolona. - A kiedy przyjdzie Hopkins...

- Jeśli przyjdzie Hopkins.

- Przyjdzie. Miała po prostu jakiś nagły przy.

- Wiem, wiem. - Jestem zbyt zmęczona i przybita, by wysłuchiwać, jak Hopkins czyni medyczne cuda w Nowym Jorku. - Jak twoja randka?

- A, było trochę dziwnie. Czasem jak się spotykamy, mam wrażenie, że nasi małżonkowie czekają w sąsiednim pokoju i zaraz wszyscy będziemy razem. A potem przypominam sobie, że jest nas tylko dwoje. Ale miło się z nim czas spędza.

- A tato wie, że się z nim spotykasz?

- Jak mu nie powiedziałaś, to nie wie.

- Na razie nic nie mówiłam, ale będę to mieć w pamięci, jakby kiedyś rozmowa się nie kleiła.

- Na pewno się tym nie przejmie.

- Oczywiście, że się przejmie. - Nie mam dziś cierpliwości. Nie do takich spraw. - Mamo, nie łudź się. Tato na pewno przejmie się tym, że z kimś się umawiasz. Może ty znalazłaś sobie nowe wyzwania, ale on nie.

Mama milczy.

- To o której mam przyjść wieczorem? - pytam.

- Jacob mówił, że może zostać do piątej. Mogę wtedy jeszcze przyjechać, jeśli to dla ciebie za wcześnie.

- Trochę za wcześnie. Liczyłam, że pójdę z Tomem na kolację.

- No to dobrze. Ja zwolnię Jacoba i posiedzę, póki nie przyjdiesz.

Z ulgą odkładam słuchawkę. Nie mam ochoty robić z nim zmiany warty.

Udaje mi się wrócić do domu przed Tomem i od razu idę pod prysznic. Jeszcze jeden, długi i gorący. Teraz jestem obsesyjno-kompulsywną Lady Makbet. Za każdym razem, gdy zakręcam wodę, waham się, a potem splukuję jeszcze raz.

Kiedy stwierdzam, że dotarłam na pogranicze psychozy, wychodzę i osuszam się ręcznikiem, trąc skórę tak mocno, aż piecze i robi się czerwona.

Gdy otwierają się drzwi, jestem jeszcze w szlafroku. Pędzę przez mieszkanie i rzucam się na Toma, obejmując go mocno w pasie. Przyciskam się twarzą do jego piersi, żałując, że nie mogę wcisnąć się tam do środka i już nie wychodzić.

- Noo! - mówi, odsuwając się ze śmiechem. - To się nazywa powitanie!

Patrzę na jego przystojną, łagodną, uśmiechniętą twarz i omal wszystkiego nie wyrzucam z siebie, na miejscu, od razu. To nie do wytrzymania. Muszę mu powiedzieć. Nie jestem w stanie niczego przed nim taić. Za bardzo boli. Aż pali z tej udręki.

Oczywiście nie wolno mi nic powiedzieć. Przez wzgląd na niego samego, na Jacoba, rodzinę. Umieram przez to, że nie

mogę. Przebaczenie byłoby tak przyjemne, o niebo lepsze niż te okropne wyrzuty sumienia, od których drgam w jego objęciach i wtulam mu twarz w ramię, żeby jej nie dojrzał.

Nie zasługuję na przebaczenie. Zasługuję na cierpienie.

I cierpię. Przez całą kolację - idziemy do naszej ulubionej okolicznej włoskiej knajpki, która może nie serwuje najlepszego jedzenia w mieście, ale jest ciemna, cicha i zawsze bywa w niej wolny stolik - i w drodze powrotnej do domu cierpię, gdy rozmawiamy o jego pracy, mojej pracy, moim ojcu, nadchodzącym weekendzie, wszystkim, o czym normalnie gadamy, tylko że tym razem mam wrażenie, że nasz świat się roztopia i nic już naprawdę nie jest realne. Wszystko jest inne, ale wiem o tym tylko ja.

To straszna samotność - być jedyną osobą, która wie.

Już rozumiem, czemu niewierni mężowie przynoszą żonom kwiaty i czekoladki. Ja też bym chciała zrobić dla Toma coś miłego. Pokazać mu, jak bardzo go kocham. Dlatego po powrocie do domu ciągnę go na łóżko, pieszczę go, całuję, rozpinam dzinsy i robię mu loda.

Nie tylko dlatego, że chcę być miła. Także po to, by uniknąć tradycyjnego seksu. Jeszcze nie mogę. Wciąż czuję się nieczysta.

Po wszystkim przyciąga mnie do siebie, mierzwi mi włosy i dziękuje.

- Tego się nie spodziewałem - mówi. - Skąd ten zaszczyt?

- Po prostu chciałam dla ciebie *zrobić* coś miłego. Brakowało mi cię w nocy.

- Mnie ciebie też. - Ociera się o mnie skronią. - Cały czas wyciągałem po ciebie rękę, a ciebie nie było. Nie mogłem przez to zasnąć.

- Chyba po prostu jesteśmy od siebie uzależnieni.

- Naprawdę dzisiaj też musisz nocować u ojca?

- Mama mnie prosiła. Ale przysięgam, to ostatni raz. Tato czuje się już o wiele lepiej. A jutro mają mu założyć taki alarm, Lifeline, żeby w razie czego mógł wezwać pomoc.

- Upadłem i nie mogę wstać - mówi Tom i chichocze.

- No właśnie - mówię, ale mnie to wcale nie śmieszy.

Później masuję mu ramiona i przynoszę piwo. To głupie, tak mu usługiwać - aż zaczął się głośno zastanawiać, czemu jestem taka miła - ale nie potrafię się powstrzymać.

Kiedy wychodzę do ojca, Tom macha mi czule na pożegnanie. Schodzę do garażu, wsiałam do samochodu, odjeżdżam...

I czuję zawstydzającą, wszechogarniającą ulgę.

Mama ogląda z tatą wiadomości na PBS, ale zrywa się na nogi, gdy tylko wchodzę do sypialni.

Kiedy odprowadzam ją do drzwi, pyta, czy w sobotę mogę przyjechać do domu. Agent nieruchomości przyjdzie omawiać szczegóły i przydałaby się jej jeszcze jedna para uszu.

- Ktoś jeszcze przyjdzie? - pytam nieufnie. - A co?

Bo w życiu już nie chcę znaleźć się w jednym pokoju z Jacobem Corwinem, myślę.

- A tak, pytam z ciekawości.
- Na razie poprosiłam tylko ciebie. Ale liczę, że może przyjedzie Hopkins.

Mówię j ej, że przyjdę.

Żegnamy się, potem idę posiedzieć u ojca, na brzegu łóżka. Podczas reklamy próbuje mnie przekonać, żebym poszła spać do domu.

- Nic mi nie jest - mówi. - Całe te samarytańskie dyżury zaczynają mi działać na nerwy. Moglibyśmy już zacząć żyć normalnie.

- Już niedługo. To ostatnia moja noc tutaj, obiecuję. Nawet jak zwalisz się na podłogę w kałużę własnych wymiocin, jutro zostawiam cię samego.

- Ale dzisiaj wieczorem... Nie masz chłopaka, który by chciał, żebyś wróciła do domu?

Z wysiłkiem staram się nadać swemu głosowi beztroskie brzmienie.

- Hm, niech pomyślę. Wysoki? Ciemne włosy? Jedliśmy dziś razem kolację, tato. Nic mu nie będzie.

- Nigdy nie należałem do jego wielbicieli - mówi ojciec. - Myślałem, że nie jest odpowiednią partią dla ciebie. Wiem, że ojcowie zawsze tak mówią o narzeczonych ukochanych córek, ale to wydawało mi się dość obiektywne. Powiem ci szczerze: sądziliśmy z matką, że z niego wyrośniesz.

- Ale nie wyrosłam. I nie wyrosnę.

- Jest dla ciebie dobry?

- Bardzo. - Jestem bliska łez. Nie z powodu tej rozmowy, chodzi o wszystko. - Bardzo, bardzo dobry. To najmilszy i najbardziej oddany mi człowiek. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

- Ważne cechy. Czułość. Oddanie. Czasem myślę sobie, że u nas w rodzinie się ich nie docenia. - Wzdycha, a może tylko nierówno oddycha. Twarz wykrzywia mu się nieznacznie.

- Tato, chcesz środek przeciwbólowy?

- Wystarczy parę ibupromów.

- Na pewno nie trzeba czegoś mocniejszego?

- Jak trochę boli, to dobrze. Przypomina mi, że jeszcze nie umarłem.

- A moja obecność ci tego nie przypomina?

- O, jest tak rozkoszna, aż trudno nie pomyśleć, że jestem w niebie.

W naszej rodzinie rzadko okazuje się uczucia, więc gdy nadchodzi mnie nagła chęć pochylenia się ku niemu i przyczesania luźnego pasma srebrnych włosów na czole, szybko się prostuję i sięgam po fiolkę z ibupromem.

Gdy przełyka pigułki, czuję na sobie jego spojrzenie. Zajmuję się ustawianiem przedmiotów na jego nocnym stoliku. Brudne chusteczki rzucam do kosza, zbieram kubki i szklanki, układam książki jedna na drugiej.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Keats - mówi, kiedy wynoszę naczynia. - Najlepsza.

- Dzięki - odpowiadam, ale mu nie wierzę. Nie jestem ani najbystrzejsza, ani najzdolniejsza w rodzinie, a jakieś dwadzieścia cztery godziny temu zapomniałam o uczciwości, która dotąd była jedną z nielicznych moich zalet.

Gdy wnoszę kubki do kuchni, dzwoni telefon. Wkładam je do zlewu i odbieram po trzecim dzwonku. Żołądek podchodzi mi do gardła, gdy słyszę po drugiej stronie

zakłopotany głos Jacoba. Czuję przyływ złości na ojca, że nie zamówił sobie opcji wyświetlania numeru. Zresztą pewnie nawet nie wie, co to takiego.

- No cześć. Jak tam? - pytam zakłopotana.

- W porządku. A u ciebie?

- Też dobrze. O co chodzi? - Oboje dukamy, jakbyśmy posługiwali się obcym, dawno nieużywanym językiem.

- Przepraszam, że niepokoję. Twój ojciec prosił, żeby coś dla niego sprawdzić, i właśnie zebrałem informacje. Możesz mi go dać? O ile nie śpi.

- Jasne. Moment. - Po czym na sekundę przestaję grać. - Dobrze się czujesz? Naprawdę?

On natomiast nie przerywa gry.

- Dobrze, dziękuję - mówi sztywnym, nienaturalnie uprzejmym tonem, a ja proszę, żeby chwilę poczekał, bo zaraz połączę go z tatą.

Rozdział 13

Następnego dnia Rochelle wtyka głowę przez wejście do mojego boksu.

- Bardzo jesteś zajęta?

- Mniej niż pszczołka, bardziej niż leniwiec. A może odwrotnie? - Właśnie zbieram oferty restauracji na zorganizowanie imprezy dla pewnego odchodzącego na emeryturę wykładowcy z kulturoznawstwa, który zaczął uczyć w naszym college'u, jeszcze zanim nastąpiła era telewizji kablowej. - A o co chodzi?

- Mam do ciebie prośbę.

- Tak? No to słucham.

- Super - mówi Rochelle i pakuje się do mojego kubika. - Widzę, że jesteś pełna zapału i na pewno mi pomożesz. - Dzisiaj ubrała się od góry do dołu po męsku: wąski, śledziowy krawat i biała koszula z przypinanym kołnierzykiem, wypuszczona na lniane spodnie. Ktoś inny wyglądałby jak w przebraniu, ale Rochelle prezentuje się znakomicie. Dobrze jest mieć prawie metr osiemdziesiąt i być chuda jak patyk - mnie to nigdy nie będzie dane.

Bierze głęboki oddech.

- No dobrze, teraz poważnie: wydrukują mi artykuł. Tylko w durnym branżowym piśmie, ale to mój pierwszy raz, więc trochę się denerwuję. A ty jesteś taka dobra w redagowaniu tekstów... może rzuciłabyś okiem na ostateczną wersję, zanim ją wyślę? Po prostu sprawdź, czy nie ma jakichś rażących błędów. Nie chciałabym zrobić z siebie idiotki.

- Mato prawdopodobne, że coś jest nie tak, ale oczywiście chętnie sprawdzę.

Rozpromienia się.

- Dzięki! Zaraz ci prześlę. Powiedziałabym, że nie musisz się z tym śpieszyć, ale termin mam na środę, więc zostało niewiele czasu. Na szczęście tekst nie jest długi, tysiąc pięćset słów.

Uważam, że w takim razie jest długi, ale mówię tylko:

- Nie ma sprawy. Proszę go wysłać.

- Raz jeszcze dziękuję. Jesteś super.

Zatem chwilę później, sprawdzając pocztę, dostaję e-mail od Rochelle z wielkim załącznikiem, który zapisuję, żeby się nim poważniej zająć w wolnej chwili. Drugi e-mail jest od Cathy Miller. „Dwie sprawy”, głosi tytuł.

Sprawa pierwsza: Cathy zastanawia się, czybyśmy kiedyś nie poszły razem na lunch. To pewnie tylko pretekst do tej drugiej sprawy: prosi mnie o adres e-mailowy Jacoba Corwina. „Miałaś rację, powinnam spróbować, co mi szkodzi. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że mi odmówi i wrócę do punktu wyjścia, dalej będę sama w sobotnie wieczory”.

Z niewiadomego powodu ogarnia mnie złość. Kiepski sobie moment wybrała. Czemu nie poprosiła mnie

o to wcześniej? Teraz będę się czuć bardzo dziwnie, aranżując to spotkanie, a najgorsze jest to, że Cathy zapewne napisze do niego prosto z mostu: „Keats powiedziała, że powinnam się z tobą skontaktować”...

Ale jak jej tego adresu nie dam, będzie się zastanawiać dlaczego.

Proponuję termin lunchu i dołączam adres Jacoba.

Teraz piłka jest po jej stronie.

Idę do automatu po drugiej stronie biura i kupuję sobie snickersa. Na ogół nie jem słodczy o jedenastej, ale potrzebuję pociechy, a czekoladowy baton to chwilowo jedyna dostępna jej forma.

Kiedy wracam, czeka na mnie kolejny e-mail, podziękowania od Cathy: „Raz kozie śmierć! Życz mi szczęścia”, oraz wiadomość od Toma: „Lou i Izzy mają wolny wieczór, więc ich zaprosiłem i powiedziałem, że coś sobie zamówimy do domu”.

„Świetnie”, odpisuję i szczerze się cieszę. Nie będę sam na sam z Tomem przez cały wieczór. Co za ulga.

A przez tę falę ulgi znów przebija się potworne poczucie winy. Kocham Toma bardziej niż kogokolwiek na świecie, a oto doprowadziłam do sytuacji, że boję się być z nim sam na sam, bo czuję się winna.

Idę z powrotem do automatu, choć już dobrze wiem, że ból w żołądku to nie głód i nie załagodzi go żadna ilość czekolady.

Chłopaki oglądają mecz już od dobrych paru piw, więc Izzy i ja zgłaszamy się na ochotnika, żeby pójść po zamówione tajskie jedzenie - knajpka, którą najbardziej

lubimy, go nie dowozi. Gdy tam docieramy, dania nie są jeszcze gotowe, siadamy więc na skajowych fotelach po obu stronach dziwnie ascetycznego Buddy.

- Może powinniśmy tu zostać i zjeść bez nich - rzuca Izzy z figlarnym uśmiechem. - Nawet nie zauważą, że nie wróciłyśmy. Przynajmniej dopóki się mecz nie skończy. - Jak zwykle fantastycznie wygląda. Dziś ma na sobie pasiastą minisukienkę i skórzane kozaki do kolan. Facet, który wchodzi do restauracji, staje jak wryty, żeby jej się przyjrzeć. A obejrzawszy ją od stóp do głów, kiwa z aprobatą głową, puszcza oko do nas obu i idzie odebrać jedzenie.

Izzy rozpiera się w fotelu i przegarnia blond włosy jaskrawoczerwonymi paznokciami. Na przegubie pobrzękują bransoletki.

Jest przyzwyczajona do tego, że przyciąga uwagę.

- Zorientują się, że nas nie ma, jak trzeba im będzie przynieść kolejne piwo - mówię.

- Tak mam z Lou, ostatnio tylko wtedy mnie zauważa. Chyba powinnam zrobić sobie sukienkę z puszek po piwie. Na to by zwrócił uwagę.

- Wszystko u was w porządku? - pytam. - Tom coś mówił, że przedwczoraj... że z jakiegoś powodu nie chciałaś iść z nimi na kręgle.

- Prawdę mówiąc, trochę dlatego, że wiedziałam, że ciebie nie będzie, więc pomyślałam: niech mają sobie prawdziwy męski wieczór, beze mnie. - Marszczy nos. - Ale tak szczerze, to byłam potwornie wkurzona na Lou. - To jedna z tych rzeczy, za które ją uwielbiam: że jest taka szczerą. To rozbijające, bo przy tym jest niezwykle miła. Zazwyczaj ludzie posługują się szczerością

jak czymś w rodzaju broni, natomiast Izzy po prostu z przyjemnością się wszystkim dzieli.

- O co poszło?

- A, fatalnie się czułam przed miesiączką, myślałam, że zwariuję, byłam okropnie rozdrażniona. Lou coś powiedział, zdenerwowałam się i po prostu wybuchnęłam.

- A co powiedział?

- Szczerze? Nie pamiętam. Widzisz, tak się wściekłam.

- Nie wyobrażam sobie, jak się na kogoś wściekasz. Szeroko otwiera wielkie błękitne oczy.

- Poważnie? Potrafię być straszną żoną! Nie wiem, jak Lou ze mną wytrzyma!

- Jesteś piękna i wspaniała.

- Och, miłutka jesteś - mówi Izzy, zbywając moje słowa machnięciem uperfumowanej dłoni. Rozplata nogi i nachyla się ku mnie. - Keats, jesteśmy szczęściami. Większość dziewczyn w naszym wieku nie jest w stanie umówić się choćby z jednym porządnym chłopakiem, a my mamy Lou i Toma, dwóch superfacetów, którzy nas kochają. Połowa moich dawnych przyjaciółek nawet nie chce ze mną gadać, tak mi zazdroszczą, że już wyszłam za mężczyznę marzeń, a one muszą spotykać się z jakimiś nieudacznikami.

Mówię coś uprzejmego, choć myślę, że to Lou jest tu szczęściarzem. Uważam, że jest okej, ale wolę Izzy od niego.

- Ty też kiedyś planujesz pobrać się z Tomem, prawda? - pyta, po czym szybko dodaje: - Jak jestem zbyt wścibska, to mi szczerze powiedz, że mam dać sobie spokój.

- Nie, nic nie szkodzi. Na pewno chcemy być razem na zawsze. Tylko nie za bardzo nam się pali do tych ceremonii. Za dużo trzeba by mieć do czynienia z rodziną.

- Ja wzięłam ślub już dawno, ale trochę dlatego, że wydawało mi się, że nie mogę się wyprowadzić i zostawić mamy i taty samych ze Stannym, jeśli nie wyjdę za mąż. To byłoby po prostu niestosowne. - Stanny to jej niepełnosprawny brat. - Ale nie tylko dlatego tak zrobiliśmy - dodaje pośpiesznie. - Naprawdę chcieliśmy się pobrać.

- Na razie planowanie ślubu mnie przerasta. Zresztą nie ma pośpiechu.

- Masz rację - mówi moja zgodna przyjaciółka. -W ogóle nie ma się co śpieszyć. Ale jak już będziesz brać ten ślub, to ja chcę być druhną, dobrze?

- No, nie wiem - droczyć się z nią. - Wszyscy będą patrzeć na ciebie zamiast na mnie.

- Nie bądź głupia. Panna młoda zawsze jest najpiękniejsza ze wszystkich. - Izzy temat ślubów traktuje poważnie. -I chcę ci układać włosy, a przynajmniej powiedzieć fryzjerce, jak ma to zrobić. Wiesz, że uwielbiam twoje włosy. Już postanowiłam, jaką będziesz miała fryzurę: część upięta...

- Pani Kate! - woła kobieta za kasą. - Wasze zamówienie.

- .. .a część rozpuszczona i takie loczki po obu...

- Czekaj - mówię. - To chyba nasze jedzenie.

- Powiedziała: „Kate”.

- Tak, wiem - odpowiadam z westchnieniem. Wstajemy i idziemy po zamówione dania.

Cameron Evans nie przestaje się na mnie gapić.

- Wow - mówi. - Keats Sedlak. Wszędzie bym cię poznał. Siedziałem zaraz za tobą w pierwszej klasie liceum na angielskim. - Obchodzi mnie dookoła. - Twój tył głowy nic a nic się nie zmienił.

- Dziękuję - mówię, bo to chyba miał być komplement.

Jego ojciec, który omal nie wyrwał mi ręki przy powitaniu, teraz uśmiecha się do nas promiennie.

- Takich włosów się nie zapomina! - potwierdza i zwraca się do mojej mamy. - Patrzcie państwo, przed chwilą to były małe dzieci, a dzisiaj są tacy dorośli i mądrzejsi od nas. Jak to się dzieje?

- Czas nie stoi w miejscu - podsuwa oschle matka.

- Do-kład-nie. - Wygląda jak powiększona wersja własnego syna. Obaj są wysocy, mają duże głowy i proste jasne włosy zaczesane z przedziałką, Cameron jest jednak bardzo chudy, a wełniana marynarka ojca niemal pęka w szwach na barkach i w pasie. Sprytnie ciemne oczka latają na wszystkie strony, mierząc szacującym spojrzeniem dom, moją matkę, mnie. - Keats, pamiętasz Camerona tak dobrze jak on ciebie? - pyta.

Kiwam głową. Jednak Cameron bardzo się zmienił. W liceum był skromny i nieporadny w towarzystwie, teraz emanuje pewnością siebie.

Przesuwa ręką po włosach, przygląda je na środku, opiera się biodrem o komodę w jadalni i mówi przymilnie:

- Ty byłaś znacznie lepsza ode mnie.

- E tam.

- Byłaś, byłaś. - Zwraca się do mamy. - Keats była

niezwykle bystra. Nauczyciele ją uwielbiali. Wszystkich interesowało, co ma do powiedzenia. Jak Keats nie znała odpowiedzi, to nikt nie znał.

- Ja to pamiętam całkiem inaczej. - Próbuję być miła, ale męczy mnie ta rozmowa. Koleś jest handlarzem, tak jak jego ojciec. Ich kręci dom, ten wielki stary dom, którego matka usilnie chce się pozbyć i który nie jest obciążony żadnym kredytem, więc sprzedaż powinna być niezwykle prosta; mama nie będzie się też upierać przy jakiejś niebotycznej cenie. Zwęszyli łup i są napaleni. Powiedzą wszystko, byle tylko się nam przypochlebić.

Lecz mama jest oczarowana tymi wspominkami.

- To prawda, wszyscy nauczyciele uwielbiali Keats.

- Nie, uwielbiali Hopkins - mówię. - Jeśli mnie lubili, to tylko dlatego, że byłam jej młodszą siostrą.

Mama kręci głową.

- Nie, Hopkins doprowadzała nauczycieli do szału.

- Bo wiedziała więcej od nich, zanim jeszcze zaczęła się lekcja.

Mama wzrusza ramionami. Z tym się nie da polemizować.

- A, czytałem artykuły, o których pani wspominała -mówi pan Evans do mamy. - W „Harvard Magazine”. I ten w „Wall Street Journal” też. Wygląda na to, że badania pani córki naprawdę mają przełomowe znaczenie. - Widać, że mama sporo mu o Hopkins opowiedziała. Odwraca się do mnie. - A ty, Keats, co porabiasz? Pewnie już parę lat temu skończyłaś college...

O mnie mama ewidentnie nic mu nie powiedziała. Zresztą co tu jest do powiedzenia?

- Pracuję w Waltham Community College.
- Uczysz? Mama odpowiada za mnie.
- Keats prowadzi wydział anglistyki.
- Sekretariat wydziału anglistyki - poprawiam ją ostro. - Nie prowadzę wydziału, tylko biuro.
- Ciekawe - mówi Cameron, choć wcale tak nie jest.
- A ty co robisz? - pytam z grzeczności. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to było głupie pytanie.
- Hmm... o, to. - Gestem dłoni wskazuje dom. Czerwienię się.
- No tak. Przecież wiem.
- Poprzednim razem Cameron ze mną nie przyszedł - mówi Charlie Evans. - Jeszcze nie obejrzał domu. Może ty go oprowadzisz, a ja siądę sobie z twoją mamą i pogadamy trochę o nudnych cyferkach?

No świetnie. Może mama mnie tu ściągnęła, żeby mnie wyswatać z Cameronem. Teraz mogę tylko robić dobrą minę do złej gry. Zachęcam, by szedł za mną. Gdy wychodzimy do holu, słyszę, jak pan Evans mówi:

- Czujemy się zaszczyceni, mogąc reprezentować panią w sprawach związanych ze sprzedażą tego wspaniałego domu, Eloise. Wiem, że pani bardzo o niego dbała, i obiecuję, że znajdziemy kupca, który będzie go kochać tak samo jak pani.
- Jak zapłaci tyle, ile sobie życzę, to potem może go choćby podpalić.

Pośpiesznie oprowadzam Camerona po parterze. Jestem rozczarowana, że od mojej ostatniej wizyty mama poczyniła niewielkie postępy. Dookoła walają

się pudła, więc pewnie planowała zacząć się pakować. Ale kartony są puste, a na półkach i stołach ciągle stoi pełno rupieci.

- Strasznie mi się podoba, że tutaj wszystko jest takie tajemnicze, pełne zakamarków - mówi Cameron, gdy idziemy schodami na piętro. - To nadaje domowi niepowtarzalny klimat.

- Mnie zawsze ten dom się kojarzył z króliczą norą. Niekoniecznie pozytywnie. Ale rzeczywiście jest tu mnóstwo świetnych kryjówek.

- Często się chowałaś, jak byłaś mała? Jesteśmy na górze.

- Niekoniecznie „chowałam”. Po prostu lubiłam wpełzać w takie ciasne miejsca, gdzie nikt mnie nie mógł znaleźć.

- A czym to się różni od chowania? - pyta poważnie.

- Nie za bardzo wiem. - Macham ręką w stronę korytarza. - Tam jest pokój mojego brata Milтона, nadal tu mieszka, a następny był kiedyś mój, ale brat się tam rozpanoszył, a tam...

- Zaraz, jak to się „rozpanoszył”? Wyburzył jakieś ściany?

- Nie, po prostu nie zamyka drzwi do naszej wspólnej łazienki.

- Mogę zobaczyć? - Już jest przy drzwiach i kładzie rękę na klamce.

- Zaraz! Trzeba zapukać. On pewnie tam jest.

- A! Nie przyszło mi do głowy, że jest w domu. Pukam.

- Kto tam? - odzywa się Milton.

- To ja. I... - waham się, nie wiedząc, jak nazwać Camerona. - I agent nieruchomości. Możemy wejść? Żeby zobaczyć twój pokój.

- A musicie?

- Tak - odpowiadam i otwieram drzwi.

Milton siedzi przy komputerze. Włosy ma rozczochrane, jakby dopiero wstał, ale poza tym wygląda całkiem przyzwoicie w spodniach od dresu i koszulce.

- Cześć - mówi, obracając się w fotelu. Mój towarzysz zaczyna się przedstawiać, lecz Milton mu przerywa. - Jesteś Cameron Evans.

Cameron mruga.

- Tak. Skąd wiesz?

Milton wzrusza ramionami. Zapamiętuje każdego, kogo widział choćby raz w życiu. Kiedyś raz na rok przeglądał szkolną kronikę, żeby przypisać nazwisko do każdej twarzy. A potem już to tak po prostu pamiętał. Zazdroszczę mu tej niecodziennej umiejętności. Mnie ludzie zapamiętują dzięki rudym włosom i dziwnemu imieniu, co często stawia mnie w niekorzystnym położeniu w sytuacjach towarzyskich.

- To teraz jesteś agentem nieruchomości? - pyta Milton Camerona.

Cameron sięga do kieszeni marynarki i wyciąga małe srebrne etui na wizytówki. (Naprawdę? Etui na wizytówki? Gość jest w moim wieku. Czemu udaje, że ma pięćdziesiątkę?). Wyciąga kartonik i wręcza Miltonowi.

- Evans i Evans? - czyta mój brat.

- Ojciec i ja. Chociaż nazwa jest starsza. Pierwsi „Evans i Evans” to tata i mama, ale teraz mama pracuje pod swoim panińskim nazwiskiem.

- Czemu? - pyta Milton.
 - Rozwiedli się i już ze sobą nie pracują. - Cameron mówi to beznamiętnym tonem. Zastanawiam się, czy dlatego, że minęło dużo czasu, czy po prostu nie było to dla niego aż takie traumatyczne.
 - Nasi właśnie się rozwodzą-mówię, czując, że łączy nas wspólnota przeżyć.
 - Wasza mama o tym wspominała. To zresztą jest jeden z najczęstszych powodów sprzedaży domów.
 - A co z waszym? - pyta Milton.
 - Ale z czym?
 - Twoi rodzice sprzedali dom, jak się rozwodzili?
 - Nie. Mama dalej w nim mieszka.
- Milton oddaje mu wizytówkę, choć grzeczność nakazywałaby ją zatrzymać.
- Przez ostatnie cztery lata ceny domów spadły o dwadzieścia procent. Na pewno się to odbiło na dochodach firmy.
 - Idzie nam całkiem nieźle. - Cameron uśmiecha się z wyraźnym przymusem.
 - Jak myślisz, ile możecie dostać za ten dom?
 - Ojciec rozmawia teraz o tym z waszą mamą.
 - Przejrzałem dane dotyczące cen na rynku nieruchomości - mówi Milton. - Dom o dwie ulice stąd półtora roku temu został sprzedany za półtora miliona, ale od tego czasu dwa domy w okolicy poszły za mniej niż milion, a na rynku są jeszcze ze cztery. Parę z nich miało już nieraz obniżane ceny. Jak to się nazywa? Wykorzystywanie koniunktury na rynku nieruchomości? Któryś z tych domów jest w waszej agencji?

- Owszem, mamy w ofercie kilka domów w tej okolicy. - Cameron ociera dłonią czoło. - Nie jestem pewien, o którym mówisz... to prawda, na rynku panuje pewien zastój, ale was to nie dotyczy. Ten dom jest niezwykły, jedyny w swoim rodzaju, a do tego ma czystą hipotekę...

Milton kręci protekcjonalnie głową.

- Perrin Barton z „New York Times” powiedziała parę tygodni temu, że teraz jest niedobry czas na sprzedaż domu. Że warto trzymać nieruchomości albo je kupować. Ceny spadły poniżej wartości rynkowej, bo ludzie przestraszyli się sytuacji gospodarczej, ale za parę lat rynek powinien odzyskać dynamikę.

Słucham, zdumiona, że Milton - chłopak, który nie potrafi zagotować wody na makaron ani załatwić najprostszej sprawy - potrafi tak łatwo znaleźć i zapamiętać informacje, a także dokonać ich pogłębionej analizy. Nic dziwnego, że miał same szóstki, ale łatwo zapomnieć o jego talentach, gdy się widzi, jak tkwi w domu i wtopia się w tło.

- Hm - mówi Cameron. Dostrzegam kropelki potu na jego czole. Trzeba przyznać, że u Milтона faktycznie jest ciepło. Mój brat nigdy nie otwiera okna. - Ciekawe. Muszę przeczytać ten artykuł. Ale tak naprawdę nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Trzeba jednak pamiętać o tym, że czasem w życiu nadchodzi po prostu odpowiedni moment, żeby coś sprzedać, niezależnie od sytuacji na rynku... i to chyba dotyczy teraz waszej mamy.

- Dom w całości należy do mamy - mówi Milton. - Nie brała kredytu, więc nie musi co miesiąc płacić rat, a podatek jest niski, bo rodzice kupili dom dawno temu.

Utrzymanie go wiele nie kosztuje. W sumie, obojętnie, gdzie się przeprowadzi, nawet jeśli to będzie niewielkie mieszkanie, co miesiąc wyda więcej. Jak dla mnie, nie powinna sprzedawać domu, dopóki na rynku się nie poprawi.

- To rozmowa, którą trzeba odbyć z waszą mamą. - Cameron przesuwa się ku drzwiom. - Ja czuję, że po prostu dojrzała do tego, by pozbyć się wielkiego starego domu. Ale decyzja zawsze należy do rodziny...

- No chodź - mówię, litując się nad nim. - Pokażę ci gabinet na górze. - Zza jego pleców szczerzę zęby do brata. - Przyjdę potem, Miltie, pogadamy.

- To przynieś mi grzanekę - mówi i odwraca się z fotelem z powrotem do komputera.

Później, po wyjściu Evansów, mówię mamie, że Milton radził wstrzymać się ze sprzedażą. Kręci głową.

- To nie on musi się zajmować tym molochem. Po prostu chcę go się pozbyć i tyle.

- Wiem. Milton pewnie też wie, ale nie odda swojego domu bez walki. A, jeszcze chciał grzanekę.

Mama idzie za mną do kuchni.

- Ten Cameron bardzo się ucieszył, że cię znowu widzi - rzuca znacząco.

- Chyba w twojej wyobraźni.

Podchodzi do lodówki, przez chwilę przypatruje się jej zawartości, zamyka drzwi, nie wyjąwszy niczego, i okręca się, rozdymając spódnicę. - Jak do ciebie zadzwoni, przynajmniej umów się z nim na kawę. Nie umrzesz od tego.

- Tom by nie był zachwycony - mówię beznamiętnie. Wkładam chleb do tosteru i wciskam przycisk.

Mama unosi brwi.

- Nie żyjemy w średniowieczu. Tom ma okropnie konserwatywne poglądy. Zresztą ty też, skoro uważasz, że nie wolno ci się z nikim spotkać.

- Nie powiedziałam, że Tom mi tego zabrania. Pozwala mi robić, na co mam ochotę. Ale nie chcę mu w żaden sposób sprawiać przykrości. - Całe szczęście, że mama nie wie, jaka ze mnie hipokrytka.

Splata ręce na piersi. Potem je rozkłada i bawi się zwisającym srebrnym kolczykiem w prawym uchu.

- Keats, jesteś w takim wieku, że powinnaś poznawać dużo ludzi. Doceniam dobre strony posiadania stałego chłopaka, ale jeśli za wcześnie zaczniesz bawić się w dom, zbyt wiele może ci przejść koło nosa.

- Mamo, tu nikt się w nic nie bawi. Zamierzam spędzić resztę życia z Tomem i musisz...

Przerywa mi.

- Resztę życia? Jesteś za młoda, żeby mieć jakieś pojęcie o „reszcie życia”. Ja nie pozwalałam sobie jeszcze na takie wypowiedzi, a jestem od ciebie o trzydzieści lat starsza.

- No dobrze - mówię. - W takim razie nazwijmy to tak: spodziewam się, że Tom będzie ze mną w dającej się przewidzieć przyszłości, najpierw jako chłopak, potem jako mąż, a w końcu jako ojciec moich dzieci. I mam nadzieję, że kiedy weźmiemy ślub, wykrzeseś z siebie tyle matczynego uczucia, żeby nam pogratulować i przyjąć go do rodziny. - Głos mi się łamie, choć prawdę mówiąc, nie

wiem dlaczego; czy to przez nastawienie matki, czy przez to, że ostatnio zdecydowanie się nie popisałam. Otwieram szafkę i wyciągam talerz, mając nadzieję, że zamaskuję w ten sposób wyolbrzymioną reakcję.

- Keats, ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa. I gdybym była pewna, że Tom da ci szczęście, nie odezwałabym się ani słowem. Ale wiem, że jeszcze jesteś bardzo młoda, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że to nieodpowiedni mężczyzna dla ciebie... a jeśli to prawda, chciałabym, żebyś uświadomiła to sobie teraz, a nie wtedy, gdy będziesz mieć dzieci, dom i wspólne życie, które tak trudno rozplątać.

Odwracam się.

- Sądziś mnie po swoich błędach. To niesprawiedliwe. Jestem zupełnie inna niż ty.

- Nie aż tak bardzo, jak ci się wydaje. Jak miałam dwadzieścia pięć lat, też myślałam, że zjadłam wszystkie rozumy.

Wyskakuje grzanka.

- Jak to dobrze, że teraz jesteś o niebo mądrzejsza. - Kładę kromki na talerzyku. - Pójdę, posiedzę trochę z Miltonem.

- Dobrze - mówi. - Przyda mu się towarzystwo.

- Co ty powiesz.

Niosę grzankę na górę. Gram z Miltonem parę rundek Cali of Duty, potem schodzę na dół, a mama mówi:

- Dzwonił twój ojciec.

- I jak się czuje?

- Dużo lepiej. Jego głos brzmi już znajomo. Ale jednak poprosił, żebyśmy przyszli. Skoro późnym wieczorem ma przyjechać Hopkins...

- O, naprawdę? Nie wiedziałam. Nikt mi o niczym nie mówi.
- ...zapytał, czy moglibyśmy jutro wszyscy przyjść na wczesną kolację. Powiedział, że ma coś ważnego do omówienia.
- Mogę wziąć Toma?
- Zapytaj ojca. To on jest gospodarzem.
- A ciebie zaprosił?
- Powiedział, że mam być. Zresztą chcę się zobaczyć z Hopkins, więc to mi odpowiada. Oj... chyba muszę coś innego odwołać.
- Jakąś randkę? - Mama kiwa głową. Unoszę brwi. - Kto tym razem jest szczęśliwym wybranym? Donald Trump?
- Znowu Paul. Marszczę nos.
- Paul. Blee. A co z Michaeliem? Parska śmiechem.
- I ty mi zarzucasz, że wtykam nos w twoje sprawy.

Rozdział 14

Pośród mojej udręki przebłyskuje jeden promyk nadziei. Nigdy nie powiedziałam Tomowi, co się zdarzyło w tym domu w zeszłym tygodniu, może więc spokojnie wejść do pokoju, gdzie tarzaliśmy się nago z Jacobem. Gdyby wiedział...

Nie wie. Dzięki Bogu.

To dowód, że dobrze zrobiłam, nic mu nie mówiąc.

Lecz wcale to nie łagodzi mojego cierpienia. Wrócić tutaj, tak szybko, z Tomem...

Poczucie winy i wstydu narasta błyskawicznie, tak jak tamtego wieczoru, i prawie niweczy radość ze spotkania z siostrą. Ostatni raz widziałam ją cztery miesiące temu, w święta, ale jedynie przez chwilę - Tom i ja przyszliśmy do domu tylko na wymianę prezentów, a następnego dnia Hopkins wyjechała - poza tym od tamtego czasu między mamą i tatą wydarzyło się tyle, że mam wrażenie, że to było o wiele dawniej.

Wita nas przy drzwiach do mieszkania taty, ściska mnie, po czym mówi, że wyglądam na zmęczoną.

Hopkins jest wysoka, chuda, kanciasta jak mama, ale pozbawiona jej zaskakująco szerokich bioder. Jest

wąska na całej długości. Ma szczupłą, pociągłą twarz, wąski nos, elegancką linię brwi i koński ogon. Jest ładna - przynajmniej ja tak uważam; Tom się ze mną nie zgadza, może dlatego, że Hopkins jest mało kobieca. Nigdy nie widziałam jej w makijażu ani w jakiegokolwiek fryzurze innej niż koński ogon albo z prostymi, rozpuszczonymi włosami. Ubiera się też okropnie: nosi bezkształtne sukienki, długie, niemodne spódnice albo przykrótkie dzinsy. Dziś ma na sobie spodnie khaki, odstające w talii i obwisłe z tyłu, oraz ciemnoniebieską koszulę z kołnierzykiem, wyglądającą jak z męskiego działu. Wszystko w niej krzyczy: „Patrz na mój mózg, nie na wygląd”. Nie traci czasu na ciuchy, nie maluje sobie rzęs - to Hopkins Sedlak, najsilniejsza osobowość w każdym towarzystwie. Nie ma znaczenia, w co jest ubrana.

Ściska dłoń Toma i całuje go chłodno w policzek.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że po tylu latach jeszcze jesteście razem - mówi, po czym prowadzi nas do stolika kawowego, gdzie siedzą już mama z tatą.

Nie ma Milona. Pytam mamę o niego; odpowiada, że „mało brakowało”, by przyszedł. Zapewne oznacza to, że kiedy go poprosiła, stwierdził, że się zastanowi, a gdy nadeszła pora na wyjście, powiedział: „Nie tym razem, może następnym”. Tylko że do następnego nigdy nie dochodzi. Chciałabym, żeby choć raz stawiała mu czoło, uświadomiła mu, że ciągle odkłada na później dołączenie do reszty ludzkości, żeby zawlokła go gdzieś na siłę. Lecz mama nigdy nie ma na to energii, czasu... a może i chęci.

W mieszkaniu taty panuje o wiele większy bałagan niż ostatnim razem. Wszędzie walają się papiery, gazety i sprzęty elektroniczne (laptop, blackberry, iPad), na podłodze jest nawet parę brudnych ubrań. Hopkins kompletnie odmieniła wygląd tego miejsca.

Zdażyłam zapomnieć, że taki z niej flejtuch. Kiedy mieszkała w domu, zdejmowała buty w chwili, kiedy przy-, szło jej do głowy, że już nie chce ich mieć na nogach, więc przez całe dzieciństwo albo potykałam się o jej trampki, albo podnosiłam je i odkładałam na bok. Nikomu poza mną się nie chciało tego robić. Nie chodziło zresztą tylko o buty. Gdziekolwiek szła, zostawiała za sobą ślad z resztek jedzenia, chusteczek i papierów. Kiedyś poskarżyłam się mamie, że Hopkins bałagani najbardziej ze wszystkich i nigdy nie pomaga sprzątać, ale matka tylko wzruszyła ramionami i powiedziała: „Ona ma ważniejsze rzeczy na głowie”, jakby była dumna z tego, że Hopkins nie chce się wyrzucać pestek po brzoskwiniach.

Tato siedzi w fotelu. Twarz ma ciągle bladą i wychudzoną, ale trzyma się prosto, jest ubrany, włosy ma uczesane i wygląda najlepiej od wielu tygodni. Pytam, z jakiego powodu nas tu zaprosił.

- Dowiecie się w swoim czasie - odpowiada.

Proponuję, że posprzątam na stoliku do kawy, ale kiedy biorę laptopa Hopkins, siostra natychmiast wyrywa mi go z rąk. Składam część jej papierów w schludny stosik i idę za nią do gabinetu. Kanapa jest nadal rozłożona, prześcieradła pościągane, kołdra skłębiona. Pytam Hopkins, czemu według niej tato wszystkich tu dzisiaj wezwał.

Mówi „zobaczysz” w taki sposób, iż jest oczywiste, że już jej tato powiedział. Zwierzył się córce, której nie było u jego boku, kiedy leżał w szpitalu. To boli, ale to nie wina Hopkins, więc przełykam urazę i pytam ją, co tam w pracy.

-Absolutnie... oj, poczekaj. - Wyciąga z kieszeni blackberry i zerka na ekran. - Przepraszam, Keats, muszę odpowiedzieć. Wracaj do reszty towarzystwa, ja zaraz przyjdę. - Zdążyłam zapomnieć, że jej głos jest tak niepodobny do mojego. Płaski, niski, prawie pozbawiony intonacji. Głos wykładowcy, nie rozmówcy. Gdy wychodzę z pokoju, słyszę beznamienne: „Hopkins Sedlak”. Pewnie tak zwykle odbiera telefony.

Ja przeważnie mówię tylko „cześć”.

- Słyszałeś kiedyś o córce marnotrawnej? - mówię do Toma, podchodząc i siadając obok niego na kanapie.

- Nie o synu?

- Nie w tym wypadku. -E?

Zanim zdążę mu wyjaśnić, otwierają się drzwi i wchodzi Jacob z dwiema reklamówkami z jedzeniem na wynos.

Na moment zapiera mi dech. Nie miałam pojęcia, że Jacob też przyjdzie. Paraliżuje mnie przerażenie na samą myśl o tym, jak by się ta sytuacja rozegrała, gdybym powiedziała Tomowi, co zaszło. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłam. Dzięki Bogu.

Mama podbiega do Jacoba, zabiera jedną reklamówkę i całuje go w policzek. Hopkins wyłania się z gabinetu z przyklejonym do ucha blackberry i macha ręką. Zostaję na kanapie z Tomem, który wydaje przyjazny okrzyk na powitanie.

Kiedy Tom opada na oparcie, czuję, jak poduszki kanapy przesuwiają się nieznacznie pode mną, i mimowolnie wracam myślą do tamtej nocy, do przygniatającego mnie ciała Jacoba, do moich unieruchomionych dłoni, do moich otwartych i chętnych ust i ud. Wszystko to spowija alkoholowa mgiełka, ale pamiętam to całkiem wyraźnie.

Sięgam po dłoń Toma, kładę mu głowę na ramieniu. Właśnie wtedy Jacob siada przy stoliku. Chciałabym usiąść prosto, ale boję się, że pomyśli, że odsuwam się od Toma przez niego, więc nie zmieniam pozycji. Po chwili robi mi się niewygodnie, boli mnie szyja i czuję się głupio, więc w końcu się prostuję. Nie potrafię jednak spojrzeć nikomu w oczy.

Gdy mama mówi, że ktoś musi jej pomóc podać jedzenie, z ulgą zrywam się na nogi. Idę za nią do kuchni. Niepokoi się, że hinduskie potrawy mogą być dla taty za ostre, za mocno przyprawione, ale kiedy zdejmujemy folię z pudełek, widzi, że Jacob zamówił głównie zwykłego kurczaka tandoori oraz biały ryż.

- Powinna była wiedzieć, że o wszystkim pomyśli - wzdycha zadowolona.

- Bo to chodzący ideał? - mówię. - Bo nigdy niczego nie zrobi źle? Wszyscy się mogą mylić, ale nie Jacob.

Wytrzeszcza na mnie oczy.

- O co ci chodzi?

- O nic. - Unikam jej wzroku, udaję, że jestem zajęta składaniem folii aluminiowej. - Po prostu... czemu on zawsze uczestniczy w naszych rodzinnych spotkaniach?

- Zapytaj ojca. Dzisiaj on rządzi, nie ja. - Wyciąga z torby stos papierowych talerzy. - Świetnie, że Jacob

je kupił. Nakryć nie starczyłoby dla wszystkich. A Larry w życiu by o tym nie pomyślał. - Z tej samej torby wydobywa serwetki i widelce. - Tak się cieszę, że Hopkins mogła przyjechać, a ty? Czuję się tak, jakby zdjęła ze mnie wielki ciężar. Inni lekarze mogli coś przeoczyć, ale jak Hopkins powie, że z tatą wszystko w porządku, to na pewno jest w porządku.

Coś mruczę, chyba potakująco.

-Tylko koniecznie muszę ją zabrać do fryzjera -ciągnie mama.
- Widziałaś, jaki długi ma ten kucyk? Jak jest rozpuszczony, chyba sięga jej do pasa.

- Mamo, ona jest już dużą dziewczynką, może sama pójść do fryzjera, jeśli będzie miała ochotę.

- Wiem, ale jakoś nigdy nie może się na to zdecydować. Jest za bardzo zajęta innymi sprawami. Jak przyjeżdża, zawsze z nią idę do fryzjera.

Czemu to mnie denerwuje? Zastanawiam się nad tym, wkładając do dań łyżki. Z trudem znoszę tę dziwną mieszankę bałwochwalczego kultu i infantylizacji Hopkins. Mama zachowuje się tak, jakby moja siostra, mając nadmiernie rozwinięty mózg, nie mogła funkcjonować jak normalny człowiek. Zresztą podobnie traktuje Miliona.

Czyżby w jej mniemaniu już sam fakt, że potrafię się o siebie zatroszczyć, dowodzi, że nie jestem inteligentna, tylko zwyczajna aż do bólu?

To niesprawiedliwe. Naprawdę muszę być życiowo nieporadna, żeby uznali, że jestem w tej samej intelektualnej lidze?

Ta myśl cały czas się we mnie gotuje, gdy matka każe mi zawołać wszystkich na kolację.

Idę z powrotem do salonu. Hopkins przycupnęła na skraju sofy i tokuje, jak to ona, beznamietnym tonem, patrząc na tatę i Jacoba, wygodnie rozpartych w fotelach. Plecami zwrócona jest do Toma, choć biedak siedzi tuż obok i pilnie jej słucha.

- Neurologicy całą swoją wiedzę zawdzięczają pistoletom do wstrzeliwania kołków - mówi. - Gdyby nie głupki, co strzelają sobie kołkami w głowę, nigdy nie mielibyśmy pojęcia, za co odpowiadają poszczególne obszary mózgu.

- Są jeszcze wylewy - zauważa Jacob.

- Tak, wylewy też są cenne - przyznaje Hopkins. - A i kule bardzo nam pomogły.

- Wylewy są cenne? - powtarza Tom zza jej pleców. - Jak to, wylew to świetna sprawa?

Nikt na to nie reaguje.

- Jak się nazywał ten gość, który przebił sobie głowę żelaznym prętem i przeżył? - pyta Jacob, zwracając się do Hopkins.

- Phineas Gage - śpieszy z odpowiedzią mój ojciec. - Świetne nazwisko. Natychmiast zapada w pamięć. Żaden pisarz by lepszego nie wymyślił.

- To on pamięta takie rzeczy? - mówi w przestrzeń matka. Nie zauważyłam, że stoi za moimi plecami. - Nie pamięta mojego panińskiego nazwiska ani dat urodzin swych dzieci, a takie coś zostaje mu w głowie?

- Zaraz, kto to jest ten Phineas Gage? - pyta Tom. Nikt nie kwapi się z odpowiedzią. Zgromadzeni

w salonie zachowują się tak, jakby w ogóle Toma tu nie było. Hopkins dalej zwraca się wyłącznie do taty i Jacoba.

- Jeśli naprawdę chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś nowego o mózgu, powinniśmy po prostu wynająć kogoś, kto pójdzie na budowę i zacznie wszystkim strzelać kołkami w głowę.

- Pewnie dlatego budowlańcy noszą te żółte kaski - mówi Jacob. - Dla ochrony przed niegodziwymi neurologami.

Hopkins parska śmiechem.

- Niektórzy po prostu nie doceniają dociekliwości naukowców. - Tych dwoje wyraźnie świetnie się dogaduje.

- Ale niektórzy nie lubią mieć kołków w głowie - mówię. - A te wszystkie nowoczesne urządzenia do prześwietlania wymyślono chyba po to, żeby dowiedzieć się czegoś o mózgu, nie rozwalając go?

- Ale co to za frajda - mówi Hopkins i Jacob się śmieje. Trochę zbyt głośno, tak jakby chciał zademonstrować, którą z córek państwa Sedlak bardziej ceni.

- No dobrze - mówię. - To idź sobie postrzelać tymi kołkami. Tylko najpierw coś zjedz. Kolacja na stole.

Tom rusza przez pokój, jeszcze zanim kończę wypowiedź. Ma pełny talerz, nim reszta nas dociera do kuchni. Nabrawszy sobie jedzenia, znów gromadzimy się wokół stolika do kawy. Mama, Tom i ja siedzimy na jednym końcu, pozostała trójka - na drugim.

Danie niespecjalnie mi smakuje, jem z nerwów, nie dla przyjemności. Gdy przestaję zajmować się rytmicznym nakładaniem na widelec ryżu i kawałków kurczaka, czuję, że jest mi niedobrze.

Hopkins nie zwraca uwagi na swój pełny talerz. Ledwie skubnęła jedzenia, zajęta stukaniem w blackberry

- pisze e-maile albo SMS-y. Z pewnością wszystkie są niezwykle ważne. Pewnie za każdym razem, gdy naciska „wyślij”, ratuje komuś życie albo przynajmniej pamięć.

Przypominam sobie o tym przez cały posiłek, bo co chwilę mam ochotę warknąć na nią, żeby przestała się bawić komórką i coś zjadła. Nie chodzi tylko o to, że jedzenie jej stygnie. Muszę przyznać, że zazdroszczę jej, że jest taka chuda, o wiele szczuplejsza ode mnie, i że do jedzenia podchodzi obojętnie. Zawsze tak było. Posiłki nigdy jej nie obchodziły. Kiedy była zajęta albo się uczyła, trzeba jej było przypominać, że powinna wreszcie coś zjeść. Ja nigdy w życiu nie zapomniałam o jedzeniu; jak stoi przede mną, to jem. Dlatego nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek nie chciała zrzucić paru kilogramów.

Wreszcie Hopkins odkłada telefon i zaczyna opowiadać tacie i Jacobowi o przypadku, z którym ma do czynienia (i zapewne na jego temat e-mailuje) - czyli o tej młodej matce po kilku wylewach. Widzę, że mama marzy o tym, by usłyszeć, co powie genialna córka. Cały czas ma głowę przekreśloną w stronę Hopkins, choć Tom zwierza się jej ze swoich planów dotyczących firmy ojca. Chce rozwinąć sprzedaż uniformów i pościeli, nie poprzestawać na ich praniu. Mama potakuje, raczej ze zniecierpliwieniem niż zainteresowaniem.

Tom i ja zabieramy nasze nakrycia do kuchni. W kuchni Tom pyta półgłosem, czy długo jeszcze będziemy tu siedzieć.

- Dawno nie widziałam mojej siostry - mówię. - Śpieszysz się gdzieś?

- Rozumiem. Przepraszam. Nie śpieszę się. Widać jednak, że kiepsko się bawi. Robi mi się go żal, więc kiedy zajmujemy z powrotem miejsca w salonie, przerywam Hopkins i pytam tatę, czy jest gotowy, żeby przejść do sedna sprawy.

- Dobrze, w sam raz pora na naszą rozmowę. - Wzrok ma o wiele bystrzejszy niż jeszcze niedawno, kiedy był chory. Przeskakuje oczami od twarzy do twarzy, przypatrując się nam spod krzaczastych brwi. - Na pewno wszyscy się zastanawiacie, czemu was tu dzisiaj zaprosiłem - zagaja pogodnym tonem.

- Błagam, powiedz, że nie będziemy rozwiązywać jakiejś zagadki kryminalnej - mówię.

- Rozwiązywać, nie. Ale może popełnimy morderstwo. - Chichocze, rozbawiony własnymi myślami. - Już wyjaśniam. Zebraliśmy się, żeby porozmawiać o mojej śmierci, a raczej o rozporządzeniu dotyczącym podtrzymywania życia. Ostatnie zdarzenia przekonały mnie, że należy uporządkować te sprawy.

- Larry, nie musi się pan chyba tym przejmować - wtrąca Tom. - Wrócił pan do zdrowia, świetnie pan wygląda.

Aż się kurczę w środku. Ojciec nie cierpi takich gładkich słówek. I rzeczywiście.

- Dziękuję - odpowiada lodowatym tonem. - Cieszę się, że tak myślisz. Nadal jednak uważam, że kiedyś, w niezbyt odległej przyszłości umrę. Zgadzasz się, Tom, z takim założeniem?

Mój chłopak wierci się zakłopotany; zerka na mnie, rozpaczliwie szukając pomocy.

- Na pewno ma pan jeszcze dużo czasu - mówi.

- Twoja pewność w tej kwestii jest nie do przecenienia. - Tato gardzi każdym, kto wzbrania się przed rozmową o nieuniknionej śmierci. Tom oczywiście na jakimś tam poziomie percepcji wie, że wszyscy umierają, ale nie lubi o tym mówić. Za to moja rodzina wprost uwielbia. Moi rodzice uważają, że umiejętność spokojnej, racjonalnej rozmowy na temat śmiertelności własnej i najbliższych znamionuje osoby o wybitnym intelekcie.

Uśmiecham się, chcąc pocieszyć Toma. Ledwo dostrzegalnie wzrusza ramionami, jakby mówił: „Parę punktów się należy za to, że próbowałem, prawda?”.

- Larry, aie ty już przecież masz taki dokument - mówi matka, marszcząc czoło. - Razem go sporządziliśmy.

- Wiem. Jesteś moim pełnomocnikiem w sprawie opieki zdrowotnej.

- A ty moim.

Tato rozsiada się wygodniej w fotelu i patrzy na mamę.

- Zważywszy na sytuację, chyba pora to zaktualizować.

- Boisz się, że będzie zbyt chętna, żeby ci wyciągnąć wtyczkę, tato? - pyta Hopkins i parska śmiechem.

- Już miałam okazję - mówi spokojnie mama. -1 poprosiłam lekarzy, żeby jednak utrzymali go przy życiu.

- Zbyt szybkim wyciągnięciem wtyczki w ogóle się nie przejmuję - mówi tato, kręcąc głową. - Skupiam się raczej na czymś wręcz przeciwnym. - Zwraca się znowu do mamy. - Eloise, moja i twoja droga życiowa niebawem się rozejdą, co nasunęło mi myśl, że powinniśmy wybrać sobie innych pełnomocników. Nie chcę, żebyś musiała kiedyś lecieć tutaj w te pędy skądś, gdzie cię

akurat zaniósł - i od kogoś, z kim akurat jesteś - ponieważ trzeba będzie podjąć decyzję w sprawie mojego zdrowia albo życia.

Mama otwiera usta, jakby miała ochotę zaprzeczyć, ale po chwili je zamyka. Wyciąga rękę i delikatnie dotyka dłoni taty.

- Dziękuję - mówi. - To dla mnie ulga, że nie będę musiała podejmować takiej decyzji.

- Oszczędzę ci tego wysiłku, żebyś miała siłę zatańczyć na moim grobie. - Pozwoliwszy sobie na ten osobliwy żart, ojciec toczy wzrokiem po reszcie towarzystwa. - To oznacza, że ktoś musi cię zastąpić. Milton przez swą nieobecność zrzekł się tego zaszczytu, czego pewnie srodze pożałuje. Jacob, zwracam się teraz do ciebie, ponieważ... - Głos mu się łamie. Czyżby ojciec się wzruszył? Odchrząkuje i kontynuuje spokojnym tonem, więc nie jestem tego pewna. -.. .Ponieważ przez ostatnich parę tygodni udowodniłeś coś, co podejrzewałem od dłuższego czasu: jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko asystentem, a nawet więcej niż przyjacielem. Mogę ci powierzyć, i to dosłownie, własne życie.

Wciśnięta pomiędzy Hopkins i mamę czuję się na tyle bezpiecznie, by zaryzykować zerknięcie na Jacoba. Ciekawa jestem, jak zareaguje.

Rumieni się. Ale mówi tylko z prostotą:

- Jestem zaszczycony.

Następuje pełne satysfakcji skiniecie głową Lawrence'a Sedlaka.

- Zostają mi zatem trzy osoby, którym mogę powierzyć to odpowiedzialne zadanie. - Trzy? Czyli Tom w ogóle

nie jest brany pod uwagę, co zresztą pewnie nikogo nie dziwi, ale ja to odbieram jak policzek, bo mój chłopak siedzi tu między nami i jest bliżej związany z tatą niż Jacob; któregoś dnia będzie przecież jego zięciem.

Poklepuję go po ręce. Patrzy mi w oczy i dyskretnie unosi zegarek na przegubie. Nie jest urażony, tylko znudzony.

Spojrzenie taty przeskakuje między mną, Hopkins i Jacobem.

- To kto zgłasza się na ochotnika, żeby podejmować kluczowe i ostateczne decyzje dotyczące mojego zdrowia, a być może także długości mojego życia?

- Tato, czy twoje rozporządzenia dotyczące podtrzymywania przy życiu są wystarczająco jasno wyrażone? - pyta Hopkins. - Zdefiniowałeś precyzyjnie, co to jest dla ciebie „jakość życia”?

- Zrobiłem to najlepiej, jak umiałem. A nie jest to proste ani łatwe, zresztą sama wiesz o tym najlepiej. Tobie mogę powiedzieć: Nie chcę być utrzymywany przy życiu, jeśli stracę świadomość bez nadziei na jej odzyskanie. Tyle że definicja tej świadomości i tak należy do ciebie.

- Hopkins jest neurologiem - mówi Jacob. - Wydaje mi się, że jeśli ktoś z nas jest w stanie określić, czy mózg jest aktywny, czy nie, to tylko...

- Hopkins to oczywisty wybór - zgadza się tato. - Ale moja córka jest niezwykle zapracowaną wysokiej klasy specjalistką i mieszka w innym mieście. Natomiast... -Urywa i wszyscy patrzą na mnie.

- Natomiast ja jestem nieudacznikiem, który jest na miejscu - podpowiadam wesoło. - Nie mogę powiedzieć, tato, że chcę to na siebie wziąć, ale ktoś musi. Więc mogę.

Przypatruje mi się z namysłem.

- Mam do ciebie, Keats, tylko jedno pytanie. Naprawdę będziesz potrafiła zdecydować o zakończeniu mojego życia? Potrafisz być na tyle bezwzględna? Bo wolałbym umrzeć szybko, niż bez końca pozostawać w stanie wegetatywnym.

- Zapisz mi wszystkie swoje pieniądze, a ja obiecuję, że zabiję cię, kiedy tylko chcesz. Choćby i dzisiaj. - Próbuje wypowiedzieć te słowa lekkim tonem, ale czuję się urażona. Już drugi raz w ciągu godziny jasno dał do zrozumienia, że ufa Hopkins o wiele bardziej niż mnie.

- Mówię poważnie, Keats. Masz ogromnie dużo zalet, ale nie jestem pewien, czy jest wśród nich bezwzględność.

- Ja jestem bezwzględna! - rzuca radośnie Hopkins.

- Bezwzględna i owszem, ale rzadko jesteś w pobliżu, co z kolei prowadzi do ciebie - wskazuje brodą Jacoba. - Jak ci się zdaje, będziesz umiał w moim imieniu powiedzieć „dość”?

Wtrącam się, zanim Jacob zdąży odpowiedzieć.

- Tato, to się może wydarzyć za dziesięć albo dwadzieścia lat. Nie wiemy, gdzie może być wtedy Jacob.

- Mówił, że zamierza zostać w okolicy.

- Ale w dzisiejszych czasach nie ma tu wielu ofert pracy, bo każdy naukowiec na świecie chce mieszkać w okolicach Bostonu. Patrzmy realistycznie, Jacob może będzie musiał gdzieś wyjechać. A wtedy to trochę nie fair oczekiwać od niego, żeby przyjeżdżał, ilekroć się źle poczujesz. Może po prostu nie móc tego zrobić. - Prawda jest nieco inna: przeraża mnie myśl, że Jacob byłby

trwale związany z moją rodziną. Tydzień temu jeszcze by mi to nie przeszkadzało, może nawet poczułabym ulgę, że sama nie muszę brać odpowiedzialności na swoje barki. Tylko że wtedy obecność Jacoba nie budziła jeszcze we mnie zakłopotania i wyrzutów sumienia.

- Czuję, że wolałabyś, żeby to zostało w rodzinie -mówi do mnie tato.

- Tak chyba będzie rozsądniej. - Rzucam szybkie spojrzenie „bez urazy” w stronę Jacoba, unikając jego wzroku.

Hopkins unosi ręce.

- Głupota. Ja to zrobię. Są przecież telefony i samoloty. Obojętnie gdzie będę, albo tu dojadę, albo powiem Keats, co ma robić.

Tato mówi:

- A jeśli będę żył, ale nie będę miał szans na odzyskanie przytomności?

Hopkins szczerzy zęby w uśmiechu i powoli przeciąga palcem po szyi, wydając chrapliwe: „chchchchchch”.

- Znakomicie - mówi ojciec, wyraźnie zadowolony. -Jacob? Jutro zadzwonisz do mojego adwokata i powiesz, że ma mi zmienić pełnomocnika.

Rozdział 15

- Twoja rodzina jest pokręcona - mówi Tom, kiedy stoimy w korytarzu. - O tym, że wasz ojciec umiera, mówicie w taki sposób, jakby to był żart. To nie jest normalne.

- Wiem. Ale nie dziwię się, że tato o tym myśli.

- Mój tato nigdy nie mógłby mówić o swojej śmierci tak spokojnie. Z drugiej strony jest dużo młodszy i zdrowszy niż twój, więc nie musi.

- Któregoś dnia będzie musiał.

- Na pewno nawet wtedy nie będę żartował na temat skrócenia mu życia. To nie jest zabawne. Zapomniałem już, jaka twoja siostra jest dziwna. Nie da się z nią rozmawiać.

- Z Hopkins się nie rozmawia - mówię. - Jej się słucha.

- Nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. I tak nie rozumiem połowy z tego, co mówi. Poza tym traktuje mnie jak kretyna. I nie podoba mi się, w jaki sposób traktuje ciebie.

- Jestem jej młodszą siostrą. Przecież wiesz, że nie zawsze jest się miłym dla swojej młodszej siostry. Ale się ją kocha.

- Moja młodsza siostra jest idiotką. Ty jesteś świetna. Hopkins cię w ogóle nie docenia. - Winda robi „ping” i drzwi się otwierają. - Spotkajmy się na dole za dziesięć minut, okej?

- Dzięki, że po mnie podjedziesz. - Musieliśmy zaparkować parę ulic dalej.

- Nie ma sprawy, cieszę się, że mogę ci dać jeszcze parę minut z rodziną. - Wchodzi do windy.

- Cieszysz się, że możesz już stąd uciec.

Drzwi się zamykają, zanim zdąży zaprzeczyć. Zresztą nie wiem, czyby to zrobił.

Kiedy się odwracam, z mieszkania ojca wychodzi Jacob. Dźwiga worki pełne śmieci.

- O. - Wygląda tak, jakby miał ochotę się cofnąć, ale mówi tylko: - Niosę śmieci do zsypu. -**1** idzie dalej.

- To chyba za tymi drzwiami.

- Tak, wiem.

Oczywiście że wie. Spędza tu więcej czasu niż ktokolwiek inny poza tatą. I jestem pewna, że wynosi śmieci o wiele częściej niż tato. Właściwie to wątpię, czy mój ojciec kiedykolwiek to robi, chyba raczej po prostu zostawia śmieci, licząc na to, że Jacob albo sprzątaczką się nimi zajmą.

Mogłabym go wyminąć i wejść z powrotem do mieszkania, ale ma zajęte obie ręce, a drzwi do zsypu są zamknięte.

Prawdę mówiąc, jestem też trochę ciekawa, co Jacob teraz do mnie czuje. Chodzi mi o to, że kiedy ostatnim razem byliśmy razem, to byliśmy... ze sobą. Nie widzieliśmy się od tego czasu, nie licząc tej żalosalnej rozmowy

zaraz po tym, co się stało. Dziś wieczorem na mnie ani razu nie spojrzął ani się nie odezwał do mnie. Chcę wiedzieć, czy to gniew, ostrożność, niezaspokojone pożądanie, czy wszystko naraz. Prawdopodobnie mam teraz jedyną szansę, by z nim porozmawiać.

Tak więc, zamiast wrócić do mieszkania, otwieram drzwi do zsypu. Automatycznie włącza się światło, rozjaśniając małe pomieszczenie. Wchodzę do środka za Jacobem i otwieram klapę zsypu. Drzwi zamykają się za nami.

Jacob wrzuca worki ze śmieciami, jeden po drugim. Przytrzymuję klapę; słyszymy, jak spadają na sam dół. Trochę to trwa.

- To mnie zawsze fascynuje - mówię.
- Coś w tym jest.
- W naszym budynku nie ma zsypu. Po prostu zostawiamy śmieci przy tylnym korytarzu i ktoś je stamtąd zabiera.
- Ho, ho, co za luksusy. Jedyną osobą, która u mnie wynosi śmieci na ulicę, jestem ja.

No to sobie pogadaliśmy. To mnie ośmiela. Zastanawiam się, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Muszę dać mu do zrozumienia, że jestem gotowa wrócić do naszego starego układu, do czasów, gdy byliśmy po prostu kumplami. Rzucam jakby od niechcienia:

- Aha, dostałaś e-mail od mojej przyjaciółki Cathy? Powiedziała mi, że chciałyby się z tobą umówić. - Niech wie, że nie przeszkadza mi to, że się z kimś spotyka, i że to, co zaszło między nami, nie ma znaczenia.

Pochmurnieje.

- Nie mam zamiaru dyskutować z tobą o moim życiu osobistym, Keats. Nie teraz. I w ogóle nie - mówi gniewnym, napastliwym tonem.

Cofam się o krok.

- Myślałam, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie przesadzaj. - Przepycha się obok mnie, otwiera drzwi i wychodzi. Potem drzwi się zamykają. Jestem sama w zsypie. W szoku.

Zawsze potrafiłam zmusić Jacoba do zrobienia tego, na co miałam ochotę - również do przebaczenia mi, kiedy posunęłam się za daleko - ale najwyraźniej straciłam tę umiejętność.

Idę za nim do mieszkania ojca. Nie przytrzymuje mi drzwi. Łapię je w ostatniej chwili. Telefon w mojej kieszeni zaczyna brzęczeć. Sprawdzam.

„Mam auto. Bądź za 2 min”.

Chowam komórkę do kieszeni.

Wszyscy nadal siedzą wokół kawowego stolika. Ktoś wyciągnął pudełko czekoladek, zapewne prezent z czasów pobytu taty w szpitalu. Hopkins mówi, a mama i tato pochylają się do przodu, jak gdyby nie chcieli uronić ani jednego jej słowa. Tak samo Jacob, zajmujący miejsce tuż obok Hopkins. Widzę jego twarz tylko z profilu; sprawia wrażenie skupionego i zainteresowanego - ani śladu wściekłego faceta, który minutę temu demonstracyjnie wymaszerował ze zsypu.

Podchodzę bliżej, chcąc się dowiedzieć, co ich wszystkich tak fascynuje.

- Więc facet codziennie siada przy tym samym stoliku

w świetlicy i pisze. Zapełnia stronę za stroną. Jeden zeszyt, potem drugi i następny. Prawie nie wstaje, chyba że na posiłki i kiedy uda się nam go namówić, żeby trochę poćwiczył. A kiedy kończy, zawsze zamyka zeszyty i pisze na nich „poufne”. Chcemy uszanować jego prywatność, ale umieramy z ciekawości, co tam jest. Może facet jest następnym Anthonym Trollope'em*? Oczywiście może to też być pornografia. Albo jakiś bełkot. I wtedy jego psychiatra decyduje, że powinniśmy tam zajrzeć, by się upewnić... - Hopkins przerywa, bo rozlega się sygnał dzwonka.

To telefon w mojej kieszeni. Wszyscy odwracają się, patrzą na mnie. Podnoszę palec, mrużę: „Przepraszam na chwilę”, i wychodzę, żeby odebrać.

- Dostałaś mojego SMS-a? Stoję przed domem. Jeśli zaraz nie zejdziesz, będę musiał odjechać i zrobić kółko - mówi Tom.

- Już schodzę. - Rozłączam się i oznajmiam wszystkim, że muszę już się pożegnać.

Hopkins wstaje.

- Wyjeżdżam z samego rana, więc tym razem pewnie się już nie zobaczymy - mówi. Kiedy na chwilę się obejmujemy, czuję, jak telefon wibruje w jej dłoni.

- Szkoda, że miałyśmy dla siebie tak mało czasu -wzdycham.

Przytakuje, patrząc na swoją komórkę.

- Czy Tom nie może czymś się zająć, żebyś mogła zostać z nami dłużej? - pyta mama. - Ja przyjechałam

* Pisarz angielski ery wiktoriańskiej.

autobusem, ale ty, Jacob, chyba masz tu swój samochód?
Mógłbyś potem odwieźć Keats do domu?

Zanim Jacob zdąży się odezwać, mówię szybko:

- Naprawdę powinnam iść. Po prostu... muszę jechać do domu. - Nie znajduję żadnej innej wymówki.

Mama sprawia wrażenie rozczarowanej.

- Tak rzadko mam okazję widzieć moje córki razem...

- No cóż, jesteśmy bardzo zajęte - mówi Hopkins, wpatrując się w blackberry.

- Kiedy masz zamiar wpaść do domu i przejrzeć swoje rzeczy? - pyta ją mama.

Hopkins nawet nie unosi wzroku.

- Nie wiem, spróbuję do was wpaść, ale może mi się nie udać.
Masz moją zgodę na wywalenie wszystkiego do śmieci.

- Ale to przecież byłoby marnotrawstwo!

- Naprawdę muszę iść - powtarzam. - Tom mnie zabije, jeśli zaraz nie zejdem na dół.

Szybko obejmuję tatę, mamę, a potem nie wiem, co mam począć, bo przedtem tak samo familiarnie objęłabym Jacoba; jeśli teraz tego nie zrobię, będzie to wyglądać dziwnie, ale po tej wymianie zdań w zsywie czuję, że nie powinnam się nawet do niego zbliżać. Wykonuję więc tylko coś w rodzaju machnięcia dłonią w jego kierunku. Nie odpowiada.

- Cześć wszystkim - mówię i chwytam torebkę, którą zostawiłam na okrągłym stoliku. Zmierzam w stronę drzwi, a Hopkins siada z powrotem na kanapie.

- Na czym to ja skończyłam?

- Psychiatra powiedział, że powinniście zajrzeć do jego zeszytów - mówi Jacob.

- O właśnie. Więc czujemy, że mamy pozwolenie, ale musimy uważać, by inni pacjenci tego nie zauważyli. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy sobie życzyli, jest wzbudzenie ich pode...

Kiedy zamykam za sobą drzwi, mama, tato i Jacob słuchają w skupieniu opowieści Hopkins. Czuję się odtrącona, mam wrażenie, że nie życzą sobie mojego towarzystwa, bo nie jestem członkiem ich małej, hermetycznej grupki, mimo że przecież sama postanowiłam wyjść wcześniej.

Najbardziej niepokoi mnie to, że Jacob mnie ignoruje, przenosząc całą uwagę na Hopkins. Czy w ten sposób chce mi dać jakąś nauczkę? Udowodnić, że znakomicie się dogaduje z wszystkimi członkami mojej rodziny, a ja fatalnie zawałam sprawę? A może po prostu tak bardzo fascynuje go moja starsza siostra? W takim razie Jacob niczym się nie różni od całej reszty na tym dziwnym świecie.

Dopiero w samochodzie zdaję sobie sprawę, że się nie dowiedziałam, czy ten dziwny pacjent ze szpitala okazał się wybitnym pisarzem, czy nie.

W domu zmieniam sukienkę, którą nosiłam cały dzień, na spodnie od dresu i koszulkę. Związuję włosy w kucyk i sadowię się na łóżku obok Toma. Ogląda jakiś program sportowy na kanale ESPN, ale mówi:

- Jak chcesz, mogę zmienić kanał i obejrzymy coś razem.
- Nie, dzięki. Muszę coś zrobić na komputerze. - Podnoszę się, sięgam po laptopa i wracam z nim do łóżka.

Kiedy go otwieram i przeglądam pocztę, w telewizji zaczynają się reklamy.

Tom zsuwa się z łóżka.

- Wezmę sobie piwo. Chcesz coś?

Kręcę głową. Tom wychodzi, a kiedy wraca, wskazuję ekran komputera.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Co? - Siada z powrotem na łóżku i przechyla się, żeby zobaczyć, nad czym pracuję.

- Rochelle prosiła mnie, żebym przejrzała to, co napisała. .. artykuł do czasopisma dla nauczycieli. Powiedziała, że chodzi jej tylko o małą korektę, a to jest przecież kompletny chaos. To znaczy, są dobre pomysły, ale w tym wszystkim nie ma ładu ani składu. O tu, na tej stronie mówi o tym, że nauczyciele mają znaczącą rolę w utrwalaniu się ról płciowych, a dwie strony dalej powtarza to samo. Wygląda na to, że w ogóle tego nie przeczytała po napisaniu.

- Hm. - Tom opiera się o poduszkę i bierze pilota. -Zgadnij, dlaczego poprosiła ciebie, żebyś na to spojrziała.

- Najlepiej byłoby napisać to od nowa, ale Rochelle chciała, żebym tylko sprawdziła. - Obgryzam paznokcie zakłopotana. - Chcę jej pomóc, ale doprowadzenie tego do porządku potrwa całe wieki.

- Rób, jak uważasz za słuszne. - Nastawia telewizor głośniej. Szybko przebiegam wzrokiem artykuł.

- Posłuchaj tylko tego. - Czytam fragment na głos. Kiedy podnoszę głowę, Tom obraca w rękach pilota.

-Słuchałeś?

- Taa. Dla mnie brzmi okej. Co tam jest źle?
- Żartujesz sobie? Tylko w tym jednym akapicie zmieściła trzy różne tematy i sześć metafor. I pisze, że nauczycielka musi „dosłownie urobić sobie ręce po łokcie”, jeżeli chce osiągnąć pożądane efekty.
- Po prostu ma na myśli to, że nauczycielka musi pracować naprawdę ciężko.
- Wiem, co ma na myśli - pryham. - Ale nie można tego powiedzieć w ten sposób.
- Dlaczego?
- Nie można użyć tego sformułowania w takim tekście, Tom. Następuje pauza. Wracam do artykułu i czytam z rosnącym przerażeniem. Tom nagle się odzywa:
- Zawsze kiedy spędzisz trochę czasu ze swoją rodziną, zaczynasz traktować mnie jak kretyna.
- Unoszę głowę.
- O czym ty mówisz?
- Dobrze wiesz o czym. Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem geniuszem, ale zwykle ci to nie przeszkadza. A kiedy spotkasz się z rodzicami albo siostrą, zachowujesz się potem tak, jakbym był kompletnym idiotą.
- Nieprawda. - Zamykam laptopa i kładę na stoliku obok łóżka. - Rzucasz pod moim adresem takie oskarżenia tylko dlatego, że powiedziałam coś o niewłaściwym doborze słów? Rochelle jest świetna, ale popełniła błąd. Nie ma o czym mówić.
- Po prostu nie lubię tego tonu w twoim głosie. Tonu, jakbyś miała powyżej uszu objaśniania wszystkiego swojemu durnemu chłopakowi.

- Wcale tak nie myślę. - Zwijam się w kłębek i opieram głowę na piersi Toma, ale on mnie nie obejmuje. - Tom, jeśli robię się niecierpliwa po spotkaniu z moją rodziną, to nie dlatego, że uważam cię za głupka, tylko dlatego, że rodzina wprawia mnie w zły nastrój. Jeżeli wyładowuję go na tobie, to przepraszam. Wiedz, że wolę spędzać czas z tobą niż z nimi.

Tom odpręży się, kładzie mi rękę na ramieniu i opiera głowę o moją.

- Tak, wiem, że jest ci z nimi ciężko.

- Gdybym cię nie spotkała, pewnie byłabym teraz tak samo szurnięta jak oni. Uratowałeś mnie, Tom.

- Nie zapominaj o tym. - Jego dłoń wędruje w dół po moich plecach i zatrzymuje się na pupie. - Lubię te spodnie. Są miłe i mięciutkie.

- Jesteś pewien, że chodzi ci o spodnie? - Trudno mi utrzymać beztroski ton. Nie kochaliśmy się od czasu, gdy przespałam się z Jacobem, z wyjątkiem tej laski, którą mu zrobiłam, ale to się nie liczy. Wiem, że nie ma szans, by się dowiedział, ale jest trochę jak w noweli „Serce oskarżycielem” Edgara Allana Poe: coś ukrytego może mnie zdradzić. A tym „czymś” jest moje *poczucie winy*.

- Niech sprawdzę - szepce i jego dłoń wraca do paska spodni, po czym wślizguje się do środka, pod majtki. -Tutaj też jest miętko.

Wkrótce potem zdejmuję ze mnie spodnie. Jestem uległa, a nawet chętna. Nasz seks jest bardzo przyjemny. Chciałabym, żeby nie istniało nic, z czym mogłabym go porównać. Ale istnieje i na myśl o tym robi mi się niedobrze.

Wielkie emocje mijają z czasem, powtarzam sobie, kiedy Tom się we mnie wsuwa. Po paru latach seks staje się rutyną. Rozpaczliwa pogoń za czymś nowym, za intensywnymi przeżyciami najczęściej kończy się samotnością. W każdym związku wielka namiętność ustępuje miejsca przywiązaniu i tak powinno być. I tak zaszłam dalej niż większość dziewczyn w moim wieku. One nadal wariują w poszukiwaniu księcia z bajki. Ja już swojego mam na zawsze.

Moje ciało przesuwa się w górę i w dół po narzucie, kiedy Tom wchodzi i wychodzi ze mnie. Raz, dwa, raz, dwa. Chwytam ramę łóżka i udaję orgazm.

Ostatecznie dokonuję umiarkowanej redakcji tekstu Rochelle, wycinając i wklejając poszczególne akapity tak, żeby wprowadzić w całość nieco porządku, nie pisząc zbyt wiele od nowa. Ona mi wylewnie dziękuje. Jestem trochę wkurzona, nie z powodu dodatkowej pracy, ale dlatego, że mam już dość organizowania wszystkiego najpierw mojej genialnej rodzinie, a teraz mojej genialnej szefowej. Może ja też chciałabym być genialna i niechlujna, żeby ktoś inny porządkował mój bałagan, ale niebiosa poskąpiły mi błyskotliwości, a z bycia jedynie niechlujnym nie ma żadnego pożytku.

Mama przysłała mi e-mail. Nie do końca rozumie, że e-maile można pisać sobie tak po prostu. Wiadomość od mamy równie dobrze mogłaby być napisana na perfumowanym papierze za pomocą stalówki zanurzonej w kałamarzu.

Kochana Keats!

Wieczoru Taty był cudowny. Przykro mi, że nie mogłaś zostać dłużej. Hopkins szczęśliwie doleciała do Nowego Jorku i wygląda na to, że nasze życie wraca do normalności, chociaż w niedzielę rano szykuje się tu najazd pośredników handlu nieruchomościami, a ja mam do tego czasu wysprzątać wszystkie pokoje, żeby prezentowały się jak najlepiej.

Może więc „normalność” nie jest najlepszym słowem. Czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę i przeczytać, e-mail, który załączam poniżej? Dostałam go od Michaela Goodmana. Nie mam pewności, co chce mi naprawdę przekazać. Przeczytaj to, proszę, i zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała chwilkę, żeby pogadać.

Łączę serdeczne uściski

Mama

Robi się ciekawie. Przewijam tekst w dół i czytam e-mail, którego do mnie przesłała (nie wie, jaka jest różnica pomiędzy „przesłać dalej” a „załączyć”). Jest napisany nieformalnym stylem.

Eloise... mam okropny nawal pracy i jestem zagrzebany po uszy. Zadzwoń, jak tylko zobaczę światelko w tunelu. Trzymaj się. M.

Czytam kilka razy, po czym sięgam po telefon. Kiedy mama podnosi słuchawkę, mówię: - Nie brzmi to dobrze.

-Co?

- Ten e-mail od Michaela. Myślę, że chyba on ci daje kosza, mammo.

- Przyszło mi to do głowy. Dlatego poprosiłam cię, żebyś to przeczytała.

- Przykro mi. Możliwe, że się mylę. - Ponownie czytam. - Ale chyba nie. Kiedy ludzie zadają sobie trud, by powiedzieć, że nie mają czasu, to nie jest dobry znak.

- Cholera - mówi. Głos miała smutny. Zrezygnowany. Bardzo chciałabym jej dać jakąś nadzieję.

- Jest też możliwe, że on naprawdę po prostu daje ci znać, że przez jakiś czas nie będzie miał wolnej chwili, ale za parę tygodni odetchnie i...

- Nie. Myślę, że twój pierwszy strzał był celny. Miałam dziwne uczucie, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. Trudniej było rozmawiać. Był jakby trochę nieobecny myślami -wzdycha. - Wiesz, kiedy pierwszy raz wysłałam do niego e-mail przez ten serwis randkowy, przyznał się, że szuka kogoś zdecydowanie młodszego. Potem przypadliśmy sobie do gustu i powiedział, że spróbuje. Ale mnie ostrzegął.

- Przecież masz innych facetów. Paula i Irva.

- Niestety, on podobał mi się najbardziej. - Śmieje się z przymusem. - Jest tak jak w czasach szkolnych: zawsze jesteś zakochana w chłopaku, który cię nie chce, a chłopak, który cię chce, ci się nie podoba.

- Nie zawsze tak jest. Facet, którego lubię, zawsze odwzajemniał moje uczucie.

- Ten związek odizolował cię od wszystkiego, w tym od możliwości zostania odrzuconą.

- Nie mam z tego powodu żadnego poczucia utraty.

- Potraktuję to jako kolejne doświadczenie na drodze rozwoju osobistego - mówi mama. - Te bolesne sprawiają, że stajemy się mądrzejsi.

Kilka dni później Cathy Miller wpada po mnie do biura, bo umówiliśmy się na lunch.

- Muszę wejść do Costco albo przedtem, albo potem

- oznajmiam, kiedy próbujemy ustalić, dokąd pójdziemy.

- Mam kupić zapas kawy i przekąsek dla biura.

- Zajmujesz się zakupami?

- Cieszę się, że mam pracę - mówię ostrzej, niż zamierzałam. - Wybacz, ale mam powyżej uszu ciągłego tłumaczenia się z tego, co robię.

Cathy podnosi ręce do góry.

- Ja cię wcale nie krytykuję. Masz świetną pracę. Zazdroszczę ci. Boję się, że po tych wszystkich latach nauki i długów nigdzie mnie nie zatrudnią.

- Na pewno znajdziesz coś odpowiedniego.

- Myślałaś kiedyś o powrocie na studia? - Może sobie mówić, ile chce, że moja praca jest „świetna”, ale zadając to pytanie, sugeruje, że marnuję tutaj swój czas. Tak samo postępuje moja rodzina.

- Czasami o tym myślę. - Prawda jest taka, że ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Waltham Community College mnie nudzi, poza tym nie ma tu żadnej ścieżki awansu. Powrót na studia wydaje się teraz bardziej kuszący niż zaraz po ukończeniu college'u, ale nie wiem, co miałabym studiować, a już na pewno nie chcę, by moja rodzina się dowiedziała, że istnieje choć cień takiej możliwości. Rzuciliby się na to jak sępy. Nie chcę

też rozmawiać o tym z Cathy. - Ale nie na poważnie. Jest mi tu całkiem dobrze. To co, pójdziemy zjeść gdzieś w pobliżu, czy pojedziemy osobno dalej, żebym mogła potem wejść do Costco?

- Mogę pojechać z tobą do Costco? Nigdy tam nie byłam, chociaż zawsze chciałam, a mam wolne popołudnie. Będziemy miały więcej czasu na pogaduchy.

Jedziemy więc moim samochodem do delikatesów niedaleko Costco („Lepiej nie jechać moim autem - jest takie stare, że ma dziury w podłodze”, uprzedza ze śmiechem Cathy), gdzie zamawiamy zapiekane kanapki z tuńczykiem.

- Miło tu - mówi Cathy, rozglądając się dookoła, gdy kelner już przyjął nasze zamówienie. W pewnej chwili przechyliła się przez stół. - Koniecznie muszę ci coś powiedzieć. Będiesz zachwycona. Wczoraj wieczorem byłam na randce z twoim przyjacielem Jacobem!

To dziwne, ale jej słowa robią na mnie piorunujące wrażenie. Jestem w szoku. Zmuszam się do uśmiechu i udaję entuzjazm.

- Świetnie! Jak poszło?

- On naprawdę mi się podoba. Nie mam pojęcia, dlaczego nie zorientowałam się wtedy na kolacji, jaki jest przystojny i inteligentny. Chyba masz rację, że wszyscy poświęcają zbyt wiele uwagi twojemu tacie. Albo może ja jestem mało spostrzegawcza.

- Czyli randka się udała?

- Myślę, że tak. Tylko że... - Waha się, przenosząc wzrok ze mnie na blat stołu. - Wiem, że on jest twoim przyjacielem, i nie chcę zmuszać cię do wyjawiania żadnych tajemnic...

Nieszczery uśmiech zamiera mi na twarzy, skronie pieką od potu. Czy to możliwe, że powiedział jej o tym, co się między nami wydarzyło? Chyba tego nie zrobił. Obiecał przecież.

- O co ci chodzi?

- Po prostu jestem trochę ciekawa, jaki on jest naprawdę. Powiedział, że miał trudne dzieciństwo. I wygląda, jakby... - Milknie i skubie róg papierowej serwetki. - Wiem, że to brzmi okropnie, wybacz mi, ale nie mam pojęcia, jak to inaczej ująć. Wygląda, jakby miał jakiś psychiczny uraz. Broń Boże, nie podejrzewam go

O żadne wariactwo. Po prostu zachowuje się tak, jakby ktoś dotkliwie zranił jego uczucia i teraz trudno mu się otworzyć na innych. Rozumiesz?

Kiedy staram się wymyślić odpowiedź, kelner stawia przed nami napoje. Piję z ulgą. Twarz mam gorącą i mrożona herbata sprawia, że przenika mnie nagły dreszcz.

- Wcześniej został sierotą. Niełatwo się z tego otrząsnąć.

- O mój Boże! - wzdycha Cathy. - Biedny chłopak. Trudno się dziwić, że jest taki smutny. Może zawał twojego taty obudził smutne wspomnienia.

- Możliwe.

- A co wiesz o życiu uczuciowym Jacoba? Może ostatnio z kimś zerwał albo ktoś go rzucił? - Coś w wyrazie mojej twarzy każe jej dodać: - Przysięgam, nie chcę być wścibska. Nie musisz mówić mi o niczym, co uważasz za tajemnicę. On mi się po prostu naprawdę podoba i chcę go rozgryźć.

- Jacob prawie nic nie mówi o sobie. Nic nie wiem

o jego prywatnym życiu. A mój tato nie należy do tych, którzy by wypytywali. - A jak on się miewa?

Mówię jej, że tato ma się świetnie, i w oczekiwaniu na jedzenie opowiadam anegdoty ze szpitala. Chciałabym przesunąć temat rozmowy jak najdalej od Jacoba Corwina, a jednocześnie zasypać Cathy milionem pytań o randkę.

Pocałował ją? Chyba nie posunęli się za daleko? Pocięszam się, że żadne z nich nie jest skłonne do śpieszenia się z seksem.

Chociaż Jacob zdecydowanie przyśpieszył sprawy w salonie mojego ojca. Ale to było co innego.

Zastanawiam się, czy już umówili się na następne spotkanie.

A tak naprawdę czy to powinno mnie obchodzić?

Owszem. Powinnam trzymać kciuki, żeby ten związek się rozwinął, bo jeśli Jacob i Cathy zakochają się w sobie, nie będę musiała więcej martwić się jego zranionymi uczuciami ani tym, jak długo jeszcze sytuacja między nami będzie niezręczna. Jacob będzie miał dziewczynę, ja będę miała chłopaka i stworzymy w ten sposób jakiś rodzaj emocjonalnego diagramu Venna, gdzie w miejscu nakładania się figur będziemy przyjaciółmi.

Czuję jednak małe ukłucie bólu, kiedy wyobrażam sobie, jak Jacob i Cathy rozmawiają, siedzą obok siebie albo trzymają się za ręce i tak dalej. Już samo słuchanie Cathy, mówiącej o nim tak, jakby miała do niego prawo, jest dla mnie bolesne. Jacob nie jest już dla Cathy jedynie moim przyjacielem, tylko kimś dla niej ważnym.

Kelner kładzie przed nami talerze i Cathy wgryza się w swoją kanapkę, pozwalam więc myślom błądzić przez chwilę swobodnie i wyobrażam sobie Jacoba patrzącego na Cathy tak, jak kiedyś patrzył na mnie.

To ukłucie jest jak do tej pory najboleśniejsze.

Po raz pierwszy przyznaję sama przed sobą, że od jakiegoś czasu wiem, że podobam się Jacobowi. I że lubiłam chwile, w których rzucał wszystko, by dać mi to, czego akurat potrzebowałam, albo przyjechać i pogadać ze mną, kiedy siedziałam sama. Domyślałam się, że lubi na mnie patrzeć. Mogłam się z nim droczyć, a nawet go wykorzystywać, a on to znosił i wracał po więcej.

Wiedziałam, że mnie nie odepchnie, kiedy go pocałowałam.

Właśnie dlatego go pocałowałam.

- Nie masz zamiaru jeść? - pyta Cathy, a ja się orientuję, że pochłonęła już pół kanapki, podczas gdy ja wciąż tępo gapię się na moją.

- Och, przepraszam, myślałam o tym, co muszę kupić w Costco. Powinnam zrobić listę, zanim zapomnę. - Grzebię w torebce w poszukiwaniu kartki i długopisu, przez chwilę wpatruję się w przestrzeń, a potem od czasu do czasu coś piszę. Mam teraz parę minut na przemyślenia.

Sycenie się zachwytem Jacoba sprawiało mi więcej przyjemności, niż byłam skłonna się do tego przyznać, chociaż niczego to nie zmieniało. Mam wspaniałego chłopaka, a Jacob może się spotykać, z kim chce, nawet z Cathy, chociaż naprawdę jest dla niego zbyt wysoka, zbyt koścista i poważna...

Zmuszam się do opanowania. Cathy jest świetna. To ja jestem idiotką.

Jacob może umawiać się na randki, z kim chce. Bo ja jestem zadowolona z Toma.

Ale skoro jestem zadowolona z Toma, to dlaczego spałam z Jacobem?

A potem dociera do mnie, że to wszystko z powodu tego tatuażu Toma! Dlatego spałam z Jacobem.

Czuję ogromną ulgę. Nareszcie zrozumiałam, o co chodzi.

Tom dał mi jasno do zrozumienia, że nasz związek jest stały, a zaraz po tym po raz pierwszy spałam z innym facetem. Te dwie sprawy muszą się jakoś łączyć.

Wiem, że chcę być z Tomem na zawsze, ale kiedy pokazał mi ten tatuaż i świętowaliśmy dziesięciolecie naszego związku, w pewien sposób zaniepokoił mnie fakt, że nigdy nie byłam z żadnym innym facetem. Nigdy nie oszukałabym narzeczonego czy męża, więc musiałam złamać swoje zasady teraz, kiedy Tom i ja jesteśmy jeszcze tylko dziewczyną i chłopakiem.

Przespałam się z innym mężczyzną, więc mogę całym sercem poświęcić się Tomowi na resztę życia i go nie zdradzić, kiedy już będzie to miało znaczenie.

To odkrycie sprawia, że czuję się o wiele lepiej.

Wydaję głośne westchnienie, odkładam kartkę i długopis.

- Lista gotowa? - pyta Cathy.

- Tak - odpowiadam i sięgam po kanapkę. Wrócił mi apetyt.

Rozdział I 6

Rochelle jest lekko poirytowana, bo zapomniałam kupić słodzik. Skończył się, a ona nie może bez niego pić kawy.

- Czy mogę coś zasugerować, Keats? - mówi. - Przyklej kartkę do szafki w kuchni. Albo lepiej, przymocuj tablicę do ścierania na sucho. Wtedy w miarę ubywania zapasów wszyscy będą mogli wpisywać, co jest potrzebne. Nie sądzisz, że to lepsze niż kleczenie listy w ostatniej chwili?

Wiem, że chce dobrze. Ale nie jestem w nastroju do słuchania wykładu Rochelle na temat porządków i organizacji pracy. Kiedy zaczęłam u niej pracować, kuchnia była zapuszczona, stał tam tylko brudny stary ekspres do kawy oraz kilka otwartych pudełek czerstwych ciastek. Posprzątałam, zrobiłam zapasy, ponaklejałam etykiety, poukładałam wszystko na półkach, zamknęłam w słoikach i dopilnowałam, żeby zawsze był tam dzbanek ze świeżą, smaczną kawą dla wszystkich chętnych.

A niedawno okropnie się napracowałam przy poprawianiu artykułu.

Później się zastanawiam, dlaczego reaguję w ten sposób. Rochelle jest o wiele starsza ode mnie. Ma doktorat

z anglistyki. Jest opanowana, dobrze ubrana, ma męża i dzieci. I jest moją szefową. Ma pełne prawo do udzielania mi porad, a ostatnia wskazówka jest sensowna i łatwa do wykonania. Więc dlaczego denerwuje mnie ten jej pomysł, podsunięty w dobrej wierze? Nie wiem.

Może mam po prostu dość mojej pracy. Albo mojego życia.

Tego samego wieczoru jedziemy z Tomem spotkać się z Lou i Izzy. Chcemy pójść na drinka i do kina. W drodze pytam Toma, czy uważa, że powinnam zdawać jesienią egzaminy na studia.

- Po co miałabyś to robić?

- Nie wiem. Choćby po to, żeby zobaczyć, jak mi pójdzie.

- Ja już wiem, jak ci pójdzie. Świetnie. Na egzaminie do college'u wypadłaś rewelacyjnie, pamiętasz?

- Poszło mi nieźle. - Oczywiście nie tak znakomicie jak Hopkins i Miltonowi; obydwójce dostali najwyższe oceny. - Myślę sobie tylko, że jeśli osiągnęłabym naprawdę dobry wynik, to mogłabym zastanowić się nad powrotem na studia.

- Jakie?

- Jeszcze nie mam aż tak odległych planów. Może zrobiłabym gdzieś magisterium z literatury angielskiej. Albo pomyślałabym o prawie.

- To dwie zupełnie różne dziedziny. Czy na prawo nie trzeba zdawać innych testów?

- Pewnie trzeba. Na razie się nad tym poważnie nie zastanawiałam. Po prostu mam ochotę na zmianę. Zaczynam nienawidzić mojej pracy.

- Myślałem, że ją lubisz.
- Lubię.
- To się nie trzyma kupy.
- Praca jest świetna. - Dotykam palcem małej plamki na nogawce dżinsów. - Tylko nie wiem, czy chcę ją wykonywać do końca życia.

- Nie będziesz. - Klepie mnie po kolanie. - Prawdopodobnie w końcu będziesz zarządzała całym college'em. Albo jakaś inna instytucja podkupi cię, żebyś robiła dla nich coś o wiele ważniejszego. - Ściska moje udo. - A do tego, wiesz... Pewnego dnia może w ogóle nie będziesz chciała pracować. Może będziesz wolała zostać w domu z dziećmi.

- O, będę miała dzieci?
- Mam nadzieję. - Uśmiecha się. Kurczę, ależ on jest przystojny.

- Pewnego dnia - podkreślam. - Na razie nie.
- Jasne. Tak czy siak, nie mówię, że nie powinnaś przystępować do testów. Jeśli chcesz, powinnaś to zrobić. Nawet pomogę ci w nauce... możemy zrobić fiszki i będę cię przepytawał.

Kładę rękę na jego dłoni spoczywającej na mojej nodze.

- Dzięki. Jesteś kochany, Tom.

- Tylko „kochany”?

Przechylam się, żeby pocałować go w policzek.

- Bardzo kochany.

Kiedy się uśmiecha i przechyla głowę, wygląda jak student college'u, który mnie podwiózł do domu, kiedy miałam piętnaście lat.

Gdy podano nam drinki, Tom mówi Lou i Izzy, że zastanawiam się nad przystąpieniem do egzaminów na studia magisterskie.

- Boże, to brzmi jak najgorszy koszmar! - jęczy Lou. - Zdawanie egzaminów nie jest moją mocną stroną.

- Rozumiem cię, chłopie - mówi Tom i trącają się kuflami z piwem.

- Ja nie miałam żadnych kłopotów - mówi Izzy. - Nie poszło mi tak dobrze jak Keats, ale było okej. Chociaż właściwie nie miało to znaczenia, bo rodzice chcieli, żebym poszła do dwuletniego college'u blisko naszego domu, bo wtedy mogłam pomagać przy Stannym.

- Twój telefon dzwoni - mówi do mnie Tom. Bar jest zatłoczony, a my czworo jesteśmy ściśnięci w boksie, który mógłby być intymnym zakątkiem dla dwojga. - Aż czuję, jak wibruje.

Wstaję, żeby wygrzebać telefon z kieszeni dzinsów.

- To mama.

- Nie odbieraj - radzi Tom.

- Zobaczę tylko, czego chce. - W barze jest głośno i duszno, więc nie mam nic przeciwko wymówce, aby na chwilę wyjść na chłodną, cichą ulicę.

- Przeszkadzam ci w czymś? - pyta mama.

- Jesteśmy właśnie w barze z Lou i Iz. Nic ważnego.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Co się stało?

- Chodzi o to, że... Chciałam, żeby pokój Milтона wyglądał w miarę schludnie, skoro wszyscy ci agenci od nieruchomości mają przyjść oglądać dom. Więc poprosiłam go, żeby zrobił porządek, a on dostał szału.

- Jak to szalu?
 - No, rzucił czymś we mnie.
 - Poważnie? Nic ci się nie stało?
 - Nie. To była tylko poduszka.
 - Poduszka? - Śmieję się. - To się nie liczy jako atak, mamó.
 - Był naprawdę zły. Cisnął też książką przez pokój i uszkodził ścianę. I to wszystko teraz, kiedy mam zacząć pokazywać dom i chcę, żeby wyglądał jak najlepiej.
 - To co mam zrobić?
 - Przyjedź w ten weekend. Proszę. Powiedz swojemu bratu, że musi zaakceptować fakt, że dom zostanie sprzedany, czy mu się to podoba, czy nie. I wyciągnij go na chwilę z pokoju, żebym mogła tam posprzątać.
 - Przyjadę w sobotę. Tom ma grać z ojcem w golfa przez cały dzień. Jego mama chciała, żebym zjadła z nią lunch w klubie, ale chętnie się od tego wymigam.
- Posiłek w klubie z mamą Toma to koszmarne doświadczenie. Mówi zbyt głośno jak na tak spokojny lokal i ludzie zawsze odwracają się w jej stronę. Nie wiem, dlaczego Wellsowie byli tak zdesperowani, żeby wstąpić akurat do tego klubu dla bogaczy z dziada pradziada. Oni naprawdę tam nie pasują.
- Więc chyba tak im na tym zależało z tego właśnie powodu.
- Powiedz mamie Toma, że potrzebuję cię w domu. Bo naprawdę tak jest. Jeszcze nie zabrałam się do pakowania. Przyda mi się jakakolwiek pomoc z twojej strony.
 - Chcesz powiedzieć, że mam się też zająć pakowaniem? Aż przebieram nogami z ochoty.

Kiedy wracam do baru, Lou opowiada Tomowi o jakimś telewizyjnym show, od którego „są kompletnie uzależnieni”. Wciskam się na miejsce obok Toma, który szeptem rzuca szybkie: „Wszystko w porządku?”. Kiwam głową.

Lou opowiada, jak główny bohater show ćwiczy na siłowni, opala się i prowadzi burzliwy związek z jakąś plastikową panienką. Wtedy zdaję sobie sprawę, że mówi o tym samym programie, który oglądałam z Jacobem tamtej nocy w mieszkaniu mojego ojca. Pamiętam tylko fragmenty tego reality show, ale teraz te obrazy wirują wokół mnie: groteskowe, potężne bicepsy bohatera, skąpe ubrania, namiętne pocałunki, którymi obdarzała go dziewczyna, Jacob mówiący, że wyglądają jak rodzeństwo. A może ja to powiedziałam?

Jacob i ja byliśmy jak rodzeństwo. Teraz nie jesteśmy nawet przyjaciółmi.

Wiercę się, skulona na ciasnej ławce, i masuję skronie.

- Dobrze się czujesz? - pyta Tom, prawie krzycząc mi do ucha w barowym hałasie.

- Okropnie tu gorąco.

- Chcesz, żebym przyniósł ci wody z lodem?

- Byłoby cudownie. - Wyślizguję się z boksu, by mógł wstać.

- Ktoś jeszcze coś chce? - pyta.

- Jeszcze dwie corony - mówi Lou. - O, a może ty też coś chciałaś? - zwraca się do Izzy i śmieje się. Za każdym razem powtarza ten sam żart.

Kiedy Tom odchodzi, a ja wracam na miejsce, Izzy przechyla się przez stół.

- Jesteś dzisiaj taka cicha, Keats. W domu wszystko

okej? Co mama chciała od ciebie? - Jej duże niebieskie oczy z rzęsami pokrytymi grubą warstwą tuszu patrzą na mnie z zatroskaniem.

- Nic się nie dzieje. Mama próbuje sprzedać dom, ale mój brat, który wciąż z nią mieszka, jest temu przeciwny.

- Ile on ma lat? - pyta Lou.

- Dwadzieścia.

Lou parska śmiechem.

- Facet w tym wieku w ogóle nie powinien mieszkać z rodzicami. No chyba że jest taki jak Stanny.

- Ty mieszkałeś z rodzicami do dwudziestego piątego roku życia - wytyka mu Izzy.

- To było co innego. Miałem osobne wejście i płaciłem czynsz.

- Może jej brat też płaci?

- Nie płaci - mówię. - Nie jest zbyt samodzielny. Coś z nim jest nie tak.

- Tak jak ze Stannym? - pyta Lou.

- Nie. Ale jest... jakiś inny. Nie lubi wychodzić z domu. Dosłownie... nie sądzę, żeby w tym roku chociaż raz wystawił nogę za drzwi. Nie pamiętam, jak było w zeszłym roku.

- Pewnie ma w domu za wygodnie - mówi Lou. -Ktoś powinien go stamtąd wykopać. Okazać mu trochę szorstkiej miłości.

Dociera do mnie, że znowu masuję sobie skronie.

- Pewnie masz rację - mówię ze znużeniem. Izzy klepie mnie po ręce.

- Wszystko będzie dobrze, Keats.

Jej zapewnienia nic nie znaczą, ale wynikają z dobrych intencji, więc dziękuję. Kiedy Tom wraca, mówię mu,

że boli mnie głowa i będę musiała zrezygnować z kina. Zachęcam go, żeby poszedł z Lou i Izzy, ale zapewnia, że woli wrócić ze mną do domu. Po powrocie włącza telewizor, co sprawia, że głowa boli mnie jeszcze bardziej.

- Dobra - mówię do Milтона w sobotę. Pracuje na komputerze, a ja obserwuję go, siedząc na jego łóżku. - Jak to było z tym rzucaniem poduszką w mamę?

Wpatruje się w ekran komputera i coś pisze. - He?

- Przerwij i popatrz na mnie.

- Czekaj, to ważne.

- Co, wygrywasz?

- Nie chodzi o wygrywanie - mówi - tylko o tworzenie. Nic nie rozumiesz.

Wstaję. Okręcam jego fotel tak, że musi spojrzeć mi w twarz.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile ona dla ciebie robi?

- Mama? No... chyba tak. Puść mnie.

- Powiedziała mi, że wczoraj wieczorem miałeś atak szału.

- To nie był żaden atak. Po prostu byłem wściekły. - Nie patrzy mi w oczy. Właściwie nigdy tego nie robi. - Cały czas mówi, że chce sprzedać dom, a to jest zły pomysł. Próbowałem jej wyjaśnić dlaczego, ale ona mnie nie słucha.

- Bo ma zamiar go sprzedać niezależnie od tego, co powiesz.

- Nie powinna. To nie są czasy na sprzedawanie domów. Przejrzałem dane dotyczące obrotów na rynku nieruchomości...

- To nie ma znaczenia, Milton. Mama nie chce już mieć kłopotów z tym domem. Tato, Hopkins i ja wyprowadziliśmy się...

- Tato za chwilę wprowadzi się z powrotem.

- Ale mama tego sobie nie życzy. Chce mieszkać w ładnym niedużym mieszkaniu.

- A co ze mną?

- No właśnie, co z tobą? - Trzymam mocno krzesło, pewna, że jeśli je puszcze, Milton natychmiast się odwróci.

- Nie chcę mieszkać w mieszkaniu. To jest mój dom.

- Wiem, ale nie ty o tym decydujesz, tylko mama. Nie ma zamiaru wyrzucić cię na ulicę. Po prostu przeprowadzicie się w nowe miejsce. - Puszczam krzesło. - A teraz wstawaj. Chodź i dotrzyмай mi towarzystwa na dole. Chcę się napić herbaty.

- Próbujesz mnie tylko wyciągnąć z pokoju, żeby mama mogła posprzątać, zanim przyjdą agenci od nieruchomości.

Śmieję się i kręcę głową.

- Jak się domyśliłeś?

- To przecież oczywiste.

- No dobra, ale chodź. - Chwytam go za ramię i wyciągam z fotela. - Daj raz mamie trochę oddechu.

Mama musiała usłyszeć, że idziemy po schodach, bo nagle wyrasta jak spod ziemi z odkurzaczem, środkiem do czyszczenia mebli i paroma szmatkami.

- Nie ruszaj moich rzeczy - mówi Milton, mijając mamę.

- Nawet o tym nie marzę - odpowiada, nie zatrzymując się.

- Będzie ruszać moje rzeczy - niepokoi się brat, kiedy wchodzimy do kuchni.

- Będzie porządkować twój pokój, bo wygląda jak chlew. Nie chcesz chyba, żeby zobaczyli to obcy ludzie?

- Nie obchodzi mnie to. I tak sobie nie życzę, żeby wchodzili do mojego pokoju. - Siada na ławie. - Zrobisz mi coś do jedzenia? - Zawsze zdumiewa mnie jego pewność, że będzie obsłużony.

Rzecz jasna, będzie.

- Co byś chciał?

- Jajko sadzone na grzance.

Brzmi nieźle. Postanawiam zjeść to samo. Mamy jeszcze ponad godzinę do przyścia agentów - mnóstwo czasu, żeby uprzątnąć ewentualny bałagan. Znajduję chleb w zamrażarce, gdzie zazwyczaj trzyma go mama, odmrażam parę kromek w mikrofalówce, wyciągam masło oraz jajka i włączam palnik pod patelnię. Od dłuższego czasu nie gotowałam w tym domu, ale wszystko jest tam, gdzie leżało dwadzieścia pięć lat temu.

Milton obserwuje moje poczynania.

- Zrób chrupkie, ale nie przypalone - mówi. - Nie znoszę smaku spalenizny. I żeby żółtko było płynne. Nie surowe, tylko płynne. Można je bezpiecznie jeść, o ile jest odpowiednio gorące. Salmonella ginie przy pięćdziesięciu pięciu stopniach Celsjusza, nie Fahrenheita.

- Ile to jest w skali Fahrenheita?

- Sto pięćdziesiąt stopni.

- A temperatura wrzenia?

- Żartujesz? Dwieście dwanaście. Co ty, Keats?

- Wiedziałam to, tylko na chwilę zapomniałam.

Smażę grzanki, wykładam na talerze i stawiam na stole.

- Celsjusz jest o wiele bardziej logiczny niż Fahrenheit,
Szkoda, że Stany jeszcze się na niego nie przestawiły.

Dasz mi szklanę mleka?

- Weź sobie sam. Ja robiłam grzanki. - Milton nie wstaje,
tylko zaczyna jeść. Patrzę na niego. - Chyba jest ci tu za
dobrze. Nie dziwię się, że nie chcesz się wyprowadzić. Masz
pół domu tylko dla siebie. Mama jest na każde twoje zawołanie
i nie musisz pracować, studiować... w ogóle nie musisz nic
robić.

- Studiuję - mówi. - Zaliczam przedmioty.

- No jasne.

- Naprawdę. Poważnie, Keats, robię magisterium. - I potem
znajdziesz zatrudnienie?

- Pewnie tak - mówi bez większego przekonania. - Poza tym
też pracuję, ale wiesz... nad czymś, czego wy wszyscy w ogóle
nie docenicie.

Unoszę brwi na znak niedowierzania, lecz się nie odzywam.
Wbijam widelec w środek jajka na grzance i wypływa żółtko,
pomarańczowe i parujące, dokładnie takie, jak chciał Milton.
Ogarnia mnie zadowolenie, jakbym odniosła wielki sukces.

- Sama się zastanawiam nad powrotem na studia i zrobieniem
magisterium - mówię od niechcienia.

- Powinnaś to zrobić.

- Czemu tak mówisz?

Wzrusza ramionami, wkłada do ust dużą porcję grzanki
i jajka i je głośno. Kąciki ust ubrudził sobie żółtkiem, a
podbródek białkiem. Ma koszmarne maniery.

- Jesteś za bystra do tej durnej roboty - mówi z pełnymi ustami.

- Moja „robota” wcale nie jest durna. Jest nawet całkiem niezła, ale skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie pracowałeś.

- Mama uważa, że to głupia praca. Ciągłe tak mówi. - Wpycha do ust ostatni kawałek grzanki z żółtkiem, miażdży w zębach i donośnie beka. - Teraz naprawdę chce mi się pić.

- To weź sobie coś do picia. Jesteś dorosłym mężczyzną, na miłość boską.

Jest tak zdumiony, że na chwilę jego wzrok spotyka się z moim.

- Wiem - mówi. - Właśnie miałem to zrobić. - Wstaje. Wyjmując szklankę, kilka razy porusza tam i z powrotem drzwiczkami szafki z zepsutym zawiasem. - Może i tak nikt nie będzie chciał tego domu. On się już rozpada.

- Na pewno ktoś go zechce. To duża nieruchomość w świetnej okolicy i z dobrymi szkołami w pobliżu. Sam budynek nie jest taki ważny... nie zdziwiłabym się, gdyby nowi właściciele zrównali go z ziemią.

Milton odstawia nadal pustą szklankę na blat i odwraca się do mnie.

- Mama powinna zastrzec w umowie, że nie mogą tego zrobić.

- Czy to czyni jakąś różnicę, skoro dom już nie będzie jej?

- Dopóki nie zostanie zburzony, będzie nadal tym samym domem, w którym się wychowaliśmy. Myślałem nawet, że któregoś dnia mógłbym go odkupić za własne pieniądze.

- Daj spokój, Miltie. Bądź realistą. Czy to się kiedykolwiek stanie? Kupisz dom za własne pieniądze?

- Niewykluczone.

- Będzie sprzedany za ponad milion dolarów. Wzrusza ramionami. Z posępną miną gapi się na szklankę. Podnoszę się i dotykam jego ramienia.

- Wiem, że kochasz ten dom. Ja też. To nasz dom. Ale to się zmieni. I powinno się zmienić. To, że jesteś przyzwyczajony do jakiegoś stanu rzeczy, nie znaczy, że powinien on trwać wiecznie. Zmiana trochę przeraża, a to nie musi być zmiana na gorsze.

Mój brat kręci głową. Nie wiem nawet, czy w ogóle mnie słucha, ale ciągnę dalej:

- Nie możesz trzymać się czegoś kurczowo tylko dlatego, że nie znasz niczego innego, Milton. Dorosłość polega na dokonywaniu różnych wyborów, na akceptowaniu faktu, że coś, co kiedyś było dla ciebie dobre, może już takie nie być, że czasem musisz z czegoś zrezygnować, żeby potem było ci lepiej, że...

Urywam. Milton gapi się na mnie. -Co? - pytam.

- Czemu płaczesz?

- Nie płaczę.

- Płaczesz. Masz łzy w oczach. I głos ci drży.

- Po prostu wkurza mnie, że tego nie rozumiesz.

- Nie - mówi. - Nie jesteś wkurzona. Płaczesz. Dlaczego?

- Możesz sobie w końcu nalać tego mleka?

Nie chcę przyznawać, że ma rację; płaczę, choć nie znam powodu. To jakieś dziwne.

Milton posłusznie odchodzi i otwiera lodówkę. Korzystam z okazji, żeby mocno otrzeć twarz rękawem. Pomaga. Łzy się cofają.

- Mleko się skończyło - mówi Milton zdumiony. - Ale wiem, że rano jeszcze było. Mama przyniosła mi na górę.

- Pewnie zużyła resztę.

- Niech to szlag. - Zamyka lodówkę. - Naprawdę miałem ochotę na mleko.

- Tak? To chodźmy kupić.

- Ty możesz iść - mówi, cofając się szybko. - Ja mam parę rzeczy do zrobienia. Aha, nie zapomnij, lubię dwu-procentowe.

- Musisz iść ze mną.

- Nawet nie jestem porządnie ubrany, Keats.

- Nie jest tak źle. Niektórzy ludzie chodzą w dresach cały czas. Potrzebujesz tylko butów.

- Nie wiem, gdzie są.

Wierzę mu. Prawdopodobnie nie miał ich na nogach od miesiący, może od lat.

- Skoczę do twojego pokoju i spróbuję je znaleźć. Zaczekaj tutaj. - Obawiam się, że jeśli znajdzie się w zasięgu swojego komputera, nie będzie w stanie się już od niego oderwać.

- Będzie szybciej, jeśli sama pójdziesz po mleko. Zbliżam się do niego i przygważdżam go najtwardszym spojrzeniem, na jakie stać niską, kędzierzawą i rudowłosą dziewczynę.

- Pójdziesz ze mną do supermarketu, nawet jeśli będę musiała kopać cię w tyłek z każdym krokiem. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, rozumiem - odpowiada niezadowolony. - Tylko nie rozumiem, na czym polega twój problem.

- Polega na tym, że mój brat nigdy nie wychodzi z domu. Ale to się teraz *zmieni*. Nie ruszaj się stąd, bo przysięgam, wymuszę na mamie obietnicę, że nigdy więcej nie będzie dla ciebie latać na posyłki. - Zanim zdąży odpowiedzieć, wybiegam z kuchni i szybko wspinam się po schodach, krzycząc do mamy, że potrzebuję butów Milтона.

Znajduję mamę w drzwiach jego pokoju.

- O czym ty mówisz?

- Milton idzie ze mną do supermarketu. Mama otwiera usta.

- Naprawdę?

- Jeżeli znajdę jego buty.

- Nie wychodził z domu przez dwa lata.

- Wiem. Pomóż mi znaleźć jego pieprzone buty, zanim okazja przejdzie mi koło nosa!

Chyba nigdy przedtem nie przeklinałam w jej obecności. Mama robi wielkie oczy, a potem szybko kiwa głową i pomaga mi szukać butów.

Rozdział 17

Godzinę później Milton bezpiecznie wraca do swojego pokoju z dwiema dużymi szklankami mleka zatkniętymi za gumę w pasie, a mama i ja jesteśmy na strychu; chowamy się przed agentami od nieruchomości, którzy rozpełzli się po całym domu.

Opowiadam jej o naszej wyprawie do supermarketu.

- Próbował zostać w samochodzie, ale mu nie pozwoliłam. Musiałam otworzyć drzwi z jego strony i dosłownie wywlec go na zewnątrz. Chyba naciągnęłam sobie jakiś mięsień w plecach. - Sięgam do tyłu i masuję knykciami bolące miejsce.

- Ale potem wszedł z tobą do środka?

- Wprowadziłam go. Właściwie to go pchałam.

Siedzę skulona na kanapie, a mama krąży tam i z powrotem po pokoju, schylając głowę w miejscach, gdzie sufit jest zbyt niski.

- Nie mogę uwierzyć, że go wyciągnęłaś. Nie wiem, jak to zrobiłaś.

- Nie dając mu wyboru.

- Masz nad nim większą władzę niż ja. On cię słucha.

- O czym ty mówisz? Jesteś jego matką. Ja jestem jego siostrą.
 - Ciebie bardziej szanuje.
 - Tu nie chodzi o szacunek - mówię. - To było połączenie przymusu fizycznego, gróźb słownych i emocjonalnego szantażu. Po prostu zmusiłam go do wyjścia.
 - Jak sądzisz, co on teraz o tym myśli? Zastanawiam się.
 - Kiedy podeszliśmy do półki z mlekiem, powiedział, że tak naprawdę jest tylko jeden gatunek, który lubi, i ucieszył się, że go znalazł. Powiedział, że ciągle kupujesz nie takie, jak trzeba. I podobało mu się skanowanie w kasie samoobsługowej. Ale cały czas był na mnie wkurzony, że go zmusiłam do wyjścia.
 - Musisz tak nadal robić - mówi mama, a ja rzucam jej gniewne spojrzenie, bo powinna powiedzieć: „Będę tak robić”.
 - Zrobię co w mojej mocy, mamó, ale to nie ja z nim mieszkam.
 - Jestem teraz taka zajęta... Poza tym to nie takie łatwe. - Już wróciła do swoich wymówek.
- W zamyśleniu przesuwam dłonią po wytartym podłokietniku kanapy. Jest bardzo zniszczona, dziurawa i wysiedziana. Zamykam oczy i widzę pobladłą z niepokoju twarz Milтона w chwili, gdy weszliśmy do supermarketu, a wokół nas kłębili się ludzie. Następnym razem będzie się mniej bał, myślę. A kolejnym razem jeszcze mniej. Przeraża nas nieznane.
- Mamó - odzywam się po dłuższej chwili.
 - Co?

- Czy to jest straszne? - pytam. - Być samemu? Chodzić na randki z przypadkowymi mężczyznami? Nie wiedzieć, czy coś z tego wyjdzie, czy nie?

- Trochę tak. - Mam spuszczonego wzrok, ale słyszę, że podchodzi bliżej. - Ale od kiedy się zorientowałam, że twój ojciec nie jest osobą, z którą chcę się zestarzeć, myśl o zostaniu z nim była o wiele bardziej przerażająca niż myśl o samotności.

- Tato jest dobrym człowiekiem. Nie jest doskonały, ale uczciwy i porządny.

- Powtarzałam to sobie przez całe lata. To nie wystarcza. Nie mówię już nic więcej.

Kiedy mama się orientuje, że większość agentów już opuściła dom, schodzi na parter. Wyciągam się na kanapie, gapię się w sufit i rozmyślam o moim życiu.

W końcu zasnęłam, bo budzi mnie mama wołająca z dołu:

- Keats! Wszyscy już sobie poszli!

- Nawet Evansowie?! - odkrzykuję z senną podejrzliwością. Nie jestem w nastroju na kurtuazyjne rozmówki z tym duetem lizusów.

- Zostaliśmy tylko my.

Podnoszę się i idę na dół. Po wizycie pośredników zostało trochę sera i krakersów. Zjadamy je, zanoszę też talerz Miltonowi, który nie fatyguje się, by mi podziękować, a potem pomagam mamie stawić czoło szafkom z pokoju dziennego, zapchanym starymi grammi planszowymi, rysunkami, pracami domowymi, fotografiami i innymi przedmiotami, włącznie z nożem do sera i lalką - trollem z różowymi włosami.

- Nie sądziłam, że muszę je opróżnić, bo przecież drzwiczki wszystko zasłaniają - mówi mama, kiedy zabieramy się do pracy. - Ale Charlie powiedział, że jedna agentka otworzyła drzwiczki, żeby zobaczyć, jak to wygląda w środku, i szachownica wypadła jej na głowę. „Dom nie musi być idealny, ale nie powinien być niebezpieczny”, podsumował.

Obie chichoczemy. Nie wiem, dlaczego to nas tak bawi.

Mama ciągle odrywa się od pracy. Czasami się zatrzymuje, żeby przeczytać papiery, które wyciąga; czasem wychodzi zadzwonić albo skorzystać z łazienki, albo po prostu krąży po pokoju, narzekając, jaka to ciężka orka sprzedawać dom. Ja jednak pracuję systematycznie i robię całkiem spore postępy. Przerywam tylko raz, i to dlatego, że mama chce, bym zobaczyła coś, co właśnie odkryła.

- Musisz to przeczytać - mówi, trącając mnie w ramię.

- Co to jest? - Ręce mam brudne od pyłu z ołówków i kredek w szafce, więc odgarniam kosmyk włosów z oczu spodem nadgarstka i zaglądam jej przez ramię.

- Hopkins to napisała. Chciała, żebym dała to pani Rieper.

- Napisała list do pani Rieper? - Pani Rieper uczyła nas obie w drugiej klasie, tylko oczywiście w innych latach.

- Na początku roku szkolnego. - Mama przechyla list, żebym mogła lepiej widzieć. - Ale nigdy go nie przekazałam.

Czytam list.

Szanowna Pani Rieper, . Kiedy byłam Pani uczennicą w drugiej klasie, dzieliła nas różnica zdań. O ile dobrze pamiętam, powiedziała

mi Pani kiedyś: „Myślisz, że wiesz wszystko, ale żaden siedmiolatek nie wie wszystkiego, więc może powinnaś jednak posłuchać i pouczyć się od czasu do czasu”. Czy to brzmi znajomo? Piszę do Pani, ponieważ moja młodsza siostra zostanie niedługo Pani uczennicą i chcę zapewnić Panią, że pomimo swojego nazwiska w ogóle nie jest do mnie podobna. Keats jest bardzo kochaną i dobrą dziewczynką i wszyscy nauczyciele ją uwielbiają. Jej przedszkolanka powiedziała nawet kiedyś rodzicom, że zaadoptowałyby Keats, gdyby tylko mogła. (Oczywiście żartowała i miała na myśli tylko to, że bardzo lubi Keats). Keats zasługuje na to, by być ocenianą wedle swoich zasług, a nie jako siostra uczennicy, której często okazywała Pani brak cierpliwości. Proszę postarać się wykazać tolerancję i sprawić, aby moja siostra czuła się mile widziana w Pani klasie.

Z poważaniem Hopkins Sedlak

Czytam list dwukrotnie, rozdarta pomiędzy śmiechem a przerażeniem.

- To jest prawdziwy list?

Mama kiwa głową, składa go i odkłada na kupkę rzeczy do zostawienia.

- Teraz rozumiesz, dlaczego go nie wysłałam.

- To była dobra decyzja. - Odwracam się do szafki, ale potem na chwilę nieruchomieję i się zamyślam. - Właściwie to było całkiem mile ze strony Hopkins. Chybione, ale mile.

- Myślę, że naprawdę powodowały nią dobre chęci. To niewiarygodne, ale miała tylko trzynaście lat, kiedy to pisała. - Mama się śmieje. - Tylko Hopkins... Pamiętasz w ogóle panią Rieper?

- Słabo. Była dla mnie bardzo miła.

- Mówiłam ci już kiedyś, że nauczyciele lubili cię bardziej niż Hopkins.

- Bo nie stanowiłam dla nich wyzwania, a ona tak. Musieli doceniać, że jest taka błyskotliwa.

- Jestem pewna, że próbowali - mówi mama sucho. Opróżnienie wszystkich szafek zabiera nam - a raczej mnie - kilka godzin, ale w końcu mamy dwa wielkie wory śmieci, jeden worek papierów do recyklingu, trzy kupki rysunków i historyjek, które wydawały się warte zachowania (po jednej dla każdego z dzieci) oraz pudło gier i zabawek w dobrym stanie, które mama chce podarować szpitalowi albo schronisku.

Wynoszę śmieci i recykling na chodnik i ładuję pudło do samochodu mamy. Ponieważ nie jadłyśmy normalnego lunchu, jesteśmy obie śmiertelnie głodne i uważamy, że zasłużyłyśmy na dobry obiad w mieście. Pytam Milтона, czy chce iść z nami, ale nie jestem zdziwiona, kiedy mówi, żebyśmy mu tylko coś przyniosły. Nie naciskam. Był dzisiaj w supermarkecie. Nie zdobył się na to od dwóch lat. Na razie wystarczy.

Prosi, żebym zamknęła za sobą drzwi od jego pokoju.

Idziemy więc we dwie do pobliskiej włoskiej restauracji, gdzie mama zamawia sałatkę z owocami morza, a ja pastę marinara. Dostaję też telefon od Toma, który chce wiedzieć, kiedy wrócę do domu. Mówię mu, że jem obiad z matką.

- Jesz z nią obiad? Ale jest sobota! I jeszcze nawet nie ma szóstej! Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

- Bo byłam głodna. - Mówię mu, że spotkamy się w domu za mniej więcej godzinę, i szybko kończę rozmowę.

Podrzucam mamę do domu. Jest już jedną nogą na chodniku, kiedy nagle zatrzymuje się i odwraca.

- Wiesz, Keats, niezależnie gdzie będę mieszkać, jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała się gdzieś zatrzymać, obojętnie na jak długo... Wiedz, że zawsze jesteś u mnie mile widziana. '

Miesiąc temu, tydzień temu - może nawet wczoraj - zezłościłabym się na nią za te słowa. Ale dzisiaj dziękuję jej i mówię:

- Dobrze wiedzieć.

Nie pyta mnie o nic, tylko kiwa głową i wysiada z samochodu. Kiedy wchodzę do mieszkania, Tom wyłącza telewizor i zrywa się na nogi.

- Umieram z głodu - mówi. - Chodźmy do Jo-Jo. Oddam wszystko za burgera. - Strój golfowy, który miał na sobie rano, zmienił na koszulkę i džinsy.

- Mógłbyś pójść beze mnie? Byłam już dzisiaj w jednej restauracji.

Zaplata ręce na piersiach.

- Daj spokój, Keats. Mogłabyś przynajmniej dotrzymać mi towarzystwa. Cały czas nie mogę uwierzyć, że wystawiłaś mnie do wiatru. Wiedziałaś, że będę chciał zjeść obiad z tobą.

Idę z nim. Wydaje się to prostsze niż kłótnia. Zamawia podwójnego burgera, a kiedy go dostaje, przesuwa talerz w moją stronę.

- Weź trochę frytek - mówi. - Przecież masz na nie ochotę.

Nie mam ochoty.

Zastanawia się, dlaczego jestem taka wyciszona.

- Matka cię czymś wkurzyła? Kręcę głową.

- Była w porządku.

- To czemu jesteś taka nieobecna?

- Nie jestem.

Na szczęście telewizor przy barze jest włączony i Tom ze swojego miejsca widzi ekran, więc z zadowoleniem wraca do hamburgera i hałaśliwego dopingowania jednej z drużyn.

Przez chwilę patrzę, jak je, a potem mówię:

- Dzisiaj wyciągnęłam Milтона do supermarketu.

- Tak? - Wzrok ma utkwiony w telewizor. - Czemu?

- Bo już od dawna nie wychodził z domu i uznałam, że powinien się ruszyć.

- Aha. No to dobrze. Jak poszło?

- Nie było to łatwe dla nas obojga. Ale myślę, że dobrze się stało. Taka zmiana była mu potrzebna.

- Twój brat to wariat - mówi dobrodusznie Tom. Nagle krzyczy: - Cholera! Nie mogę uwierzyć, że tego nie złapał!

Zapadam się głębiej w siedzenie.

- Zjedz ze mną na pół deser lodowy - prosi, kiedy jego talerz jest pusty.

- Nadal nie jestem głodna.

- Błagam cię, powiedz, że się nie odchudzasz. Na diecie jesteś taka ponura. Poza tym uważam, że wyglądasz świetnie tak jak teraz.

- Po prostu jeszcze nie zdążyłam zgłodnieć.

Ale nie o to chodzi. Jest coś innego, co sprawia, że czuję ucisk w żołądku. Jakieś przeczucie, że podjęłam decyzję. Albo że decyzja została podjęta za mnie.

Tom mimo wszystko zamawia deser - i dwa widelce

- i zjada szybko, patrząc w telewizor ponad moją głowę. Nie korzystam z dodatkowego widelca.

Kiedy wracamy do domu, bierze mnie pod rękę.

- Przepraszam, jeśli wcześniej byłem w złym humorze

- mówi. - Po prostu byłem głodny.

- Nie ma sprawy.

Próbuje zajrzeć mi w twarz, ale na dworze jest ciemno, a idziemy obok siebie.

- Na pewno mama nie powiedziała nic, co by cię zdenerwowało?

Próbuję odpowiedzieć, ale nie potrafię. Cała drzę i boję się, że on to wyczuje.

Mam zamiar zrobić coś okropnego. I przerażającego. I prawdopodobnie niewłaściwego.

Mam zamiar rzucić się w przepaść.

W mieszkaniu biorę Toma za rękę, prowadzę go do jednego z foteli i proszę, żeby usiadł.

- Co się dzieje? - pyta.

Nie siadam. Staję przed nim, zagryzając wargi, starając się ułożyć sobie, co mam do powiedzenia. W końcu udaje mi się wyrzucić z siebie:

- Myślę, że mogłabym przez jakiś czas pomieszkać w rodzinnym domu.

- Naprawdę? Dlaczego? Mama jest chora? Wbijam wzrok w podłogę. Wykładzina jest typowa dla

mieszkań w tym wieżowcu: od ściany do ściany, beżowa, praktyczna, łatwa do odkurzenia.

- Nie, tylko potrzebuje pomocy przy przeprowadzce. Dzisiaj dużo ludzi oglądało dom. Sądzę, że wkrótce dostanie jakąś ofertę, a potem nie będzie miała dużo czasu na pakowanie.

- Za pieniądze, które dostanie za ten dom, może wynająć ludzi do pomocy.

- To nie takie proste. Musimy wszystko przejrzeć i zastanowić się, co zostawić.

Wzrusza ramionami.

- To jej pomóż. Co nie znaczy, że musisz tam mieszkać. Jest przecież wystarczająco blisko, żebyś mogła tam pojechać w razie potrzeby. Nie znoszę, kiedy nocujesz poza domem. Nie śpię dobrze, kiedy cię nie ma. - Wyciąga do mnie rękę, ale się odsuwam.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli przyzwyczaimy się do spania osobno - mówię.

- Co przez to rozumiesz?

Nie odpowiadam, unikam jego wzroku i czuję, jak w gardle rośnie mi kula.

- Żartujesz, prawda? - pyta po chwili. Szepczę: ,

- Przepraszam. Chyba potrzebuję trochę czasu dla siebie.

- Nie! - W jego głosie pobrzmiewa paniczny strach.

Tom wstaje, chwytając mnie za ramię. - Keats, nie mam pojęcia, o co chodzi... cokolwiek to jest, powiedz mi, a ja to naprawię, ale na miłość boską, nie zaczynaj mówić tak, jakbyś miała zamiar mnie zostawić.

- Przepraszam - powtarzam, bo nie wiem, co innego teraz powiedzieć. Łzy spływają mi z oczu, przyklejają się do powiek, zanim stoczą się na policzki.

- Przecież mówiłaś, że będziemy razem na zawsze. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o naszych dzieciach... Na miłość boską, co się stało od tego czasu? Co się zmieniło?

- Nic. Naprawdę nic się nie zdarzyło.

- Czy twoja matka coś powiedziała? Wiem... ona uważa, że nie jestem dla ciebie odpowiedni, wszyscy w twojej rodzinie tak myślą. Ale milion razy mówiłaś, że się cieszysz, że nie jestem taki jak oni.

- Wiem. Cieszę się naprawdę. I wcale nie zrobiłeś nic złego. - Głos zaczyna mi się łamać. Trudno mi wydobyć słowa ze ściśniętego gardła. - Jesteś wspaniałą. Tylko że ja wszystko odbieram teraz jakoś inaczej. Nawet nie wiem dlaczego, po prostu to czuję.

Patrzy na mnie; szuka w mojej twarzy jakiejś wskazówki, ale nic nie znajduje.

- Przepraszam, że nakrzyczałem na ciebie z powodu obiadu - mówi tak pokornie, że serce mi się kraje. - Nie powinienem był tak reagować. Wiem, że bywam niecierpliwy. Twoja obecność była dla mnie zbyt oczywista. Już nie będę tak myślał, przysięgam. Zrobię wszystko, co zechcesz, żeby cię uszczęśliwić.

Kręcę głową, szepcząc:

- Nie, nie o to chodzi. - Ale nie sądzę, żeby mnie słyszał.

- Jest coś, o czym mi nie mówisz. - Niespodziewanie w jego głosie pojawia się podejrzliwy ton. - Naprawdę byłeś dziś ze swoją matką? A może z kimś innym?

- Zjadłyśmy obiad tylko we dwie. - Przedstawiam fakty bezbarwnym głosem. - Poszłyśmy do Ceci. Mama zamówiła sałatkę. Ja makaron.

- Daj mi swój telefon. - Wyciąga rękę. -Co?

- Daj mi swoją komórkę.

- Po co?

- Chcę zobaczyć, kto do ciebie dzwoni.

- Nie. - Odchodzę o krok. - Nikt do mnie nie dzwoni, Tom. Nie jest tak, jak myślisz. Nie o to chodzi.

- Więc dlaczego po prostu nie dasz mi komórki? Pokaż mi, że nic nie ukrywasz.

Niechętnie podaję mu telefon.

- Nie rób tego, Tom. Proszę.

Stuka w klawisze. \

- Kto to jest Mark?

- Nikt ważny.

: Rzuca telefonem przez pokój i chwyta mnie za nadgarstki.

-Kto to jest?

- Boże, Tom! Mark to facet ode mnie z biura... spotkałeś go parę razy, a jeśli naprawdę przeczytałybyś te SMS-y, zobaczyłybyś, że wszystkie dotyczą pracy.

Ściska mocno moje ręce.

- Powiedz mi prawdę, Keats. Z kim byłeś dzisiaj na obiedzie?

- Już ci mówiłam. Z moją matką.

- Spotykasz się z kimś za moimi plecami?

Jestem zmęczona. Chcę tylko skulić się gdzieś i spać, dopóki to wszystko się nie skończy.

- Nie odchodzę z powodu kogoś innego - mówię ze znużeniem. - Odchodzę, bo już najwyższy czas.

Przyciąga mnie bliżej do siebie, próbuje otoczyć się w pasie moimi ramionami, ale musi je trzymać, bo z nim nie współpracuję.

- Proszę, Keats - mówi i nie wygląda już na zagniewanego, tylko zdruzgotanego. - Proszę, nie rób tego. Jesteś jedyną osobą na świecie, która ma dla mnie znaczenie. Nie mogę cię stracić, bo nie będę miał nic. - Zanurza twarz w moją szyję, przyciska usta, przesuwając wargami w górę po podbródku i policzkach, a potem wraca z powrotem na szyję.

Nie wiem, co sobie myśli. Ze jego namiętność rozpali na nowo moją? Że seks rozwiąże problem, przekona mnie, abym znowu go pokochała? Nie mam ochoty być całowana właśnie teraz. Nie chcę seksu. Chcę po prostu odejść.

Podnosi głowę, żeby zobaczyć moją reakcję, a ja wyswobadzam ręce i odwracam się od niego.

- Muszę się spakować - mówię.

- Poczekaj. Nie możesz. - Wpycha palce w rękaw koszuli, podciąga go do góry i podsuwa mi ramię pod samą twarz tak, że muszę zobaczyć, co jest napisane nad jego łokciem. Ten widok porusza mnie do żywego. - Nie możesz mnie zostawić! - woła z rozpaczą. - Widzisz? To jest na zawsze.

Kręcę głową i szepczę:

- Tak mi przykro. Nie powinieneś był tego robić. Przez moment oboje milczymy.

Potem Tom pada na kolana i kryje twarz w dłoniach.

Rozdział 18

Nie mogę przestać się trząść. Pałce mam zaplecione wokół kubka z herbatą, ale nie piję, tylko ogrzewam o niego ręce. Mam dreszcze, chociaż jest ciepła, wiosenna noc.

Matka powitała mnie bardzo spokojnie, kiedy pojawiłam się w drzwiach. Wzięła moją walizkę, postawiła ją u stóp schodów, wprowadziła mnie do kuchni, posadziła w kąciku jadalnym i zajęła się robieniem herbaty.

- No dobrze - mówi, sadowiąc się naprzeciwko mnie przy stole. - Powiedz mi teraz, co się stało.

- Odeszłam od Toma.

- Domyśliłam się tego po walizce. Co cię skłoniło do tej decyzji?

Wpatruję się w kubek. W środku nadal jest torebka z herbatą. Powinnam ją wyjąć, zanim napój zrobi się gorzki, ale nawet ta prosta czynność wydaje mi się zbyt trudna. Nigdy w życiu nie czułam się tak wyczerpana.

- Nie wiem.

- Coś musiało sprawić, że postanowiłaś dzisiaj odejść.

- Nie było to nic, co zrobił Tom. Po prostu nie chcę z nim już być. Czy to brzmi logicznie?

- Rozumiem cię lepiej niż ktokolwiek inny. - Pauza. - Wiesz, jakie zawsze miałam o nim zdanie. Nie był...

Podnoszę rękę.

- Nie zaczynaj mówić o nim źle. Proszę. Posłusznie milknie.

Odstawiam kubek, żeby móc podciągnąć kolana pod brodę i objąć nogi ramionami, co pomaga trochę opanować drzenie.

- Płakał, kiedy wychodziłam.

Mama wyciąga rękę przez stół i delikatnie dotyka mojego ramienia.

- To smutne. Ale zrobiłaś to, co musiałaś.

- Zawsze był dla mnie miły. Nie zasłużył sobie na swój los.

- To nie znaczy, że zasługuje na bycie z tobą.

- Nie jestem nikim szczególnym, mamu. Nie jestem Hopkins.

- Mówisz tak, jakby to było coś złego. - Odchyła się z krzesłem do tyłu. Ma na sobie nocną koszulę i stary frotowy szlafrok. Szykowała się do snu, kiedy zadzwoniłam do drzwi.

- Wiesz, co mam na myśli. Hopkins jest wspaniała. Ja nie jestem. Ona ratuje ludziom życie. Ja... robię zakupy w Costco.

- Hopkins jest trochę zwariowana - mówi spokojnie mama. - Ty nie. Jej brakuje towarzyskiej ogłady. Ty sprawiasz, że ludzie lgną do ciebie. Ona prawdopodobnie nigdy nie będzie miała męża ani rodziny. Ty któregoś dnia - mam nadzieję, że nie za szybko - będziesz miała jedno i drugie.

Patrzę na mamę, wyrwana na chwilę z rozpaczy.

- Chcesz tylko sprawić, żebym poczuła się lepiej.

- A czy kiedykolwiek to robiłam? - pyta, a ja ze zdziwieniem słyszę własny śmiech. Mama kręci głową, przeciąga palcami po ciemnych, przetykanych siwizną włosach, poprawia się na krześle. - Nigdy nie rozumiałam, jak to się stało, że ze wszystkich naszych dzieci właśnie ty masz taki kompleks niższości. Nie widzisz, że to ty jesteś prawdziwą szczęściarą w tej rodzinie?

- Jeżeli szczęściem nazwać brak nadzwyczajnych uzdolnień...

- Gdybyś przez chwilę przestała rozczulać się nad sobą, zobaczyłabyś, że większość rzeczy przychodzi ci łatwiej niż twojemu rodzeństwu. Widziałaś kiedyś któreś z nich na przyjęciu? Katastrofa.

- Wiem, że Milton sobie nie radzi. Ale Hopkins wszyscy podziwiają.

- Wielu ludzi ją podziwia. Jeszcze więcej jest jej wdzięcznych. Ale nie chcą jej się zwierzać ani pójść z nią na drinka. - Bawi się uchem kubka. - Przez całe lata obserwowałam was w otoczeniu innych osób. Ludzie mogą słuchać Hopkins, bo opowiada różne anegdoty lekarskie i jest wysokiej klasy specjalistką. Ale wszyscy chcą siedzieć koło ciebie. Na przykład - zawiesza głos - Jacob. Kiedy wchodzisz do pokoju, twarz mu się rozjaśnia. I nie jest jedynym... co się stało?

Zakrywam twarz dłońmi. Słowa wyrrywają się ze mnie i nie potrafię ich powstrzymać.

- Przespałam się z nim! Z Jacobem! W mieszkaniu taty, wtedy kiedy zostałam na noc. On też tam był i spaliśmy ze sobą. U taty na sofie!

Pauza. A potem mama się śmieje,
- Naprawdę?
- To nie jest zabawne! To był wielki błąd. Totalna katastrofa.
- Teraz rozumiem, dlaczego był taki przygaszony ostatnio przy kolacji.

Chwytam ze stołu serwetkę i wycieram nos.

- On mnie nienawidzi.
- Przepraszam, że się śmiałam - mówi mama. - Ale szczerze mówiąc, Keats, w twoim wieku robi się właśnie takie rzeczy. Śpi się z niewłaściwym facetem. Popełnia się głupie, niewybaczalne błędy, a potem się sobie przebacza. Jeśli nie teraz, to kiedy?

- Tobie idzie to całkiem nieźle. Chociaż nie masz dwudziestu pięciu lat.

- Wiem! - mówi mama, przyciskając ręce do piersi, niespodziewanie ożywiona. - Jest trochę tak jak w tej książce, którą czytałyśmy, kiedy byłaś dzieckiem, o matce i córce, które zamieniają się ciałami...

- „Zakręcony piątek”?

- Tak. Żyjesz jak kobieta w średnim wieku. Mam na myśli twoją pracę... - Wzdycha. - Taka praca nadaje się dla sześćdziesięcioletniej kobiety, która jest szczęśliwa, że może wyjść z domu, bo jej mąż został zmuszony do przejścia na emeryturę, nie ma nic do roboty i doprowadza ją do szału swoimi opowieściami i dziwnymi pomysłami, ona nie może już tego wytrzymać, więc...

- Za dużo o tym myślisz. To naprawdę jest idealna praca.

Mama kręci głową.

- Już za długo żyłaś życiem odpowiednim dla kogoś starszego, kursując między pracą a Tomem. Musisz odzyskać swoją młodość.

- A czy ty masz ochotę zachowywać się tak, jak przystoi osobie w twoim wieku? Pozwolisz tacie wprowadzić się z powrotem? Znajdziesz nudną pracę w biurze? Będziesz robić na drutach i piec ciasta?

- Mój Boże, nie! Sama odebrałam sobie kilka szalonych lat. Należy mi się jeszcze kilka. - Unosi głowę. - Widzisz? Tak się dzieje, jeśli człowiek nie korzysta z młodości, kiedy jest na to czas... potem trzeba w moim wieku nadrabiać stracone lata. Przyznaję, że nie wygląda to estetycznie.

- Nie jest tak źle. - Rozprostowuję nogi i stawiam stopy na podłodze. Zaczynam coś mówić, ale przerywam. : - Co? - pyta mama.

-Ja tylko... - waham się, a potem mówię szybko: « Dlaczego nazwałaś go niewłaściwym facetem? -Co? Kogo?

Unikam jej wzroku i bawię się kubkiem, popychając ucho tam i z powrotem, obserwując łagodnie falujący płyn.

- Jacoba. Powiedziałaś, że spałam z niewłaściwym facetem.

- Tak powiedziałam?

- Powiedziałaś, że robię dokładnie to, co powinnam robić w moim wieku, czyli na przykład spać z niewłaściwym facetem. Wynika z tego, że uważasz Jacoba za niewłaściwego faceta.

- Aha, tak, rzeczywiście chyba tak powiedziałam. Ale w sensie ogólnym.

- Więc nie uważasz, że Jacob jest niewłaściwym facetem?

Macha lekceważąco ręką.

- Uwielbiam Jacoba, wiesz przecież. I jeżeli za dziesięć lat zechcesz go poślubić, to sama odprawię ceremonię. Ale w tej chwili każdy facet jest dla ciebie niewłaściwy. Musisz spędzić trochę czasu sama, Keats. Poznać siebie. Zdobyć doświadczenie, odkryć nowe możliwości. Kiedy będziesz miała trzydzieści albo czterdzieści lat, możesz pomyśleć o znalezieniu odpowiedniego faceta.

- Trzydzieści albo czterdzieści?! - powtarzam z przerażeniem

- Nie ma pośpiechu.

- Większość kobiet w twoim wieku chce mieć wnuki.

- Ja też chcę - mówi. - Naprawdę. I bądźmy szczerze, jesteś moją największą i chyba jedyną na nie nadzieją. Ale mogę poczekać.

- Chwileczkę. - Mój telefon wibruje. Słyszałam ten dźwięk już kilka razy, od kiedy tu jestem, lecz nie zwracałam na to uwagi. Wyciągam aparat z kieszeni. Cztery nieodebrane połączenia i siedem SMS-ów. Wszystkie od Toma. Pokazuję je mamie. Wzdycha, ale nic nie mówi. Wkładam telefon z powrotem do kieszeni.

- Czy to było okropne powiedzieć tacie, że nie chcesz już być jego żoną? - pytam po chwili milczenia.

- Podejrzewam - mówi mama powoli - że nie różniło się to zbyt od tego, przez co ty właśnie przeszłaś.

Minus łzy... twój ojciec nie jest facetem, który by płakał. Ale gniew, uraza, ból; wszystko było podobne do tego, czego ty doświadczyłaś. To była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałam zrobić.

- Przepraszam, że ci o tym przypomniałam. Mama saltuje w moją stronę kubkiem z herbatą.

- Witamy w Klubie Amerykańskich Pożeraczek Serc, Keats. Brzmi o wiele lepiej niż w rzeczywistości.

- Nie chcę już nigdy przez to przechodzić.

- Ja też nie.

Zamykam oczy i opieram głowę na krześle.

- Jestem wykończona. Chcę się schować pod kołdrą i spać milion lat.

- To idź. Ale lepiej zajmij pokój Hopkins, bo Milton zaanektował twój. Nie mam pojęcia, czy łóżko jest pościelone.

- Sprawdzę. - Podnoszę się, ale mama chwyta mnie za ramię.

- Keats, teraz mówię poważnie. Nie chcę, żebyś stała się jedną z tych kobiet, które odchodzą od jednego faceta prosto do drugiego, bo boją się być same. W życiu wcześniej czy później każdy będzie sam. Póki jesteś młoda, musisz poczuć się dobrze sama ze sobą, żebyś później nie musiała ze strachu iść na niepotrzebne kompromisy.

Obiecuję mamie, że zastanowię się nad jej słowami, i idę na górę do łóżka.

W pokoju Hopkins nie ma ani jednej książki, którą mogłabym poczytać i oderwać myśli od Toma - jedynie cegły o religioznawstwie porównawczym, podręczniki

anatomii i czasopisma naukowe, które moja siostra pochłaniała już w gimnazjum. Dałabym wszystko za możliwość zatopienia się w jakimś romansidle, więc zakradam się do mojego dawnego pokoju z zamiarem ściągnięcia czegoś z regału, ale na łóżku śpi Milton - nadal w dresie i butach, które włożył po południu, jakby nagle padł z wyczerpania - wychodzę więc szybko z pustymi rękami.

Pomimo zmęczenia nie mogę zasnąć aż do świtu. Materac jest okropny, cienki i dziwnie gruzłowaty, poza tym nie jestem przyzwyczajona spać sama. Godzinami przewracam się z boku na bok i zasypiam tak późno, że kiedy się znów budzę, jest prawie południe. Schodząc na parter, widzę krzątającą się mamę. Szykuje się na spotkanie z Irvem w muzeum.

- Muzeum? - pytam, siedząc przy stole w kuchni w spodniach od dresu i koszulce; patrząc, jak mama szuka torby i płaszcza. - To jest wasz pomysł na randkę? Chodzenie po muzeum?

- A co w tym złego?

- To nudne. Tak robią starsze panie.

- Będziesz zaglądać do Milтона? Dopilnuj, żeby w którymś momencie dostał lunch, dobrze?

Wychodzi.

Oglądam telewizję, myśląc, że powinnam się zabrać do pakowania, ale nie mam nastroju na przebijanie się przez zakurzone stare książki i papiery. Jestem znudzona i niespokojna. I samotna.

Mam przy sobie notebook, więc trochę włączę się po sieci, ale kiedy dostaję wiadomość od Izzy, szybko zamykam komputer. Nie mam pojęcia, czy Tom już

rozmawiał z Lou, i nie chcę być zmuszona do udawania, że wszystko jest jak zwykle, ani mówić, że odeszłam.

Próbuję rozmawiać z Miltonem, lecz brat gra w jakąś niezrozumiałą (dla mnie) grę sieciową i twierdzi, że nie może przestać, dopóki nie wygra lub nie zginie.

- Trochę jak w życiu - mówię. Nie odpowiada; wpatruje się w ekran i stuka w klawiaturę. Nie winię go. Ja też nie wiem, co miałam na myśli.

Nie strach każe mi tego wieczoru wsiąść do auta i pojechać do Jacoba.

Ani nie to, o co martwiła się matka - że boję się być sama. Nic z tych rzeczy.

Zmusiła mnie nuda. Nudzi mi się tak, że mogłabym walić głową w ścianę tylko po to, żeby się czymś zająć.

Chcę też zobaczyć Jacoba. Mam ochotę powiedzieć mu, co się stało. Chcę zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy mu oznajmię, że odeszłam od Toma na dobre.

Samo myślenie o tym sprawia, że kręci mi się w głowie i czuję się dziwnie podekscytowana.

Widzicie? To nie strach. Zupełnie inne emocje.

Nigdy nie byłam w mieszkaniu Jacoba, muszę więc odszukać jego adres w notesie mamy. Jest chyba ostatnią osobą w Ameryce, która nie ma skomputeryzowanej listy kontaktów. Na filcowej okładce notesu napisane jest „Adresy”, a w środku jest zakładka dla każdej litery alfabetu, ale tu porządek się kończy. Mama przez lata powykreślała i powpisywała na nowo tyle numerów telefonów i adresów, że całe strony są zamazane.

Są adresy Jacoba. Jeden to mieszkanie w Somerville - ten jest wykreślony - a drugi w Teksasie. To musi być jego dom rodzinny. Albo jego najbliższy odpowiednik. Trzeci to również mieszkanie w Somerville, ale ten adres nie jest wykreślony, więc przypuszczam, że nadal aktualny, i zapisuję go.

Biorę prysznic, suszę włosy suszarką, z namysłem wybieram dzinsy i jedwabny top z garści ubrań, które przywiozłam ze sobą wczorajszego wieczoru.

Zatrzymuję się przy pokoju Milтона, żeby poinformować brata, że wychodzę. Kiwa obojętnie głową i nie podnosi wzroku.

Zamykam za sobą drzwi frontowe, idę do auta, wpisuję adres w GPS. Podczas dwudziestopięciominutowej jazdy do Somerville jestem zdenerwowana jak nigdy w życiu. Po zjeździe z autostrady widzę dużo par spacerujących lub czekających przed restauracjami.

Czuję się samotna. Przy Tomie byłam częścią pary. Byłam normalna. Bez niego jestem kimś samotnym, dziwnym i innym.

Sedlakówną.

Znalezienie miejsca parkingowego w pobliżu domu Jacoba zajmuje mi dłuższą chwilę. To taka okolica - setki magistrantów wciśniętych w małe kompleksy mieszkaniowe. Każdy mieszkaniec ma samochód, ale na podjazdach jest miejsce tylko dla jednego lub dwóch, więc ulice są zastawione pozostałymi.

W końcu dwie ulice dalej znajduję nie do końca legalne miejsce - akurat na granicy czyjegoś podjazdu, może nawet zajęłam parę centymetrów więcej

- ale da się wyjechać, a ja mam już dość kręcenia się w kółko. Zapada pochmurny, szary zmierzch, jestem za lekko ubrana, nie mam kurtki. Idę dwa квартаły do mieszkania Jacoba. Trochę mi zimno, ale miło jest być na powietrzu po całym dniu spędzonym w zapuszczonym domu.

W jego budynku drzwi są otwarte, więc wchodzę do klatki, potem na schody i szukam mieszkania Jacoba. Numer na drzwiach jest namalowany farbą w sprayu za pomocą szablonu, jakie kupuje się w sklepie żelaznym.

Biorę głęboki oddech. Brakuje mi tchu, ale nie z powodu schodów. Chyba zapomniałam, jak się oddycha. Prawda jest taka, że się boję, chociaż to głupie. Przecież to tylko Jacob.

Pukam. Czekam.

Kroki. Więc jest w domu.

Drzwi się otwierają. Tak, jest w domu. Jak zawsze ma na sobie koszulę (tym razem niebieską) z kołnierzykiem na guziczki i spodnie khaki.

Cieszę się, że wygląda jak on. Cieszę się, że go widzę. Cieszę się, że przyjechałam.

- Cześć - mówię. Spięta, lecz zadowolona. Sprawia wrażenie zaskoczonego.

- Keats? Co ty tu robisz?

Zanim zdążę odpowiedzieć, inny głos mówi:

- Keats? - Jest tam ktoś jeszcze. Podchodzi bliżej. To Cathy.

Chwileczkę... to ich druga randka, a ona już odwiedza go w domu?

Ale może to więcej niż ich druga randka. Nie rozmawiałam z nią ostatnio na temat Jacoba. Może w ubiegłym tygodniu często się widywali. Może poza pracą zawsze są razem.

Może są zakochani.

Robi mi się niedobrze.

- Hej! - woła Cathy. - Nie wiedziałam, że przyjdiesz!

- Ja też nie - mówię.

Oboje są wyraźnie zdezorientowani. Nie wiem, co teraz zrobić. Nie spodziewałam się, że będzie miał gościa, zwłaszcza takiego.

- Ja tylko, hm, muszę o coś zapytać Jacoba. Jacob patrzy mi uważnie w twarz. Pewnie wyglądam

na przygnębioną. W każdym razie jestem przygnębiona.

- Co się stało? - pyta z niepokojem. - Chodzi o twojego ojca? Chwytam na ślepo wymówkę.

- Tak, tato... - urywam. Co z tatą?

- Co się stało? - pyta znowu, bardziej natarczywie.

- Nie wiem. Chciał, żebyś przyjechał. - Oblizuję wargi, bo są zupełnie suche. Nie mogę uwierzyć, że kłamię. Dlaczego kłamię? Jestem tak zaszokowana obecnością Cathy, że sama nie wiem, co robię.

Myślałam, że Jacob otworzy drzwi, twarz mu się rozjaśni, a ja opowiem mu o mnie i o Tomie i wszystko jakoś samo się potoczy. Tymczasem jest tu Cathy, a Jacobowi przychodzi do głowy tylko mój ojciec - jedyny Sedlak, na którym naprawdę mu zależy.

Wpakowałam się w kłopoty i muszę ciągnąć to dalej.

- Tato... tak jakby miał jakieś załamanie. Bardzo się

zducerwował i powiedział, że musi się z tobą zobaczyć. Nawet nie wiem dlaczego. - Orientuję się, że w mojej historyjce jest luka, i niezgrabnie staram się ją zapełnić. - Dzwoniłam do ciebie, ale nie odbierałeś.

- Naprawdę? Dzwoniłaś? - Wyciąga telefon z kieszeni. - Nic nie czułem. - Sprawdza. - Nie mam nieodebranych połączeń... jesteś pewna, że zapisałaś właściwy numer?

- Myślałam, że tak. - Tak właśnie się dzieje, kiedy się kłamie. Wszystko przestaje trzymać się kupy, a niemożliwe nakłada się na nieprawdopodobne. - Dziwne. Tak czy owak, postanowiłam tu zajrzeć i sprawdzić, czy jesteś w domu, ale skoro jesteś zajęty - hej, Cathy - to po prostu wrócę i powiem mu, że nie możesz teraz przyjechać. Nie ma problemu.

- Przecież mówiłaś, że mocno się czymś zdenerwował?

- Tak, ale naprawdę nie ma sprawy. Dam sobie radę. Jacob odwraca się do Cathy.

- Czy nie miałybyś nic przeciwko temu, żebym tam pojechał? Wrócę najszybciej, jak się da? Wiem, że to nieuprzejme, ale...

- O Boże, oczywiście powinieneś pojechać. - Ależ ona jest kochana. Jej duża koścista twarz promieniuje wielkodusznością i szczerą chęcią niesienia pomocy. - Z przyjemnością pojedę z tobą, jeśli sądzisz, że mogłabym jakoś pomóc.

- Biorąc pod uwagę stan taty, myślę, że może wystarczy tylko rodzina - mówię szybko. Później przypomina mi się, że Jacob właściwie nie jest rodziną. - Wiesz, o co mi chodzi.

- Całkowicie to rozumiem - mówi Cathy. Posyłam jej wymuszony uśmiech.

- Poważnie, Jacob, nie musisz jechać.

- Daj spokój. - Chwyta jakieś klucze ze stoliczka stojącego w pobliżu drzwi. Kiedy się poruszył, widzę fragment mieszkania. Jest małe i ciemne, mebli mało i mocno sfatygowane. Za chwilę Jacob jest znowu w drzwiach, zasłaniając widok. - Chodźmy.

O matko, ale się narobiło! Żegnam się z Cathy i przepraszam za najście.

- Żartujesz? Wszystko w porządku - mówi moja przyjaciółka.

- Nie śpieszcie się. Mam w torbie książkę. Z przyjemnością sobie poczytam.

- Dzięki. - Jacob uśmiecha się do niej. - Wrócę, jak tylko będę mógł.

- Keats, a ty? - pyta Cathy. - Nie miałabyś ochoty i zjeść z nami potem kolacji?

- Myślę, że zostanę z tatą - mówię cicho. - Ale dziękuję.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wiedz, że mamy mnóstwo jedzenia. - Macha nam na pożegnanie i zamyka drzwi. Najwyraźniej jest u niego zadomowiona.

W milczeniu schodzimy na dół. Kiedy jesteśmy na ulicy, Jacob mówi:

- Lepiej pojedźmy osobno. Spotkamy się na miejscu. - Zmierza do swojego samochodu zaparkowanego na jednym z dwóch miejsc na podjeździe. Mogłabym powiedzieć, że miał szczęście, ale to prawdopodobnie oznacza, że mieszka w tym studenckim mieszkaniu najdłużej ze wszystkich, co wcale nie świadczy o wyjątkowym szczęściu. Jest to po prostu smutne.

- Czekaj. - Nie mogę pozwolić, żeby jechał do mojego ojca. Ciekawe, który z nich byłby bardziej zdziwiony, Jacob czy tato. - Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

- O co chodzi?

- Chodź tutaj. - Nie chcę być tam, gdzie Cathy może zobaczyć nas przez okno, więc prowadzę go za róg.

- Co robisz? - pyta. Odwracam się i staję twarzą do niego.

- Skłamałam - mówię prawie szeptem. -Co?

Jest mi tak wstyd, że mam ochotę wczłgać się pod fundamenty najbliższego domu.

- Skłamałam. Nie przyjechałam z powodu mojego taty. O ile wiem, ma się dobrze.

- Nie rozumiem.

- Przyjechałam do ciebie. Żeby porozmawiać. Ale okazało się, że u ciebie jest Cathy, a ty zapytałeś, czy chodzi o ojca, i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Robi krok w tył i przeciąga palcami po włosach.

- Jestem trochę skołowany. Czyli twój ojciec nie prosił, żebym teraz przyjechał? - Kręcę głową. -To po co to wszystko? Nie mogłaś... - Urywa. Mruży oczy. - Co się dzieje, Keats?

Żałuję, że mrok nie skrywa mojej twarzy, ale jest maj i trwa całe wieki, zanim zajdzie słońce.

- Chciałam tylko z tobą porozmawiać.

- Skłamałaś, że próbowałaś się do mnie dodzwonić, prawda?

Kiwam głową, czerwona ze wstydu. On zakłada ręce na piersi.

- To dlaczego tu przyjechałaś?

Chciałabym, żeby trochę złagodniał. Byłoby mi o wiele łatwiej. Ale jego spojrzenie jest twarde; mowa ciała i wyraz twarzy nie zachęcają do zwierzeń.

Głośno przełykam ślinę.

- Chciałam, byś wiedział, że zerwałam z Tomem.

Rejestruje ten fakt lekkim uniesieniem brwi, ale pozostała część jego twarzy się nie zmienia. Nadal jest kamienna, oczy zimne.

- Przykro mi - mówi Jacob bezbarwnym głosem. - Wiem, jaki to był długi związek. To musiało być niełatwe.

- Nie, nie było łatwe. Ale musiałam to zrobić.

- W takim razie cieszę się razem z tobą, że się przemogłaś.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Miało być zupełnie inaczej. Słyszając tę wiadomość, Jacob miał się nie posiadać ze szczęścia.

Myślałam, że na mnie czeka, ma nadzieję, że do niego przyjdę. Myślałam, że mnie pragnie, a na przeszkodzie stoi mu jedynie moja lojalność wobec Toma. Myślałam, że jego gniew ostatnim razem oznaczał tylko niezaspokojone pożądanie.

Najwyraźniej się myliłam.

- Wprowadziłam się z powrotem do mamy - mówię, gdy milczenie zbyt długo się przedłuża. - Na razie u niej zostanę. Nie wiem jeszcze, co zrobię, kiedy dom zostanie sprzedany.

- Twój ojciec mógłby mieć ochotę na towarzystwo.

- Tak... pewnie tak.

Kolejna pauza. Jacob patrzy na ulicę.

- Powinienem wrócić do Cathy, ale nie wiem, co mam jej powiedzieć.

- Jeśli chcesz, możesz jej powiedzieć, że skłamałam.

- Dziękuję - mówi uprzejmie. - Ale będzie chciała wiedzieć dlaczego. A na to nie mam odpowiedzi.

- Wiesz dlaczego - mówię niemal z gniewem. - Możesz udawać, że nie wiesz, ale wiesz.

Rozplata ręce i wciska do kieszeni.

- Może. Nie całkiem. Rozumiem, że ma to coś wspólnego z twoim znudzeniem albo poczuciem samotności i przeświadczeniem, że przybiegnę na twoje wezwanie. Coś w tym rodzaju?

- Nie. - Chociaż on właściwie się nie myli, prawda? Tylko że chodzi o coś więcej.

- Chodzi o coś więcej - mówię.

- Czas na kolejną sesję dręczenia Jacoba? - podpowiada. Ton jego głosu jest łagodny, ale wyraz jego twarzy już nie. - Ta zabawa nigdy ci się nie nudzi?

Kładę rękę na jego ramieniu.

- Nigdy nie zamierzałam cię dręczyć. Jeżeli tak było, przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam.

Patrzy na moją rękę na swoim ramieniu, jakby była czymś, czego nigdy przedtem nie widział, czymś obcym i budzącym odrazę. Zdejmuję ją. Mówi powoli:

- Nie mam pewności, czy jesteś w stanie to zrozumieć, Keats. Ale tej nocy u twojego taty... To, co się stało, było dla mnie ważne. Bardzo. A ty dałaś mi natychmiast do zrozumienia, że traktujesz to inaczej. - Kręci głową. - Nie, było nawet gorzej... nie mogłaś potem na mnie

patrzeć. Wiesz, jak się wtedy czułem? - Przerywa, zaciska szczęki. Walczy, żeby się opanować. Udaje mu się. Jego głos jest spokojny, kiedy mówi: - A teraz jesteś tutaj, bo czujesz się samotna? Więcej mnie nie oszukasz. To jest bolesne. Nienawidzi mnie.

- Nie zrobiłam tego specjalnie. Byłam załamana, zła na siebie, miałam poczucie winy...

- Musiało ci być bardzo ciężko. - Jego głos ocieka ironią.

Co się stało ze starym, dobrym Jacobem? Nie ma go już.

Zabiłam go.

- Powiedziałam „przepraszam”. - Przygryzam wargę, bo drży.

- Doceniam twoje przeprosiny. Są trochę spóźnione i nic nie zmieniają, ale doceniam je. - Używa tego samego tonu co mój ojciec podczas rozmowy z Tomem: uprzejmej pogardy. Patrzy na zegarek. - Będę już wracał. Wymyślę jakieś wyjaśnienie dla Cathy. Może po prostu powiem jej, że twój tato zadzwonił i powiedział, żebym się nie fatygował. Jedno więcej kłamstwo nic tu nie zmieni. - Odchodzi.

- Ona ci się podoba? - pytam cicho. Odwraca się jak smagnięty biczem.

- A to jeszcze inna sprawa - mówi szorstko. - Umawiasz mnie z kimś innym. Wiedząc, co do ciebie czuję. Tak bardzo chciałaś się mnie pozbyć, tak ci się śpieszyło, bym ci się już nie naprzykrzał, że natychmiast podsunęłaś mi kogoś innego. Dzięki, Keats. Myślałaś, że jeszcze niewystarczająco mnie zniszczyłaś? Chciałaś mieć pewność, że sprawa jest zamknięta?

-To nie fair. Umówiłam was, zanim... przed tym wszystkim. Pamiętasz? Na moim przyjęciu urodzinowym.

- Dałaś jej mój adres e-mailowy w ubiegłym tygodniu.

- Bo mnie o to poprosiła. Nie chciałam. Przysięgam. Myślałam, że postępuję dobrze. - Kulę ramiona. Twarz mi płonie, ale reszta ciała marznie. - Bolała mnie myśl, że ze sobą chodzicie. Między innymi dzięki temu zrozumiałam, że muszę odejść od Toma. Byłam zazdrosna, kiedy wyobrażałam sobie, że jesteś z Cathy sam na sam. Wiedziałam, że to niewłaściwe, że nie powinnam tak myśleć o kimś, kto nie jest Tomem.

Podchodzi bliżej. Zniża głos.

- Więc boli cię świadomość, że mam zamiar spędzić z nią wieczór? Może nawet noc?

- Tak - mówię. - Bardzo.

- To dobrze - mówi cicho i odchodzi.

Rozdział 19

Jakoś udaje mi się dojść do samochodu i wejść do środka. Kładę się na kierownicy i mam ochotę się rozpłakać. Zastygam w tej pozycji, czując ból w żołądku. Wszystko mnie boli. Zęby mi dzwonią. Tak jakbym miała grypę, ale wiem, że naprawdę nie jestem chora.

Nie jestem chora. Jestem idiotką.

Każde wspomnienie budzi moje zażenowanie. Jak traktowałam Toma, jak traktowałam Jacoba, jak ich obu zraniłam, jak nadal ich ranię.

Nie. W tym momencie ranię tylko Toma. Jacob ma się dobrze.

Ale prawda jest taka, że nawet moja skrucha jest egoistyczna. Nie obchodziłoby mnie, kogo zraniłam czy nie, gdybym była teraz sama z Jacobem w jego mieszkaniu.

Mam poczucie winy, jestem smutna i pełna żalu tylko dlatego, że jestem zupełnie sama.

Nie jestem zwykłą idiotką - jestem egoistyczną idiotką.

W głębi duszy założyłam, że skoro Jacob pożądał mnie od tak dawna, będzie pragnął mnie nadal, a ja dokonam prostej zamiany: Tom odchodzi, Jacob przychodzi. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że Jacob nie

czeka biernie, aż zmienię zdanie; że może się ze mnie wyleczył, że to ja pomogłam mu się wyleczyć, raniąc go tak dotkliwie. Nie ma to jak odrobina nienawiści do zniszczenia uczucia.

Ale mimo wszystko...

Zastanawiam się.

Co będzie, jeśli wysiądę teraz z samochodu? Jeśli zbiorę się na odwagę i wrócę do mieszkania Jacoba?

Przecież Cathy zaprosiła mnie na kolację. Gdybym stanęła w drzwiach, powiedziałyby mi, żebym weszła i zjadła z nimi, a przy niej Jacob musiałby wydusić z siebie: „Proszę, zostań”, nawet gdyby nie chciał.

Musiałby.

A gdybym została u nich na kolacji...

Jestem zabawniejsza niż Cathy. Umiem rozśmieszyć Jacoba do łez, robiłam to milion razy. Jestem też ładniejsza - oczywiście wiem, że nie powinnam nawet tak myśleć, ale to po prostu prawda. A Jacob i ja mamy wspólną przeszłość. Mogłabym mu o tym przypomnieć, o wszystkich wspólnie spędzonych Świętach Dziękczynienia, o tym, jak nam obojgu coś się nie podobało, albo jak razem uciekaliśmy przed gniewem mojego ojca.

Wiele nas łączy. Dużo rzeczy robiliśmy razem.

Zraniłam go i jest na mnie wściekły... ale jedyną przyczyną, dla której mogłam urazić go tak głęboko, było to, że tak bardzo mnie lubił. Jak trudno będzie wyleczyć te rany i sprawić, że znowu obdarzy mnie sympatią?

Jestem ładniejsza, zabawniejsza i seksowniejsza od Cathy. Jeżeli wymuszę rywalizację, wygram. Jedynym jej atutem jest to, że jest ode mnie miłsza.

I wtedy się zatrzymuję.

Jest miłsza ode mnie. Wprawdzie nie robię nic strasznego, nie topię szczeniąt ani nic w tym rodzaju, ale jeśli spojrzeć na nas z perspektywy Jacoba...

Jedna dziewczyna uwiodła go w pełni świadomości, że miał do niej słabość od długiego czasu, po czym natychmiast, niemal w gniewie, go odtrąciła. A w dodatku dała mu jasno do zrozumienia, że idąc z nim do łóżka, popełniła największy błąd w swoim życiu.

Druga zaś jest łagodną, niewinną dziewczyną ze Środkowego Zachodu, która myśli, że Jacob jest przystojny i inteligentny, chce poznać go lepiej i nie ma w sobie ani krzty podłości.

Gdyby był moim prawdziwym, nie przyszywanym bratem, z którą radziłabym mu się związać? Z tą, która już raz go zraniła, czy z tą, która nigdy go nie zawiodła?

Nawet jeśli mam rację i naprawdę umiałabym go sprowokować, zmusić do tego, żeby wybrał mnie, a nie Cathy, pozostaje pytanie: czy powinnam?

I znam odpowiedź.

Trąbienie. Podskakuję na fotelu. Ktoś próbuje wyjechać z podjazdu zablokowanego przez mój samochód. Zasadniczo zajechałam drogę tylko o kilka centymetrów, ale facet nadużywa klaksonu i patrzy na mnie tak, jakbym замуrowała go w lochu na całą wieczność.

Prostuję się powoli, zapalam silnik i odjeżdżam od krawężnika.

Tylko... dokąd mam teraz jechać?

Do matki?

Wyobrażam sobie mój przyjazd. Ciemno. W domu jest chłodno, bo w tym domu zawsze jest chłodno, z wyjątkiem pełni lata, kiedy przez krótki czas jest duszno i gorąco. Jedyne światło pali się w pokoju Milтона, ale drzwi są zamknięte. Wchodzę, może zjadam kilka krakersów w pustej kuchni, może oglądam w samotności telewizję... w końcu idę na górę do pokoju Hopkins, gdzie łóżko jest niewygodne, pościel stara, a każdy znajdujący się tam przedmiot czyni mi wyrzuty, że nie jestem tak zdolna jak ona. Mama jest albo pogrążona w lekturze, albo nadal na randce z jakimś gościem, któremu naprawdę się podoba i który uważa, że jest cudowna.

Nikt nie uważa, że ja jestem cudowna.

Nie, to nie do końca prawda. Zatrzymuję się na światłach, a kiedy zapala się zielone, coś jakby przestawiło się również w mojej głowie.

Mogłabym wrócić do mojego mieszkania - tego, w którym mieszkałam przez ostatnie cztery lata. Jest ciepłe, czyste i jasne, i należy do faceta uważającego mnie za pępek świata. Ten facet podbiegnie do drzwi, kiedy usłyszy, jak wchodzę, obejmie mnie ramionami i będzie błagał, żebym nigdy więcej go nie opuszczała.

Wyobrażam sobie teraz ten powrót. Ciepło oświetlone mieszkanie, Tom ciągnie mnie do pokoju i całuje raz po raz, a potem pada razem ze mną na sofę, przyciska mnie do piersi i mówi, że nigdy przedtem tak się nie bał, że nie mogę znowu mu tego zrobić. Kochalibyśmy się i byłby to nasz najgorętszy seks od lat, z powodu strachu w jego sercu i ulgi w moim.

Poszlibyśmy na kolację. Czułabym się bezpieczna i odprężona, a posiłek smakowałby lepiej niż wszystko, co jadłam przez ostatnie dwa dni. Tom cały czas by mnie przytulał i głaskał po plecach, kolanach, ramionach, sprawdzając, czy naprawdę tam jestem, czy do niego wróciłam. A potem znów weszlibyśmy do naszego mieszkania i wielkiego, wygodnego łóżka, i przytuleni oglądalibyśmy telewizję, dopóki nie nadejdzie pora na sen. I spałabym spokojnie we własnym łóżku, ze znajomym ciężarem Toma tuż obok.

Wyjeżdżam z Mass Pike w Waltham i jadę drogą, która prowadzi do naszej ulicy. Działam jak automat. Jechałam tą drogą tysiące razy.

Kiedy zbliżam się do naszego budynku, odliczam osiem okien w górę i oczywiście w naszym salonie pali się światło. Tom jest w domu. Pewnie leży na sofie, ogląda telewizję i czuje się samotny, tęskni za mną. Przysłał mi dzisiaj jeszcze trzy SMS-y i zostawił dwie wiadomości głosowe. Nie muszę ich odsłuchiwać, wiem, że chce, bym wróciła do domu. Jeśli stanę w progu, padnie mi do stóp.

Włączam lewy kierunkowskaz, żeby skręcić do garażu. Zwalniam. Hamuję.

Ale nie skręcam.

Samochód za mną głośno trąbi. Podnoszę przepaszająco dłoń i zdejmuję nogę z hamulca. Przejeżdżam obok budynku, zbyt gwałtownie zmieniam pas i znowu ktoś na mnie trąbi - już trzeci raz tego wieczoru, za każdym razem zasłużenie. Na rogu skręcam w prawo.

Kieruję się z powrotem na autostradę.

Ciężko mi przyznać, nawet samej przed sobą, że mama miała rację. Boję się być sama. I to jedyny powód, dla którego myślę o powrocie do Toma.

Nie kocham go już. Nie chcę życia, które on i ja stworzyliśmy dla siebie. Pragnę czegoś innego. Gdybym teraz wróciła, wieczór byłby cudowny. Może nawet cały następny miesiąc byłby cudowny. Ale w końcu przygasłby blask mojego powrotu i znalazłabym się znowu w punkcie wyjścia, znudzona i rozczarowana, a wtedy albo opuściłabym go znowu - byłoby to o wiele okrutniejsze niż wszystko, co zrobiłam do tej pory, gorsze nawet od tego, co zrobiłam Jacobowi - albo nie opuściłabym go znowu i moje życie utknęłoby w miejscu, które stało się dla mnie za ciasne.

Jadę z powrotem do matki - do miejsca w chwili obecnej najbardziej przypominającego mój dom.

Jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam: ciemno, zimno i pusto. Mamy nie ma.

Przez chwilę siedzę sama w kuchni, użalając się nad sobą. Mam ochotę się rozpłakać. Myślę, że warto zajrzeć do barku. A może zjeść kawałek czekolady?

Potem wstaję, idę na górę i stukam do drzwi pokoju Milтона.

-Co?

Otwieram drzwi.

- Chcę iść do kina. -To idź.

- Chodź ze mną. Co byś chciał zobaczyć?

- Nie chcę iść do kina.

- Możemy obejrzyć jakikolwiek zechcesz kretyński

film fantasy science fiction. Nie obchodzi mnie to. Byle był popcorn i zwiastuny.

Odwraca się do mnie na fotelu.

- Science fiction i fantasy to dwa zupełnie inne gatunki. Science fiction jest oparte na rzeczywistej wiedzy. Jest zazwyczaj futurystyczne, ale ma naukowe podstawy, które już znamy albo przynajmniej możemy sobie wyobrazić, natomiast fantasy...

- Nie obchodzi mnie to. Zajrzyj do Internetu i sprawdź, co grają.

- Mogę na bieżąco oglądać filmy z Internetu na moim komputerze. Czasem z mamą sobie urządzamy wieczór filmowy. Mama robi popcorn w mikrofalówce.

Podchodzę do biurka i pochylam się tak, żeby móc ustawić twarz dokładnie przed twarzą Milтона.

- Jest sprawa, braciszku. Miałam wyjątkowo paskudny weekend. Zerwałam z Tomem i dostałam kosza od... kogoś innego, mam chandrę, jestem znudzona, samotna, na skraju załamania nerwowego i jedyna rzecz, na którą mam ochotę, to pójście do kina, więc raz w swoim ześwirowanym życiu zrobisz coś, czego nie chcesz, jako przysługę dla innej osoby, dla swojej starszej siostry, która cię kocha, która dawała ci butelki z mlekiem i szykowała cię do szkoły, i która, jak wspomniała już wcześniej, miała wyjątkowo gówniany weekend. Kumasz?

Miltonowi opada szczęka. Zamyka usta, ale w jego oczach nadal maluje się niedowierzenie.

- Naprawdę zerwałaś z Tomem? Mama tak mówiła, ale jej nie uwierzyłem.

- Naprawdę.
 - Kurczę! Nigdy nie myślałem, że go zostawisz. Co się stało?
 - Nadszedł już czas, żebym dorosła - powiedziałam. - I zabieram ze sobą twój żaloszny tyłek, czy tego chcesz, czy nie.
 - To znaczy do kina?
 - Na początek - mówię ponuro.
- Następnego ranka budzę się wcześniej. Nie mogę ponownie zasnąć. Idę do kuchni i włączam ekspres do kawy. Wkładam chleb do tosteru, kiedy z garażu wychodzi mama.
- O, cześć - mówi z lekkim zakłopotaniem. Jest ubrana tak samo jak poprzedniego wieczora.
- Unoszę brwi.
- Patrzcie, kto idzie aleją niesławy! -Aleją niesławy?
 - Masz na sobie te same ciuchy co wczoraj wieczorem.
 - Grożę jej palcem. - Nie zaprzeczaj, mamu. Przekimałaś u niego.
 - Młodzież tak teraz na to mówi?
 - Tylko poniżej dziesiątego roku życia. To coś poważnego?
 - Niespecjalnie. - Odkłada torbę i przeciąga palcami po włosach, które wyglądają trochę nieporządnie.
 - Szczerze mówiąc, wczoraj wieczorem trochę za dużo wypiałam i uznałam, że nie powinnam wracać do domu samochodem.
 - Więc... spałaś u niego na sofie?

- Tego nie powiedziałam. - Uśmiecha się i przygląda mi się uważnie. - Jak się miewasz? Dzwoniłam do ciebie wczoraj parę razy, by ci powiedzieć, że nie wracam do domu, ale nie odbierałaś.

- Przepraszam. Wyłączyłam telefon. Byliśmy w kinie.

- My? Czyli kto?

Uśmiecham się.

-Milton i ja.

Mama sięga akurat do drzwi szafki, ale zatrzymuje się z ręką zastygłą w powietrzu.

- Mówisz poważnie? Milton wyszedł z domu, żeby obejrzeć film?

Kiwam głową.

- Byliśmy na „Androidach z Tytana” w General Cinema.

- Jak było?

- Film koszmarne, popcorn świetny, a towarzystwo bardzo przyzwoite.

Ku mojemu zdziwieniu mama rzuca się w moją stronę i obejmuje mnie ramionami.

- Jesteś niewiarygodna - mówi.

- Lepiej sprawdź to słowo w słowniku. Niewłaściwie go używasz.

Odrywa się ode mnie i węszy w powietrzu.

- Boże, robisz kawę! Muszę się koniecznie napić. -Wiruje po kuchni tak jak zwykle: sięga szybko do szafki, potem przechodzi obok mnie w drodze powrotnej do ekspresu, a obfita spódnica pieni się wokół jej nóg.

Wyciągam rękę. Chwytam fałdę jej spódnicy. Trzymam mocno. Mama potyka się i łapie róg stołu, żeby nie upaść.

- Co robisz, Keats? Puść mnie!

- Zawsze chciałam to zrobić - mówię, a potem puszczam fałdę spódnicy i pozwalam jej odfrunąć.

Przez następny tydzień dostaję od Toma mnóstwo smutnych e-maili, kilka SMS-ów i jeden naprawdę chwytający za serce pijany telefon pewnego wieczoru, ale odmawiam spotkania oraz rozmów dłuższych niż minutę czy dwie, aż w końcu przestaje próbować się ze mną kontaktować.

Tymczasem Izzy, która zawsze jest łagodna, współczująca i miła, nazywa mnie w e-mailu „suką bez serca”. Pisze: „Tom przyszedł wczoraj wieczorem i płakał jak dziecko. Myślałam, że Cię znam. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Ale może Ciebie nigdy nie obchodziło żadne z nas. Musisz być dobrą aktorką. Przepraszam, że nie mam ochoty klaskać na tym przedstawieniu”.

Boli, ale niewiele mogę z tym zrobić. Wysyłam jej w odpowiedzi: „Przepraszam. Tęsknię za Tobą”.

Nie odpowiada. Sądzę więc, że straciłam najbliższą przyjaciółkę.

Zostawiłam większość rzeczy w mieszkaniu, dlatego zabieram je któregoś dnia, kiedy wiem, że Tom jest w pracy. Zostawiam wszystko, co było wspólne. Meble, telewizor i sprzęt grający należały właściwie tylko do Toma. Zgodziłam się być częścią jego życia, ale teraz chcę mieć własne.

Tylko nie wiem dokładnie, jakie ono będzie.

Na razie jestem dwudziestopięcioletnią singielką mieszkającą w pokoju swojej starszej siostry i wykonującą pracę bez perspektyw.

Przez kilka dni rozczulam się nad sobą. Potem mam tego dość i postanawiam ulepszyć te elementy mojego życia, nad którymi mam kontrolę.

Pierwszy podjęty przeze mnie krok jest najprostszy. Mówię Miltonowi, że żądam zwrotu mojego pokoju. Pyta, dlaczego nie zostanę w pokoju Hopkins.

- Czy tak nie byłoby łatwiej? - pyta z nadzieją.

- Mój pokój bardziej mi się podoba.

W weekendy mam teraz mnóstwo wolnego czasu, więc następny spędzam na wyrzucaniu śmieci Milтона i wstawianiu jego sprzętu z powrotem do jego pokoju. Później przeglądam wszystkie moje stare rzeczy, odkładając to, co chcę podarować organizacji charytatywnej; jest tam dużo małych upominków, które dostawałam od Toma podczas naszych pierwszych wspólnych lat.

Wrzucam do pudła przeznaczonego na cele dobroczynne małego fioletowego misia, którego dał mi na szesnaste urodziny, kiedy nagle uderza mnie, jak niezwykle dziwne jest to, że facet po dwudziestce ganiał za dużo młodszą dziewczyną. Wtedy byłam tak pewna, że nasza miłość jest epicką Miłością Aż Po Grób, że nigdy nie kwestionowałam różnicy wieku między nami; chciałam tylko, by inni zrozumieli, że nie ma ona żadnego znaczenia.

Ale teraz zastanawiam się: dlaczego ze mną czuł się o wiele lepiej niż z dziewczynami w swoim wieku? Może było w tym coś niewłaściwego?

Przez to wszystko zaczynam myśleć, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie miała ciągle tego samego stałego chłopaka od piętnastego roku życia. Czy poznałabym

więcej ludzi, zdobyła więcej przyjaciół, zaangażowała się bardziej w sprawy szkoły i college'u? Czy tkwiłabym w nudnej pracy i mieszkałabym z rodzicami w wieku dwudziestu pięciu lat? Czy przestałam dojrzewać i stawiać sobie wyzwania z powodu Toma?

Odsuwam te myśli - jaki jest sens zadawać je sobie teraz? - i skupiam się na zaprowadzeniu ładu w moim pokoju. Spokojnie, po jednym naraz. Mały krok do przodu jest lepszy niż żaden. Jeszcze do niedawna przez długi czas nie zrobiłam ani jednego małego kroku.

Kiedy mój pokój jest już uporządkowany, a wszystko w nim spakowane, z wyjątkiem rzeczy, których potrzebuję na co dzień, wchodzę do pokoju Milтона, ignorując jego protesty. Uspokaja się, kiedy obiecuję, że może dalej pracować na komputerze, będę sprzątać wokół niego. Zaczynam opanowywać chaos i nagle Milton przestaje się sprzeciwiać, a nawet przyznaje, że teraz pokój bardziej mu się podoba.

Któregoś dnia go zmuszam, żeby poszedł ze mną do sklepu z wyposażeniem biur kupić regały na akcesoria komputerowe. Nie ma ochoty iść, ale kiedy w końcu tam trafiamy, jest pod wrażeniem wystawionej elektroniki i wcale nie śpieszy się do wyjścia.

Rozpakowujemy nasze zakupy.

- Czy wy naprawdę przywozicie do tego domu jeszcze więcej mebli? - pyta mama. - Teraz, kiedy powinniśmy się pakować?

- To wszystko po to, żeby lepiej się zorganizować, dzięki temu dom będzie wyglądał schludniej i szybciej się sprzeda; pakowanie będzie szybsze, a poza tym to się przyda także i w nowym miejscu.

Zastanawia się przez chwilę, a potem mówi:

- Możesz w następnej kolejności zająć się kuchnią? I w ten sposób, kiedy tylko mam wolne, pracuję nad doprowadzeniem całego domu do porządku. Pomału zaczyna dawać się w nim mieszkać. Wyrzucam ogromne worki wypełnione śmieciami i w każdy weekend robię co najmniej jeden kurs do organizacji charytatywnej z bagażnikiem pełnym ubrań, książek i bibelotów.

Po oczyszczeniu powierzchni i szafek przekonuję mamę, żeby wezwała firmę sprzątającą. Spędzają u nas dziewięć godzin, a po ich wyjściu dom pachnie lepiej niż kiedykolwiek.

Zapomniałam już, jak ogromny jest ten dom, jak wiele w nim kątów, gdzie można się zgubić albo usiąść z książką czy gapić się w okno. Jest mi przez to trochę smutno: zaczynam znowu kochać mój dom właśnie wtedy, kiedy mam stracić go na zawsze.

Milton nadal walczy z tym pomysłem. Bierze sobie dzień wolnego od tego, co nazywa „pracą” (ma to coś wspólnego z projektowaniem gry wideo), żeby sprawdzić, w jaki sposób można zarejestrować dom jako zabytek. Rezultaty nie są zachęcające - nie spełniamy żadnego z kryteriów - ale Milton nadal wysyła e-maile do Departamentu Budownictwa w Massachusetts, a nawet do lokalnej członkini Kongresu, starając się ich przekonać.

Evansowie są zachwyceni efektem mojej pracy.

- Dom wygląda tysiąc razy lepiej - mówi Charlie Evans podczas następnej wizyty. - Czas zrobić dzień otwarty i zacząć go reklamować na cały świat. - W ubiegłym

tygodniu było kilku oglądających, ale na razie żadnych ofert. Są gotowi działać energiczniej.

Charlie pyta, czy mama i ja zechciałybyśmy zjeść kolację z nim i Cameronem, żeby omówić strategię działania i przygotowania do dnia otwartego. Mama oczywiście się zgadza i umawiają się na piątek wieczór. ; - Dlaczego? - pytam po ich wyjściu.

- A dlaczego nie? Powinnaś wyrwać się z domu.

- Mówisz to mnie? Pozwalasz Miltonowi zamknąć się w domu na dwa lata, a mnie od razu nagabujesz, żebym wyszła z domu?

Mama się śmieje.

- Odnoszę wrażenie, że z tobą mam większe szanse na sukces. Poważnie, Keats, powinnaś się bawić.

- To nie jest dobre określenie na kolację z Evansami.

- Cameron jest fajny.

- Nie jest niefajny - przyznaję, a po chwili wstrząsaj ą mną własne słowa. Drażniłam w ten sposób Jacoba tej nocy, kiedy spaliśmy ze sobą. Pomijam to milczeniem, które mama odbiera jako zgodę na nasze plany kolacyjne.

Przez ostatnich parę tygodni odebrałam kilka e-maili od Cathy i spotkałam się z nią raz w biurze. Wydaje się, że spędza z Jacobem sporo czasu. Wciąż mnie zaprasza, żebyśmy poszli gdzieś razem, i chyba naprawdę tego chce, ale zawsze znajduję jakiś powód, żeby odmówić.

Nie chodzi o to, że nie chcę widzieć Jacoba. Chcę. Tęsknię za nim. Teraz, kiedy mój ojciec na dobre wyprowadził się z domu, Jacob nie wpada już do nas i nie było go u taty podczas kilku moich wizyt.

Muszę odrzucać zaproszenia Cathy, bo za nim tęsknię i chcę go zobaczyć. Na razie wygląda na to, że są szczęśliwi razem. Nie chcę wchodzić im w drogę. Poza tym cały czas jest we mnie ten samolubek, który chce, żeby ich związek się nie udał, i nadal pragnie mieć Jacoba dla siebie. Więc byłoby źle, gdybym usiadła naprzeciwko nich przy kolacji, skrycie knując przeciwko ich szczęściu.

Mama i ja idziemy na kolację z Evansami, ojcem i synem. Mama ma na sobie ładną niebieską bluzkę z jedwabiu i biało-czarną spódnicę. Ja włożyłam džinsy i top.

- Jesteś pewna, że to wystarczy? - pyta, kiedy widzi mnie przy drzwiach do garażu.

- Może być.

Restauracja specjalizuje się w stekach, jest skąpo oświetlona i droga; kiedy tylko kelnerka podaje nam karty, Charlie Evans przechyla się przez stół i mówi z pańska:

- Zamawiajcie, na co macie ochotę! My płacimy! Jeśli spojrzę na mamę, to wybuchnę śmiechem, więc

uporczywie wpatruję się w menu i opanowuję drżenie ust.

Panowie zamawiają martini i steki. Mama i ja po kieliszku wina i sałatce.

Z początku rozmowa toczy się na tematy ogólne i dotyczy głównie rynku nieruchomości, ale w pewnej chwili Cameron zwraca się bezpośrednio do mnie i od tej pory prowadzimy dwie odrębne konwersacje, co mi nie przeszkadza. Wolę Camerona niż jego ojca - czasami pod gładką okleiną nadal można dojrzeć w nim człowieka, w ojcu zaś widać tylko okleinę.

Ciekawi go, dlaczego wróciłam do domu po tylu latach mieszkania osobno. Wyjaśniam, że chciałam pomóc mamie przygotować dom do sprzedaży i że mój „poprzedni układ mieszkaniowy” niespodziewanie się rozleciał.

Nie mam ochoty wdawać się w szczegóły na ten temat.

- Czy wiesz już, gdzie będziesz mieszkać po sprzedaży domu?
Z mamą?

- Sądzę, że prawdopodobnie poszukam czegoś własnego.

- Mogę ci pomóc w znalezieniu mieszkania.

- Dzięki, może skorzystam.

- Jaka okolica cię interesuje?

- Jeszcze o tym nie myślałam.

- W samym Bostonie? Czy bardziej na obrzeżach?

- Nie jestem pewna.

- Wolisz stare budownictwo czy nowe?

- Właściwie wszystko mi jedno.

- Chcesz, żeby był portier?

- Jest mi to obojętne.

- A jeśli chodzi o basen albo siłownię?

- Byłoby miło, ale nie jest to konieczne. Naprawdę, wystarczy mi coś porządnego i w rozsądnej cenie.

Patrzy na mnie i zdezorientowany marszczy czoło, jakby nie mógł pojąć, że komuś jest obojętne, gdzie zamieszka. Potem nie wie już, co powiedzieć, więc w milczeniu słuchamy rozmowy naszych rodziców.

Mama i ja nie decydujemy się na deser ani kawę i szybko wracamy do domu.

- W tych Evansach nie ma nic złego - mówi mama po drodze.

- Ale też nie ma w nich nic szczególnie ciekawego.

- Mam nadzieję, że dasz mi spokój z Cameronem. Spróbowałam. Nie zaiskrzyło.

Mama przytakuje, po czym wzdycha.

- Chyba zaczyna mnie męczyć całe to randkowanie.

- Naprawdę? Myślałam, że się bawisz jak nigdy w życiu.

- Przez chwilę było zabawnie. Teraz chcę po prostu znaleźć kogoś, na kogo mogłabym liczyć w kwestii spędzania sobotnich wieczorów. Co za dużo, to niezdrowo.

- Masz pod ręką jakiegoś kandydata na sobotnie wieczory?

- Nie bardzo. Paul i Irv są w porządku, ale to nie są mężczyźni moich marzeń.

- Kiedyś mówiłam, że Tom jest mężczyzną moich marzeń. Może to zła koncepcja. Kto by to udźwignął?

Następnego dnia Rochelle mówi, że musi ze mną porozmawiać. Idę do jej biura, które mieści się w prawdziwym pokoju, nie w takim kubiku jak moje.

- Pewnie znienawidzę sama siebie za to, że ci to powiem - mówi, podnosząc wzrok znad biurka. - Ale słyszałam o całkiem fajnej pracy, która pewnie by ci odpowiadała. Właśnie wysyłam ci informacje.

- Czy to miły sposób na oznajmienie mi, że tracę posadę?

- To nie jest zabawne. Proszę, powiedz, że cię to nie interesuje, a będę zachwycona.

- Przeczytam najpierw pani e-mail.

- Już tego żałuję - mówi, kiedy wychodzę.

Ma więcej powodów do żalu, kiedy tydzień później wręczam jej wypowiedzenie. Miała rację: ta oferta mi odpowiada, dotyczy pracy łączącej redagowanie tekstów ze sprzedażą w międzynarodowym wydawnictwie czasopism. Siedziba główna znajduje się w Bostonie, ale mają oddziały na całym świecie i prawdopodobnie będę dużo podróżowała. Spodobał mi się zarówno facet, który prowadził rozmowę kwalifikacyjną, jak i kilkanaście dość młodych osób, którym mnie przedstawił w biurze. Sądzę, że ja też się im spodobałam, bo następnego dnia dostałam propozycję zatrudnienia.

Wydawane przez nich magazyny dotyczą niemal wszystkich dziedzin; gdy Hopkins dowiaduje się o mojej nowej pracy, informuje mnie, że jest członkiem zespołu redakcyjnego pięciu z ich czasopism neurologicznych.

Kiedy mówię o tym tacie, odpowiada ponuro:

- Wydawnictwa to martwy przemysł. Równie dobrze mogłabyś zostać asystentką alchemika.

- Właśnie to jest świetne w tej firmie - mówię. - Publikują w Internecie nawet więcej niż w druku.

- I to ma sprawić, że ich polubię? Kiedy mówię o tym mamie, pyta:

- Będiesz dużo podróżować służbowo? Zazdroszczę ci. Chciałabym podróżować.

- A co cię powstrzymuje? - pytam.

Kiedy oznajmiam Rochelle, że odchodzę, wyrywa jej się szczerze:

- Cholera! Tego się obawiałam.

- Przykro mi, ale dziękuję, że pani mi o tym powiedziała. Naprawdę bardzo się cieszę, że spróbuję czegoś nowego.

Kiwa głowa i wzdycha. - - Czułabym się tak samo, gdybym była na twoim miejscu.

Kiedy mówię swojemu chłopakowi o nowej pracy... Żartuję. Nie mam chłopaka, któremu mogłabym o tym powiedzieć.

Rozdział 20

W tym samym tygodniu, w którym odchodzę z pracy (i uczestniczę w naprawdę żalosnym przyjęciu pożegnalnym - to ja zawsze byłam osobą, która organizowała takie imprezy, nikt inny nie wie, jak się tym zająć; ciasta jest za mało i nie ma nic do picia), nasz dom kupuje czteroosobowa rodzina. Od razu sprowadzają architekta. Z tego, co udaje mi się podsłuchać, wynika, że nowi lokatorzy planują przewrócić wszystko do góry nogami.

Niedługo później Charlie Evans zabiera mamę na oglądanie mieszkania w Bostonie, a ona zakochuje się w nowiutkim budynku z widokiem na ocean.

- Mają jeszcze na sprzedaż mieszkania z dwiema i trzema sypialniami - opowiada mi, kiedy razem przeglądamy katalog w kąciku jadalnym.

- I co o tym myślisz?

- Nie wiem. - Odkłada pismo i sadowi się wygodnie, przesuwając palcem tam i z powrotem po krawędzi stołu. - Oczywiście największym problemem jest Milton. Nie wiem, co z nim zrobić, chociaż dzięki tobie radzi sobie teraz o wiele lepiej. Ile razy w tym tygodniu udało ci się namówić go do wyjścia z domu?

- Trzy razy od ubiegłej niedzieli. Postawiłam sobie za punkt honoru, żeby wychodził z domu codziennie, nawet na kilka minut.

- Świetnie. Tak czy owak, nie sądzę, żeby potrzebował mnie tak bardzo jak kiedyś. Ale z drugiej strony nie jest jeszcze gotów być zupełnie sam. Więc pewnie zostaniemy razem. - Przekrzywia głowę i spogląda na mnie. - I jesteś jeszcze ty...

- To ten mniejszy problem?

- Musisz znaleźć mieszkanie. Idealnie się złożyło - mamy całe mnóstwo mebli, których trzeba się pozbyć. Możesz wziąć, co tylko zechcesz. Plus wszystko to, co sobie wybrałaś.

Ekipa sprzątajaca strąciła zakurzone samoprzylepne karteczki, które umieściliśmy na meblach. Ale nie ma to żadnego znaczenia. Pamiętam, kto co dostał.

- Mam pomysł - mówię nagle. Od pewnego czasu zastanawiam się, czy będę żałowała wyrażenia go na głos, czy nie. - A gdybyśmy znaleźli sobie mieszkanie we dwójkę, ja i Milton? Gdzieś w centrum, gdzie kręci się dużo młodych ludzi, żeby mógł wychodzić do restauracji i sklepów? Tak jak powiedziałaś, ostatnio tak dobrze sobie radzi... nie chciałabym, żeby się cofnął.

- Co jest możliwe, jeżeli zamieszka ze mną - przyznaje ze smutnym uśmiechem mama.

- Sama mówiłaś, że jestem właściwie jedyną osobą zdolną zmusić go do czegokolwiek.

-Ale mieszkać z nim... nie mogę prosić cię o tak wiele, Keats.

- Nie prosisz mnie, tylko ja proponuję. Nie robię

tego tylko dla Milтона. Po prostu nie podoba mi się perspektywa życia w samotności. - Nie mogę znieść myśli o samotnych wieczorach. Pewnie skończyłoby się na tym, że spałabym przy zapalonych lampach, bojąc się każdego szmeru. - I nie zamierzam się nim opiekować, mamó. Będziemy mieszkać razem, ale oczekuję, że będzie sobie sam prał, zmywał, gotował i tak dalej.

- Życzę powodzenia.

- Mamó, on to wszystko potrafi. Ale skoro zawsze robiłaś to za niego, nawet nie próbował.

Wzrusza ramionami.

- Zawsze było więcej zachodu ze zmuszeniem go do czegoś niż ze zrobieniem tego samemu.

- O, przy mnie nie będzie miał wyboru.

- Mimo wszystko na pewno będą z nim jakieś kłopoty. A ja nie chcę, żebyś musiała borykać się z nimi całkiem... - Przerywa. - Czeka! Mam idealne rozwiązanie! Może kupilibyśmy mieszkania w tym samym budynku? W ten sposób będziemy prowadzić osobne życie - obiecuję się nie wtrącać - ale w razie czego będę pod ręką.

- Przecież chcesz mieszkać tutaj. - Stukam palcem w katalog.

- Myślę, że Milton i ja powinniśmy zamieszkać gdzieś, gdzie można wyjść i pospacerować po okolicy.

Mama odsuwa katalog.

- Zamieszkać, gdzie zechcesz. Keats, to naprawdę ma sens. Jeśli będziesz musiała wyjechać służbowo, zajrzę do Milтона, a kiedy ja będę musiała wyjechać w podróż

- hm, nie „musiała”, tylko „chciała” - będziesz odbierać pocztę i opiekować się moim mieszkaniem.

Nie mogę uwierzyć, że się na to decyduję. Przez ostatnie dziesięć lat starałam się odizolować od mojej rodziny, a teraz zgadzam się z nią zamieszkać.

Najciekawsze jest to, że ta myśl wcale mnie nie przeraża, a nawet wydaje się całkiem kusząca.

- Jeszcze jedna sprawa - mówię. - Skoro mamy zamiar zamieszkać pod jednym dachem... Obiecuję, że nie będę cię oceniać, jeśli co wieczór będę spotykać cię w korytarzu z innym facetem, a ty musisz obiecać mi...

- To samo? Tak będzie sprawiedliwie.

- Nie. Ze wykażesz się tolerancją, jeśli będziesz widywać mnie co wieczór z tym samym facetem.

Przeszywa mnie przenikliwym wzrokiem.

- Masz konkretnie kogoś na myśli, Keats?

- Niestety nie. Mam tylko nadzieję na lepszą przyszłość.

- Umawiaj się na randki - radzi. - Poznawaj dużo nowych ludzi. A potem następnych.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Moja koleżanka Zinnia mówiła, że jej syn właśnie zerwał z dziewczyną. Mogę jej powiedzieć, żeby do ciebie zadzwonił?

Marszczę nos.

- Czy on też ma imię pochodzące od nazwy kwiatu? Mama jest raczej pewna, że nie, ale nie może sobie przypomnieć jego imienia.

Idę więc na randkę z synem Zinnii o imieniu Conrad, które nie pochodzi od kwiatu, ale właściwie jest jeszcze gorsze. Conrad studiuje kręgarstwo i od razu proponuje, że nastawi mi kręgosłup.

Nie zadaje ani jednego pytania o mnie, przechodzi od jednego monologu do drugiego, z wielką powagą prawiąc coś na temat (między innymi) orzeszków z przyprawami, męskich szalików i byłych dziewczyn.

Cieszę się, że umówiłam się z nim tylko na drinka, a nie na kolację, bo jestem zdecydowana wyjść jeszcze przed dopiciem pierwszego kieliszka wina.

- Próbowałam - mówię do mamy, kiedy wracam do domu przed dziewiątą.

- O nic więcej cię nie proszę - mówi. Sama właśnie wychodzi na późną randkę z Paulem Silvestrim. - Nie chodzi o to, żeby natychmiast znaleźć idealnego faceta, tylko żeby się zorientować, co jest w ofercie.

- Ta oferta mnie przygnębiła.

- Próbuj dalej. Tymczasem czeka cię pakowanie.

Teoretycznie mam wolne pomiędzy starą a nową posadą, ale ciężko pracuję, żeby przygotować nas do przeprowadzki.

Pracuję również nad codziennym wyciąganiem Miliona z domu. Jeżeli nie idziemy po sprawunki w ciągu dnia, wymyślam coś ciekawego na wieczór. Chodzimy na kolacje, na mrożony jogurt, do biblioteki w dni, kiedy jest czynna do późna, albo do Gap, żeby kupić mu nowe dżinsy i koszule, których koniecznie potrzebuje.

Najpierw wymyślam wszystko sama, a potem przymilaniem i groźbami zmuszam go do wyjścia. Po pewnym czasie

sam zaczyna zgłaszać propozycje wycieczek, na przykład wyjazd w celu obejrzenia apartamentowca, w którym wkrótce zamieszkamy - świeżo odnowionego budynku położonego pomiędzy Central Square a Harvard Square. Innego dnia prosi, żebym zabrała go do sklepu z komiksami w Brookline, gdzie wdaje się w namiętną dyskusję na temat Jonah Hexa z pracującym tam chłopakiem. Chłopak ma jasne włosy i niebieskie oczy, ale poza tym przypomina Milтона - ma podobnie bladą cerę, zgarbione plecy i można odnieść wrażenie, że przez długi czas mieszkał pod ziemią.

- Powinniśmy jeszcze kiedyś tu przyjechać - mówi Milton, kiedy wychodzimy ze sklepu.

- Powinieneś nauczyć się jeździć samochodem, to będziesz mógł pojechać sam, kiedy będę w pracy.

- Są też autobusy, sprawdziłem w Internecie. Kiedy się przeprowadzimy, będziemy mieli naprawdę blisko do przystanku.

- Wiem. Między innymi to mi się podoba w nowym mieszkaniu.

- Hej - mówi. - Tak sobie myślę... Chciałbym zobaczyć mieszkanie taty. Bo jeszcze tam nie byłem.

Planujemy więc wizytę u taty na następny dzień. Kiedy mama się o tym dowiaduje, mówi, że ma dla niego kilka pudeł.

- Wątpię, czy on w ogóle coś z tego zechce, choć to jego rzeczy - przyznaje, taszcząc karton przez kuchnię - ale nie rozumiem, dlaczego ja mam decydować, co z tym zrobić. - Kładzie pudło na blacie i przerywa na chwilę, by złapać oddech. - Pewnie każe Jacobowi się tym zająć. Ale jemu przynajmniej płaci, a mnie nie.

- To prawda. - Siedzę w kątku jadalnym, smarując ryżowy krążek masłem orzechowym i dżemem. Przestaliśmy gotować cokolwiek na kolację i staramy się zużyć przed wyprowadzką wszystkie zapasy z kredensu.

- A skoro mowa o Jacobie...

- Tak? - mówię, bo mama przerywa.

- Zastanawiam się tylko... Jak to się wszystko ułożyło?

- Nie ma o czym mówić. - Cieszę się, że mama nie wie o mojej wizycie u Jacoba. - Szczerze mówiąc, Jacob spotyka się teraz z moją koleżanką Cathy. Wygląda na to, że dobrze się im układa.

- A ona jest dla niego odpowiednią osobą?

- Jest świetna - mówię z przekonaniem.

- Słuchaj - mówi mama. - Chcę, żeby wszyscy przyszli na ostatnią kolację w starym domu, twój ojciec też. Oczywiście wszystko zależy od tego, jakie plany ma Hopkins...

- Oczywiście.

- W każdym razie chciałam cię spytać, czy mogę zaprosić Jacoba? Czy nie będziesz się czuła niezręcznie?

- Nie ma problemu - mówię z lekkością, której nie czuję. - Naprawdę powinien przyjść, tyle dla nas zrobił. - Przez chwilę walczę ze sobą; moja szlachetna strona wygrywa. - I powiedz mu, żeby przyprowadził Cathy. Sądzę, że to poważny związek.

- Chciałabym ją poznać.

- No to masz szansę.

- I naprawdę ci to nie przeszkadza?

- Mamo - mówię z wymuszonym śmiechem. - Nie z nim mieszkałam przez dziesięć lat. Byłabym przerażona, gdybyś zaprosiła Toma. To byłoby niezręczne. Ale Jacob

jest tu zawsze mile widziany. To, co się zdarzyło, nie miało aż tak wielkiego znaczenia. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam. - Było w tym kilka prawdziwych zdań i może jedno czy dwa kłamstwa.

- Dobrze. - Mama podnosi pudło. - Nie martw się. Nie zaproszę Toma.

- Ani przez sekundę nie pomyślałam, że to zrobisz. Mama opiera karton o biodro.

- Wiesz, Keats, martwiłam się, że polecisz z powrotem do Toma w pierwszej chwili, kiedy poczujesz się samotna albo znudzona. Ale wytrzymałaś. Jesteś otwarta na nowe znajomości i nie rozpaczasz ani nie użalas się nad sobą. Dla Milтона jesteś dobrą siostrą, a dla mnie cudowną córką. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Myślę o pierwszym weekendzie po zerwaniu. Popędziłam wtedy do Jacoba, a kiedy moje plany legły w gruzach, pojechałam pod dom Toma i powstrzymałam się w ostatniej chwili. Nie jestem ani odrobinę tak twarda ani mądra, jak widzi mnie mama. Jedno słowo ze strony Jacoba, o jedną myśl mniej w samochodzie i mama by mi teraz nie gratulowała, tylko z ubolewaniem kręciła głową.

Najwyraźniej potknęłam się albo zostałam popchnięta po to, żeby dokonać właściwych wyborów. Okazuje się, że nie mogę zbyt ufać swojemu rozsądkowi.

Jeśli sądziłam, że tato wyda okrzyk zaskoczenia i radości na widok Milтона w drzwiach swojego mieszkania, czekało mnie rozczarowanie.

- A, jest i Milton - mówi tak spokojnie, jakby syn odwiedzał go codziennie. Kiedy wchodzimy, klepie

nas po ramionach i proponuje pół muffinki pozostałej ze śniadania. - Obawiam się, że nie mam nic innego. Jacob pójdzie po zakupy do supermarketu jutro rano.

- A co u niego słyhać? - pytam jak gdyby nigdy nic, kiedy siadamy wokół stolika do kawy. Tato przytył trochę przez ostatni miesiąc i brzuch znowu wylewa mu się ponad paskiem od spodni, co nie jest korzystne dla jego serca. To by było na tyle, jeśli chodzi o nadzieje mamy, że tata zacznie ćwiczyć i utrzyma szczupłą figurę.

- Wszystko dobrze. Zamierza skończyć do grudnia pracę doktorską, więc ciężko pracuje i nie pokazuje się tak często jak dawniej. Ale współpracujemy całkiem skutecznie za pomocą e-maili. Nadal jest najlepszym researcherem, jakiego znam.

- Poznałeś jego dziewczynę?

- Jacob ma dziewczynę?

- Naprawdę? - pyta Milton. - Nie powiedziałaś mi, Keats. Jaka ona jest?

- Miła. Czekaj, tato, przecież ją poznałeś! Zupełnie zapomniałam. Była na mojej urodzinowej kolacji. Cathy. Z rudymi włosami.

- A, tak. Taka wychudzona.

Mój ojciec opisuje ludzi właśnie w ten sposób. -Tak.

- Nie wspominał o niej.

Ogarnia mnie dziwne zadowolenie. A więc Cathy nie wkroczyła jeszcze w tę część jego życia. Oczywiście wcale nie uważam, że nie ma do tego prawa, tylko... po prostu się cieszę. Tym bardziej że moja radość nikogo nie rani.

Rozdział 21

Z początku Hopkins oświadcza, że jest zbyt zajęta, by w ogóle przyjechać tego lata do Bostonu, ale mama tupie nogą i mówi jej, że nie ma wyboru. Raz w życiu ogarniają nostalgia i koniecznie musi zobaczyć nas wszystkich w starym domu po raz ostatni. Hopkins skarży się do mnie na mamę w swoich e-mailach, ale w końcu pisze, że może przylecieć w sobotę - naszą ostatnią sobotę w domu przed czwartkową wyprawą.

Ponieważ spakowałyśmy już rzeczy z jej pokoju i wyrzuciłyśmy ten koszmary materac, Hopkins zamierza zatrzymać się u taty. Przyjeżdżają, kiedy razem z mamą wnosimy do domu włoskie jedzenie, które wybrała na kolację. Biegnę na górę, by powiedzieć Miltonowi, że wszyscy już są. Kilka minut później mój brat przychodzi do kuchni.

Hopkins mierzy wzrokiem jego ubranie: dżinsy, buty i zapinaną koszulę.

- No proszę - mówi. - Jesteś przedstawicielem gatunku ludzkiego.

- No może... - Siada obok taty w kącie jadalnym. Śmieje się.

Spotkania w rodzinnym gronie odbieram teraz zupełnie inaczej. Bez trudu znajduję porozumienie, a nawet dobrze się bawię.

Zawsze myślałam, że Tom chroni mnie przed członkami mojej rodziny, i w pewnym sensie tak było, ale tylko dlatego, że tworzył mur pomiędzy mną a nimi. Teraz, kiedy stoję w kuchni i nalewam wino do plastikowych kubków, bo kieliszki są spakowane, znowu czuję się dobrze z moją rodziną. Wiem, że moi bliscy są kompletnie zwariowani. To się nie zmieni. Ale mój dom jest tam, gdzie są oni.

- Dobrze cię widzieć tu na dole. - Tato klepie Milтона po ramieniu.

- Mhm - mówi Milton. - Co mamy na kolację?

- Makaron - mówi mama. - Ale poczekamy z jedzeniem na Jacoba.

- Mogę dostać trochę wina? - pyta Milton. - Za trzy miesiące skończę dwadzieścia jeden lat.

- Już myślałam, że nigdy nie poprosisz - mówi mama i nalewa odrobinę do małej szklaneczki. - Spróbuj i powiedz, co o tym myślisz.

Mój brat wypija łyk, krzywi się i odstawia kieliszek.

- Chciałem się napić wina, bo właściwie coś świętuję.

- Co? - pytam.

- Wygrałem coś.

- Co?

Nie patrzy na nikogo z nas i tylko się uśmiecha.

- Konkurs na projekt gry. To jest super, bo te prace oglądają i oceniają profesjonaliści, a jeden z nich chce się ze mną spotkać i porozmawiać o tym, co robię. - Trąca

mnie w ramię. - O konkursie powiedział mi ten gość ze sklepu z komiksami.

- Tak? - Byłam tam cały czas i nie słyszałam ani słowa o konkursie. - Kiedy?

- Piszemy do siebie.

- O, to świetnie.

- Wymyśliłem tę grę dawno temu, ale potem, kiedy dowiedziałem się o konkursie, zacząłem nad nią pracować bardzo intensywnie, żeby zdążyć na czas.

- Wspaniała wiadomość! - Mama promienieje.

- Tak, no wiesz, ja mam jeszcze lepszą - mówi Hopkins, unosząc wzrok znad swojego telefonu. - Chciałam wam to powiedzieć osobiście. Jeden z moich pacjentów chce ofiarować szpitalowi ogromne pieniądze, pod warunkiem że nazwą moim imieniem salę konferencyjną.

Na chwilę porywa mnie fala znajomych odczuć: podziwu zmieszanego z zazdrością, że Hopkins jest taka niezwykła, a ja nie. Ma dopiero trzydzieści lat, a już doczekała się sali nazwanej jej imieniem. Zanim skończy czterdzieści, pewnie nazwą jej imieniem skrzydło szpitala, a jeszcze przed pięćdziesiątką - cały szpital. Do końca życia będę siostrą sławnej Hopkins Sedlak i prawdę mówiąc, nie wiem, czy mam się z tego powodu cieszyć, czy smucić.

Spoglądam na Milтона i widzę, jak pochmurnieje. Ogarnia mnie inne uczucie. Irytacja.

Dlaczego Hopkins nie może po prostu pozwolić zabłysnąć Miltonowi? Dlaczego musiała przyćmić jego sukces? On nigdy nam się nie chwali. Ona robi to zawsze.

Tato wydał cichy okrzyk zachwyty po słowach Hopkins. Reakcja mamy jest o wiele bardziej stonowana.

- To świetnie - mówi sucho, po czym odwraca się do syna. - Milton, chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej grze. Czy to wyłącznie twój projekt?

-Tak.

- Są tam zwierzęta? - pytam. - Ta gra jest miła czy okrutna?

- W pewnym sensie i taka, i taka.

- Proszę, powiedz, że to nie jedna z tych, w których ludzie do siebie strzelają - mówi mama.

- Tylko trochę- mówi Milton. Uśmiech wrócił mu na twarz. Hopkins przenosi uwagę z powrotem na blackberry i wygląda na nieco zirytowaną tym, że jej obwieszczenie nie wzbudziło wielkiego poruszenia.

Milton opisuje grę - park rozrywki w stylu Disneylandu zostaje przejęty przez istoty pozaziemskie, więc jego administratorzy muszą zorganizować obronę i walczyć... - i wtedy rozlega się dzwonek do drzwi.

- To pewnie Jacob! - mówi wesoło mama i spogląda na mnie. Od powrotu do domu zostałam oficjalnym odźwiernym, bo Milton nie zwraca uwagi na dzwonek, a mamie nie chce się wstawiać.

Podnoszę się i wychodzę z kuchni.

Przed otwarciem drzwi biorę w holu głęboki oddech.

Tak, to Jacob. Ale tylko on. Nie ma Cathy.

- Cześć - mówię. Cofam się, żeby go wpuścić, tworzę między nami przestrzeń; nie jestem już pewna, jak go powitać, nie wiem, czy mój uścisk byłby mile widziany.

- Cześć. - Wchodzi, ale staje niepewnie przy drzwiach. - Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem. Tę dziewczynę o dziwnym imieniu. Keats czy jakoś tak. Ona mnie chyba nie pamięta. To było dawno.

Przewracam oczami.

- To było jakiś miesiąc temu, Jacob.

- A wydaje się, że dawniej. - Wyciąga rękę. — Miło cię widzieć, Keats.

- Ciebie też. - Potrząsam jego dłonią. Oboje pochylamy się do przodu, a ja całuję go lekko w policzek i zapraszam gestem do środka. - Wszyscy są w kuchni. Chodź.

- Poczekaj. - Na chwilę zatrzymuje wzrok na mojej twarzy. - Póki jesteśmy sami, chciałbym tylko szybciotko powiedzieć „przepraszam”.

- Za co mnie przepraszasz?

- Wiesz za co. - Wsuwa rękę do kieszeni. - Kiedy widywaliśmy się ostatnio... nie byłem dla ciebie zbyt miły.

Mogłabym teraz powiedzieć różne rzeczy, ale decyduję się na szczerłość.

- Nie powiedziałaś nic, co byłoby nieprawdą. Zachowałam się okropnie.

- Byłaś w trudnej sytuacji. Powinienem być wykazać więcej zrozumienia.

- Dzięki. To duża ulga.

- No tak. - Następuje pauza. - To wszystko. Chciałem oczyścić atmosferę, żebyśmy mogli znowu być przyjaciółmi. Chcę, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi, Keats.

- Ja też. Bardzo. - Przez chwilę stoimy w milczeniu.

Potem mówię cicho: - Tęskniłam za tobą. - Szybko idę do kuchni, nie patrząc mu w oczy.

Jemy kolację na papierowych talerzach w jadalni opróżnionej ze wszystkiego oprócz stołu i krzeseł, które mama zabiera do swojego nowego mieszkania.

Makaron szybko znika z talerzy.

- Nie mogę uwierzyć, ile rzeczy spakowała pani od czasu, kiedy byłem tu ostatni raz, Eloise - mówi Jacob. - Chyba jest już pani gotowa do przeprowadzki.

- To zasługa Keats - odpowiada mama. - Pracuje jak szalona. Moja rola polega na robieniu jej kawy, żeby nie traciła energii.

Unoszę ręce.

- Widzisz? Odciski pakowaczki.

- Od pakowania nie dostaje się odcisków - mówi Hopkins.

Czy moja siostra myśli, że jestem kompletną kretynką?

- Wiem. Tylko żartowałam.

Wzrusza ramionami i odsuwa swój talerz - jak zwykle ledwie skubnęła jedzenie - a potem prostuje się w nagłym przypiływie energii.

- O Boże, nie mogę uwierzyć, że ci jeszcze tego nie powiedziałam, Keats! Twój były dzwonił do mnie któregoś dnia.

- Chwileczkę... co? Mówisz o Tomie?

Kiwa głową i odchyła się do tyłu w krzesło. Wszyscy wlepiają w nią spojrzenia. Przychodzi mi na myśl, że moja siostra zawsze potrafi pokierować sytuacją tak, by znaleźć się w centrum uwagi. Zawsze myślałam, że nie robi

tego celowo, a składane jej hołdy są oczywistym dowodem uznania jej zasług i licznych talentów. Tymczasem Hopkins po prostu ani przez chwilę nie może pozostać w cieniu; wymusza podziw.

- Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam ci powiedzieć! Prosił, żebym porozmawiała z tobą w jego imieniu. Bardzo dziwne, prawda? Powiedział, że wie, że nie spędzałyśmy ze sobą zbyt wiele czasu, ale że zawsze ceniłś moje zdanie - swoją drogą dzięki, jestem zaszczyczona - i że gdybym ci powiedziała, że powinnaś do niego wrócić, to poważnie byś się nad tym zastanowiła.

Chowam twarz w dłoniach.

- O Boże! Przepraszam cię.

- Nie czuj się skrzępowana z tego powodu, Keats. Szczerze się ubawiłam. Naprawdę rewelacyjnie sobie pogadaliśmy. Powiedziałam mu, że jeśli chce, żebym cię do niego przekonała, musi najpierw przekonać mnie do siebie, a to nie będzie dla niego łatwe. Padło całe mnóstwo słodkich słówek o tym, jak bardzo cię kocha, że żaden facet nie pokocha cię tak jak on... aha, i obiecał mi, że jeśli przyjmiesz go z powrotem, w przyszłości nigdy więcej nie będzie molestował małych dziewczynek...

Unoszę głowę.

- To nie jest śmieszne.

- Przecież tylko żartuję. Ale cała reszta to prawda. Przysięgam. Mówił też, że...

- Nie chcę tego słuchać. Poważnie, Hopkins. To, co mówisz, jest dla mnie bardzo bolesne. Nie chcę się nabijać z Toma.

- Nie powiedziałam mu nic przykrego! Byłam wprost

niewiarygodnie miła. Pozwoliłam mu mówić przez jakieś dwadzieścia minut. Robiłam nawet notatki. - Zaczyna naciskać klawisze telefonu.

- Błagam, czy możemy porozmawiać o czymś innym?

- Nie, nie, zaczekaj chwilę. - Hopkins marszczy czoło, wpatrując się w ekran. - Obiecuję, że naprawdę będzie warto. Chcę się upewnić, że dobrze to powtórzę. Zdaje się, że w pewnej chwili zrymował „konstytucyjny” z „masturbacyjny”...

- Zamknij się, Hopkins!

Ktoś inny to powiedział, nie ja. Odwracam się zdumiona. Ludzie nie mówią w ten sposób do Hopkins. Ale Jacob właśnie to zrobił. Hopkins unosi wzrok znad telefonu.

- Och, daj spokój - mówi. - To też był żart. To chyba jasne. Keats, przeczytam ci kilka jego autentycznych tekstów. ..

- Keats prosiła cię, żebyś przestała. Więc przestań -mówi Jacob.

- Był chłopakiem Keats jakieś trzy miliardy lat, prawda? Nie wiem, dlaczego nagle przestała się nim interesować.

- To nie jest śmieszne - mówię. - Współczuję mu. Przykro mi, że cię niepokoił, ale proszę, nie kpijmy już z niego.

Hopkins szeroko otwiera oczy - z tymi wielkimi oczami, kanciastą twarzą i włosami tak mocno odgarniętymi dziś z czoła i skroni wygląda w tej chwili jak salamandra.

- To on zadzwoni! do mnie. A skoro już musiałam wysłuchać łzawych lamentów twojego kretyńskiego byłego, niech mam z tego przynajmniej trochę radości.

Patrzę na Hopkins w osłupieniu. Moja starsza siostra była dla mnie niedoścignionym ideałem na każdym etapie mojego życia. Za wszelką cenę starałam się zwrócić na siebie jej uwagę, pragnęłam jej pochwał. A ona zachowuje się jak świnia.

- Jeśli nie zamierzasz przestać, to ja wychodzę - mówię i wstaję.

Tato zwraca się do mamy:

- Jak to miło, że dziewczynki sprzecniają się jak nastolatki. Znowu czuję się młody.

- Zachowałeś się bardzo szlachetnie - mówi mama w zamyśleniu, patrząc na mnie. - Siadaj, Keats.

- Jeśli ona będzie dalej to ciągnąć...

- Nie będzie. - Mama odwraca się do Hopkins. - Wystarczy. Nikogo to nie bawi.

- Mnie bawi, i to bardzo. Powinnaś mi być wdzięczna, mamo. Od dziesięciu lat narzekałaś, że musisz znosić jego nudne, kretyńskie opowieści na rodzinnych obiadach.

Matka unika mojego wzroku. Przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

- On jest wam winien jakąś rozrywkę. Słuchajcie, tylko posłuchajcie tego. - Hopkins patrzy na blackberry. - Przysięgam, że to są wszystko dosłowne cytaty. „Keats była moim wszechświatem... Sprawiała, że warto było żyć”. - Unosi głowę. - Wiem, wiem, że to frazesy, ale nie oceniamy go zbyt surowo. Przecież to słowa prosto z serca. O, a potem powiedział...

Dwa krzesła odsuwają się jednocześnie. Jedno z nich należy do mnie. Drugie do Jacoba.

- Czekał, Keats. Idę z tobą - mówi Jacob, kiedy zmierzam do drzwi.

- O co macie pretensje? - pyta Hopkins tonem pokrzywdzonego dziecka. - Okej, dobra, przestaję.

Ale i tak wychodzę, bo czuję się dobrze, pokazując w ten sposób, co o niej myślę. Czuję się dziwnie silna.

A poza tym... Jacob wychodzi za mną.

Idę więc aż do schodów, na górę i dalej słabo oświetlonym korytarzem - dobrze, że Milton zostawił otwarte drzwi do swojego pokoju i zapalone światło, bo bez tego byłoby trudniej się poruszać - a potem znowu po schodach na strych, gdzie jest ciemno choć oko wykol. Na szczycie schodów macam na ślepo po ścianie w poszukiwaniu włącznika.

Panuje taki mrok, że Jacob na mnie wpada.

- Przepraszam - mówi szybko i cofa się o jeden stopień. - Nie wiedziałem, że się zatrzymałaś.

- Próbuję zapalić światło. - W końcu trafiam na włącznik. Wchodzę do pokoju, a Jacob za mną.

- No, nieźle - mówi, rozglądając się dookoła. - Aleś tu posprzątała. - Tam gdzie kiedyś leżały sterty książek i czasopism, stare kubki wypełnione zepsutymi długopisami oraz częściowo wykorzystane notesy, stoi teraz tylko kanapa, biurko i puste regały. Porządkowanie tego pomieszczenia zajęło mi trzy dni.

- Cieszę się, że pakowanie jest już prawie skończone. Mam serdecznie dość segregowania śmieci z dziesiątek lat. - Siadam na kanapie.

- Sprzątanie bałaganu po rodzinie to chyba spora część twojego życia - mówi Jacob.

- Robię masę własnego bałaganu. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Kręci głową, podchodzi do kanapy i ostrożnie siada na drugim końcu, tak by zostało między nami dużo miejsca.

- Przykro mi z powodu Hopkins - mówi po dłuższej chwili.

- Sądzę, że próbowała być zabawna. Ale jej wystąpienie odebrałam jako bardzo smutne.

- To są problemy ludzi, którzy mają serce. Wrażliwców takie rzeczy ruszają. Najwyraźniej Hopkins nie ma z tym problemu.

- Może moja siostra ma w piersi dodatkowy mózg zamiast serca? To by wyjaśniało jej ponadprzeciętną inteligencję.

Jacob lekceważąco macha ręką.

- Ona jest bystra tylko w niektórych sprawach.

- Tak, akurat w tych, które się liczą. Kręci głową.

- To ty jesteś bystra w sprawach, które się liczą. I miła.

Czuję, że oblewam się rumieńcem. Ten dziwny komplement sprawia mi dużą przyjemność. Bardzo chciałam usłyszeć coś takiego z ust Jacoba. Powiedział, że jestem miła. Nie śmiałam nawet o tym marzyć.

- Co u ciebie? - pytam po chwili milczenia.

- Ciężko pracuję. Chcę skończyć pracę doktorską do jesieni. Jestem zmęczony wiecznym studiowaniem.

- Poszukasz nowej pracy?

- Rozejrzę się, ale teraz o pracę niełatwo. Może dostanę u nas etat wykładowcy, żeby mieć jakiś punkt

zaczepienia, zanim znajdę coś lepszego. Z pomocą twojego taty.

- Przynajmniej zostaniesz w Bostonie.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać, ale będę musiał przenieść się tam, gdzie będzie praca.

- Coś jeszcze się dzieje w twoim życiu? - badam, chcąc dowiedzieć się czegoś o Cathy. Jestem ciekawa, dlaczego nie przyszła, skoro wiem, że mama ją zaprosiła, ale boję się o to zapytać wprost, bo kiedy ostatnio to zrobiłam, Jacob powiedział, że nigdy więcej nie będzie ze mną rozmawiał o swoim życiu osobistym.

- Niewiele. Zajęcia się skończyły. Prowadzę badania dla twojego ojca i dla siebie, piszę, jem tanie posiłki od czasu do czasu...

Nadal nie uzyskuję informacji na temat, który najbardziej mnie interesuje.

- Czy jesteśmy znowu na tyle dobrymi przyjaciółmi, żebym mogła spytać, co z tobą i Cathy?

- Cathy i ja przestaliśmy się spotykać kilka tygodni temu - odpowiada spokojnie.

- Och! - Bardzo się staram, żeby w moim głosie brzmiał ton współczucia. - Co się stało?

- Sądzę, że osiągnęliśmy etap, w którym trzeba albo wykonać krok dalej, albo zakończyć znajomość. A zakończenie wydawało się właściwsze. W każdym razie dla mnie. Zresztą Cathy powiedziała, że czuje to samo. - Urywa na chwilę. - Może tylko chciała, żebym nie czuł się źle z tą decyzją.

- To do niej podobne.

Słyszę, że ktoś mnie woła, potem kroki na schodach. Pojawia się Hopkins. Ma na sobie obszerną koszulę z kołnierzykiem - pewnie ze sklepu z odzieżą męską - która wyglądałaby sztywno z legginsami, ale nie z workowatymi dżinsami. Całość wygląda jak wyciągnięta dziś rano z cudzej szafy.

- A, tu jesteście - mówi moja siostra. - Co wy tu robicie?

- Rozmawiamy - odpowiadam. Unosi brwi.

- Jakie miłe, zaciszne gniazdko do konwersacji. Tak czy owak, mama powiedziała, że muszę cię przeprosić. Chyba byłam niegrzeczna. Jacob, mógłbyś mi w czymś pomóc?

- Czekaj - mówię. - Czy to były twoje przeprosiny?

- Jasne.

- Chciałam się tylko upewnić. Bo nie brzmiało jak przeprosiny.

Przewraca oczami.

- Nieważne. Jacob, na dole jest parę moich pudeł.

- Tak, ja je zapakowałam - mówię. Nie zwraca na mnie uwagi.

- Muszę je wysłać do swojego mieszkania, ale jutro rano wylatuję wcześniej, więc nie dam rady. Mógłbyś to zrobić?

- O której masz lot? - pytam, zanim Jacob zdąży cokolwiek powiedzieć.

- O jedenastej.

- Poczta otwiera o siódmej trzydzieści. Masz masę czasu, żeby zrobić to sama.

- Nie mogę ryzykować, że spóźnię się na samolot...

pacjenci na mnie czekają. Poza tym to nie twoja sprawa, proszę Jacoba. - Odwraca się do niego. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Czekam, aż Jacob z westchnieniem podejmie się wykonania zadania. Zawsze robi wszystko, o co my, Sedlakowie, go prosimy.

Ale Jacob mnie zaskakuje.

-Zgadza się z Keats. Wystarczy, że pojedziesz na pocztę odpowiednio wcześniej. Hopkins robi gniewną minę.

- Przez to naprawdę będę musiała się jutro śpieszyć.

- Rano czasem tak bywa - mówię.

- Reporter z „Globe” ma przeprowadzić ze mną wywiad. Powiedziałam, że może będziemy mogli porozmawiać jutro rano. A tu się okazuje, że muszę iść na pocztę.

- Dasz sobie radę - mówię. - Jesteś supergeniuszem.

- No to przynajmniej pomóż mi załadować pudła do samochodu.

Nie wiem, do kogo się teraz zwraca moja siostra. Pewnie do tego, kto zaoferuje swą pomoc.

- Za chwilę - mówi Jacob, nie ruszając się z miejsca. Hopkins zaplata ręce na piersiach.

- Tato i ja musimy niedługo wracać.

- Te pudła nie są ciężkie - mówię. - Wiem, bo sama je zapakowałam i zniosłam po schodach. Jeżeli nie możesz na nas poczekać, to nie krępuj się i załaduj je sama.

Moja siostra gwałtownie rozprostowuje ręce. Jest zła, ale nie ma w zanadrzu dalszych argumentów.

- Nie wiem, po co siedzicie tu na górze - rzuca z irytacją. -
Macie zamiar się obściskować czy co?

Co się z nią dzieje? Ma trzydzieści lat, a zachowuje się, jakby miała czternaście.

- Może - mówię.

- Wielkie dzięki. - Szybko zbiega ze schodów; skończyła z nami, bo nie mieliśmy ochoty jej usłużyć.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu.

- Wiem, że Hopkins jest świetna w swoim zawodzie, ale zaczynam się zastanawiać, czy nie jest odrobinę rozpuszczona - podsumowuje Jacob.

- Jestem dumna, że się nie poddaliśmy.

- Tak, byliśmy wspaniali. - Spogląda na mnie kątem oka. - A skoro mowa o tym obściskiwaniu...

Uśmiecham się. -Tak?

Odwzajemnia uśmiech.

- Nic, tylko pomyślałem, że temat jest wart dogłębnych badań.

- Założę się, że przeprowadzisz je doskonale. - Przysuwam się w jego stronę. - Wiesz, że mama wypycha mnie na randki z różnymi facetami? Mówi, że muszę nadrobić stracone lata.

- I jak ci idzie?

- Szczerze? Stęskniłam się za spotkaniami z tobą.

- Tak? - Teraz z kolei on przesuwa się ku mnie. - Miło słyszeć.

Więc dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

- Ostatnim razem właściwie mnie wyrzuciłeś, kiedy próbowałam z tobą porozmawiać...

- Przepraszam. Byłam wściekły. Już mi przeszło.

- Ale przede wszystkim sądziłam, że powinnam zostawić cię w spokoju ze względu na Cathy.

- To... - Urywa. - Właściwie to bardzo ładnie się zachowałeś.

- Dobrze o tym wiem. Nie musisz udawać zaskoczenia. Śmieje się.

- Cóż, Cathy już nie jest ze mną, a ja już się nie gniewam. To co, myślisz, że mogłabyś zjeść ze mną kiedyś kolację? Czy twój kalendarz jest tak wypełniony randkami z przypadkowymi facetami, z którymi umawia cię matka, że na nic więcej nie masz czasu?

Ogarnia mnie wielka ulga. I wielka radość.

- Myślę, że jakoś dam radę znaleźć chwilkę dla ciebie.

- Cieszę się - mówi Jacob, a potem po prostu siedzimy przez chwilę blisko siebie i słuchamy odgłosów sprzedanego domu: Hopkins wrzeszczącej, żeby mama przyszła jej w czymś pomóc, drzwi pokoju Milona zamykających się pod nami - i jest tak, jakby wszystko jednocześnie kończyło się i zaczynało.

Wskazówki dla grup czytelniczych

ESEJ: JEDYNA NORMALNA OSOBA

Powszechnie wiadomo, że młoda, niezależna finansowo kobieta o spokojnym usposobieniu, składająca dowolnej długości wizytę w domu rodzinnym, musi zmierzyć się ze świadomością, że jej rodzina jest kompletnie ześwirowana.

Tytuł roboczy niniejszej powieści, „Kuzynka Marilyn w Massachusetts”, budził mój uśmiech, choć wiedziałam, że ostatecznie nie ukaże się na okładce. Był swoistym hołdem złożonym J.D. Salingerowi -opowiadanie „Pan Kostek w Connecticut” uważam za najlepsze ze wszystkich, jakie znam - ale też nawiązaniem do kultowej postaci z mojego dzieciństwa, kuzynki Marilyn, bohaterki telewizyjnego serialu z lat sześćdziesiątych XX wieku.

Jasnowłosa kuzynka Marilyn była piękna, normalna i żyła szczęśliwie z rodziną potworów. Miłych, kochających, troskliwych, ale jednak potworów. Wampirów, wilkołaków, ludzi zlepionych z kawałków martwych ciał.

Jako jedyny niepotwór została uznana za rodzinnego dziwoląga; podobnie jak w jednym z odcinków „Strefy mroku” piękna blondynka jest uważana za brzydulę w gronie szkaradnych postaci podobnych do świń. (Właśnie sobie uświadomiłam, że wszystkie moje odniesienia dotyczą czarno-białych programów telewizyjnych - najwidoczniej jako dziecko nie chodziłam do szkoły, tylko symulując chorobę, całymi dniami oglądałam powtórki, karmiona przez mamę galaretką). Biedna normalna Marilyn odstawała od reszty swojej rodziny - kochana i akceptowana, lecz zawsze w widoczny sposób inna.

Nic nie wskazywało na to, by szczególnie martwiła się swoją sytuacją albo tym, że dziadzio lubi wysysać krew, a mały Eddie sypia w trumnie, ale czasami, leżąc w łóżku, pewnie zadawała sobie pytania: Dlaczego wszyscy moi krewni są tacy... potworni? Jakim cudem jestem jedyna normalna? Dlaczego nie mogę mieć normalnej, ludzkiej rodziny jak wszystkie moje koleżanki? A może nawet: Zastanawiam się, czy nie zostałam po urodzeniu zamieniona z jakąś harpią, a moim prawdziwym domem nie jest przypadkiem ładny, dwupoziomowy apartament w New Rochelle.

Czy wszyscy nie zastanawiamy się od czasu do czasu, dlaczego pozostali członkowie naszej rodziny są o wiele bardziej zwariowani od nas? Zdarza się to prawie każdemu, kogo znam. Oczywiście to trochę jak z danymi statystycznymi, według których osiemdziesiąt procent dorosłych po trzydziestce sądzi, że wyglądają na młodszych. Pewien odsetek ludzi po prostu wypiera prawdę ze świadomości. Więc chociaż ze swego punktu widzenia

jesteś zdrowy na umyśle, istnieje duże prawdopodobieństwo, że twoja siostra Sue siedząca naprzeciwko uważa cię za totalnego świra i nie może się doczekać końca rodzinnego obiadu, żeby wyżalić się na ciebie swojemu chłopakowi.

Keats Sedlak, bohaterka tej książki, wychodzi z założenia, że jest w swej rodzinie jedyną osobą, która nie balansuje na krawędzi geniuszu i szaleństwa, a jedyną nadzieję na utrzymanie psychicznej równowagi widzi w możliwie jak największym odseparowaniu się od najbliższych. Jednak kiedy rodzina wciąga ją z powrotem (rodziny mają na to swoje sposoby, prawda?), ponownie odnajduje w niej swoje miejsce i zdaje sobie sprawę, że zapewne mimo wszystko jest jedną z nich.

Keats, być może bardziej przystosowana do życia, wyrobiona społecznie i samokrytyczna niż ktokolwiek inny spośród jej krewnych, w głębi duszy nadal pozostaje Sedlakówną, tak jak kuzynka Mariłyn, pomimo swej urody, była do szpiku kości Munsterówną. Możemy zastanawiać się do woli nad tajemnicami naszych zwariowanych (a czasami potwornych) rodzin, ale dwa fakty pozostają niezmiennie: oni są nami, a my jesteśmy nimi.

Pytania dla grup czytelniczych

Czy jest ci bliska koncepcja bycia „jedyną normalną” osobą wśród wariatów, czy też czujesz się outsiderem w swojej bardziej tradycyjnej rodzinie?

Czy chciałaś, aby Keats i Tom zostali razem, czy też ich ostateczne zerwanie wydawało ci się oczywiste i nieuniknione?

Czy kiedykolwiek znałaś parę podobną do Larry'ego i Eloise, którzy mieszkali razem po podjęciu decyzji o rozwodzie? Czy możliwe jest dalsze życie z eksmałżonkiem pod jednym dachem?

Czy miałaś okazję widzieć swoich rodziców powracających do etapu randkowania? Czy wydało ci się to inspirujące? Niezręczne? Jedno i drugie po trochu?

Przez cały czas Keats usiłuje wyciągnąć Miliona z domu. Co się zmieniło, kiedy jej się to udało?

Jak zmieniają się twoje odczucia dotyczące Hopkins, kiedy pojawia się w drugiej połowie książki?

Czy sądzisz, że Sedlakowie są nieuprzejmi wobec Toma lub traktują go lekceważąco? Czy może to Keats przenosi tego rodzaju odczucia na swoją rodzinę?

Co sądzisz o historii związku Toma i Keats? Jest -urocza czy budzi niesmak?

Jak wyobrażasz sobie dalsze losy Sedlaków?